

FREDERICK FORSYTH

AFGAŃCZYK

Z angielskiego przełożył GRZEGORZ KOŁODZIEJCZYK

wersja elektroniczna ebook Remik

WARSZAWA 2006

Tytuł oryginału: THE AFGHAN

Copyright © Frederick Forsyth 2006 All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2006

Copyright © for the Polish translation by Grzegorz Kołodziejczyk 2006

Redakcja: Jacek Ring

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN - 13: 978 - 83 - 7359 - 470 - 8 ISBN - 10: 83 - 7359 - 470 - 1

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Kolejowa 15/17, 01 - 217 Warszawa

t/f. (22) - 631 - 4832, (22) - 535 - 0557/0560

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.empik.com

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02 - 954 Warszawa

Wydanie I

Skład: Laguna

Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

Ponownie dedykują Sandy

CZEŚĆ PIERWSZA

STINGRAY

ROZDZIAŁ 1

Gdyby młody talib wiedział, że naciśnięcie klawisza komórki w niedalekiej przyszłości ściągnie na niego śmierć, z pewnością by go nie nacisnął. Ale tego nie wiedział.



Siódmego lipca dwa tysiące piątego roku czterech zamachowców - samobójców zdetonowało w londyńskim metrze bomby ukryte w plecakach. Zabili pięćdziesięciu dwóch podróżnych i ranili około siedmiuset. Co najmniej stu okaleczyli na całe życie.

Trzech z nich, z pochodzenia Pakistańczyków, przyszło na świat i wychowało się w Wielkiej Brytanii. Czwarty urodził się na Jamajce, był naturalizowanym Brytyjczykiem, który przeszedł na islam. On i jeszcze jeden zamachowiec byli nastolatkami, trzeci miał dwadzieścia dwa lata, a dowódca grupy liczył sobie trzydzieści lat. Wszyscy należeli do fundamentalistów; właściwie należałoby powiedzieć, że poddano ich praniu mózgow, i to nie za granicą, lecz w sercu Anglii. Uczęszczali do meczetów, gdzie nawoływano do dżihadu, i słuchali tych samych duchownych.

W ciągu dwudziestu czterech godzin po zamachu wszyscy zostali zidentyfikowani; ustalono, że mieszkali w różnych miejscach w położonym na północy Anglii Leeds bądź w jego pobliżu. Wszyscy w mniejszym lub większym stopniu mówili z akcentem z Yorkshire. Dowódca pracował jako nauczyciel dzieci specjalnej troski, nazywał się Muhammad Siddiki Chan.

W czasie przeszukania domów i rzeczy zamachowców policja odkryła pewien skarb, którego postanowiła nie ujawniać. Były nim cztery paragony świadczące o tym, że jeden ze starszych członków grupy nabył za gotówkę telefony komórkowe typu „kup, zadzwoń i wyrzuć”, trzyzakresowe, warte około dwudziestu funtów sztuka, nadające się do użytku prawie na całym świecie, z kartą SIM w systemie pre - paid. Następnie po tych telefonach wszelki śluch zagaął. Jednak policja ustaliła ich numery i oznaczyła je na wypadek, gdyby jeszcze kiedyś ujawniły się w sieci.

Odkryto również, że Siddiki Chan i jego najbliższy współpracownik z grupy, młody Pendzabczyk Szezhad Tanwir, w listopadzie ubiegłego roku odbyli podróż do Pakistanu i spędzili tam trzy miesiące. Nie udało się ustalić, z kim się spotykali, lecz kilka tygodni po zamachu arabska stacja telewizyjna Al - Dżazira wyemitowała nagranie wideo zrobione przez Siddikiego, w którym opowiadał o planowanym samobójczym zamachu. Nie ulegało wątpliwości, że powstało ono w czasie wizyty w Islamabadzie.

Dopiero we wrześniu dwa tysiące szóstego roku stało się jasne, że jeden z zamachowców zabrał ze sobą do Pakistanu „czystą jak łza” komórkę i podarował ją swojemu instruktorowi z Al - Kaidy. (Policja brytyjska już wcześniej ustaliła, że żaden z zamachowców nie mógł skonstruować bomby bez wskazówek i pomocy z zewnątrz, gdyż brakowało im umiejętności technicznych).

Ów wysokiej rangi członek Al - Kaidy w dowód wdzięczności przekazał aparat członkowi ścisłego grona osób z otoczenia Osamy bin Ladena ukrywającego się gdzieś w posępnym łańcuchu górskim na południu Waziristanu, biegnącym wzdłuż granicy pakistańsko - afgańskiej - afgańskiej na zachód od Peszawaru. Dał mu go wyłącznie do użytku w razie nagłej konieczności, bo

wszyscy szefowie Al - Kaidy bardzo ostrożnie posługują się komórkami, lecz nie wiedział wówczas, iż brytyjski fanatyk okaże się na tyle głupi, by zostawić paragon na swoim biurku w Leeds.

Ścisłe otoczenie Bin Ladena podzielone jest na cztery sekcje zajmujące się działalnością operacyjną, finansami, propagandą oraz ideologią. Każda sekcja ma swojego szefa, nad którym stoją tylko Bin Laden i drugi przywódca organizacji Ajman az - Zawahiri. We wrześniu dwa tysiące szóstego roku głównym szefem finansów całej siatki terrorystycznej był rodak Az - Zawahiriego, Egipcjanin Taufik al - Kur.

Z powodów, które wyjaśniły się później, piętnastego września Al - Kur znalazł się w pakistańskim Peszawarze; był incognito i wracał do górskiej kryjówki po długiej i niebezpiecznej podróży. Cekał na przybycie przewodnika, który miał go poprowadzić w góry do samego szejka.

Do ochrony w czasie krótkiego pobytu w Peszawarze przydzielono mu czterech miejscowych talibów. Tak jak niemal wszyscy, którzy pochodzą z gór na niepodlegającym żadnej władzy północnowschodnim pograniczu kraju, zamieszkanym przez dzikie plemiona, byli obywatelami Pakistanu, lecz czuli się Waziryjczykami. Posługiwali się językiem paszto, a nie urdu, i byli lojalni wobec Pasztunów, których odgałęzienie stanowią waziryjskie plemiona.

Wszyscy wydobyli się z rynsztoka dzięki nauce w madrasie, koranicznej szkole z internatem, bliskiej muzułmańskiej sekcji wahabitów, najbardziej skrajnego i nietolerancyjnego odłamu tej religii. Nie zdobyli tam żadnej wiedzy ani umiejętności, potrafili tylko cytować Koran; dlatego podobnie jak miliony wychowanych w madrasach młodych mężczyzn nie nadawali się do żadnej pracy. Lecz jeśli otrzymali zadanie od dowódcy klanu, byli gotowi oddać życie, aby je wykonać. Wtedy, we wrześniu dwa tysiące szóstego roku, powierzono im ochronę Egipcjanina w średnim wieku mówiącego odmianą arabskiego znad Nilu, lecz znającego parę słów w paszto. Jeden z tej czwórki, Abd al - Allah, miał telefon komórkowy, z którego był bardzo dumny. Niestety aparat miał wyczerpaną baterię, bo chłopak zapomniał ją naładować.

Minęło południe. Wyjście do pobliskiego meczetu na modlitwę było zbyt niebezpieczne, więc Al - Kur odmówił ją razem ze swoją obstawą w mieszkaniu na górze. Następnie zjadł skromny posiłek i udał się na krótki odpoczynek.

Brat Abd al - Allaha mieszkał kilkaset kilometrów na zachód w mieście Kuitta, którego ludność składała się w większości z fundamentalistów; ich matka od dłuższego czasu chorowała. Abd al - Allah chciał zapytać o jej zdrowie więc próbował dodzwonić się przez komórkę. Nie powiedziała by nic godnego uwagi; w eterze na wszystkich kontynentach codziennie krzyżują się miliony takich pogawędek. Ale telefon nie działał. Jeden z towarzyszy Abd al - Allaha pokazał mu brak czarnych kresek na wskaźniku naładowania baterii. Wtedy Abd al - Allah zauważył komórkę Egipcjanina leżącą na jego walizeczce w dużym pokoju.

Aparat był naładowany. Nie widząc w tym nic złego, młody talib wybrał numer telefonu brata i w dalekim mieście Kuitta rozległ się dzwonek. A w podziemnym pomieszczeniu centrali telefonicznej w Islamabadzie, należącym do sekcji nasłuchu elektronicznego pakistańskiego centrum antyterrorystycznego CTC*(Counter - Terrorism Center), zapaliła się mała czerwona kontrolka.

Wielu mieszkańców Hampshire uważa to hrabstwo za najbardziej uroczy zakątek Anglii. Na jego południowym wybrzeżu, na wprost kanału La Manche, leży wielki port Southampton i doki w Portsmouth. Centrum administracyjne okręgu stanowi historyczne miasto Winchester ze wspaniałą katedrą liczącą prawie tysiąc lat.

W samym sercu hrabstwa, z dala od autostrad, a nawet większych dróg, znajduje się cicha dolina rzeki Meon, spokojny strumień, na którego brzegach rozsiadły się wioski i miasteczka; ich historia sięga czasów saskich.

Przez hrabstwo biegnie jedna droga klasy A, lecz jego reszta pocięta jest siatką wijących się szos, których pobocza obsadzono żywopłotami i drzewami; w wielu miejscach gałęzie zwieszają się nad asfaltem. Hampshire to rolnicze hrabstwo w starym stylu; niewiele farm ma tam więcej niż dziesięć akrów powierzchni, a nieliczne przekraczają pięćset akrów. Większość domów to wielowiekowe budynki z belek i cegieł, kryte dachówką; niektóre z nich otaczają niemal równie stare i piękne stodoły.

Mężczyzna, który siedział na dachu takiej stodoły, mógł obserwować panoramę doliny Meon i najbliższą wioskę Meonstoke, leżącą w odległości zaledwie półtora kilometra. W chwili gdy w zupełnie innej strefie czasowej talib Abd al - Allah wykonywał ostatnie w życiu połączenie telefoniczne, mężczyzna siedzący na szczycie stodoły otarł pot z czoła i podjął przerwana pracę, ostrożnie usuwając glinianą dachówkę ułożoną przed trzystu laty.

Powinien był wynająć ekipę doświadczonych robotników, którzy opletliby całą stodołę rusztowaniem. Wykonaliby zadanie znacznie szybciej, ale kosztowałyby go to o wiele drożej. Mężczyzna z młotkiem był jednak emerytowanym żołnierzem, który odszedł ze służby po dwudziestu pięciu latach i wszystkie zarobione pieniądze przeznaczył na realizację swojego marzenia: zakup wiejskiej chaty, którą mógłby nazwać swoim domem. Właśnie dlatego znalazł się na tej dziesięcioakrowej farmie z dróżką prowadzącą do szosy, która z kolei wiodła do wioski.

Żołnierze nie zawsze umiejętnie dysponują swoimi pieniędzmi, toteż mężczyzna zlecił oszacowanie kosztów przekształcenia średniowiecznej stodoły w uroczy domek profesjonalnym firmom trudniącym się takimi przeróbkami. Sumy, które ujrzał, zaparły mu dech w piersiach, dlatego postanowił zakasać rękawy i samodzielnie przeprowadzić remont bez względu na to, ile czasu mu to zajmie.

Miejsce wyglądało sielankowo. Nowy właściciel wyobrażał sobie odrestaurowany dach z zachowaną większością oryginalnych dachówek; pozostałe chciał kupić od firmy handlującej przedmiotami ze zburzonych budynków. Krokwie były równie zdrowe jak w dniu, w którym wycięto je z pnia dębu, lecz poprzeczki należało wymienić, a sufit zrobić z płyty pilśniowej.

Mężczyzna oczami wyobraźni widział pokój stołowy, kuchnię, gabinet i przedpokój. Teraz leżały tam zakurzone bele starego siana. Wiedział, że do założenia instalacji elektrycznej i hydraulicznej będzie musiał wynająć fachowców, lecz już zapisał się na wieczorowe kursy murarstwa, tynkowania, ciesielstwa i glazurnictwa organizowane przez technikum w Southampton.

Pewnego dnia powstanie tam wykładane kamieniem patio i ogródek przylegający do kuchni,

dróżka dojazdowa zostanie wysypana żwirem, a w starym ogrodzie owce będą skubać trawę. Każdego wieczoru, korzystając z pięknego upalnego lata i z rozkoszą wdychając pachnące powietrze, siadał na padoku i spoglądając na wyliczenia, myślał, że dzięki wytrwałości i ciężkiej pracy zdoła jakoś przeżyć przy swoim skromnym budżecie.

Miał czterdzieści cztery lata, oliwkową skórę, czarne włosy i oczy, był szczupły i bardzo mocno zbudowany. I miał już dość. Dość pustyń, dżungli, malarii, pijawek, mroźnych nocy, podłego prowiantu i odrętwiałych z bólu członków. Znajdzie gdzieś w okolicy pracę, labradora albo parkę terierów jack russell, a może nawet kobietę, która zechce dzielić z nim życie.

Zdjął kolejnych kilkanaście dachówek, zostawił dziesięć dobrych i zrzucił z dachu połamane fragmenty. A w podziemnym pomieszczeniu CTC w Islamabadzie wciąż pulsowało czerwone światło.

Wielu ludzi uważa, że jeśli telefon komórkowy ma w środku kartę pre - paid, nie trzeba płacić za niego żadnych rachunków. Jest to prawda z punktu widzenia użytkownika, lecz nie usługodawcy. Jeśli aparat jest użytkowany poza rejonem nadawczym, w którym został zakupiony, sieci telefonii komórkowej rozliczają się między sobą za pośrednictwem komputerów.

Kiedy Abd al - Allah zadzwonił do brata w Kuitcie, zaczął korzystać z transmisji za pośrednictwem masztu stojącego koło Peszawaru, należącego do firmy Paktel. Dlatego komputer Paktela rozpoczął poszukiwanie sprzedawcy aparatu w Anglii, żeby wysłać mu elektroniczny komunikat: „Jeden z waszych klientów korzysta z naszego czasu i pasma radiowego, więc zostaliście naszymi dłużnikami”.

Jednak pakistańskie CTC od lat wymagało, by Paktel oraz rywalizująca z nią sieć Mobitel przesyłały każdą odebraną lub emitowaną rozmowę do sali nasłuchu. CTC otrzymało od Brytyjczyków program z poszukiwanymi numerami telefonów, który agenci wgrali do swoich komputerów. I nagle jeden z tych numerów się uaktywnił.

Młody sierżant armii pakistańskiej, znający paszto, ął guzik na konsoli. Jego przełożony, mający rangę majora, posłuchał przez kilka sekund, a potem spytał:

- Co on mówi?

Sierżant wsłuchał się w słowa.

- Coś o swojej matce. Zdaje się, że rozmawia z bratem.

- Skąd? Sierżant sprawdził.

- Korzysta z przekaźnika w Peszawarze.

Tyle informacji wystarczyło przełożonemu. Cała rozmowa zostanie nagrana. Teraz należało jak najszybciej zlokalizować dzwoniącego. Major był prawie pewny, że nie uda się tego zrobić w ciągu jednej krótkiej rozmowy. Ten idiota chyba nie będzie gadał w nieskończoność?

Biuro majora znajdowało się znacznie powyżej podziemnej sali nasłuchowej. Mężczyzna nacisnął trzy guziki i dzięki błyskawicznej linii w tej samej chwili zadzwonił telefon w komendzie CTC w Peszawarze.

Wiele lat wcześniej, przed wydarzeniem znanym obecnie jako jedenasty września, czyli przed atakiem na wieże World Trade Center w Nowym Jorku, pakistański połączony wywiad wojskowy ISI*(Inter - Services Intelligence)został głęboko spenetrowany przez muzułmańskich fundamentalistów z armii pakistańskiej. Dlatego był całkowicie nieskuteczny w walce przeciwko talibom i goszczącym u nich terrorystom z Al - Kaidy.

Jednak prezydent Pakistanu generał Muszarraf nie miał wyboru: musiał podporządkować się dobitnie wyrażonej przez Amerykanów „radzie”, by zrobić z tym porządek. Jedną częścią programu było systematyczne przenoszenie nastawionych oficerów z ISI do zwykłej służby wojskowej, a drugą - utworzenie w ISI elitarnego centrum antyterrorystycznego, w którym zatrudniono młodych oficerów niemających powiązań z terroryzmem, bez względu na to, jak bardzo byli wierzący. Jednym z nich był pułkownik Abd ar - Razak, dawniej dowódca czołgu. Teraz stał na czele komendy jednostki antyterrorystycznej w Peszawarze i to właśnie on odebrał telefon.

Pułkownik wysłuchał uważnie kolegi ze stolicy, a potem spytał:

- Jak długo?

- Na razie trzy minuty.

Tak się szczęśliwie składało, że biuro pułkownika Razaka znajdowało się w odległości zaledwie siedmiuset metrów od masztu Paktela, a żeby namierzenie było skuteczne, promień nie może być większy niż dziewięćset metrów. Wraz z dwoma technikami wbiegł na płaski dach budynku komendy; natychmiast zaczęli poszukiwać źródła sygnału, coraz bardziej zacieśniając krąg.

Dyżurny sierżant w Islamabadzie powiedział do dowódcy:

- Rozmowa się skończyła.

- A niech to - mruknął major. - Trzy minuty i czterdzieści pięć sekund. Trudno oczekiwać, żeby gadał dłużej.

- Ale on chyba nie wyłączył aparatu - zauważył sierżant.

Przebywający na najwyższym piętrze domu na starym mieście w Peszawarze Abd al - Allah popełnił drugi błąd. Słyszając, że Egipcjanin wychodzi ze swojego pokoju, pospiesznie przerwał rozmowę z bratem i wsunął komórkę pod najbliższą poduszkę. Jednakże zapomniał jej wyłączyć. Szperacze pułkownika Razaka byli tylko o pięćset metrów dalej i coraz dokładniej namierzali sygnał.

Brytyjski wywiad SIS i amerykańska Centralna Agencja Wywiadowcza z oczywistych względów prowadzą intensywną działalność w Pakistanie. Jest to jedna z głównych stref wojny z terroryzmem. Jednym z atutów zachodnich aliantów po zakończeniu drugiej wojny światowej w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku była umiejętność współdziałania obu agencji.

Zdarzały się rozdzwiewki, zwłaszcza w związku z brytyjskimi zdrajcami - Philbym, Burgessem i Macleanem - zdemaskowanymi w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym. Później Amerykanie zauważyli, że w ich szeregach także działa cały poczet zdrajców pracujących dla Moskwy, i to położyło kres wzajemnym docinkom. Koniec zimnej wojny w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym doprowadził speców po obu stronach Atlantyku do naiwnego wniosku, że oto wreszcie zapanował pokój i tak już będzie zawsze. Dokładnie w tym samym czasie, po cichu, w mateczniku islamu rodziła się nowa zimna wojna.

Po jedenastym września skończyła się rywalizacja, a nawet tradycyjny handel wymienny. Obowiązującą zasadą stało się hasło: jeśli coś mamy, to się z wami dzielimy. I vice versa. Do wspólnej walki włączyło się wiele zagranicznych agencji, lecz wymiana między anglojęzycznymi krajami po obu stronach Atlantyku pozostała najściślej.

Pułkownik Razak znał szefów obu placówek w swoim mieście. Bliższe kontakty utrzymywał z Brianem O'Dowdem z SIS; poza tym numer podejrzanej komórki namierzyli Brytyjczycy, zadzwonił więc do O'Dowda, kiedy zszedł z dachu budynku komendy.

W tej samej chwili Al - Kur wyszedł do łazienki, Abd al - Allah wyciągnął więc komórkę spod poduszki, chcąc odłożyć ją z powrotem na walizeczkę Egipcjanina, z której ją wziął. Zauważył, że aparat wciąż jest włączony, i z poczuciem winy natychmiast go wyłączył. Z myślą o zużyciu baterii, a nie z obawy, że ktoś przechwycił połączenie. Tak czy inaczej spóźnił się o osiem sekund. Szperacze spełnili swoje zadanie.

- Co masz na myśli, mówiąc, że ją znalazłeś? - spytał O'Dowd. Poczul się tak, jakby za jednym razem dostał prezent gwiazdkowy i kilka urodzinowych.

- Nie ma wątpliwości, Brian. Połączono się z najwyższego piętra pięciokondygnacyjnego budynku w starej dzielnicy. Moich dwóch tajniaków już poszło się tam rozejrzeć i sprawdzić, którądy można podejść.

- Kiedy wkraczacie?

- Tuż po zmroku. Wolałbym o trzeciej rano, ale ryzyko jest zbyt duże. Mogliby wymknąć się z potrzasku.

Pułkownik Razak uczestniczył w sponsorowanym przez Brytyjczyków rocznym kursie w Camberley i był dumny ze swojej znajomości angielskich idiomów.

- Mogę się przyłączyć?

- Chciałbyś?

- A czy papież jest katolikiem? - zapytał Irlandczyk. Razak parsknął śmiechem. Lubił takie przekomarzanki.

- Jako wyznawca jedyne prawdziwego Boga nie mam pojęcia. No dobrze. W moim biurze o

szóstej. Ale wszyscy będziemy po cywilnemu. To znaczy po naszymu.

Miał na myśli to, że nikt nie może pojawić się w mundurze ani w zachodnim ubraniu. Na starym mieście, a zwłaszcza na bazarze Kissa Chawani, nie zwracało na siebie uwagi tylko szalwar kamiz, czyli luźne spodnie i długa koszula. Albo burnusy i turbany członków górskich klanów. O'Dowd nie mógł być wyjątkiem.

Brytyjski agent tuż przed osiemnastą podjechał pod komendę czarną toyotą land cruiser z przyciemnionymi szybami. Angielski land - rover wyglądałby bardziej patriotycznie, lecz toyota była ulubionym pojazdem miejscowych fundamentalistów, dlatego nie rzucała się w oczy. Miał ze sobą butelkę słodowej whisky Chivas Regal, ulubionego trunku Razaka. Kiedyś żartobliwie zganił pakistańskiego przyjaciela za skłonność do szkockiego trunku.

- Uważam się za dobrego muzułmanina, lecz nie mam obsesji - odparł Razak. - Nie tykam wołowiny, ale w tańcu czy dobrym cygarze nie widzę nic złego. Zabranianie takich rzeczy to talibski fanatyzm, z którym nie mam nic wspólnego. A jeśli chodzi o winogrono albo nawet o ziarna zbóż, to wino pito swobodnie w czasie pierwszych czterech kalifatów. Jeśli kiedyś w raju zwróci mi na to uwagę wyższa władza od ciebie, to wtedy poproszę miłosiernego Allaha o wybaczenie. A tymczasem nalej mi do pełna.

Może się to wydać dziwne, że czołgista stał się doskonałym policjantem, lecz Abd ar - Razak takim właśnie był. Miał trzydzieści sześć lat, żonę, dwoje dzieci i był wykształcony. Umiał myśleć wielowątkowo i subtelnie, wolał stosować taktykę mangusty walczącej z kobrą niż taktykę szarżującego słonia. Chciał zdobyć mieszkanie na najwyższym piętrze budynku bez kanonady, dlatego podchodził do niego cicho.

Peszawar to starożytne miasto, a bazar Kissa Chawani stanowi jego najstarszą część. Przez setki lat wędrujące tędy karawany zmierzające do niebezpiecznej przełęczy Chajber i dalej do Afganistanu zatrzymywały się tutaj, by ludzie i wielbłądy mogli odpocząć. A Kissa Chawani jak każdy dobry bazar zaspokajał podstawowe ludzkie potrzeby: sprzedawano tam koce, chusty, dywany, przedmioty z mosiądzu, miedziane misy, jedzenie i picie. I nadal sieje sprzedaje.

Bazar jest wielonarodowy i wielojęzyczny. Wprawne oko potrafi odróżnić turbany mieszkańców w pobliżu Pakistańczyków oraz członków plemion Afridi, Waziri, Ghilzaj od czapek wędrowców z północnej części kraju i futrzanych czap Tadżyków i Uzbeków.

W tym labiryncie wąskich uliczek, w których można zgubić każdego śledzącego, znajdują się sklepiki i budki z zegarami i koszami, stragany cinkciarzy, sprzedawców ptaków oraz gawędziarzy. W czasach imperialnych Brytyjczycy nazywali Peszawar placem Piccadilly Azji Środkowej.

Mieszkanie wskazane przez szperaczy mieściło się w jednym z wysokich wąskich budynków z misternie rzeźbionymi balkonami i okiennicami, cztery piętra powyżej składu dywanów, przy uliczce tak wąskiej, że mógł tam stanąć tylko jeden samochód. Ze względu na upały wszystkie budynki mają płaskie dachy, na których mieszkańcy mogą nocą trochę odetchnąć chłodniejszym powietrzem, oraz otwarte klatki schodowe wiodące w górę od samej ulicy. Pułkownik Razak cicho prowadził swój oddział.

Czterech ludzi w arabskich strojach posłał na dach budynku przy tej samej ulicy, cztery domy dalej. Ci zaś wdrapali się tam, a następnie spokojnie przeszli po dachach do budynku docelowego i czekali na sygnał. Pułkownik z sześcioroma pozostałymi wszedł po schodach z ulicy. Wszyscy trzymali pistolety maszynowe pod burnusami, oprócz silnie umięśnionego Pendżabczyka z młotem.

Kiedy zajęli pozycję na klatce, pułkownik skinął mu głową, a ten strzaskał młotem zamek. Drzwi odskoczyły i cała grupa wtargnęła do środka. Trzech policjantów rzuciło się biegiem z dachu po schodach, a czwarty został, w razie gdyby ktoś próbował umknąć górą.

Przypominając sobie później akcję, Brian O'Dowd miał wrażenie, że wszystko działo się bardzo szybko. Takie samo wrażenie musieli również odnieść mieszkańcy budynku.

Agenci nie wiedzieli, ilu ludzi znajduje się w środku. To mogła być mała armia albo rodzina siedząca przy herbacie. Nie znali nawet rozkładu pomieszczeń; plany architektoniczne mogły leżeć w Londynie albo w Nowym Jorku, ale nie w okolicy bazaru Kissa Chawani. Wiedzieli tylko tyle, że ktoś z tego budynku wykonał połączenie z trefnego telefonu komórkowego.

W mieszkaniu zastali czterech mężczyzn oglądających telewizję. Przez kilka sekund agenci bali się, że przeprowadzili nalot na dom zamieszkały przez Bogu ducha winnych ludzi. Nagle uświadomili sobie, że wszyscy mężczyźni są młodymi góralami z długimi brodami, a jeden z nich sięga pod burnus po broń. Nazywał się Abd al - Allah, zginął od czterech pocisków z pistoletu Heckler & Koch MP5, które przeszły mu pierś. Trzech pozostałych obezwładniono i przygwożdżono do podłogi, zanim zdążyli stawić opór. Pułkownik Razak przed akcją zapowiedział bardzo wyraźnie, że jeśli to możliwe, chce dostać wszystkich żywych.

Obecność piątego mężczyzny obwieścił głośny trzask, który rozległ się w sypialni. Pendżabczyk nie trzymał już młota, ale wystarczyła siła jego ramienia. Drzwi runęły i do pomieszczenia wpadło dwóch mocno zbudowanych agentów, a za nimi pułkownik Razak. Na środku pokoju stał Arab w średnim wieku z oczyma szeroko otwartymi ze strachu lub nienawiści. Mężczyzna pochylił się, żeby podnieść laptopa, którego wcześniej usiłował zniszczyć uderzeniem o terakotową posadzkę.

Uświadomiwszy sobie, że nie ma już czasu, odwrócił się i rzucił w stronę szeroko otwartego okna.

- Brać go! - ryknął pułkownik Razak, lecz jego ludzie nie zdołali wykonać rozkazu. Egipcjanin był obnażony do pasa z powodu upału, jego skóra lśniła od potu. Nie zatrzymał się nawet przed balustradą, tylko przeskoczył nad nią i runął na kocie łby dwanaście metrów niżej. W ciągu kilku sekund otoczyli go gapie, a kasjer Al - Kaidy zakrztusił się dwa razy i wyzionął ducha.

W budynku i na ulicy zapanował chaos, ludzie biegali i krzyczeli. Pułkownik przez komórkę wezwał pięćdziesięciu umundurowanych żołnierzy, którzy czekali w furgonetkach z przyciemnionymi oknami zaparkowanych cztery ulice dalej. Żołnierze puścili się biegiem, by przywrócić porządek, ale powstał jeszcze większy chaos. Jednak spełnili swoje zadanie, bo otoczyli budynek ze wszystkich stron. Abd ar - Razak chciał po jakimś czasie przesłuchać wszystkich mieszkańców, a przede wszystkim właściciela kamienicy, mieszkającego na parterze sprzedawcę dywanów.

Żołnierze otoczyli zwłoki i okryli je kocem. Później zostaną złożone na noszach i przewiezione do kostnicy szpitala w Peszawarze. Wciąż nikt nie miał pojęcia, kim jest nieboszczyk. Wiadomo było tylko tyle, że wolał śmierć od czulej opieki w amerykańskim obozie Bagram w Afganistanie, do którego trafiliby po konsultacjach Islamabadu z szefem placówki CIA w Pakistanie.

Pułkownik Razak odwrócił się od balkonu. Trzej więźniowie zostali skuci kajdankami, nałożono im kaptury na głowy. Terytorium należało do fundamentalistów, więc do wywiezienia pojmanych potrzebna była wojskowa eskorta. Pułkownik wiedział, że ulica zwróci się przeciwko niemu. Gdy więźniowie i nieboszczyk znikną z miejsca akcji, przez wiele godzin będzie szukał w mieszkaniu najdrobniejszych śladów zostawionych przez właściciela trefnego telefonu.

Brian O'Dowd w czasie nalotu czekał na schodach. Teraz wszedł do sypialni i podniósł z podłogi strzaskanego laptopa Toshiba. Obaj agenci wiedzieli, że będzie to największy skarb zdobyty w czasie akcji. Paszporty, telefony komórkowe, każdy skrawek papieru, a także więźniowie i sąsiedzi - wszystko zostanie odwiezione w bezpieczne miejsce i wyżęte do sucha w poszukiwaniu informacji. Ale przede wszystkim laptop...

Egipcjanin samobójca musiał być optymistą, jeśli uważał, że gruchocząc obudowę komputera, udaremni zebranie cennego żniwa. Nawet skasowanie plików by nie Pomogło. W Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych nie brak czarodziejów, którzy pieczołowicie wyłuskają ze środka twardego dysk i wyskrobią z niego każde słowo, jakie kiedykolwiek zostało przetworzone przez laptop.

- Przykro mi z powodu tego faceta - rzekł agent SIS.

Razak mruknął. Postąpił logicznie, bo jeśliby poczekał kilka dni, mężczyzna mógłby się rozpuścić bez śladu. Gdyby agenci kręcili się wokół budynku, zostaliby zauważeni i ptaszek by wyfrunął. Postanowił wkroczyć szybko i zdecydowanie; zabrakło kilku sekund, żeby zakuć tajemniczego samobójcę w kajdanki. Teraz będzie musiał napisać oświadczenie dla opinii publicznej, w którym stwierdzi, że nieznanymi kryminalistami zginął, próbując uniknąć aresztowania. Chyba że zwłoki zostaną zidentyfikowane. Jeśli mężczyzna okaże się wysokim rangą terrorystą z Al - Kaidy, Amerykanie będą się domagać szumnej konferencji prasowej. Pułkownik wciąż nie wiedział, jak wysoko w hierarchii terrorystów stał Taufik al - Kur.

- Ugrzęźniesz tutaj na jakiś czas - podjął Irlandczyk. - „Czy mogę ci wyświadczyć przysługę i odwieźć bezpiecznie laptopa do twojej kwatery?”

Abd ar - Razak na swoje szczęście miał cierpkie poczucie humoru. W tej pracy to prawdziwy dar niebios, bo w świecie tajnej policji tylko humor może ocalić człowieka przed obłądem. Najbardziej rozbawiło go użyte przez O'Dowda słowo „bezpiecznie”.

- Będę ci bardzo wdzięczny - odparł. - Dam ci czterech ludzi, którzy odprowadzą cię do samochodu. Tak na wszelki wypadek. Kiedy to się skończy, musimy opróżnić wspólnie butelkę niedozwolonego napitku, którą przywiozłeś.

Przyciskając cenną zdobycz do piersi, otoczony ze wszystkich stron przez pakistańskich żołnierzy, agent SIS dotarł do land cruisera. Potrzebne oprzyrządowanie już znajdowało się w

samochodzie, a za kółkiem siedział kierowca O'Dowda, bezgranicznie lojalny sikh.

Pojechali do budynku pod Peszawarem, w którym Irlandczyk podłączył laptopa do większego i potężniejszego przenośnego komputera Toshiba Tecra; za jego pośrednictwem nawiązał łączność z GCHQ*(Government Communications Headquarter.) - Zarządem Głównym Łączności Rządowej w Cheltenham wśród wzgórz Cotswold w Anglii.

O'Dowd wiedział, jak odczytać dysk laptopa, lecz jako laik nie do końca opanował magię komputerów. W ciągu kilkunastu sekund, mimo dzielących oba miejsca tysiące kilometrów, w Cheltenham odtworzono pełen obraz twardego dysku toshi6y. Wyssano laptopa tak, jak pająk wysysa wnętrzości muchy schwywanej w pajęczyne.

Brytyjski agent odwiózł komputer do pakistańskiego centrum antyterrorystycznego i oddał go w pewne ręce. Wcześniej jednak pracownicy ośrodka w Cheltenham podzielili się cennymi informacjami z agentami amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Meade w stanie Maryland. W Peszawarze była ciemna noc, w Marylandzie popołudnie, a w Cotswold zapadał zmierzch. Nie miało to żadnego znaczenia, *gdyż* siedzibach tajnych agencji nigdy nie świeci słońce, nie istnieje dzień ani noc.

W obu ogromnych kompleksach leżących z dala od miast prowadzony jest nasłuch rozmów odbywających się we wszystkich zakątkach świata. Miliardy słów wypowiedanych przez przedstawicieli rasy ludzkiej w pięciuset językach i ponad tysiącu dialektach są wychwytywane, przesiewane, sortowane, rejestrowane, odrzucane i zachowywane, a jeśli okazują się interesujące, są także analizowane i namierzane.

Lecz nawet to stanowi dopiero początek. Obie agencje zajmują się odczytywaniem i rozszyfrowywaniem setek kodów, mają specjalne sekcje trudniące się odzyskiwaniem plików komputerowych oraz zdobywaniem dowodów przestępstw w cyberprzestrzeni. Ziemia obracała się z wolna, w jednym miejscu zaczynał się dzień, w drugim zapadała noc, a specjaliści zabrali się do rozpracowywania informacji, które Al - Kur zniszczył - w swoim mniemaniu - uderzając laptopem o posadzkę. Informatycy odnaleźli nieaktywne pliki i wydobyli te, które kiedyś zostały skasowane.

Proces ten można porównać do pracy restauratora obrazów. Z ogromną pieczołowitością zdejmuje się zewnętrzne warstwy zanieczyszczeń i później nałożonej farby, by odsłonić oryginalne malowidło ukryte pod spodem. Laptop Al - Kura zaczął ukazywać kolejne dokumenty, które ten uważał za skasowane bądź ukryte.

Brian O'Dowd, rzecz jasna, zawiadomił swojego kolegę i zwierzchnika w Islamabadzie o tym, że zamierza towarzyszyć pułkownikowi Razakowi w czasie akcji. Szef placówki SIS z kolei powiadomił swojego „kuzyna”, szefa placówki CIA. Obaj z niecierpliwością wyczekiwali informacji. Tej nocy nie było im dane zmrużyć oka.

Pułkownik Razak wrócił z okolicy bazaru o północy, zebrane skarby wiózł w kilku workach. Trzej ochroniarze egipskiego terrorysty zostali zamknięci w piwnicy budynku komendy, bo Razak nie zamierzał trzymać ich w zwykłym areszcie. W takich wypadkach ucieczka albo samobójstwo dokonane z czyjąś pomocą zdarzały się bardzo często. W Islamabadzie z pewnością znają już ich

nazwiska i bez wątpienia teraz toczą się rozmowy z ambasadą amerykańską, w której mieściła się placówka CIA. Pułkownik podejrzewał, że zatrzymani trafią do Bagram na wiele miesięcy przesłuchań, choć pewnie nie znają nawet nazwiska człowieka, którego ochraniali.

Znaleziono i zidentyfikowano podejrzaną komórkę zakupioną w Leeds w Anglii. Powoli stawało się jasne, że głupiutki Abd al - Allah pożyczył ją sobie bez zezwolenia. Leżał teraz na kamiennej płycie w kostnicy z czterema pociskami w klatce piersiowej, lecz z nietkniętą twarzą. Mężczyzna nakryty w sąsiednim pokoju miał strzaskaną głowę, lecz najlepszy chirurg plastyczny w mieście właśnie ją naprawiał. Gdy wykonał swoją pracę, zrobiono zdjęcie. Godzinę później pułkownik Razak zadzwonił do O'Dowda, z trudem ukrywając radość. Tak jak wszystkie agencje antyterrorystyczne współpracujące w walce z muzułmańskimi organizacjami terrorystycznymi, pakistańskie CTC dysponuje ogromną kolekcją fotografii podejrzanych.

To, że Pakistan leży daleko od Maroka, nie ma żadnego znaczenia. Bojownicy Al - Kaidy pochodzą co najmniej z czterdziestu narodów i z dwukrotnie większej liczby grup etnicznych. A poza tym przemieszczają się. Razak przez całą noc wyświetlał zdjęcia z komputera na dużym plazmowym w biurze; jedna twarz powtarzała się raz po raz.

Z jedenastu przechwyconych, doskonale podrobionych paszportów wynikało jasno, że Egipcjanin podróżował, i w tym celu zmieniał wygląd. A mimo to twarz mężczyzny - która nie zwróciłaby niczyjej uwagi na posiedzeniu rady nadzorczej dowolnego zachodniego banku - zżeranego nienawiścią do wszystkich i wszystkiego, co nie należało do jego wypaczonej wiary, wykazywała pewne podobieństwo do oblicza mężczyzny, który wyskoczył na bruk.

Telefon pułkownika zastał O'Dowda przy śniadaniu spożywanym wspólnie z kolegą z placówki CIA w Peszawarze. Obaj oderwali się od jajecznicy i popędzili do siedziby pakistańskiej agencji antyterrorystycznej. Oni też przyjrzeni się zdjęciom twarzy i porównali ją z fotografią z kostnicy. Gdyby tylko była to prawda... Chcieli natychmiast powiadomić swoje kwatery główne, że ciało mężczyzny z kostnicy w Peszawarze należy do samego Taufika al - Kura, głównego bankiera Al - Kaidy.

Późnym rankiem pakistański śmigłowiec wojskowy przyleciał, aby zabrać wszystko: więźniów ze skutymi nogami i w kapturach, dwa ciała i dwie skrzynki dowodów zebranych w apartamencie terrorystów. Podziękowania były gorące, lecz Peszawar jest prowincjonalnym ośrodkiem działalności antyterrorystycznej, której centrum przesuwa się bardzo szybko i w tej chwili faktycznie mieści się już w Marylandzie.

Po jedenastym września jedna rzecz stała się oczywista i nikt już jej nie kwestionuje. Dowody świadczące nie tylko o tym, że coś się święci, ale także wskazujące, co dokładnie się święci, istniały przez cały czas. Istniały w taki sposób, w jaki prawie od zawsze istnieją informacje wywiadowcze: nie w pięknie opakowanym pudełeczku, lecz w rozrzuconych fragmentach i strzępach. Miało je siedem lub osiem głównych amerykańskich agencji rządowych zajmujących się gromadzeniem informacji i strzegących porządku publicznego. Agencje te jednak nigdy ściśle ze sobą nie współpracowały.

Jedenasty września przyniósł wielkie otrzeźwienie. Teraz każda ważna informacja musi być

ujawniana sześciu najwyższym zwierzchnikom, i to na bardzo wczesnym etapie. Czterech z nich to politycy: prezydent, wiceprezydent oraz sekretarze obrony i stanu. Dwaj pozostali to przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Narodowego Steve Hadley, nadzorujący Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego i dziewiętnaście agencji, oraz dyrektor wywiadu (DNI)*(Director of National Intelligence; szef społeczności wywiadowczej główny doradca ds. wywiadu zarówno prezydenta, jak i Rady Bezpieczeństwa)Negroponte. CIA wciąż pozostaje najważniejszą instytucją gromadzącą informacje wywiadowcze poza granicami Stanów Zjednoczonych, lecz jej dyrektor nie jest już samotnym łowcą jak kiedyś. Wszyscy informują swoich zwierzchników, a obowiązujące hasło brzmi: współpraca, współpraca i jeszcze raz współpraca. Największą agencją pozostaje Agencja Bezpieczeństwa Narodowego (NSA) w Fort Meade; ma największy budżet, najliczniejszy personel, a jej działalność jest najbardziej utajniona. Działa w cieniu, lecz wszystkiego słucha, wszystko odczytuje, rozszyfrowuje i analizuje. Jednak niektóre zarejestrowane rozmowy są tak niezrozumiałe, że agencja musi korzystać z pomocy zewnętrznych komisji eksperckich. Jedną z nich jest komitet koraniczny.

Gdy skarb z Peszawaru dotarł do NSA, do pracy przystąpiły również inne agencje. Kluczową sprawą stało się ustalenie tożsamości mężczyzny, który zginął, skacząc z okna; tym zajęło się FBI. W ciągu doby Biuro oznajmiło, że dokonało identyfikacji. Mężczyzną był główny finansista Al - Kaidy i jeden z nielicznych osobistych przyjaciół samego Osamy bin Ladena. Skontaktował ich ze sobą Ajman az - Zawahiri, rodak zmarłego, Egipcjanin, który skaptował fanatycznego bankiera.

W Departamencie Stanu zajęto się paszportami, których było ni mniej, ni więcej tylko jedenaście. Dwa nigdy nie zostały wykorzystane, lecz miały stemple wjazdu do wielu krajów Europy oraz Bliskiego Wschodu, a także wyjazdu. Nikogo nie zaskoczyło, że sześć paszportów pochodziło z Belgii; wszystkie wystawiono na różne nazwiska i wszystkie były autentyczne; rzecz jasna zawarte w nich informacje nie miały nic wspólnego z prawdą.

Światowa społeczność wywiadowcza od dawna uznaje Belgię za dziurawy worek. Od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku stwierdzono tam zaginięcie dziewiętnastu tysięcy czystych paszportów, a są to szacunki belgijskich władz. W rzeczywistości zostały one sprzedane przez pracowników służby cywilnej. Czterdzieści pięć wypłynęło z belgijskiego konsulatu w Strasburgu we Francji, a dwadzieścia z ambasady belgijskiej w Hadze w Holandii. Te dwa, z których korzystali zabójcy anty - talibskiego bojownika Ahmada Szaha Masuda, pochodziły z Hagi. Również stamtąd był jeden z sześciu używanych przez Al - Kura. Specjaliści wywiadu założyli, że pozostałych pięć należy do osiemnastu tysięcy dziewięćset trzydziestu pięciu, których wciąż nie udało się odnaleźć.

Federalny Zarząd Lotnictwa, korzystając z umów i ogromnych wpływów w świecie międzynarodowego transportu lotniczego, dotarł do biletów lotniczych i list pasażerów. Było to uciążliwe i pracochłonne, lecz stemple w paszportach pozwoliły ustalić, które loty należy sprawdzić.

Powoli, lecz systematycznie wszystko zaczęło się układać w całość. Taufik al - Kur najwyraźniej otrzymał polecenie zebrania niemożliwych do wytropienia dużych sum pieniędzy na tajemnicze transakcje. Żadne dowody nie wskazywały, by sam dokonał jakichś zakupów, należało więc sądzić, że zlecił je innemu osobom dysponującym znacznymi funduszami. Amerykańskie władze oddałyby wiele, aby dowiedzieć się, z kim się spotykał. Nazwiska te, jak sądzono, pozwoliłyby rozpracować całą siatkę tajnych współpracowników Al - Kaidy w Europie i na Bliskim Wschodzie.

Jedynym ważnym krajem, którego Egipcjanin nie odwiedził, były Stany Zjednoczone.

W pewnym momencie specjaliści z Fort Meade natrafili na przeszkodę nie do pokonania. Z twardego dysku laptopa znalezionego w mieszkaniu w Peszawarze odzyskano siedemdziesiąt trzy dokumenty i wprowadzono do komputerów. Niektóre zawierały rozkłady lotów i teraz było już wiadomo, że Al - Kur skorzystał z pewnych połączeń lotniczych. Inne były publicznie dostępnymi zestawieniami finansowymi, które bankier zapisał w komputerze, by później przejrzeć. Nic jednak z nich nie wynikało.

Większość była napisana po angielsku, część po francusku i niemiecku. Al - Kur mówił płynnie tymi językami, poza tym oczywiście znał arabski, który był jego językiem ojczystym. Schwytani ochroniarze, przesłuchiwani w bazie Bagram, chętnie zeznawali; wyjawili, że mężczyzna znał trochę paszto, co świadczyło o tym, że spędził jakiś czas w Afganistanie, chociaż nie było wiadomo, kiedy odwiedził ten kraj i w jakim rejonie przebywał.

Zaniepokojenie wywołały teksty po arabsku. Ośrodek w Fort Meade jest ogromną bazą wojskową, dlatego podlega Departamentowi Obrony. Dyrektorem Agencji Bezpieczeństwa Narodowego jest zawsze czterogwiazdkowy generał. Szef działu tłumaczeń z arabskiego poprosił o spotkanie w biurze generała.

W związku z nasileniem muzułmańskiego terroryzmu NSA w latach dziewięćdziesiątych była coraz bardziej zaabsorbowana tekstami w języku arabskim; poza tym stałe zainteresowanie tym językiem podsycił konflikt izraelsko - palestyński. Zaczęło się od bomby w ciężarówce podłożonej w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku pod wieżę World Trade Center przez Ramsiego Jusufa. Lecz po jedenastym września sytuacja stała się oczywista i najważniejsi ludzie w państwie powiedzieli: „Chcemy rozumieć każdą wiadomość w tym języku, i to dosłownie”. Dlatego sekcja arabska jest ogromna, pracują w niej tysiące tłumaczy; większość stanowią rodowici Arabowie wykształceni na Bliskim Wschodzie, jest też paru uczonych obcego pochodzenia.

Arabski nie jest jednolitym językiem. Istnieje klasyczny arabski znany z Koranu i wyższych uczelni, lecz poza tym pół miliarda ludzi posługuje się co najmniej pięćdziesięcioma odmianami i dialektami tego języka. Jeśli ktoś mówi szybko i z silnym akcentem, używając lokalnych idiomów, a jakoś nagrania jest niska, zwykle potrzeba tłumacza z tego samego regionu, żeby w sposób niebudzący wątpliwości wychwycić wszystkie niuanse znaczeniowe.

Poza tym bywa to często kwiecisty język, nasycony poetyckimi obrazami, przesadą, porównaniami i metaforami. Na dodatek może być niesłychanie oględny, znaczenia są raczej sugerowane niż wyrażane otwarcie. Bardzo się różni od jednoznacznego angielskiego.

- Zostały nam ostatnie dwa dokumenty - oznajmił szef działu tłumaczeń z arabskiego. - Wydaje się, że wyszły spod różnych rąk. Uważamy, że jeden napisał sam Ajman az - Zawahiri, a drugi Al - Kur. W pierwszym występują zwroty znane z wcześniejszych wystąpień i nagrań wideo z udziałem Az - Zawahiriego. Oczywiście, mając wersję dźwiękową, moglibyśmy to stwierdzić ze stuprocentową pewnością. Odpowiedź przypuszczalnie pochodzi od Al - Kura, lecz nie dysponujemy ani jednym tekstem napisanym przez niego, nie wiemy więc, jak pisze po arabsku. Jako bankier mówił i pisał głównie po angielsku. Jednak oba dokumenty zawierają liczne nawiązania do ustępów

Koranu. Autorzy raz po raz powołują się na błogosławieństwo Allaha. Mamy wielu arabistów, lecz język i subtelne znaczenia Koranu są szczególnego rodzaju. Księga powstała tysiąc czterysta lat temu. Uważam, że powinniśmy zwołać komitet koraniczny, żeby wspólnie zastanowić się nad tym problemem.

Generał skinął głową.

- Zgoda, profesorze. - Zerknął na swojego asystenta. - Harry, złap naszych koranistów. Ściągnij ich samolotami. Żadnych opóźnień, żadnych wymówek.

ROZDZIAŁ 2

W komitecie koranicznym zasiadało czterech mężczyzn: trzech Amerykanów i Brytyjczyk. Wszyscy byli profesorami, żaden nie był z pochodzenia Arabem; życie naukowe poświęcili badaniu Koranu oraz tysiącom uczonych komentarzy.

Jeden mieszkał przy Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku; zgodnie z rozkazem generała z Fort Meade wysłano po niego śmigłowiec, który miał przywieźć naukowca do ośrodka NSA. Drugi pracował w Rand Corporation, a trzeci w Brookings Institute; obaj przebywali w Waszyngtonie. Posłano po nich należące do wojska samochody.

Czwartym, najmłodszym, był doktor Terry Martin oddelegowany do pracy na Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie ze Szkoły Badań nad Orientem i Afryką w Londynie. SOAS*(School of Oriental and Arabian Studies) jest częścią Uniwersytetu Londyńskiego i cieszy się wysoką renomą ze względu na tamtejszą katedrę arabistyki.

Jeśli chodzi o sprawy arabskie, Anglik już na starcie miał przewagę nad kolegami, gdyż przyszedł na świat i został wychowany w Iraku jako syn księgowego działającej tam dużej kompanii naftowej. Ojciec z rozmysłem nie posłał go do szkoły angloamerykańskiej, tylko do prywatnej akademii, w której kształcili się synowie irackiej elity. W wieku dziesięciu lat przynajmniej pod względem językowym mógł uchodzić za zwyczajnego arabskiego chłopca. Tylko różowa skóra i rude włosy sprawiały, że nie sposób było go wziąć za Araba.

Urodził się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku i miał jedenaście lat, gdy Martin senior postanowił wyjechać z Iraku i wrócić do bezpiecznej Wielkiej Brytanii. Do władzy ponownie doszła partia Baas, lecz nie rządził prezydent Ahmad Hasan al - Bakr, tylko wiceprezydent, który zaczął realizować bezwzględny program pogromu wrogów politycznych, prawdziwych i wymyślonych.

Martinowie już przeżyli burzliwe czasy po spokojnej dekadzie lat pięćdziesiątych, gdy na tronie zasiadał młody król Fajsal. Widzieli śmierć młodocianego króla i prozachodniego premiera Nuriego Saida oraz równie krwawe zabójstwo w studiu telewizyjnym jego następcy generała Kasima i dojście do władzy groźnej partii Baas. Partia Baas została odsunięta od rządów, lecz powróciła w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym. Martin senior przez siedem lat obserwował rosnące wpływy psychopatycznego wiceprezydenta Saddama Husajna i w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym doszedł do wniosku, że czas wracać do domu.

Jego starszy syn Mike miał trzynaście lat i mógł już pójść do brytyjskiej szkoły z internatem. Martin senior zdobył dobrą posadę w firmie Burmah Oil w Londynie dzięki wstawiennictwu niejakiego Denisa Thatcher, którego żona Margaret właśnie została przewodniczącą Partii Konserwatywnej. Boże Narodzenie tego roku cała czwórka - ojciec i matka oraz Mike i Terry - spędziła już w Anglii.

Inteligencja Terry'ego już dała o sobie znać. Chłopiec bez najmniejszych problemów zdawał egzaminy dla dzieci starszych o dwa lub trzy lata. Przypuszczano - i przewidywania te sprawdziły się

prawie co do joty - że otrzyma stypendium, skończy liceum, a później trafi do Oksfordu albo Cambridge. On jednak wolał uczyć się dalej w otoczeniu arabskich studentów. Jeszcze w liceum złożył podanie do SOAS; poszedł na rozmowę kwalifikacyjną w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim i jesienią tego roku zaczął studiować historię Bliskiego Wschodu. Uzyskał magisterium w ciągu trzech lat, a później poświęcił dwa lata na zrobienie doktoratu; specjalizował się w badaniach Koranu i historii czterech pierwszych kalifatów. Wziął urlop dziekański, by pogłębić znajomość Koranu w słynnym instytucie Al - Azhar w Kairze, a po powrocie zaproponowano mu stanowisko wykładowcy, mimo że miał dopiero dwadzieścia siedem lat; było to wyjątkowe wyróżnienie, gdyż jeśli chodzi o studia arabistyczne, SOAS jest jedną z najbardziej wymagających uczelni na świecie. W wieku trzydziestu czterech lat awansował na starszego wykładowcę i było jasne, że przed czterdziestką zostanie profesorem. Kiedy NSA zwróciła się do niego o poradę, miał czterdzieści jeden lat i prowadził gościnnie wykłady w Georgetown. Tej wiosny jego życie legło w gruzach.

Wysłannik z ośrodka w Fort Meade zastał go w sali wykładowej; profesor Martin kończył właśnie prelekcję o aktualności Koranu w dzisiejszych czasach.

Nie ulegało wątpliwości, że mówca cieszy się sympatią studentów. Sala była pełna. Jego wykłady miały posmak długich kulturalnych dyskusji prowadzonych przez równych sobie partnerów; Martin rzadko zaglądał do notatek, chodził po sali bez marynarki, a z jego niskiej, korpulentnej sylwetki emanował entuzjizm. Zawsze z wielką uwagą traktował każde pytanie, nigdy nie przygważdżał studenta.

I za brak wiedzy, mówił prostym językiem; sam wykład nie trwał długo, tak że pozostawało dużo czasu na pytania studentów. Profesor właśnie doszedł do tego punktu zajęć, gdy agent z Fort Meade pojawił się z boku sali. Siedzący w piątym rzędzie student w czerwonej koszuli podniósł rękę.

- Powiedział pan, że nie zgadza się z określeniem filozofii terrorystów mianem fundamentalizmu. Dlaczego?

Po jedenastym września przez Amerykę przetoczyła się lawina publikacji dotyczących spraw arabskich, islamu i Koranu, dlatego wszelkie dyskusje teoretyczne szybko kierowały się na trwającą od wielu lat agresję terrorystów wobec zachodniego świata.

- Bo jest to nietrafne określenie - odparł doktor. - Samo słowo fundamentalizm sugeruje powrót do fundamentów. Tymczasem ci, którzy podkładają bomby w posągach, centrach handlowych i autobusach, nie wracają do podwalin islamu. Ci ludzie piszą własną księgę, a dopiero później szukają w Koranie ustępów uzasadniających prowadzoną przez nich wojnę. Fundamentalisci są we wszystkich religiach. Chrześcijańscy mnisi w zamkniętych klasztorach, którzy ślubowali posłuszeństwo oraz życie w ascezie, ubóstwie i czystości, to także fundamentalisci. Asceci występują we wszystkich religiach, lecz nie propagują bezwzględnego zabijania mężczyzn, kobiet i dzieci. To kluczowe określenie. Jeśli wykorzystamy je jako miarę do oceny wszystkich religii i ich odłamów, stwierdzimy, że pragnienie powrotu do podstaw nie równa się terroryzmowi, bo w żadnej religii, także w islamie, owe podstawy nie są nawoływaniem do masowej zbrodni.

Stojący z boku sali wysłannik z Fort Meade usiłował zwrócić na siebie uwagę doktora Martina.

Wykładowca zerknął w tamtą stronę i zauważył młodego mężczyznę z krótko obciętymi włosami, w zapiętej pod szyję koszuli i w ciemnym garniturze; równie dobrze mógłby nosić na ubraniu stempel „własność rządu federalnego”. Mężczyzna postukał palcem w zegarek na ręce. Martin skinął głową.

- W takim razie jak nazwałby pan dzisiejszych terrorystów? Dżihadystami?

To pytanie zadała poważnie wyglądająca młoda kobieta siedząca w głębi sali. Po rysach twarzy doktor Martin odgadł, że jej rodzice pochodzą z Bliskiego Wschodu: z Indii, Pakistanu, może z Iranu. Nie nosiła jednak chusty na głowie znamionującej ortodoksyjne wyznawczynie islamu.

- Nawet dżihad nie jest odpowiednim słowem. Dżihad rzecz jasna istnieje, lecz ma ustalone zasady. Jest to albo wewnętrzna walka o to, by stać się lepszym muzułmaninem, lecz wówczas nie ma mowy o przemocy, albo oznacza prawdziwie świętą wojnę, zbrojną walkę w obronie islamu. Właśnie do tego przyznają się terroryści. Jednakże całkowicie pomijają zasady zawarte w Koranie, po pierwsze, prawdziwy dżihad może ogłosić tylko uznany i niekwestionowany autorytet w dziedzinie Koranu. Bin Laden i jego poplecznicy słyną z braku wykształcenia. Nawet jeśli Zachód faktycznie zaatakował islam, zaszkodził mu, oczernił go i wszystkich jego wyznawców, to reguły nadal obowiązują i Koran mówi o tym bardzo szczegółowo. Zakazane jest napadanie i zabijanie tych, którzy nie uczynili nic złego i w żaden sposób ci nie zaszkadzili. Zabronione jest branie zakładników, poniżanie, torturowanie i zabijanie więźniów. Terroryści z Al - - Kaidy i ich naśladowcy dopuszczają się tego wszystkiego codziennie. A nie napominajmy, że zamordowali o wiele więcej wyznawców islamu niż chrześcijan albo żydów.

- Jak wobec tego pan ich nazwie?

Mężczyzna czekający z boku sali zaczął się niepokoić. Dostał rozkaz od samego generała. Nie chciał być ostatnim, który stawi się z powrotem.

- Nazwałbym ich neodżihadystami, bo stworzyli nową wojnę, obcą prawom Koranu, a więc i prawdziwego islamu. Prawdziwy dżihad nie jest barbarzyństwem, a ich działalność - jak najbardziej. Obawiam się, że było to ostatnie pytanie.

Profesor zaczął zbierać książki i notatki. Nagle gdzieś w tylnych rzędach podniosła się ręka.

- Wszyscy zamachowcy określają siebie mianem męczenników. Jak to uzasadniają? - spytał młody człowiek. Marnie - odparł doktor Martin - bo dali się ogłupić, mimo że niektórzy z nich są wykształceni. Można oczywiście zginąć jako , męczennik, jeśli walczy się za islam w dżihadzie ogłoszonym zgodnie z zasadami. Jednak i tu obowiązują reguły i są one określone w Koranie dość szczegółowo. Bojownik nie może zginąć z własnej ręki, nawet jeśli zgłosił się na ochotnika do misji bez powrotu. Nie może znać czasu i miejsca swojej śmierci. A samobójcy znają jedno i drugie. Tymczasem samobójstwo jest jednoznacznie zabronione. Za życia prorok Muhammad odmówił pobłogosławienia zwłok samobójcy, mimo że ten zakończył życie, by uniknąć okropnego cierpienia spowodowanego chorobą. Ci, którzy popełniają masowe zbrodnie, a przy tym zabijają siebie, trafiają do piekła, nie do raju. Fałszywi kaznodzieje i imamowie, którzy pchają ich na tę drogę, też tam się znajdują. A teraz obawiam się, że musimy wrócić do rzeczywistości Georgetown oraz hamburgerów. Dziękuję państwu za uwagę.

Studenci nagrodzili doktora owacją na stojąco, a on, lekko zaczerwieniony, wziął marynarkę i zszedł z katedry.

- Przepraszam, że zakłócam panu pracę, profesorze - rzekł wysłannik z Fort Meade. - Generalicja chce, żeby komitet koraniczny zebrał się w bazie. Samochód czeka na zewnątrz.

- Czy to pilne?

- Jak pożar, sir. W bazie straszna zawierucha.

- Wie pan mniej więcej, o co chodzi?

- Nie, sir.

Oczywiście. Nie musi wiedzieć, więc nie wie. Niezachwiana zasada. Jeśli nie potrzebujesz czegoś wiedzieć, by robić swoje, nie powiedzą ci. Martin będzie musiał poczekać na zaspokojenie ciekawości. Samochód był ciemny i wyglądał zwyczajnie, wyróżniała go tylko antenka na dachu. Szofer musi utrzymywać stały kontakt z bazą. Miał stopień kaprała, lecz mimo że Fort Meade jest bazą wojskową, nie nosił munduru. Nie było potrzeby demonstrowania jego przynależności do armii.

Otworzył tylne drzwi samochodu, a doktor Martin wsiadł do środka. Drugi mężczyzna zajął miejsce z przodu obok kierowcy i ruszyli w stronę autostrady.



Kilka tysięcy kilometrów dalej na wschód mężczyzna, który postanowił uczynić ze stodoły wiejski domek, rozciągnął się przy ognisku w sadzie. Bardzo mu to odpowiadało. Jeśli kiedyś umiał sypiać na skałach i w śnieżycach, to z pewnością mógł spać na miękkiej trawie pod jabłoniami.

Drewna na opał było pod dostatkiem. Miał tyle starych spróchniałych desek, że nie zabrakłoby mu do końca życia. W kociołku nad płonącymi szczapami gotowała się woda na upragnioną herbatę. Wymyślnie napitki mają swoje zalety, lecz najlepszą nagrodą dla żołnierza po dniu ciężkiej pracy jest kubek parującej herbaty.

Po południu mężczyzna nie pracował przy naprawie dachu; zrobił sobie wolne i poszedł do Meonstoke, żeby zajrzeć do sklepu wielobranżowego i zaopatrzyć się w prowiant na weekend.

Wszyscy najwyraźniej wiedzieli, że kupił stodołę i sam ją remontuje. Zostało to dobrze przyjęte. Bogaci londyńczycy z grubymi książeczkami czekowymi i chęcią odgrywania panów byli traktowani z pozorną grzecznością, lecz w grzeczności ich pojawienie się kwitowano ramion. Jednak samotny ciemnowłosy mężczyzna, który śpi w namiocie we własnym ogrodzie i wszystko robi sam, to porządny gość. Tak w każdym razie uważano w wiosce.

Listonosz wyjawiał, że nowy właściciel stodoły otrzymuje mało korespondencji, zaledwie parę kopert wyglądających na urzędowe; kazał je zostawiać w pubie „Głowa Byka”, oszczędzając listonoszowi jazdy długą błotnistą dróżką, za co ten był mu wdzięczny. Na kopertach często widniało słowo „pułkownik”, lecz mężczyzna nigdy nie wspominał o swoim stopniu wojskowym, zamawiając

drinka w barze czy kupując jedzenie albo gazetę w sklepie. Był bardzo grzeczny i uśmiechał się. Szacunek miejscowych do nieznanego zaprawiony był ciekawością. Wielu „nowych” zachowywało się bezpośrednio, a nawet impertynencko. Kim jest, zadawano sobie pytanie, skąd się wziął i dlaczego postanowił osiąść w Meonstoke?

Po południu, w czasie odwiedzin w wiosce, mężczyzna zajrzał do starego kościoła św. Andrzeja; spotkał tam proboszcza, wielebnego Jima Foleya, i wdał się z nim w pogawędkę.

Emerytowany żołnierz zaczynał nabierać przekonania, że dobrze będzie mu się żyło w tej okolicy. Czasem wsiadzie na stary rower górski i zjedzie do Droxford, gdzie kupi świeże owoce i warzywa na targu. Z dachu widział setki wijących się drózek, którymi będzie mógł jeździć. Z chęcią skosztuje piwa podawanego w staroświeckich przydrożnych pubach.

Jednak pojutrze przyjdzie na nabożeństwo poranne w kościele św. Andrzeja i w spokoju kamiennych murów będzie się modlił, tak jak to często czynił.

Boga, w którego gorąco wierzył, będzie prosił o miłosierdzie za to, że zabił wielu ludzi, i o spoczynek dla ich nieśmiertelnych dusz. Poprosi o wieczny odpoczynek dla wszystkich towarzyszy, którzy zginęli u jego boku; będzie dziękował za to, że nigdy nie pozbawiał życia kobiet, dzieci ani nikogo, kto przyszedł w pokoju. I będzie prosił, żeby pewnego dnia jemu także Bóg odpuścił winy i pozwolił wejść do Królestwa Niebieskiego.

Później wróci na wzgórza, by znów pracować przy swoim nowym domu. Do zdjęcia zostało jeszcze tylko tysiiąc dachówek.



Mimo swego ogromu kompleks zabudowań Agencji Bezpieczeństwa Narodowego stanowi zaledwie ułamek Fort Meade, jednej z największych baz wojskowych w Stanach Zjednoczonych. Baza leżąca sześć i pół kilometra na wschód od autostrady międzystanowej numer 95, w połowie drogi z Waszyngtonu do Baltimore, jest domem dla około dziesięciu tysięcy wojskowych i dwudziestu pięciu tysięcy cywilów. Stanowi więc w istocie małe miasteczko i ma wszystko, co zwykle znajduje się w miasteczkach. Jego „tajna” część mieści się w narożniku bazy, w ściśle strzeżonej strefie bezpieczeństwa, której doktor Martin nigdy wcześniej nie odwiedzał.

Wiozący go samochód przemknął przez olbrzymią bazę Przez nikogo niezatrzymywany, aż dotarł do granicy strefy, przy bramie sprawdzono przepustki, wartownicy popatrzyli przez szyby na pasażerów; wysłannik generała zapewnił, że brytyjski naukowiec ma prawo wjechać do bazy. Pół kilometra dalej auto zatrzymało się przed bocznymi drzwiami ogromnego gmachu; doktor Martin i jego przewodnik weszli do środka i zbliżyli się do biurka pilnowanego przez personel wojskowy. Zatelefonowano; wchodzący przyłożyli kciuki do tabliczek, a następnie zweryfikowano ich tożsamość za pomocą urządzenia rozpoznającego tęczę oka. Mogli ruszać dalej.

Pokonawszy labirynt korytarzy, stanęli przed pozbawionymi jakichkolwiek oznaczeń drzwiami. Przewodnik zapukał i otworzył. Martin wreszcie znalazł się wśród znanych sobie ludzi; rozpoznał twarze przyjaciół i kolegów z komitetu koranicznego.

Pomieszczenie było funkcjonalne i nie miało żadnych cech szczególnych, tak jak większość sal konferencyjnych należących do instytucji administracji rządowej. Nie było okien, lecz klimatyzacja zapewniała dopływ świeżego powietrza. Na środku stał okrągły stół i wyściełane krzesła z wysokimi oparciami. Na jednej ze ścian wisiał ekran, w razie gdyby okazał się potrzebny rzutnik. Po bokach stały stoliczki z kawą i jedzeniem na tackach. Żołądki Amerykanów trudno napęścić.

Gospodarzami nie byli naukowcy, tylko dwaj oficerowie wywiadu, którzy przedstawili się krótko i uprzejmie. Jeden był zastępcą dyrektora NSA, przysłanym przez samego generała, a drugi wysokim oficerem Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Waszyngtonie.

Czterech pozostałych uczestników spotkania, między innymi doktor Martin, było naukowcami. Zanim zgodzili się uczestniczyć w anonimowym, nieznanym publicznie Komitecie Specjalistów od jednej księgi i jednej religii, znali się ze swoich publikacji, a także osobiście z seminariów, wykładów i konferencji. Świątek nauk koranicznych nijest wielki.

Terry Martin przywitał się z Ludwigiem Schramme'em z Uniwersytetu Columbia, Benem Jolleyem z Rand i „Harrym” Harrisonem z Brookings Institute. Harrison nie miał na imię Harry, lecz zawsze tak go nazywano. Najstarszym uczestnikiem zgromadzenia, a więc siłą rzeczy uznanym za przewodniczącego, był Ben Jolley, brodaty, wielki jak niedźwiedź mężczyzna, który natychmiast, mimo wyraźnych oznak niezadowolenia zastępcy dyrektora agencji, wyciągnął wrzoścową fajkę i zapalił, a gdy buchnęła niczym jesienne ognisko, zaczął pykać z ukontentowaniem. Urządzenie wentylacyjne w suficie robiło, co mogło, i to prawie z powodzeniem, lecz po tym ciężkim boju będzie potrzebowało naprawy.

Zastępca dyrektora natychmiast wyłuszczył powód, dla którego zwołano zgromadzenie uczonych. Rozdał wszystkim kopie dwóch obszernych dokumentów. Były to wydruki oryginalnych plików odzyskanych z laptopa bankiera Al - Kaidy oraz ich tłumaczenia sporządzone przez sekcję arabską. Czterej uczeni natychmiast zabrali się do czytania w milczeniu oryginałów. Doktor Jolley pykał z fajeczki, co wywołało zmarszczenie brwi u funkcjonariusza służby bezpieczeństwa. Cała czwórka skończyła liniej więcej w tym samym czasie.

Następnie przeszli do angielskiego tłumaczenia, żeby stwierdzić, co zostało pominięte i dlaczego. Jolley popczył na oficerów wywiadu. A więc?

- Tak, profesorze?

- Dlaczego nas tutaj ściągnęliście? - spytał arabista.

Zastępca dyrektora pochylił się nad blatem stołu i stuknął w kartki z angielskim tłumaczeniem tekstu.

- Dlatego. Co oznacza ten tekst? Czego dotyczy? Wszyscy czterej naukowcy zauważyli odniesienie do Koranu w arabskim oryginale. Nie potrzebowali tłumaczenia. Każdy z nich czytał to wyrażenie po wielekroć i badał jego możliwe znaczenia. Ale spotykali je w tekstach naukowych, a tutaj zostało zawarte we współczesnych listach. W pierwszym znalazły się trzy nawiązania, a jedno - w drugim.

- Al - Isra? To musi być jakiś kryptonim. Słowo odnosi się do epizodu z życia proroka Muhammada.

- Proszę nam wybaczyć naszą ignorancję - odezwał się wysłannik Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. - Cóż to takiego jest, Al - Isra?

- Ty wyjaśnij, Terry - rzekł doktor Jolley.

- Chodzi o wędrówkę proroka do nieba, panowie. Uczeni po dziś dzień spierają się, czy doznał on prawdziwego boskiego cudu, czy tylko doświadczył istnienia poza ciałem. Mówiąc w skrócie, pewnej nocy na rok przed tym, jak wywędrował z Mekki, miejsca swego urodzenia, do Medyny, miał sen. Były to albo halucynacje, albo boskie objawienie. Dla ułatwienia przyjmijmy, że był to sen i tego się trzymajmy. W tymże śnie został przeniesiony z głębi terytorium współczesnej Arabii Saudyjskiej przez góry i pustynie do Jerozolimy, wówczas miasta świętego tylko dla chrześcijan i żydów.

- Data? Według naszego kalendarza.

- Około sześćset dwudziestego drugiego roku.

- I co było dalej?

- Znalazł tam spętanego konia ze skrzydłami. Polecono mu go dosiąść. Koń uleciał do nieba i tam Prorok stanął przed samym Bogiem wszechmogącym, który przedstawił mu wszystkie obrzędy modlitewne wymagane od prawdziwego wyznawcy wiary. Prorok wszystko zapamiętał, a później podyktował skrybie. Fragment ten stał się integralną częścią sześciu tysięcy sześciuset sześćdziesięciu sześciu wersetów Koranu, czyli fundamentem islamu.

Pozostali trzej uczeni potwierdzili te słowa, kiwając głowami.

- I oni w to wierzą? - zdziwił się zastępca dyrektora.

- Nie popadajmy w protekcyjnalizm - rzucił ostrym tonem „Harry” Harrison. - W Nowym Testamencie czytamy, że Jezus Chrystus pościł na pustyni przez czterdzieści dni i nocy, a później stanął twarzą w twarz z samym szatanem i go odrzucił. Po tak długiej głodówce człowiek musi ulec halucynacjom. Ale dla prawdziwego chrześcijanina to jest Pismo Święte i nie wolno w nie wątpić.

- No dobrze, przepraszam. A więc Al - Isra jest spotkaniem z archaniołem?

- Nie - odparł Jolley. - Al - Isra to sama podróż. Magiczna wędrówka. Boska wędrówka, podjęta z polecenia samego Allaha.

- Nazywa się ją podróżą przez mrok do wielkiego oświecenia - wtrącił doktor Schramme.

Zacytował dawny komentarz do Koranu. Pozostali trzej uczeni, znający dobrze ten tekst, skinęli głowami.

Co może pod tym rozumieć współczesny muzułmanin, wysoki dowódca Al - Kaidy?

Uczeni po raz pierwszy usłyszeli, skąd wziął się tekst.

Nie został przechwycony, lecz pochodził od pojmanego terrorysty.

- Czy miał silną ochronę? - zainteresował się Harrison.

- Dwóch ludzi oddało życie, by uniemożliwić nam dostęp do tego dokumentu.

- Tak, to zrozumiałe. - Doktor Jolley z wielką uwagą przypatrywał się swojej fajce. Trzej pozostali spuścili głowy. - Obawiam się, że może to być aluzja do jakiejś operacji. I to nie byle jakiej.

- Chodzi o coś wielkiego? - spytał agent Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

- Panowie, głęboko wierzący muzułmanie, nawet nie fanatycy, nie traktują Al - Isry lekko. Dla nich jest to coś, co zmieniło postać świata. Jeśli nadali czemuś taką nazwę, musi to być coś ogromnego.

- Można się domyślić co?

Doktor Jolley rozejrzał się wokół. Koledzy wzruszyli ramionami.

- Nie ma żadnych wskazówek. Autorzy obu listów proszą o boskie błogosławieństwo dla swojego przedsięwzięcia, to wszystko. Myślę, że wyrażę opinię nas wszystkich, jeśli powiem, że powinniście spróbować się dowiedzieć, o czym mowa. W każdym razie nie nadawaliby nazwy Al - Isra zamachowi na klub nocny czy autobus.

Nikt nie notował, bo nie było takiej potrzeby. Każde słowo zostało zarejestrowane. W końcu spotkanie odbywało się w budynku zwanym Pałacem Zagadek.

Obaj oficerowie wywiadu w ciągu godziny dostaną wydrukowany zapis spotkania i przez całą noc będą przygotowywać wspólny raport. Ów raport opuści gmach przed świtem i w zapieczętowanej kopercie, przez kuriera, któremu będzie towarzyszył uzbrojony ochroniarz, zostanie dostarczony bardzo, bardzo wysoko, najwyżej jak można w Stanach Zjednoczonych. Do samego Białego Domu.



Terry Martin wracał do Waszyngtonu jedną limuzyną z Benem Jolleyem. Samochód był większy od tego, którym przyjechał, i miał szybę oddzielającą kierowcę od pasażerów. Martin i Jolley widzieli głowy szofera i młodego oficera, który ich eskortował.

Stary gburowaty Amerykanin w zamyśleniu trzymał fajkę w kieszeni i spoglądał na przesuwaną się za oknem krajobraz pełen rdzawych i złotych jesiennych liści. Młodszy Brytyjczyk patrzył w drugą stronę; on także pogrążył się w zadumie.

W całym swym życiu kochał tylko czworo ludzi i w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy stracił troje z nich. Na początku roku rodzice, którzy spłodzili obu synów, gdy byli po trzydziestce, odeszli niemal jednocześnie w wieku ponad siedemdziesięciu lat. Rak prostaty zabrał ojca, a matka była zbyt przybita, żeby chcieć dalej żyć. Napisała wzruszające listy do obu synów, połknęła garść tabletek nasennych, weszła do wanny z parującą wodą, zasnęła i - jak napisała w listach - „dołączyła do taty”.

Terry Martin był zdruzgotany, lecz przeżył dzięki sile dwóch mężczyzn, których kochał ponad wszystko. Jednym był jego partner od czternastu lat, wysoki, przystojny Makler giełdowy, z którym dzielił życie. Pewnej nocy w marcu jakiś obłąkany kierowca pędził ulicą bez opamiętania; metal z hukiem uderzył w ciało. Później był pogrzeb, a rodzice nieboszczyka z niechęcią patrzyli na nieskrywane łzy Terry'ego.

Ten zaś poważnie myślał o tym, by zakończyć swoje pozbawione wartości życie, lecz starszy brat Mike odgadł jego zamiary, wprowadził się do niego na tydzień i wiele z nim rozmawiał, co pomogło Terry'emu przetrwać kryzys.

Brat był dla niego bohaterem od dzieciństwa, które spędzili w Iraku, oraz w czasie lat szkolnych w Haileybury, brytyjskiej prywatnej szkole z internatem pod Hertfordem. Mike zawsze był wszystkim, czym Terry być nie mógł. Mike miał ciemne włosy, a Terry jasne; Mike był szczupły, a Terry pulchny; Mike był twardy, a Terry miękki; Mike biegał szybko, a Terry wolno; Mike był odważny, a Terry bojaźliwy. Siedząc w limuzynie mknącej przez Maryland, pozwolił myślom wrócić do ostatniego meczu rugby przeciwko reprezentacji Tonbridge, którym Mike zakończył pięcioletnią naukę w szkole.

Kiedy drużyny schodziły z boiska, Terry stał obok przejścia dla zawodników, szczerząc zęby. Mike zmierzwił mu włosy na głowie. - Udało się nam, braciszku.

Strach ścisnął wnętrze Terry'ego, gdy nadszedł moment, by powiedzieć bratu, że wie już o swoich skłonnościach homoseksualnych. Starszy brat, wówczas oficer jednostki spadochronowej, który właśnie wrócił z wojny o Falklandy, zastanowił się przez chwilę, uśmiechnął się z lekką drwiną i powtórzył ostatnią kwestię wygłoszoną przez Joego E. Browna w *Pół żartem, pół serio*.

- Nikt nie jest doskonały.

Od tej chwili uwielbienie Terry'ego dla starszego brata stało się bezgraniczne.



W Marylandzie zaszło słońce. Na Kubie, w tej samej strefie czasowej, właśnie zaczęło zachodzić. Na leżącym na południowym zachodzie półwyspie Guantanamo pewien mężczyzna rozłożył matę modlitewną, zwrócił się ku wschodowi, klęknął i rozpoczął modlitwę. Amerykański żołnierz przyglądał mu się beznamiętnie, stojąc przed celą. Widział to już wiele razy, lecz zgodnie z rozkazem nigdy pod żadnym pozorem nie pozwalał sobie na osłabienie czujności.

Modlący się mężczyzna spędził w więzieniu prawie pięć lat; kiedyś nazywano je obozem X, teraz obozem Delta. W mediach natomiast utarła się nazwa Gitmo, będąca skrótem od Guantanamo.

Na początku więzień przeszedł brutalne traktowanie przez strażników bez jednego krzyku i słowa protestu. Zniósł upokorzenia ciała i swojej wiary, lecz w jego czarnych oczach oprawcy widzieli nieubłaganą nienawiść, więc bili go dalej. On jednak nigdy się nie złamał.

Gdy próbowano stosować taktykę kija i marchewki, zachęcając więźniów do donoszenia na kolegów w zamian za przywileje, on milczał, nie starając się o lepsze traktowanie. Widząc to, inni donosili na niego; łgali, lecz on ani niczemu nie zaprzeczał, ani niczego nie potwierdzał.

W pomieszczeniu zajmowanym przez oficerów śledczych znajdowało się mnóstwo akt mających świadczyć o ich kompetencji; wiele materiałów dotyczyło modlącego się mężczyzny, lecz on sam prawie nic nie powiedział. Na początku odsiadki grzecznie odpowiadał na pytania stawiane mu przez jednego z oficerów, który postanowił podejść do swojego zadania humanitarnie. I to były jedyne zarejestrowane słowa więźnia.

Jednak kłopot wciąż pozostawał ten sam. Żaden z przesłuchujących go ludzi nie znał języka, którym mężczyzna się posługiwał; zawsze musieli liczyć na tłumaczy, którzy wszędzie z nimi chodzili. Lecz ci też mieli swoje priorytety. Oni również otrzymywali gratyfikacje za ciekawe odkrycia, dlatego często zmyślali.

Po czterech latach modlący się mężczyzna dostał etykietkę „opornego”, która oznaczała w istocie, że nie można go złamać. W dwa tysiące czwartym roku przeniesiono go na drugą stronę Zatoki Meksykańskiej do nowego obozu Echo, zamkniętego ośrodka trwałego odosobnienia. Cele były tam mniejsze i miały białe ściany, a spacerowały się tylko wieczorem. Przez rok mężczyzna nie widział słońca.

Żadna rodzina się o niego nie upominała, żaden rząd nie domagał się informacji o nim, żaden prawnik nie składał wniosków w jego imieniu. Inni więźniowie tracili rozum i zabierano ich na leczenie. On milczał i czytał Koran. Strażnicy zmienili się w czasie jego modlitwy.

- Cholerny Arab - mruknął mężczyzna schodzący ze służby. Jego zmiennik pokręcił głową.
- On nie jest Arabem, tylko Afgańczykiem - sprostował.
- Co o tym sądzisz, Terry? - spytał Ben Jolley, wrywając Martina z zadumy.
- Sprawa nie wygląda dobrze, prawda? - odpowiedział pytaniem Terry Martin. - Widziałeś gęby tych dwóch cichociemnych koleżków? Potwierdziliśmy tylko ich przypuszczenia, ale nie byli zadowoleni, kiedy wychodziliśmy.
- Nic innego nie mogliśmy ustalić. To oni muszą się dowiedzieć, czym jest operacja Al - Isra.
- Tylko w jaki sposób?

- Obracam się wśród agentów od lat. Doradzałem w sprawach Bliskiego Wschodu od czasów wojny sześciodniowej. Mają wiele metod: informatorów, podwójnych agentów, podsłuch, odzyskiwanie plików komputerowych; komputery bardzo pomagają, w ciągu kilku minut można porównać dane, choć dawniej trwało to tygodniami. Myślę, że jakoś to rozplączą i powstrzymają.

Pamiętaj, że przebyliśmy długą drogę od czasów, gdy Gary Powers został zestrzelony nad Swierdłowskiem w roku sześćdziesiątym i gdy w sześćdziesiątym drugim sfotografowano kubańskie rakiety z samolotu U dwa. Ciebie jeszcze pewnie nie było na świecie, co?

Ben Jolley zachichotał na myśl, jaki jest stary; Terry Martin skinął głową.

- Może mają kogoś w samej Al - Kaidzie - zasugerował.

- Wątpię - odrzekł jego starszy kolega. - Gdyby mieli kogoś tak wysoko, ten człowiek zdradziłby nam miejsce, w którym ukrywa się kierownictwo organizacji, a my zmiotlibyśmy je za pomocą inteligentnych pocisków.

- Może uda im się wprowadzić kogoś do siatki. Starszy z mężczyzn znów pokręcił głową, tym razem z całkowitą pewnością.

- Daj spokój, Terry, obaj wiemy, że to niewykonalne. Rdzenny Arab mógłby zostać przekabacony i zacząłby działać przeciwko nam. O ludziach innej narodowości można zapomnieć. Obaj wiemy, że wszyscy Arabowie pochodzą z ogromnych rodzin, klanów, plemion. Wystarczyłoby, że zadaliby jedno pytanie członkom rodziny albo klanu i taki szpieg zostałby zdemaskowany. Musiałby więc być idealnie przygotowany. Musiałby odpowiednio wyglądać, mówić i grać swoją rolę. Gdyby pomylił jedną sylabę w modlitwie, ci fanatycy natychmiast by go przyłapali. Recytują je pięć razy dziennie i nigdy się nie mylą.

- To prawda - przyznał Martin; wiedział, że snuje mrzonki, lecz robił to z przyjemnością. - Jednak można się nauczyć ustępów Koranu i wymyślić rodzinę, której nie da się namierzyć.

- Terry, przecież wiesz, że żaden biały nie mógłby uchodzić za Araba wśród Arabów.

- Mój brat mógłby - odparł Martin. Sekundę później ugryzł się w język, ale nic się nie stało. Doktor Jolley mruknął, zamilkł i skierował wzrok na krajobraz przesuwany się za oknem. Nie drgnęła żadna z dwóch głów na przednich siedzeniach. Terry westchnął z ulgą. Jeśli w aucie są mikrofony, to musiały zostać wyłączone.

Nie miał racji.

ROZDZIAŁ 3

Raport z obrad komitetu koranicznego w Fort Meade był gotowy w sobotę przed świtem i zepsuł paru ludziom plany weekendowe. Jednym z zaalarmowanych w sobotę wieczorem w domu w Old Alexandrii był Marek Gumienny, zastępca dyrektora CIA do spraw operacyjnych. Kazano mu stawić się natychmiast w biurze, nie podając powodu.

Ów „powód” leżał na jego biurku w gabinecie. Nad Waszyngtonem jeszcze nawet nie zaczął się wschód słońca, lecz wierzchołki odległych wzgórz okręgu Prince George, w którym rzeka Patuxent wpada do zatoki Chesapeake, już się zaróżowiły.

Gabinet Marka Gumienny'ego był jednym z kilku na szóstym, najwyższym piętrze wielkiego podłużnego gmachu w kompleksie stanowiącym siedzibę CIA, nazywanym po prostu Langley. Ostatnio nadano mu nazwę starego budynku, by odróżnić go od niemal identycznego nowego budynku. Agencja bardzo się rozrosła od jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku.

Dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej jest zwykle wybierany z klucza politycznego, lecz prawdziwymi motorami napędowymi organizacji są jego dwaj zastępcy. Zastępca do spraw operacyjnych kieruje zbieraniem informacji, a zastępca do spraw wywiadu nadzoruje zestawianie i analizę danych, tak aby powstawał z nich jasny obraz sytuacji.

Tuż pod nimi znajdują się szefowie kontrwywiadu (dbający o to, by agencja nie została spenetrowana z zewnątrz oraz przez kretów) i sekcji antyterrorystycznej (nabierającej coraz większego znaczenia po zakończeniu zimnej wojny ze Związkiem Radzieckim i skierowaniu uwagi na nowe zagrożenia z Bliskiego Wschodu).

Zastępcy do spraw operacyjnych od początków zimnej wojny w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym byli zawsze specjalistami z sekcji rosyjskiej oraz sekcji Europy Wschodniej, którzy mieli ambicje zrobienia kariery jako zawodowi oficerowie. Marek Gumienny był pierwszym arabistą wyznaczonym na stanowisko zastępcy do spraw operacyjnych. Jako młody agent spędził kilka lat na Bliskim Wschodzie, opanował dwa z tamtejszych języków (arabski i farsi, język używany w Iranie) i znał jego kulturę.

Nawet w tym gmachu, w którym pracuje się przez okrągłą dobę, nie jest łatwo o gorącą aromatyczną czarną kawę, taką jak lubił, zaparzył ją więc sam. Ekspres robił swoje, a Gumienny zasiadł przy biurku, na którym leżał plik kartek w cienkiej zalakowanej teczce.

Wiedział, czego się spodziewać. W Fort Meade zajmowano się odczytywaniem plików komputerowych, lecz to CIA wspólnie z Brytyjczykami i pakistańskim CTC w Pdokonała zatrzymania. Placówki agencji w Peszawarze i Islamabadzie przysłały obszerne raporty, żeby szef miał pełny obraz sytuacji.

Teczka zawierała wszystkie dokumenty odczytane z twardego dysku komputera bankiera Al - Kaidy, lecz największy skarb stanowiły dwa listy zajmujące trzy strony. Gumienny mówił płynnie i szybko ulicznym arabskim, lecz czytanie tekstu jest zawsze trudniejsze, toteż raz po raz zerkał do tłumaczenia.

Przeczytał raport z obrad komitetu koranicznego, przygotowany wspólnie przez dwóch oficerów wywiadu, lecz nie znalazł w nim nic zaskakującego. Było dlań jasne, że pod nazwą Al - Isry, magicznej nocnej podróży proroka, może się kryć tylko jakaś bardzo ważna operacja.

Ta operacja musiała teraz uzyskać odrębną nazwę znaną amerykańskiemu wywiadowi. Nie mogła ona pozostać taka sama, bo to by zdradziło, że Amerykanie wiedzą o Al - Isrze. Uruchomił program kryptograficzny, szukając słowa, którym on i jego koledzy będą określać operację Al - Kaidy.

Nazwy wybiera komputer w procesie zwanym przypadkową selekcją; chodzi o to, żeby niczego nie zdradzić. W tym miesiącu program posługiwał się nazwami ryb; komputer wybrał kryptonim Stingray i tak zostało.

Ostatni arkusz w pliku został dodany w sobotnią noc. Tekst był krótki, pochodził od kogoś, kto nie lubił marnować słów, jednej z sześciu najważniejszych osób w państwie: dyrektora wywiadu. Po opuszczeniu Fort Meade teczka oczywiście trafiła do Komitetu Bezpieczeństwa Narodowego, czyli do Steve'a Hadleya, do dyrektora wywiadu oraz do Białego Domu. Marek Gumienny wyobrażał sobie, że tej nocy w Gabinetcie Ovalnym światło paliło się do późna.

Arkusz nosił sygnaturę biura dyrektora wywiadu. Wszystkie słowa były napisane dużymi drukowanymi literami:

CZYM JEST AL - ISRA?

CZY JEST TO ZAGROŻENIE ATOMOWE, BIOLOGICZNE,

CHEMICZNE CZY KONWENCJONALNE?

DOWIEDZIEĆ SIĘ CO, GDZIE I KIEDY

CZAS: NATYCHMIAST

OGRANICZENIA: ŻADNYCH

UPRAWNIENIA: ABSOLUTNE

JOHN NEGROPONTE

Pod spodem widniał nabazgrany podpis. W Stanach Zjednoczonych działa dziewiętnaście ważnych agencji zajmujących się gromadzeniem i przechowywaniem informacji. List, który Marek Gumienny trzymał w dłoni, dawał mu władzę nad nimi wszystkimi. Zerknął na nagłówek listu, adresowanego osobiście do niego. Ktoś zapukał do drzwi.

Stała w nich młody pracownik piętnastego stopnia. Skala ta odnosi się do wynagrodzenia, piętnasty stopień jest najniższy. Gumienny uśmiechnął się zachęcająco do chłopaka, który najwyraźniej był na tym piętrze po raz pierwszy. Zastępca dyrektora pokwitował odbiór przesyłki i zaczął na wyjście gońca.

Arkusze pochodził od kolegów z Fort Meade. Znajdował się na nim zapis rozmowy przeprowadzonej przez dwóch jajogłowych wracających limuzyną do Waszyngtonu. Jeden z nich był Brytyjczykiem. Ostatnia wypowiedziana przez niego kwestia została podkreślona przez jakiegoś pracownika Fort Meade i opatrzona dużym czerwonym znakiem zapytania.

W czasie pobytu na Bliskim Wschodzie Marek Gumienny miał sporo do czynienia z Brytyjczykami i w odróżnieniu od wielu swoich rodaków, którzy przez trzy lata zmagali się z piekłem Iraku, bez cienia dumy musiał przyznać, że najbliższymi współpracownikami CIA w tym, co Rudyard Kipling nazwał kiedyś wielką grą, są właśnie Brytyjczycy. To oni najwięcej wiedzieli o niebezpiecznych ziemiach między rzeką Jordan i Hindukuszem.

Przez sto pięćdziesiąt lat wędrowali jako żołnierze, administratorzy dawnego imperium albo ekscentryczni awanturnicy przez pustynie, łańcuchy górskie i pastwiska w strefie, która obecnie stała się tykającą bombą zegarową, jednym z najważniejszych obiektów zainteresowania wywiadu na świecie. Brytyjczycy nazywają CIA „kuzynami” lub Kompanią, Amerykanie zaś dla SIS używają określeń „przyjaciele” albo... Firma. Jednym z owych „przyjaciół” Marka Gumienny'ego był człowiek, z którym przeżył dobre chwile, gorsze i bardzo niebezpieczne, gdy obaj byli agentami terenowymi. Teraz Gumienny'ego posadzono za biurkiem w Langley, a Steve'a Hilla ściągnięto z terenu i wyniesiono na stanowisko szefa sekcji bliskowschodniej w kwaterze Firmy w Vauxhall.

Gumienny doszedł do wniosku, że narada nikomu nie zaszkodzi, a może przynieść coś dobrego. Problem wycieku informacji nie istniał. Brytyjczycy i tak wiedzieli tyle co on. Oni także przesłali zawartość laptopa terrorysty do centrum nasłuchu i kryptografii w Cheltenham, też wypatroszyli dysk i wydrukowali jego zawartość. Oni również przeanalizowali informacje i zauważyli osobliwe aluzje do Koranu w listach.

Brytyjczycy prawdopodobnie nie wiedzieli natomiast o zaskakującej uwadze poczynionej przez ich rodaka podczas jazdy samochodem przez Maryland. Gumienny nacisnął guzik na konsoli. Centrale telefoniczne spełniają swoje zadanie do pewnego stopnia, lecz współczesna technika pozwala na to, by szefowie mogli łączyć się ze sobą szybciej dzięki osobistym telefonom satelitarnym.

W domu w Surrey pod Londynem zadzwonił telefon. W Langley była ósma rano, w Londynie trzynasta; domownicy przypuszczalnie siadali właśnie do lunchu. Słuchawkę podniesiono po trzecim dzwonku. Steve Hill zdążył już rozegrać partyjkę golfa, a teraz zamierzał z nie mniejszą przyjemnością usiąść do rostbefu.

- Halo?

- Steve, tu Marek.

- Gdzie jesteś, stary? Nie przyleciałeś przypadkiem do starej Anglii?

- Nie, siedzę przy biurku. Możemy przejść na bezpieczne łącze?

- Oczywiście. Daj mi dwie minuty... - Do żony powiedział: - Kochanie, poczekaj z pieczenia. - Słuchawka opadła na widełki.

Kiedy znów się połączyli, głosy brzmiały nieco metalicznie, lecz rozmowa była całkowicie bezpieczna.

- Mam rozumieć, że coś śmierdzącego spadło ci tuż pod nos? - zapytał Hill.

- Zachlapało nawet moją czyściutką koszulę - przyznał Gumienny. - Pewnie dostałeś z Peszawaru mniej więcej to samo co ja?

- Tak myślę. Wczoraj przeczytałem i zastanawiałem się, kiedy zadzwonisz.

- Mam coś, czego ty chyba nie masz. Jest tu u nas profesor z Londynu na gościnnych występach. W piątek wieczorem wygłosił pewną uwagę. Przejdę do rzeczy. Znasz niejakiego Martina?

- Którego Martina?

- To nazwisko. Jego brat, który przebywa w Stanach, nazywa się Terry Martin. Mówi ci to coś?

Steve Hill stracił ochotę do żartów. Siedział ze słuchawką w dłoni, spoglądając w przestrzeń. Tak, znał Martina. W czasie pierwszej wojny w Zatoce w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym i dziewięćdziesiątym pierwszym roku Mike Martin należał do grupy kontrolnej stacjonującej w Arabii Saudyjskiej. Brat naukowca przedostał się do Bagdadu i mieszkał tuż pod nosem tajnej policji Saddama Husajna jako skromny ogrodnik. Przekazywał bezcenne informacje od źródła w gabinecie dyktatora.

- Możliwe - przyznał Hill. - Czemu pytasz?

- Myślę, że powinniśmy pogadać. Twarzą w twarz. Mogę do ciebie przylecieć. Mam grummana.

- Kiedy tu zawitasz?

- Wylecę wieczorem. Mogę spać w samolocie, w Londynie będę na śniadanie. ~ - Dobrze. Załatwię wszystko z Northolt.

- Jeszcze jedno, Steve. Czy mógłbyś też załatwić pełne dossier tego Martina? Wyjaśnię ci wszystko, jak się spotkamy.

Na zachód od Londynu, przy trasie do Oksfordu, znajduje się baza Królewskich Sił Powietrznych w Northolt. Przez kilka lat po drugiej wojnie światowej pełniła funkcję cywilnego portu lotniczego, bo Heathrow było dopiero pospiesznie budowane. Później stała się drugorzędnym obiektem, a wreszcie lotniskiem dla samolotów prywatnych i tych, które przewożą ważne osobistości. Lecz ponieważ należy do RAF - u, można tam bez zwykłych formalności załatwić

bezpieczne starty i lądowania samolotów.

CIA ma własne lotnisko nieopodal Langley i niewielką flotyllę małych samolotów pasażerskich. List z pełnomocnictwem szefa wywiadu pozwolił Gumienny'emu dysponować samolotem Grumman V, którym wygodnie się przespał podczas lotu. Steve Hill czekał na niego w Northolt.

Nie zabrał gościa do zielonego, przypominającego kamienną piramidę gmachu przy Vauxhall Cross na południowym brzegu Tamizy obok Vauxhall Bridge, w którym mieściła się siedziba SIS, lecz do o wiele spokojniejszego hotelu Cliveden, dawniej prywatnego pałacyku stojącego w posiadłości leżącej niecałe pięćdziesiąt kilometrów od lotniska. Zarezerwował mały apartament z salką konferencyjną i obsługą.

Tam przeczytał analizę amerykańskiego komitetu koranicznego, uderzająco podobną do analizy wykonanej w Cheltenham, a następnie zapoznał się z zapisem rozmowy dwóch naukowców w rządowej limuzynie.

- Idiota - mruknął Hill, skończywszy lekturę. - Ten drugi arabista ma rację. To niewykonalne. Nie chodzi o sam język, tylko o wszystkie inne sprawy. Żaden obcy, żaden cudzoziemiec nie wejdzie między nich.

- Ale ja dostałem rozkaz od najwyższej instancji. Co proponujesz?

- Złapać kogoś z kierownictwa Al - Kaidy i wszystko z niego wycisnąć.

- Steve, gdybyśmy wiedzieli, gdzie przebywa ktoś taki, zdjęlibyśmy go, to jasne. W tej chwili nie mamy nikogo takiego na oku.

- Czekaście i rozglądacie się. Ktoś na pewno posłuży się znowu tym kryptonimem.

- Musimy zakładać, że jeśli Al - Isra ma być następną spektakularną akcją, będzie ona wymierzona w Stany Zjednoczone. Czekanie na cud, który się nie wydarzy, nie uspokoi Waszyngtonu. Poza tym Al - Kaida już wie, że mamy laptopa. Istnieje możliwość, że terroryści nigdy więcej nie posłużą się tą nazwą, chyba że w rozmowach między sobą.

- Moglibyśmy umieścić w różnych miejscach informacje, że wiemy wszystko o akcji i zaciskamy pętlę. Wtedy oni by z niej zrezygnowali i byłoby po sprawie.

- Może tak, a może nie. Tego się nie dowiemy. Wciąż trwalibyśmy w niepewności, czy projekt Stingray został zarzucony, czy nie. A jeśli nie? Jeśli się powiedzie? Mój szef zapytał: czy chodzi o atak atomowy, biochemiczny czy konwencjonalny? Gdzie i kiedy? Czy ten Martin naprawdę może uchodzić za Araba wśród Arabów? Naprawdę jest taki dobry?

Kiedyś był - mruknął Hill, podsuwając koledze teczkę. - Sam zobacz.

Teczka miała dwa centymetry grubości; znajdowała się w zwykłej szarej kopercie oznaczonej napisem: PUŁKOWNIK MIKE MARTIN.

W okresie międzywojennym dziadek Martinów ze strony matki był plantatorem herbaty w Dardżyling w Indiach. Zrobił tam coś niesłychanego, a mianowicie ożenił się z indyjską dziewczyną.

Świątek brytyjskich plantatorów herbaty był mały, zaściankowy i snobistyczny. Panny młode sprowadzano z Anglii lub wybierano spośród córek brytyjskich oficerów. Chłopcy widzieli zdjęcia dziadka Terence'a Grangera - wysokiego, różowego na twarzy mężczyzny z jasnymi włosami i fajką w ustach, który ze sztucerem w rękach stał nad zastrzelonym tygrysem.

Widzieli także zdjęcia panny Indiry Bohse, łagodnej, kochającej i pięknej kobiety. Gdy okazało się, że Terence Granger nie zamierza zrezygnować z ożenku z panną Bohse, kompania herbaciana, nie chcąc wywoływać drugiego skandalu, który wybuchłby po jego zwolnieniu, wpadła na inny pomysł. Wysłano młodą parę na pustkowia prowincji Asam pod granicą z Birma.

Jeśli miała to być kara, to zamysł spalił na panewce. Grangerowi i jego młodej żonie bardzo przypadło do gustu życie w dzikiej, zrytej wąwozami krainie pełnej rozmaitej zwierzyny. Tam w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku na świat przyszła Susan. W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim wojna zawitała do Asamu: przez granicę Birmy wtargnęli Japończycy. Terence Granger, choć z racji podeszłego wieku mógł uniknąć poboru, zgłosił się na ochotnika i w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku zginął podczas przeprawy przez rzekę Irawadi.

Ze skromniutką wdowią rentą od kompanii herbacianej Indira Granger mogła uczynić tylko jedno: wrócić do swoich. Dwa lata później znów wybuchły zamieszki, gdy Indie podzieliły się, odzyskując suwerenność. Ali Dżinna stworzył na północy muzułmański Pakistan, a Pandit Nehru stanął na czele Indii, w których przeważał hinduizm. Fale uchodźców wędrowały w obie strony, toczyły się gwałtowne walki.

Obawiając się o bezpieczeństwo córki, pani Granger wysłała ją do młodszego brata zmarłego męża, architekta z Surrey. Sama pół roku później zginęła w czasie zamieszek.

Siedemnastoletnia Susan Granger przybyła do kraju ojca, którego nigdy przedtem nie widziała. Spędziła rok w szkole dla dziewcząt, a później przez trzy lata pracowała jako pielęgniarka w szpitalu w Farnham. Mając dwadzieścia jeden lat - czyli w najniższym dozwolonym wieku - zgłosiła swoją kandydaturę na stanowisko stewardesy w liniach British Overseas Airways Corporation. Była uderzająco piękna: miała gęste kasztanowe włosy, błękitne oczy po ojcu i skórę angielskiej dziewczyny zabarwioną miodową opalenizną.

Z uwagi na jej znajomość hindi kierownictwo BO AC umieściło dziewczynę na trasie Londyn - Bombaj. Była to wówczas długa trasa: Londyn - Rzym - Kair - Basra - Bahrajn - Karaczi - Bombaj. Żadna załoga nie mogła przelecieć całej odległości; pierwsze lądowanie i zmiana załogi odbywały się w Basrze na południu Iraku. Tam w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku, w klubie, Susan poznała księgowego kompanii naftowej Nigela Martina. Pobrali się w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim.

Ich pierwszy syn Mike urodził się po dziesięciu latach, a drugi, Terry, trzy lata później. Jednak w ogóle nie byli do siebie podobni.

Marek Gumienny wpatrywał się w zdjęcie. Nie ciemna, lecz śniada skóra, czarne włosy i ciemne oczy. Domyślił się, że geny babki przeskoczyły o jedno pokolenie na wnuka; Mike w niczym nie był podobny do swojego brata naukowca, którego różowa twarz i rude włosy pochodziły od ojca.

Przypomniawszy sobie zastrzeżenia wyrażone przez doktora Bena Jolleya. Żeby mieć szansę przeniknięcia do wnętrza Al - Kaidy, agent musiałby odpowiednio wyglądać i mówić. Gumienny przeczytał o dzieciństwie braci.

Obaj chodzili do angielsko - irackich szkół, a oprócz tego uczyli się od ojca i niani, tęgiej, łagodnej Fatimy, która później z zarobionymi pieniędzmi wróciła do swojego plemienia, by znaleźć męża.

Była tam wzmianka, która mogła pochodzić tylko od Terry'ego Martina. Kiedy starszy z braci tańczył w białej irackiej sukni na trawniku przed domem w Saadun na przedmieściu Bagdadu, rozbawieni goście ojca śmiali się i wołali: „Nigel, ależ on jest bardziej podobny do nas niż do ciebie”.

Bardziej podobny do nas, pomyślał Marek Gumienny. Czyli do nich. Dwa zastrzeżenia z czterech wysuniętych przez Bena Jolleya upadły: Mike odpowiednio wyglądał i mógł uchodzić za Araba wśród Arabów. Po intensywnym szkoleniu chyba zdoła opanować obrzędy modlitewne.

Zastępca dyrektora CIA czytał dalej. Wiceprezydent Saddam Husajn zaczął nacjonalizować zagraniczne kompanie naftowe; w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku dotknęło to firmę Anglo - Iraq. Nigel Martin przepracował tam jeszcze trzy lata, a później wrócił z całą rodziną do kraju. Mike miał trzynaście lat i mógł iść do gimnazjum w Haileybury. Marek Gumienny poczuł, że musi się napić kawy.

- On mógłby tego dokonać, wiesz? - rzekł, kiedy wrócili po przerwie. - Po odpowiednim przeszkoleniu i przygotowaniu dałby radę. Gdzie on teraz jest?

- Poza dwoma krótkimi okresami pracy dla nas swoją karierę wojskową spędził wśród spadochroniarzy i w siłach specjalnych. W zeszłym roku odszedł na emeryturę po przepracowaniu dwudziestu pięciu lat. Nie, to się nie uda.

- Dlaczego? Steve, on ma wszystko, czego potrzeba.

- Oprócz pochodzenia. Rodziców, bliższej i dalszej rodziny, miejsca urodzenia. Do Al - Kaidy wstępuje tylko młody ochotnik do misji samobójczej, czyli biedak bez przyszłości lub straceniec. Żeby zostać dopuszczonym do sztandarowej akcji, trzeba cieszyć się całkowitym zaufaniem, mieć za sobą długie lata w organizacji. To dyskwalifikuje projekt i nie da się tego przeskoczyć. Chyba że...

Steve Hill zamyślił się na chwilę, a potem pokręcił głową.

- Chyba że co?

- Nie, to nie wchodzi w rachubę.

- No powiedz.

- Pomyślałem o sobowtórze. Zamienniku. Ale to też nierealne. Gdyby oryginał żył, należałby do Al - Kaidy. A gdyby zginął, oni by o tym wiedzieli. Więc nic z tego.

- Ta teczka jest obszerna - zauważył Marek Gumienny. - Mogę ją zabrać?

- To kopia, oczywiście. Tylko ty będziesz ją oglądał?

- Masz moje słowo, stary. Tylko ja. Trafi do mojego osobistego sejfu. Albo do spalarki.

Zastępca dyrektora CIA odleciał do Langley, lecz tydzień później znów zadzwonił. Steve Hill odebrał telefon, siedząc przy swoim biurku w Vauxhall Cross.

- Chyba muszę znów się do ciebie wybrać - oznajmił bez ogródek. Obaj wiedzieli, że premier Wielkiej Brytanii przyrzekł swojemu przyjacielowi z Białego Domu, że Amerykanie mogą liczyć na pełną współpracę Brytyjczyków przy rozpracowywaniu operacji Stingray.

- W porządku, Marek. Znalazłeś coś ciekawego? - Steve Hill był zaintrygowany. Współczesna technika pozwala przesłać z kwatery CIA do siedziby SIS wszystko w ciągu kilku sekund z zachowaniem całkowitej tajności. Po co więc Gumienny chciał przylecieć?

- Sobowtór - odparł Amerykanin. - Zdaje się, że go mam. Jest o dziesięć lat młodszy, ale wygląda na starszego. Ten sam wzrost i budowa ciała, ta sama śniada twarz. Weteran Al - Kaidy.

- Brzmi świetnie. Ale dlaczego nie jest wśród zbójów?

- Bo jest wśród nas. W Guantanamo. Spędził tam ostatnie pięć lat.

- Arab? - Hill się zdziwił; jeśli w Guantanamo od pięciu lat siedzi jakiś dowódca Al - Kaidy, to on powinien być o tym wiedzieć.

- Nie, to Afgańczyk. Nazywa się Ismat Chan. Ruszam w drogę.



Tydzień później Terry Martin nadal nie mógł spać. Ta idiotyczna uwaga. Czemu nie potrafiłem ugryźć się w język? Dlaczego musiałem się pochwalić bratem? A jeśli Ben Jolley coś wygadał? W końcu Waszyngton to wielka wiocha pełna plotkarzy. Siedem dni po tamtej rozmowie w aucie zadzwonił do brata.

Mike Martin zdejmował właśnie ostatnie nieuszkodzone dachówki z cennego dachu. Wreszcie będzie mógł zacząć kłaść izolację i poprzeczki. Za tydzień wszystko powinno być wodoszczelne. Usłyszał metaliczne dźwięki melodii *Lillibolero* ące się z telefonu komórkowego. Komórka znajdowała się w kieszeni bezrękawnika wiszącego na gwoździu. Mike musiał przejść ostrożnie po kruchych krokwiach, żeby odebrać połączenie. Na wyświetlaczu ukazał się numer telefonu brata w Waszyngtonie.

- Cześć, Terry.

- Mike, to ja. - Terry wciąż nie rozumiał, skąd ludzie, do których dzwoni, wiedzą, że to on. - Palnąłem głupstwo i chcę cię prosić o wybaczenie. Jakiś tydzień temu rozpuściłem jęzor...

- Pięknie. I co chlapnąłeś?

- Nieważne. Jeśli odwiedzą cię kiedyś faceci w ciemnych garniturach - wiesz, o kim mówię - to każ im się odwalić. Powiedziałem coś głupiego. Gdyby ktoś do ciebie...

Ze swojego bocianiego gniazda Mike Martin zauważył grafitowocznego jaguara powoli wspinającego się dróżką w stronę stodoły.

- W porządku, braciszku - rzekł łagodnie. - Zdaje się, że oni już tu są.



Dwaj zastępcy szefów agencji szpiegowskich rozsiedli się na składanych krzesłach, a Mike Martin przycupnął na pniu drzewa, który miał zostać pocięty piłą na opał. Wysłuchał gadki Amerykanina i unosząc brwi, spojrział na Steve'a Hilla.

- Decyzja należy do ciebie, Mike. Nasz rząd obiecał Białemu Domowi całkowitą współpracę pod każdym względem, lecz to nie oznacza, że będziemy kogokolwiek naciskać, by zgodził się wyruszyć w misję bez powrotu.

- A to jest taka właśnie misja?

- My tak nie uważamy - wtrącił Marek Gumienny. - Gdybyśmy poznali chociaż nazwisko i miejsce pobytu jednego wysoko postawionego dowódcy Al - Kaidy, który wiedziałby, co się kroi, wycofaliśmy pana i sami zrobili resztę. Wystarczyłoby nadstawić uszu na plotki...

- Jest pewien szkopuł... Otóż nie sądzę, żebym mógł jeszcze uchodzić za Araba. Piętnaście lat temu w Bagdadzie stałem się niewidzialny jako skromny ogrodnik mieszkający kątem przy willi. Nie groziło mi przesłuchanie w jaskini Muchabratu. Tym razem czekałoby mnie intensywne śledztwo. Oni chcieliby wiedzieć, dlaczego ktoś, kto spędził pięć lat w rękach Amerykanów, nie został zdrajcą.

- Rzeczywiście, należy oczekiwać przesłuchania. Ale przy odrobinie szczęścia śledczym byłby wysoki rangą człowiek Al - Kaidy, specjalnie ściągnięty do tego zadania. A wtedy pan by się wymknął i wskazał nam go palcem. Bylibyśmy niedaleko, parę metrów od pana.

- Ten facet jest Afgańczykiem - zauważył Martin, stukając w teczkę więźnia z Guantanamo. - Talibem. A to oznacza Pasztuna. Nie nauczyłem się płynnie mówić w paszto. Zdemaskowałby mnie pierwszy Afgańczyk, który znalazłby się w pobliżu.

- Przeszedłbyś wielomiesięczny kurs, Mike - rzekł Steve Hill. - Nie wyruszyłbyś, dopóki nie czułbyś się gotowy. W ogóle nie musiałbyś wyruszać, gdybyś stwierdził, że się nie uda. I trzymałbyś się z dala od Afgańczyków. Afgańscy fundamentaliści mają to do siebie, że prawie nigdy nie

wysuwają nosa poza własne podwórko.

- Mógłby pan mówić słabo po arabsku z akcentem niewykształconego Pasztuna?

Mike Martin skinął głową.

- To możliwe. A jeśli turbaniarze przywloką Afgańczyka, który znał tego gościa?

Zapadła cisza. Wszyscy wiedzieli, że gdyby coś takiego się stało, byłby to koniec.

Agenci zapatrzyli się na swoje stopy; nie próbowali tłumaczyć, co czekałoby agenta zdemaskowanego w mateczniku Al - Kaidy. Martin otworzył teczkę, którą trzymał na kolanach, i zdrętwiał.

Twarz była o pięć lat starsza, pocięta zmarszczkami, naznaczona cierpieniem; wyglądała na dziesięć lat starszą, niż wynikałoby z rocznika. Wciąż jednak był to ten sam chłopak z gór, prawie trup z Kalat i Džangi.

- Ja znam tego człowieka - rzekł cicho Mike. - Nazywa się Ismat Chan.

Amerykanin patrzył na niego z otwartymi ustami.

- Skąd, u diabła, może go pan znać? Dorwaliśmy go pięć lat temu i od tej pory siedzi w Gitmo.

- Wiem, ale wiele lat wcześniej razem walczyliśmy z Rosjanami w Tora Bora.

Agenci przypomnieli sobie zawartość teczki Martina. Oczywiście, tego roku był w Afganistanie, wspomagając mudżahedinów w walce z radziecką okupacją. Było to mało prawdopodobne, lecz nie dało się wykluczyć, że ci dwaj się spotkali. Przez dziesięć minut Hill i Gumienny wypytywali go o Ismata Chana. Martin odłożył teczkę.

- Jaki on jest teraz? Jak się zmienił przez tych pięć lat spędzonych w waszym obozie Delta?

Amerykanin wzruszył ramionami.

- Jest twardy, bardzo twardy. Przywieziono go z ciężką raną głowy i wstrząśnieniem mózgu. Został ranny w czasie pojmania. Z początku nasi lekarze uważali, że jest trochę... opóźniony. Niedorozwinięty. Okazało się, że jest tylko mocno skołowany. Wstrząs mózgu i długa podróż. To było w grudniu dwa tysiące pierwszego roku, tuż po zamachu z jedenastego września. Leczenie nie było, jak by to powiedzieć... łagodne. Później chyba natura zrobiła swoje i wyzdrowiał na tyle, że można go było przesłuchiwać.

- Co wam powiedział?

- Niewiele. Podał tylko swoje dane. Oparł się trzeciemu stopniowi i wszystkim ofertom. Tylko się gapi, a w jego czarnych ślepiach nie widać braterskiej miłości do nas. Dlatego stale siedzi w celi. Jednak od innych więźniów wiemy, że jako tako mówi po arabsku, że uczył się w Afganistanie,

a wcześniej spędził parę lat w madrasie, w której wykuł się na pamięć Koranu. Dwaj ochotnicy z Al - Kaidy - pochodzenia brytyjskiego - którzy z nim siedzieli, a teraz są już na wolności, twierdzą, że nauczyli go trochę po angielsku. Martin zerknął ostro na Steve'a Hilla.

- Trzeba będzie ich zgarnąć i trzymać w odosobnieniu - rzekł.

Hill skinął głową.

- Oczywiście. To się da załatwić.

Marek Gumienny wstał i przeszedł się wokół stodoły; Martin tymczasem czytał dossier. Spoglądając w płomienie ogniska, zobaczył ponure, nagie wzgórza w oddali. Dwóch mężczyzn, skały i radziecki śmigłowiec bojowy Hind szykujący się do ataku. Usłyszał szept chłopca w turbanie na głowie: „Zginiemy, Angleez?”. Gumienny wrócił, kucnął przy ognisku i pogmerał patykiem w ogniu. Obraz w głowie Mike'a rozpląnął się w snopie iskier.

- Zaczął pan tu niezłą robotę, Mike. To wygląda na zadanie dla brygady zawodowych budowlańców. Sam pan wszystko robi?

- Ile się da. Po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat mam czas.

- Ale nie ma pan kasy? Martin wzruszył ramionami.

- Gdybym chciał pracować, agencji ochrony jest na pęczki. Tylko z powodu Iraku wylęgły się tabuny zawodowych ochroniarzy, a wciąż jest ich za mało. Pracując w trójkacie sunnickim dla waszych ludzi, w ciągu tygodnia zarabiają więcej niż przez pół roku jako żołnierze.

- Ale to oznaczałoby powrót do pyłu, piachu, niebezpiecznego życia i przedwczesnej śmierci. Czy nie odszedł pan właśnie z tego powodu?

- A wy co proponujecie? Urlop na Florydzie w towarzystwie koleśków z Al - Kaidy?

Marek Gumienny musiał się uśmiechnąć.

- Amerykanów oskarża się o wiele rzeczy, Mike, lecz nie o skąpstwo dla tych, którzy im pomogli. Myślę o konsultacjach za dwieście tysięcy dolarów rocznie przez pięć lat. Pieniądze przelewano by za granicę, po co zawracać głowę poborcom podatkowym. Nie musiałby pan więcej chodzić do pracy ani się narażać.

Martinowi stanęła przed oczami scena z ulubionego filmu. T. E. Lawrence proponuje Audzie Abu Tajowi pieniądze za to, by ten wziął udział w ataku na Akabę. Doskonale pamiętał jego niezrównaną odpowiedź: Auda nie ruszy na Akabę dla brytyjskiego złota, ruszy na nią dlatego, że tak mu się podoba. Mike wstał.

- Steve, chcę, żeby mój dom został spowity folią od dołu do góry. Kiedy wrócę, chcę go zastać w takim samym stanie, w jakim go zostawiłem.

Szef sekcji bliskowschodniej skinął głową.

- Załatwione.

- Wezmę swoje rzeczy. Nie jest ich wiele. Zmieszczą się w bagażniku.

I tak przy ognisku w sadzie w hrabstwie Hampshire uzgodniono odpowiedź Zachodu na operację Stingray. Dwa dni później komputer wybrał dla niej kryptonim Łom.

Gdyby go o to zapytano, Mike Martin nie umiałby się wytłumaczyć. Jednak w czasie późniejszych odpraw dotyczących Afgańczyka, który niegdyś był jego znajomym, nie podał agentom pewnego szczegółu. Zachował go tylko dla siebie.

Może uznał, że zasada ograniczania przepływu informacji działa w obie strony. Może doszedł do wniosku, że szczegół jest za mało istotny. Dotyczył on cichej rozmowy w arabskim szpitalu polowym mieszczącym się w jaskini w miejscu zwanym Dżadzi.

CZEŚĆ DRUGA

WOJOWNICY

ROZDZIAŁ 4

Decyzja podjęta w sadzie w Hampshire pociągnęła za sobą lawinę innych decyzji dwóch wicedyrektorów agencji szpiegowskich. Na początek musieli się postarać o aprobatę i zgodę swoich zwierzchników politycznych.

Okazało się to niełatwe do wykonania, gdyż pierwszym warunkiem postawionym przez Mike'a Martina było to, żeby o operacji Łom wiedziało nie więcej niż dwunastu ludzi. Wszyscy jednak rozumieli motywy, które nim kierowały.

Jeśli pięćdziesięciu ludzi wie coś ciekawego, to jeden z nich prędzej czy później się wygada. Nie umyślnie ani nie ze złośliwości, lecz jest to nieuchronne.

Ci, którzy kiedykolwiek znaleźli się w śmiertelnie niebezpiecznej sytuacji i musieli działać pod przykrywką, liczyć na swoje umiejętności, unikać jakiegokolwiek błędu i schwymania, wiedzą, jakie jest to stresujące. Musieli też liczyć na to, że nie wpadną z powodu jakiegoś nieprzewidywalnego, przypadkowego zachowania. Jednak najgorszym koszmarem jest świadomość, że zdemaskowanie i długa, pełna udręki śmierć są skutkiem tego, że jakiś kretyń pochwalił się w barze swojej dziewczynie i został podsłuchany - to budzi największy lęk. Dlatego warunek postawiony przez Martina uzyskał natychmiastową akceptację.

John Negroponte w Waszyngtonie postanowił, że tylko Gumienny będzie decydował, kto ma wiedzieć o akcji, a kto nie, i wydał zgodę. Steve Hill zjadł obiad w klubie z pewnym członkiem rządu brytyjskiego i otrzymał takie samo zapewnienie. Było ich więc czterech.

Każdy z nich wiedział jednak, że nie może osobiście zajmować się akcją przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, każdy potrzebował człowieka, który będzie nadzorował działania z dnia na dzień. Marek Gumienny wyznaczył do tego zadania obiecującego arabistę z sekcji antyterrorystycznej CIA, Michaela McDonalda. Ten zaś rzucił wszystko, oznajmił rodzinie, że przez jakiś czas musi popracować w Wielkiej Brytanii, i poleciał za ocean. Marek Gumienny tymczasem wrócił do kraju.

Steve Hill wybrał swojego zastępcę z sekcji bliskowschodniej, Gordona Phillipsa. Przed rozstaniem dwaj szefowie uzgodnili, że każdy aspekt operacji Łom będzie miał przykrywkę, tak aby nikt poza dziesięcioma osobami z najwyższego kierownictwa nie wiedział, że zachodni agent ma zostać umieszczony w strukturze Al - Kaidy.

W Langley i Vauxhall Cross poinformowano, że dwaj pracownicy idą na urlop naukowy w celu podniesienia kwalifikacji i znikną na jakieś pół roku.

Steve Hill przedstawił sobie nawzajem dwóch współpracowników i zapoznał z założeniami operacji Łom. McDonald i Phillips zamilkli. Hill nie umieścił ich w kwaterze głównej nad Tamizą, lecz w bezpiecznym domu na wsi, jednym z kilku, które Firma zachowała dla siebie.

Kiedy obaj rozpakowali się i przyszli na pierwszą odprawę, rzucił każdemu grubą teczkę.

- Jutro zaczniecie szukać kwatery operacyjnej. Macie dwadzieścia cztery godziny na nauczanie

się tego na pamięć. Oto człowiek, który tam pojedzie. Będziecie z nim pracować do dnia wyjazdu, a później dla niego. A to... - rzucił na stół cieńszą teczkę - jest ten, którego zastąpi. Z oczywistych względów wiemy o nim znacznie mniej. Ale tylko tyle zdołano od niego wyciągnąć w czasie setek godzin przesłuchań w Gitmo. Tego też musicie się wykuć na pamięć.

Po jego wyjściu zastępcy poprosili personel o duży dzbanek kawy i zabrali się do czytania dokumentów.



Piętnastoletni Mike Martin zakochał się latem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku w czasie wycieczki na pokaz lotniczy w Farnborough. Był z ojcem i młodszym bratem, którzy podziwiali myśliwce, bombowce, pokazy akrobacji i prototypy nowych samolotów. Dla Mike'a gwoździem programu był występ Czerwonych Diabłów, zespołu akrobatycznego regimentu spadochronowego. Wyskakujący z samolotu spadochroniarze wyglądali jak maleńkie punkciki na niebie, a później lądowali w uprzężach w samym środku maleńkiego okręgu. Mike wiedział już, co chce robić w życiu.

Napisał list do kwatery spadochroniarzy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku, kiedy kończył szkołę w Haileybury; na wrzesień zaproszono go na rozmowę kwalifikacyjną do jednostki w Aldershot. Po przybyciu na miejsce zaczął oglądać starą dakotę, z której w czasie drugiej wojny światowej wyskakiwali spadochroniarze mający opanować most w Arnheim. Sierżant zaprowadził pięciu kandydatów do sali, gdzie miała się odbyć rozmowa.

W szkole uważano go za umiarkowanie dobrego ucznia, lecz doskonałego sportowca; spadochroniarze zawsze dowiadywali się o takie rzeczy. Bardzo im to odpowiadało. Przyjęto go i pod koniec miesiąca rozpoczął wyczerpujące szkolenie trwające dwadzieścia dwa tygodnie; nie wszyscy je przetrwali. Zakończyło się na początku kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku.

Później nastąpiły cztery tygodnie musztry, podstaw obchodzenia się z bronią, sztuki przetrwania w terenie i ćwiczeń fizycznych, a później jeszcze dwa poświęcone temu samemu oraz pierwszej pomocy, sygnalizacji i zabezpieczeniu przed bronią atomową, bakteriologiczną i chemiczną.

W siódmym tygodniu szkolenie stawało się coraz cięższe, było jednak tylko zapowiedzią tego, co przyszło w tygodniach ósmym i dziewiątym: marszów przez łańcuch górski Brecon w Walii w środku zimy. Wytrenowani mężczyźni umierają tam z wychłodzenia i wyczerpania. Szeregi rekrutów zaczęły topnieć.

Szkolenie w dziesiątym tygodniu odbyło się w Hythe w hrabstwie Kent; dziewiętnastoletni wówczas Martin uzyskał tam kwalifikacje strzelca wyborowego. Jedenasty i dwunasty tydzień były okresami próbnymi: ćwiczenia polegały na wbieganiu na piaszczyste pagórki i zbieganiu z nich w błocie, deszczu i gradzie.

- Okresy próbne? - mruknął Martin. - A co było do tej pory?

Po okresie próbnym rekrutom, którzy pozostali, wręczono upragnione czerwone berety; spędzili w Brecon jeszcze trzy tygodnie poświęcone ćwiczeniom obronnym, patrolowaniu i strzelaniu. Pod koniec stycznia w górach panowała paskudna mroźna pogoda, a rekruci spali w wilgoci, nie palono nawet ognisk.

Tygodnie od szesnastego do dziewiętnastego poświęcone były temu, o czym marzył Mike Martin: kursowi skoków ze spadochronem w jednostce RAF - u w Abingdon; tam odpadło kilku kolejnych rekrutów. Szkolenie zakończyło się „paradą skrzydeł”, w czasie której rekrutom przypinano do mundurów odznakę spadochroniarza. Tej nocy w starym klubie 101 w Aldershot odbyła się huczna zabawa.

Następne dwa tygodnie ćwiczeń nazywały się „ostatnia przeszkoda” i poświęcone były szlifowaniu paradnej musztry; w dwudziestym drugim tygodniu odbyła się końcowa defilada, w czasie której rodzice mogli zobaczyć swoich jeszcze nie tak dawno przyszczatych synów w tajemniczy sposób przekształconych w żołnierzy.

Szeregowy Mike Martin już dawno został zaklasyfikowany jako materiał na oficera, a w kwietniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku poszedł na kurs do Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst; opuścił ją w grudniu ze stopniem podporucznika. Jeśli myślał, że czeka go sława, to grubo się mylił.

W regimencie spadochronowym są trzy bataliony; Martina skierowano do trzeciego, który stacjonował w Aldershot.

Każdy batalion spadochronowy przez trzy lata z dziewięciu, albo przez jedną turę z trzech, zdejmuje spadochrony i działa jak zwykła piechota przewożona ciężarówkami. Spadochroniarze mówią wtedy, że zamieniają się w pingwiny, i bardzo tego nie lubią.

Jako dowódca plutonu Martin dostał przydział do plutonu rekrutów i musiał przepuszczać żółtodziobów przez magiel, którego sam doświadczył. Być może zostałby tam do końca tury, gdyby nie pewien dżentelmen - Leopoldo Galtieri. Drugiego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku na rozkaz dyktatora wojska argentyńskie dokonały inwazji na Wyspy Falklandzkie. Trzeci batalion spadochronowy postawiono w stan gotowości bojowej.

Na polecenie nieugiętej premier Margaret Thatcher brytyjskie siły uderzeniowe wypłynęły na statkach na południe, kierując się na południowy Atlantyk, gdzie czekała na nich zima ze sztormami i siekącym deszczem.

Wycarterowany liniowiec „Canberra” zatrzymał się po raz pierwszy na wyspie Ascension, małym skrawku ziemi smaganym przez morskie wichry. Wojsko czekało, podczas gdy jedni dyplomaci podejmowali ostatnie próby nakłonienia Galtieriego, żeby się wycofał, a drudzy namawiali panią Thatcher, by zrezygnowała z działań zbrojnych. Ani Galtieri, ani premier Thatcher nie mogli się wycofać i liczyć na to, że zachowają urząd. „Canberra” popłynęła dalej za „Ark Royal”, jedynym lotniskowcem w armadzie.

Gdy stało się jasne, że inwazja jest nieunikniona, Martina i jego oddział przerzucono z

„Canberry” na jednostkę desantową. Cywilizowane warunki panujące na liniowcu poszły w zapomnienie. Tej samej sztormowej nocy, w której Martin i jego koledzy lecieli na pokładzie śmigłowca Sea King, identyczna maszyna zatonęła z dwiętnastoma żołnierzami ze Special Air Service; była to największa jednorazowa strata w ludziach, jaką kiedykolwiek poniosła SAS.

Martin z grupą trzydziestu żołnierzy wylądował razem z całym trzecim batalionem w San Carlos Water. Plaża znajdowała się wiele kilometrów od stolicy wyspy Port Stanley, lecz właśnie dlatego nie była broniona. Spadochroniarze i marines niezwłocznie rozpoczęli forsowny marsz w deszczu i błocie na wschód, w stronę stolicy.

Nieśli wszystko w plecakach Bergen tak ciężkich, jakby w każdym krył się człowiek. Pojawienie się argentyńskiego skyhawk'a zmusiło piechurów do rzucenia się w błoto, lecz na ogół Argentyńczycy wypatrywali jednostek pływających i nie zwracali uwagi, czy jacyś ludzie taplają się w błocie. Gdyby udało im się zatopić statki, żołnierze na lądzie nie mieliby szans.

Prawdziwym wrogiem był chłód, nieustanny zacinający deszcz i pusty krajobraz, bez jednego drzewa. Zmieniło się to dopiero, gdy oddziały dotarły do Mount Longdon.

Trzeci batalion spadochronowy przyczał się na samotnej farmie Estancia House i zaczął przygotowywać się do akcji, do której wykonania został wysłany na drugi koniec Atlantyku. Była noc z jedenastego na dwunasty czerwca.

To miał być cichy nocny atak i taki był do chwili, gdy kapral Milne nastąpił na minę. Od tej chwili zrobiło się głośno. Zaterkotały karabiny maszynowe Argentyńczyków, poleciały flary; na wzgórzach i w dolinie rozwidniło się jak w dzień. Żołnierze z trzeciego batalionu spadochronowego mogli wycofać się i ukryć albo zaatakować i wziąć Longdon. Zdobyli miasto, ale dwudziestu trzech spadochroniarzy poległo, a ponad czterdziestu odniosło rany.

Gdy pociski zaczęły śmigać wokół jego głowy i padli pierwsi zabici, Mike Martin po raz pierwszy poczuł na języku dziwny metaliczny smak - smak strachu.

Jednak żaden pocisk nawet go nie drasnął. Z jego trzydziestoosobowego plutonu, wliczając sierżanta i trzech kaprali, zginęło sześciu żołnierzy, a dziewięciu odniosło rany.

Argentyńscy żołnierze broniący wzgórze byli rekrutami siłą wcielonymi do wojska, chłopakami z biednych rodzin mieszkających na słonecznych pampach - synowie zamożnych ludzi mogli wymigać się od wojska - którzy chcieli wracać do domów, uciec jak najdalej od deszczu, zimna i błota. Opuścili swoje bunkry i okopy i ruszyli w stronę Port Stanley.

O świcie Mike Martin stanął na szczycie wzgórze w łańcuchu Wireless, spojrzął na miasteczko i wschodzące słońce i na nowo odkrył Boga swoich ojców, którego od tylu lat zaniedbywał. Pomodlił się z wdzięczności i ślubował, że nigdy więcej o Nim nie zapomni.



W czasie gdy dziesięcioletni Mike Martin hasał po ogrodzie przy domu ojca w dzielnicy

Saadun w Bagdadzie, wywołując uśmiechy na twarzach irackich gości, ponad tysiąc pięćset kilometrów od tego miejsca urodził się chłopiec.

Na zachód od drogi z pakistańskiego Peszawaru do afgańskiego Dżalalabadu rozciąga się łańcuch Spin Ghar, Gór Białych, z dominującym pasmem Tora Bora.

Góry te, widziane z daleka, wznoszą się między tymi dwoma krajami niczym wielka bariera, zimne i posępne, zawsze zwieńczone czapami śniegu, a w zimie całkowicie nim pokryte.

Spin Ghar leży w Afganistanie, natomiast pasmo Safed - po stronie pakistańskiej. Na żyzne równiny wokół Dżalalabadu z łańcucha Spin Ghar spływają setki strumieni, utworzyły one wiele dolin, w których tubylcy uprawiają małe poletka oraz sady i wypasają owce i kozy.

Żyje się tam ciężko, a ponieważ tak mało jest pożywienia, osiedla w dolinach są małe i rozproszone. Zamieszkują je ludzie, którzy budzili lęk w imperium brytyjskim; w owych czasach nazywano ich Pathanami, dzisiaj - Pasztunami. Wówczas walczyli, kryjąc się wśród skał i strzelając z długich, wykończonych mosiądzem muszkietów zwanych *dżezajl*; żdy mężczyzna umiał z nich strzelać tak celnie jak współczesny snajper.

Rudyard Kipling, piewca *radiu*, panowania kolonialnego, w czterech linijkach wiersza zawarł przewagę, jaką mieli nieugięci górale nad młodymi oficerami starannie przeszkolonymi w Anglii:

Potyczka w granicznej stаницy,

Kłus w ciemnym wąwozie,

Dwa tysiące funtów edukacji

Pada przed dżezajlem za dziesięć rupii.

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku istniała w jednej z tych dolin wioska Maloko - zai, nazwana tak jak wszystkie inne wioski od imienia wojownika - założyciela, od dawna nieżyjącego. Osada składała się z pięciu otoczonych murem kompleksów, z których każdy stanowił domostwo jednej wielopokoleniowej rodziny, liczącej około dwudziestu osób. Wodzem wioski był Nuri Chan i to właśnie w jego domu wokół ogniska w pewien letni wieczór zebrali się mężczyźni, popijając gorącą herbatę bez mleka i cukru.

Domy i pomieszczenia dla zwierząt stawiano wzdłuż muru, tak więc wszystkie budynki skierowane były do wewnątrz. W ognisku płonęły szczapy morwowego drewna, a słońce kryło się już za szczytami daleko na zachodzie; po chwili mrok spowił góry, przynosząc chłód, mimo że był środek lata.

Z kobiecej części dochodziły przyciszone krzyki, lecz gdy któryś zabrzmiał głośniejszym, mężczyźni

przerywali rozmowę, nadstawiając uszu. Żona Nuriego Chana rodziła czwarte dziecko, a jej mąż modlił się, żeby Allah zesłał mu drugiego syna. Mężczyzna powinien mieć synów, by wypasali stada w dzieciństwie i bronili domu, kiedy dorosną. Nuri Chan miał ośmioletniego syna oraz dwie córki.

Panowała już całkowita ciemność i tylko płomienie ogniska oświetlały brodate twarze mężczyzn o jastrzębich nosach, gdy z cienia wybiegła akuszerka. Szepnęła coś na ucho ojcu, którego mahoniowa twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- *Allah akbar*, mam syna! - zawołał. Męscy krewni i sąsiedzi zerwali się jak jeden mąż, zaczęto strzelać karabinów na wiwat. Obejmowano się, składano gratulacje i dziękowano miłosiernemu Allahowi, który zesłał syna swojemu słudze.

- Jak mu dasz na imię? - spytał pasterz z pobliskiego domostwa.

- Nazwę go Ismat po moim dziadku, niech jego dusza spoczywa w wiecznym pokoju - odrzekł Nuri Chan. Tak też się stało, gdy po kilku dniach do wioski przybył imam, by nadać chłopcu imię i go obrzezać.

Ismat był wychowywany zupełnie zwyczajnie. Gdy nauczył się raczkować, raczkował, a gdy zaczął biegać, biegał jak opętany. Podobnie jak wszyscy malcy z wioski chciał robić to, co robili starsi chłopcy; gdy miał pięć lat, pozwolono mu latem wyprowadzać stada na wysokie pastwiska i pilnować ich, podczas gdy kobiety ścinały paszę dla zwierząt na zimę.

Marzył o tym, żeby wyrwać się z domu kobiet, i wreszcie nastąpił ten najwspanialszy dotąd dzień jego życia, w którym pozwolono mu usiąść razem z mężczyznami przy ognisku i słuchać opowieści o tym, jak zaledwie sto pięćdziesiąt lat temu w górach Pasztuni zwyciężyli ubranych w czerwone mundury Angleez. Mówiono o tym tak, jakby zdarzyło się to wczoraj.

Ojciec Ismata był najbogatszym człowiekiem w wiosce, a jego bogactwem były krowy, owce i kozy. One oraz nieustająca troskliwość i ciężka praca zapewniają mięso, mleko i skóry. Poletka kukurydzy dawały ziarno i chleb, drzewa morwowe - owoce, a oliwę tłoczono z orzechów włoskich.

Nie było potrzeby opuszczania wioski, więc przez pierwszych osiem lat życia Ismat Chan jej nie opuszczał. Pięć rodzin korzystało z małego meczetu, a w piątki zbierały się na wspólnych modłach. Ojciec Ismata był człowiekiem pobożnym, lecz nie fundamentalistą, a na pewno nie zaliczał się do fanatyków.

Kraj nosił nazwę Afgańskiej Republiki Demokratycznej, ARD, lecz jak to się często zdarza, nazwa była myląca. Komunistyczny rząd miał silne wsparcie ze strony Związku Radzieckiego. Należy to uznać za dosyć dziwne, bo ludność zamieszkująca w głębi kraju wyznawała islam, a ateizm kojarzył jej się z bezbożnością, był zatem nie do przyjęcia.

Jednak Afgańczycy w miastach mieli umiarkowane poglądy i byli tolerancyjni; fanatyzm narzucono im dopiero później. Kobiety chodziły do szkół, niewiele z nich zakrywało twarze, śpiewy i tańce nie były zakazane, zdarzały się bardzo często, a budząca lęk tajna policja ściagała opozycję polityczną, a nie ludzi podejrzewanych o nieprzestrzeganie nakazów religijnych.

Jedną z dwóch rzeczy łączących wioskę Maloko - zai ze światem zewnętrznym była grupa nomadów Kuszi przewożących kontrabandę na mułach. Kuszi od czasu do czasu wędrowali przez Maloko - zai, unikając wielkiego szlaku prowadzącego do przełęczy Chajber, pilnowanej przez patrole i straż graniczną. - Nomadzi zmierzali do miasta Paraczinar w Pakistanie.

Przynosili wieści z równin i miast, o rządzie w Kabulu i świecie poza dolinami. Mieli też radio, zabytkowy skarb, który piszczał i trzeszczał, lecz później wydawał z siebie słowa, które mieszkańcy wioski rozumieli. Program nadawała sekcja pasztuńska BBC, prezentująca Pasztunom niekomunistyczną wizję świata. Ismat miał spokojne dzieciństwo. A potem przyszli Rosjanie.

Dla wioski Maloko - zai nie miało wielkiego znaczenia, kto ma rację, a kto nie. Nie wiedzieli i nie obchodziło ich to, że komunistyczny prezydent naraził się Moskwie, bo nie potrafił utrzymać w ryzach swojego poletka. Liczyło się tylko to, że cała armia radziecka wkroczyła z Uzbekistanu, forsując Amu - darię, pokonała przełęcz Salang i zajęła Kabul. Wtedy jeszcze nie chodziło o konfrontację islamu z ateizmem; to była po prostu zniewaga.

Ismat Chan otrzymał bardzo podstawowe wykształcenie. Nauczył się wersetów Koranu koniecznych do modlitwy, mimo że zostały spisane w języku zwanym arabskim, którego nie rozumiał. Miejscowy imam nie mieszkał w wiosce na stałe, nabożeństwom przewodniczył Nuri Chan; imam nauczył jednak chłopców z wioski podstaw czytania i pisania, ale tylko w paszto. To ojciec wpoił Ismatowi zasady *pasztunwali*, według którego musi żyć każdy Pasztun. Honor, gościnność, konieczność pomszczenia zniewagi - takie były zasady tego kodeksu. A Moskwa znieważyla Pasztunów.

Ruch oporu zaczął się w górach, partyzanci nazwali się mudżahedinami, wojownikami Boga. Najpierw jednak ludzie gór musieli zwołać konferencję zwaną *szura*, zadecydować, co robić i kto stanie na ich czele.

Nie wiedzieli nic o zimnej wojnie, lecz powiedziano im, że mają potężnych przyjaciół, wrogów Związku Radzieckiego. To brzmiało rozsądnie. Wróg mojego wroga... Pierwszym z owych przyjaciół był sąsiedni Pakistan rządony przez fundamentalistycznego dyktatora Zię al - Hakka. Mimo różnic religijnych sprzymierzył się on z chrześcijańską potęgą o nazwie Ameryka i jej przyjaciółmi, Angleez, dawnymi wrogami Pasztunów.



Mike Martin zakosztował walki i posmakowała mu. Odslużył jedną turę w Irlandii Północnej, gdzie prowadzono działania przeciwko IRA; jednak panowały tam okropne warunki i mimo nieustannej groźby dostania kulą w plecy od snajpera patrole były nudne. Mike rozejrzał się i wiosną tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku zgłosił się na nabór do SAS.

Spora część żołnierzy SAS wywodzi się spośród spadochroniarzy, gdyż szkolenie i działania na polu bitwy są podobne, lecz SAS utrzymuje, że ich szkółki są trudniejsze. Papiery Martina przeszły przez biuro rekrutacyjne pułku w Hereford, gdzie z zainteresowaniem odnotowano, iż płynnie mówi po arabsku. Został zaproszony na kurs selekcyjny.

Ludzie służący w SAS twierdzą, że do nich wybiera się najsprawniejszych kandydatów i jeszcze nad nimi pracuje. Martin zaliczył standardowy, trwający sześć tygodni kurs wstępny wraz z innymi kandydatami spośród spadochroniarzy, piechurów, kawalerzystów, pancerniaków, artylerzystów, a nawet inżynierów. Inna specjalna jednostka uderzeniowa, Special Boat Squadron, przyjmuje rekrutów wyłącznie z piechoty morskiej.

To bardzo prosty kurs oparty na jednej zasadzie. Pierwszego dnia uśmiechnięty sierżant instruktor oznajmił kandydatom:

- W czasie tego kursu nie staramy się was wyszkolić. Staramy się was zabić.

I tak też było. Tylko dziesięć procent kandydatów przeszło „wstępne” szkolenie. Takie podejście pozwala później zaoszczędzić czas. Martin przeszedł. Potem nastąpiły dalsze kursy: ćwiczenia w dżungli w Belize oraz jeden dodatkowy miesiąc poświęcony oporowi w czasie przesłuchań. „Opór” oznacza, że usiłujesz zachować milczenie, gdy poddają cię bardzo nieprzyjemnym praktykom. Dobrze jest to, że zarówno personel pułku, jak i kandydat w każdej chwili mają prawo zażądać powrotu do jednostki.

Martin rozpoczął służbę pod koniec lata tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku w 22. kompanii SAS jako dowódca oddziału w randze kapitana. Wybrał szwadron A, desantowy; jest to naturalny wybór spadochroniarza.

W regimencie spadochronowym nie było żadnego pożytku z jego znajomości arabskiego, w SAS natomiast chętnie ją wykorzystano, gdyż jednostka utrzymywała bliski kontakt ze światem arabskim. Została utworzona na Pustyni Zachodniej w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku i bliski związek z piaskami Arabii nigdy nie poszedł w zapomnienie.

O SAS mówią żartobliwie, że jest jedyną jednostką w armii brytyjskiej, która przynosi zyski; nie jest to do końca prawda, lecz nie jest też od niej dalekie. Członkowie SAS są najbardziej poszukiwanymi ochroniarzami na świecie i specjalistami od ich szkolenia. W całej Arabii sułtani i emirowie zawsze starali się, by SAS szkolił ich straż osobistą, i dobrze za to płacili. Martin dostał pierwszy przydział do Saudyjskiej Gwardii Narodowej w Rijadzie, lecz latem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku został wezwany do kraju.

- Wcale mi się to nie podoba - zaczął dowódca w Sterling Lines w Hereford, kwaterze głównej SAS. - Cholernie mi się to nie podoba, ale te zielone padalce chcą cię wypożyczyć. Chodzi im o Arabów.

Dowódca posłużył się określeniem, którego żołnierze czasem życzliwie używają w odniesieniu do agentów wywiadu. Miał na myśli SIS.

- Nie mają własnych ludzi znających arabski? - zdziwił się Martin.

- Całe ich stada siedzą za biurkami, ale tu nie chodzi tylko o znajomość języka. I w gruncie rzeczy nie chodzi o Arabię. Te typki chcą, żeby ktoś wskoczył za rosyjskie linie w Afganistanie i działał wspólnie z ruchem oporu, z mudżahedinami.

Wojskowy dyktator Pakistanu zarządził, że żaden czynny żołnierz zachodniego mocarstwa nie może się przedostać do Afganistanu przez Pakistan. Nie dodał jednak, że jego wywiad wojskowy ISI z przyjemnością zarządza amerykańską pomocą kierowaną do mudżahedinów; bardzo nie chciał, by jakiś amerykański lub brytyjski żołnierz, przemycony przez terytorium Pakistanu, wpadł w ręce Rosjan, którzy natychmiast pokazaliby go całemu światu.

Jednakże w połowie radzieckiej okupacji Brytyjczycy stwierdzili, że tym, którego należy popierać, nie jest faworyt Pakistańczyków Hekmatjar, lecz Tadżyk Ahmad Szah Masud, nie płaczący się po Europie czy Pakistanie, lecz zadający okupantom prawdziwe straty. Kłopot polegał na tym, że trudno było mu pomóc, gdyż jego terytorium leżało daleko na północy.

Znalezienie dobrego przewodnika wśród mudżahedinów w okolicy przełęczy Chajber nie stanowiło problemu. Tak jak w czasach *radiu*, ę sztuk złota może wiele zdziałać. Istnieje powiedzenie, zgodnie z którym nie można kupić lojalności Afgańczyka, ale zawsze można ją wypożyczyć.

- Rzeczą o kluczowym znaczeniu w każdej fazie operacji, kapitanie, jest brak przynależności - zakomunikowano Martinowi w kwaterze SIS mieszczącej się wówczas w Century House nieopodal stacji metra Elephant and Castle. - Właśnie dlatego musi pan, tylko formalnie, rzecz jasna, odejść z wojska. Oczywiście, kiedy tylko pan wróci, zostanie pan przyjęty. - Agent był na tyle uprzejmy, by użyć słowa „kiedy”, a nie „jeśli”.

Mike Martin wiedział, że w SAS istnieje już supertajna komórka o nazwie Revolutionary Warfare Wing*(Revolutionary Warfare Wing - Skrzydło Wojny Rewolucyjnej), którego zadaniem było przysparzanie kłopotów reżimom komunistycznym na całym świecie. Wspomniał o tym.

- Ta komórka jest jeszcze tajniejsza - odparł ważniak z wywiadu. - Nazywamy ją Jednorożec, bo nie istnieje. W jej skład nigdy nie wchodzi więcej niż dwunastu ludzi, a obecnie jest ich zaledwie czterech. Bardzo nam zależy na tym, żeby ktoś prześliznął się do Afganistanu przez przełęcz Chajber, znalazł sobie miejscowego przewodnika i dotarł z nim do doliny Pandższir, w której operuje Szah Masud.

- Ma zawieźć podarki? - spytał Martin.

Cichociemny rozłożył bezradnie ręce.

- Obawiam się, że tylko dowody sympatii. Bo co może przenieść na grzbiecie jeden człowiek? Ale później wykorzystamy karawany mułów i przierzucimy więcej sprzętu, jeśli Masud zgodzi się wysłać na południową granicę swoich przewodników. Chodzi o nawiązanie pierwszego kontaktu, rozumie pan.

- A podarunek?

- Tabaka. On lubi naszą tabakę. Aha, i jeszcze dwie ręczne wyrzutnie pocisków Blowpipe. Bardzo dokuczają mu ataki z powietrza. Będzie pan musiał nauczyć jego ludzi ich obsługi. Myślę, że wyjedzie pan na pół roku. Co pan na to?



Nie minęło pół roku od inwazji Rosjan, a już było jasne, że Afgańczycy wciąż nie mogą się zjednoczyć, co u nich było normalne. Po tygodniach sporów w Peszawarze i Islamabadzie, w czasie których pakistańscy wojskowi grozili, że nie będą przykazywać amerykańskich funduszy i broni nikomu, kto nie ma ich poparcia, liczba rywalizujących grup oporu spadła do siedmiu. Każda miała swojego politycznego przywódcę oraz komendanta wojskowego. Była to tak zwana peszawarska siódemka.

Tylko dwoje ludzi nie było Pasztunami: profesor Rabbani i jego charyzmatyczny dowódca wojskowy Ahmad Szah Masud, Tadżykowie z północy. Z pozostałych sześciu grup członkowie trzech zyskali wkrótce miano „elegantów”, bo bardzo rzadko zapuszczali się na teren okupowanego Afganistanu. Dowódcy woleli przebywać za granicą, trzymać się z dala od niebezpieczeństwa i paradować w zachodnich ubraniach.

Dwóch z pozostałej trójki, Sajjaf i Hekmatjar, fanatycznie popierało ultraislamskie Stowarzyszenie Braci Muzułmanów; ten drugi był tak okrutny i mściwy, że w czasie wojny zamordował więcej Afgańczyków niż Rosjan.

Najważniejszym dowódcą klanowym w prowincji Nangarhar, w której urodził się Ismat Chan, był mułła Maulwi Junis Chales. Był uczonym i kaznodzieją, jednak błysk w jego oku świadczył o dobroci serca; okrutny Hekmatjar go nienawidził.

Mimo że ponad sześćdziesięcioletni Junis Chales był najstarszy z całej siódemki, jeszcze przez wiele lat zapuszczał się na teren Afganistanu, osobiście prowadząc żołnierzy do boju. A jeśli nie szedł sam, to zastępował go komendant Abd al - Hakk.

W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym wojna dotarła do dolin Spin Ghar. Rosjanie w wielkiej sile wtargnęli do Dżalalabadu, a ich siły powietrzne zaczęły przypuszczać ataki na górskie wioski. Nuri Chan przysiągł wierność Junisowi Chalesowi i otrzymał prawo utworzenia własnego *laszkaru*, oddziału pospolitego ruszenia.

Mógł ukryć większość majątku wioski, czyli zwierząt, w naturalnych jaskiniach, których pełno jest w Górach Białych; ludzie z jego plemienia też mogli znaleźć w nich schronienie przed nalotami. On jednak doszedł do wniosku, że kobiety i dzieci powinny przekroczyć granicę i schronić się w Pakistanie.

Niewielki konwój potrzebował męskiej ochrony w czasie drogi i pobytu w Peszawarze, bez względu na to, jak długo miałyby on potrwać. Nuri Chan wyznaczył do tego zadania swojego ojca, ponad sześćdziesięcioletniego starca, który miał zeszywniałe kończyny. Przygotowano osły i muły do podróży.

Powstrzymując łzy wstydu, że traktuje się go jak dziecko, ośmioletni Ismat Chan uściskał ojca i brata, złapał za uzdę muła wiozącego matkę i skierował się w stronę wysokich szczytów, za którymi leżał Pakistan. Spędził na wygnaniu siedem lat, a po powrocie zaciekle walczył przeciw Rosjanom.

Uzgodniono, że w celu uwiarygodnienia się w oczach świata każdy komendant utworzy partię polityczną. Partia Junisa Chalesa nazywała się Hizb - e Islami, wszyscy jego podkomendni musieli do niej wstąpić. Pod Peszawarem wyrosło miasteczko namiotowe pod auspicjami Organizacji Narodów Zjednoczonych, o której Ismat Chan nigdy wcześniej nie słyszał. Przedstawiciele ONZ uważali, że ugrupowanie każdego komendanta, przemianowane na partię polityczną, powinno mieć własny obóz dla uchodźców, do którego nie będzie się wpuszczać nikogo, kto nie jest członkiem odpowiedniej partii.

Istniała jeszcze jedna organizacja rozdysponowująca żywność i koce. Jej znakiem jest czerwony krzyż z grubymi ramionami. Ten symbol Ismat Chan również zobaczył po raz pierwszy, gdy po długiej i ciężkiej przeprawie przez góry mógł najeść się do syta gorącej zupy. Od mieszkańców obozów, korzystających z hojności Zachodu za pośrednictwem ONZ i generała Zii al - Hakka, wymagano spełnienia jeszcze jednego warunku: chłopcy przebywający w obozach mieli się kształcić w szkołach koranicznych - madrasach. To była ich jedyna edukacja. Nie uczyli się fizyki, historii ani geografii. Mieli bez końca powtarzać wersety Koranu. Drugą część wykształcenia zapewni im wojna.

Imamowie w madrasach byli utrzymywani i finansowani przez Arabię Saudyjską i wielu z nich było Saudyjczykami. Przywieźli ze sobą jedyną odmianę islamu dozwoloną w ich kraju: wahabizm, najsurowszą i najmniej tolerancyjną wersję tej wiary. I tak w pobliżu znaku krzyża, pod którym rozdawano żywność i lekarstwa, całe pokolenie młodych Afgańczyków miało zostać poddane praniu mózgu prowadzącemu do fanatyzmu.

Nuri Chan odwiedzał rodzinę tak często, jak było to możliwe, dwa lub trzy razy do roku, zostawiał wtedy swój *laszkar* rękach starszego syna. Była to jednak ciężka podróż, a Nuri za każdym razem wyglądał starzej. Kiedy przybył do obozu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku, jego twarz była pomarszczona i ściągnięta. Starszy brat Ismata zginął w czasie nalotu, prowadząc ludzi do bezpiecznej jaskini. Pierś piętnastoletniego Ismataomal nie pękła z dumy, gdy ojciec kazał mu iść ze sobą i przyłączyć się do mudzahedinów.

Kobiety wylały wiele łez, a dziadek żalił się, że nie przeżyje kolejnej zimy na równinie pod Peszawarem. Nuri Chan wraz z jedynym synem i ośmioma towarzyszami, którzy przybyli z nim w odwiedziny do swoich rodzin, wyruszył na zachód w stronę gór w prowincji Nangarhar. Wracali na wojnę.

Chłopiec, który powrócił w rodzinne strony, nie był już taki sam; zmienił się także krajobraz okaleczony wybuchami bomb. W dolinach nie ostał się prawie żaden kamienny budynek. Myśliwce szturmowe Suchoj i śmigłowce Mi - 24 D, zwane na Zachodzie Hindami, obróciły w perzynę górskie doliny od Pandższiru aż do północnej granicy, gdzie walczył Szah Masud, a także w Paktii i paśmie górskim Szinkaj. Mieszkańców równin nękali i zastraszaali afgańscy żołnierze albo KHAD, tajna policja wyszkolona przez KGB.

Jednak ludzie gór oraz ci mieszkańcy równin i miast, którzy postanowili się do nich przyłączyć, okazali się odporni i... niepokonani. Mimo wsparcia z powietrza, którego Brytyjczycy ponad sto lat wcześniej nie mieli, Rosjanie doświadczaali na własnej skórze mniej więcej tego samego, co spotkało kolumnę brytyjskiego wojska w czasie samobójczego przemarszu z Kabulu do Dżalalabadu.

Drogi były niebezpieczne ze względu na zasadzki, a góry dostępne tylko z powietrza. Od września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku mudżahedini otrzymywali amerykańskie stingery, co zmusiło Rosjan do latania wyżej. A gdy latali wyżej, nie mogli tak celnie strzelać. Ich straty rosły nieubłaganie, a rany i choroby dziesiątkowały armię. Nawet w całkowicie kontrolowanym społeczeństwie, takim jak rosyjskie, morale wojska spadało na łeb, na szyję.

To była wyjątkowo okrutna wojna. Brano niewielu jeńców, a ci, którzy szybko umierali, mogli mówić o szczęściu. Wojownicy z górskich klanów szczególnie nienawidzili lotników, a gdy wzięli któregoś żywcem, rozpruwali mu brzuch, tak że wylewały się wnętrzności i piekły w słońcu; dopiero śmierć przynosiła ulgę. Albo oddawali go kobietom uzbrojonym w noże służące do obdzierania ze skóry zabitych zwierząt.

W odpowiedzi Rosjanie zrzucali bomby i strzelali raketami do wszystkiego, co się ruszało: mężczyzn, kobiet, dzieci i zwierząt. Z powietrza zrzucali w górach mnóstwo min, które sprawiły, że Afgańczycy stali się narodem ludzi chodzących o kulach, z protezami zamiast kończyn. Wojna pochłonęła wśród Afgańczyków milion ofiar, milion stało się kalekami, a kolejny milion - uchodźcami.

Ismat Chan w czasie pobytu w obozie dowiedział się wszystkiego o karabinach, a jego ulubioną bronią był rzecz jasna kałasznikow AK - 47. Zakrawało to na skrajną ironię, że radziecka broń, ulubiony karabin szturmowy wszystkich grup terrorystycznych na świecie, wykorzystywano w walce właśnie przeciwko Rosjanom. Jednak Amerykanie dostarczali im je nie bez powodu: każdy Afgańczyk mógł uzupełnić amunicję magazynkami zabranymi poległym Rosjanom, dzięki czemu bojownicy nie musieli przenosić amunicji przez góry.

Oprócz karabinów ulubioną bronią Afgańczyków był ręczny granatnik przeciwpancerny, prosty w użyciu, łatwy do załadowania i śmiertelny z małej lub średniej odległości. One też były dostarczane przez Zachód.

Ismat Chan był rosły jak na piętnastolatka; rozpaczliwie próbował zapaść brodę, a góry wnet uczyniły go niesłychanie twardym. Świadkowie widzieli, jak Pasztuni wspinali się po górach niczym kozice, ich nogi zdawały się odporne na wszelkie zmęczenie; oddychali bez wysiłku, gdy inni nie mogli złapać tchu.

Spędził w rodzinnych stronach rok, kiedy ojciec go do siebie wezwał. Był z nim jakiś człowiek z twarzą spaloną słońcem, z czarną brodą, ubrany w szary wełniany *szalwar* kamiz, serdak i mocne buty z cholewami. Na głowie miał pasztuński turban. Za nieznanym leżał na ziemi największy plecak, jaki chłopak widział w życiu, oraz dwie rury owinięte w owczą skórę.

- Ten mężczyzna jest naszym gościem i przyjacielem - oznajmił Nuri Chan. - Przyszedł nam pomóc i walczyć razem z nami. Musi zanieść te rury do Szaha Masuda w Pandższirze, a ty go tam zaprowadzisz.

ROZDZIAŁ 5

Młody Pasztun gapił się na obcego. Wydawało się, że nie zrozumiał polecenia ojca.

- Czy on jest Afgańczykiem? - spytał.

- Nie, to Angleez.

Ismat Chan nie mógł wyjść ze zdumienia. Miał przed sobą starego wroga. Co gorsza, imam w madrasie zaciekle potępiał takich jak on. To musi być *kafir*, *acy*, *nasrani*, ścijanin, który przez całą wieczność będzie się smażył w piekle. A on ma go poprowadzić ponad sto pięćdziesiąt kilometrów przez góry do wielkiej doliny na północy? Spędzać w jego towarzystwie dni i noce? Lecz ojciec Ismata był zacnym człowiekiem, dobrym muzułmaninem, i nazwał obcego przyjacielem. Jak to możliwe?

Anglik stuknął palcami w swoją pierś koło serca.

- *As - salam alajkum*, Ismat Chan - rzekł.

Ojciec nie znał arabskiego, mimo że w górach walczyło teraz wielu arabskich ochotników. Arabowie trzymali się razem, nie było więc potrzeby towarzyszyć im i uczyć się ich języka. Jednak Ismat wielokrotnie przeczytał Koran, napisany w całości po arabsku, a imam mówił tylko w swoim ojczystym języku. Ismat umiał więc porozumiewać się po arabsku.

- *Wa alajkum as - salam* - odparł. - Jak się nazywasz?

- Mike - odparł mężczyzna.

- Ma - ik - powtórzył Ismat. Dziwne imię, pomyślał.

- Dobrze, teraz napijmy się herbaty - zaproponował ojciec. Mieszkali w jaskini jakieś piętnaście kilometrów od ruin swojej wioski. W głębi groty paliło się małe ognisko; było tak daleko od wejścia, że dym nie mógł sięgnąć helikopterów.

- Dzisiejszą noc spędzimy tutaj, a rano wyruszymy na północ. Ja pójdę na południe, by dołączyć do Abd al - Hakka. Będzie kolejna akcja na drodze z Dżalalabadu do Kandaharu.

Zjedli trochę koziego mięsa i ciasteczek ryżowych. A później ułożyli się do snu. Przed świtem dwaj mężczyźni mający udać się na północ zostali obudzeni i ruszyli w drogę. Szlak wiódł przez labirynt łączących się ze sobą dolin, w których były miejsca dające schronienie. Jednak między dolinami wznosiły się ściany gór, strome i skaliste, lecz pozbawione kryjówek. Najlepiej było wspinać się na nie w blasku księżyca, a dni spędzać w dolinach.

Pech dopadł wędrowców drugiego dnia. Chcąc przyspieszyć marsz, opuścili obóz przed świtem i tuż po brzasku znaleźli się na rozległym obszarze pełnym skał i luźnych kamieni, który musieli pokonać, by dotrzeć do następnego wzgórza, gdzie mogliby się schronić. Gdyby chcieli

czekać, musieliby się ukrywać aż do zmierzchu.

Ismat Chan nalegał, żeby iść za dnia. Będąc w połowie zbocza góry, usłyszeli warkot silnika śmigłowca.

Rzucili się na ziemię i zamarli w bezruchu, ale za późno. Nad grzbietem wzgórza niczym mordercza ważka zawisł śmigłowiec Mi - 24 D. Któryś z pilotów musiał dostrzec ruch albo błysk metalu wśród skał, bo maszyna zmieniła kurs i skierowała się w stronę dwóch mężczyzn. Ryk silników Izotowa narastał w ich uszach, podobnie jak charakterystyczny stukot płatów głównego wirnika.

Wciskając głowę w zgięte przedramię, Mike Martin zaryzykował i spojrział w stronę wroga. Bez wątpienia zostali zauważeni. Dwaj piloci, z których jeden siedział z tyłu i nieco wyżej, patrzyli prosto na niego. Maszyna szykowała się do ataku. Taka sytuacja to koszmar każdego piechura. Mike się rozejrzał. Sto metrów dalej znajdowało się skupisko niewielkich głazów, ale można było się za nimi schronić. Krzyknął na Afgańczyka, zerwał się i pobiegł, zostawiając pięć dziesięciokilogramowy plecak, lecz zabierając jedną z rur, które tak intrygowały jego młodocianego przewodnika.

Usłyszał szybkie kroki chłopaka, szum krwi w uszach i warczenie nurkującego helikoptera. Nie rzuciłby się do ucieczki, gdyby nie dostrzegł czegoś, co dawało cień nadziei. Wyrzutnie rakiet Hinda były puste, a pod skrzydłami brakowało bomb. Martin oddychał głęboko rozrzedzonym powietrzem, miał nadzieję, że się nie pomylił. I tak też było.

Pilot Simonów i drugi pilot Grigoriew wylecieli o świcie, by zaatakować dolinę, w której agenci wysledzili ukrywających się mudżahedinów. Z dużej wysokości zrzucili bomby, a potem zeszli niżej, by wypuścić rakiety w skalną szczelinę. Wskoczyło z niej kilka kóz, co wskazywało na to, że w jaskini rzeczywiście ukrywają się ludzie. Simonów zastrzelił zwierzęta z trzydziestomilimetrowego działka, zużywając większość pocisków.

Pilot wzniósł się na bezpieczną wysokość i właśnie zawracał do bazy pod Dżalalabadem, gdy Grigoriew zauważył jakiś ruch na zboczu góry. Widząc biegnących ludzi, przygotował działko do strzału. Helikopter zanurkował. Uciekinierzy kierowali się do grupki głazów. Simonów ustabilizował śmigłowiec na wysokości sześciuset metrów, a gdy dwaj rebelianci rzucili się między kamienie, otworzył ogień. Lufy podwójnego sprzężonego działka zatrzęsły się, wyrzucając pociski, a potem znieruchomiały. Skończyła się amunicja, Simonów zaklął. Zużył pociski na kozy, a tutaj mógł ustrzelić dwóch mudżahedinów i zabrakło mu amunicji. Poderwał nos maszyny i zawrócił szerokim łukiem, omijając grzbiet góry. Po chwili helikopter wyleciał z doliny.

Martin i Ismat Chan kulili się za żalną osłoną. Młody Afgańczyk przyglądał się, jak Angleez błyskawicznie odwija owczą skórę i wyciąga krótką rurę. Nieco wcześniej miał wrażenie, że coś ukuło go w prawe udo, lecz nie poczuł bólu, tylko odrętwienie.

Komandos SAS błyskawicznymi ruchami składał jedną z dwóch wyrzutni Blowpipe, które niósł dla Szaha Masuda do doliny Pandższir. Broń nie dorównywała amerykańskiemu stingerowi, lecz była lżejsza i prostsza w obsłudze.

Niektóre pociski ziemia - powietrze są naprowadzane na cel przez naziemny radar. Inne mają własny mały radar w przedniej części. Jeszcze inne są kierowane podczerwienią. Istnieją też takie, które kierują się na ciepło dzięki termoczuJNIkom umieszczonym na czubku; namierzają ciepło emitowane przez silniki samolotu i lecą w jego stronę. Pocisk Blowpipe działa w o wiele prostszy sposób: strzelający musi stać i przez cały czas kierować rakieta, wysyłając sygnały od małego drążka kontrolnego do ruchomych skrzydełek przy jej czubku.

Wadą blowpipe'a jest to, że żołnierz musi stać nieruchomo i mierzyć w atakujący śmigłowiec, a taki eksperyment przeżyje niewielu. Martin wcisnął dwuczłonowy pocisk do wyrzutni, włączył baterię oraz żyroskop, zerknął przez celownik i zobaczył śmigłowiec, który zawrócił i leciał prosto na niego. Ustabilizował obraz w celowniku i odpalił rakieta, która z poszumem gazów wyleciała z rury i skierowała się ślepo w niebo. Nie mogąc się sama nakierować, czekała teraz na to, że operator za pomocą sygnału skieruje ją w górę lub w dół, w prawo lub w lewo. Martin ocenił odległość na tysiąc trzysta metrów; szybko się zmniejszała. Simonów otworzył ogień z karabinu maszynowego.

Cztery lufy umieszczone w dziobie śmigłowca zaczęły się obracać, wypływając pociski wielkości palca. Nagle pilot dostrzegł mały płomień wylotowy rakiety zbliżający się do śmigłowca. To była kwestia odporności nerwowej. Pociski uderzyły w kamienie, rozsiewając odłamki na wszystkie strony. Trwało to niespełna dwie sekundy, lecz karabin maszynowy śmigłowca wyrzuca dwa tysiące pocisków na minutę, więc około siedemdziesięciu trafiło w skały, zanim Simonów postanowił zejść z toru lotu rakiety. Strumień pocisków przesunął się w bok. Dowiedziono, że w sytuacji zagrożenia człowiek odruchowo kieruje się w lewo. Właśnie dlatego jazda lewą stroną jezdni, mimo że obowiązuje tylko w kilku krajach, jest w istocie bezpieczniejsza. Wystraszony kierowca zjeżdża bowiem z drogi na łąkę, nie powodując czołowego zderzenia. Simonów spanikował i ściągnął helikopter w lewo.

Rakieta odrzuciła pierwszy człon i mknęła z prędkością naddźwiękową. Martin skierował minimalnie rakieta w swoją prawą stronę tuż przed tym, jak Simonów odbił w lewo. W rezultacie pilot odstąpił brzuch śmigłowca i głowica wbiła się w pancerz. Ważyła niecałe trzy kilogramy, a Mi - 24 D jest wyjątkowo potężną maszyną. Jednak nawet tak mała głowica, jeśli pędzi z prędkością tysiąca pięciuset kilometrów na godzinę, potrafi mocno ugodzić. Przebiła grube płyty, wpadła do środka i eksplodowała.

Martin był mokry od potu, mimo że stał na zimnej skale. Zobaczył, że uderzenie pocisku szarpnęło bestię, która zaczęła dymić i spadać na dno doliny.

Runęła do płynącej w dole rzeki i nagle zrobiło się cicho. Dwaj piloci zginęli. Z kadłuba buchnął płomień, a następnie pióropusz ciemnego dymu. To mogło zaalarmować Rosjan w Dżalalabadzie. Łądem była to długa i ciężka wyprawa, lecz myśliwiec szturmowy Suchoj mógł ją pokonać w ciągu kilku minut.

- Chodźmy - rzucił po arabsku Mike do przewodnika. Chłopak próbował wstać, ale nie mógł. Martin zauważył smugę krwi na wewnętrznej stronie jego uda. Bez słowa odłożył wyrzutnię i poszedł po plecak.

Nożem rozciął nogawkę *szalwar kamiz*. była mała i równa, ale wyglądała na głęboką. Jeśli nie

pochoziła pocisku z działka, to musiał ją zrobić odpryskujący kamień; jednak Martin nie mógł stwierdzić, jak blisko tętnicy się znajduje. Uczył się udzielania pomocy w Hereford i był w tym niezły, lecz zbocze afgańskiej góry, na którym za chwilę mogli zjawić się Rosjanie, nie nadawało się do przeprowadzenia skomplikowanej operacji.

- Zginiemy, Angleez? - zapytał chłopak.

- *In sza 'a Allah*, Ismat Chan, nie dzisiaj - odparł Mike. Stał przed trudnym wyborem. Potrzebował plecaka i wszystkiego, co się w nim znajdowało. Mógł nieść albo plecak, albo chłopaka, lecz nie jedno i drugie.

- Znasz tę górę? - spytał, szukając opatrunku.

- Oczywiście - odparł Afgańczyk.

- W takim razie będę musiał tu wrócić z innym przewodnikiem. Powiesz mu, gdzie ona jest. Zakopię plecak i rakietę.

Mike otworzył płaskie pudełko i wyjął strzykawkę. Poblady chłopak obserwował go uważnie.

Niech tak będzie, pomyślał. Jeśli niewierny chce mnie torturować, jego wola. Nie usłyszy mojego jęku.

Angleez wbił mu igłę w udo. Afgańczyk milczał. Po kilku sekundach, gdy morfina zaczęła działać, ból w nodze zelżał. Pokrzepiony na duchu chłopak próbował wstać. Anglik wyjął z plecaka małą składaną łopatkę i zabrał się do kopania dołka w ziemi między skałami. Później zamaskował plecak i dwie wyrzutnie kamieniami, tak że nic nie było widać. Zapamiętał jednak kształt stosu. Jeśli doprowadzą go w to miejsce, odzyska cały sprzęt.

Chłopak zaklinał się, że może iść o własnych siłach, lecz Martin po prostu zarzucił go sobie na ramię i ruszył. Afgańczyk, sama skóra, kości, mięśnie i ścięgna, ważył około pięćdziesięciu kilogramów, czyli nie więcej niż plecak. Mimo to wspinaczka w rozrzedzonym powietrzu, na przekór sile ciężenia, nie wchodziła w rachubę. Mike poszedł na ukos przez rumowisko i powoli zaczął schodzić w dolinę. Okazało się, że postąpił słusznie.

Zestrzelone samoloty zawsze przyciągały Pasztunów, którzy chętnie zabierali z nich wszystko, co nadawało się do użytku lub miało jakąkolwiek wartość. Rosjanie jeszcze nie zauważyli dymu, a ostatni meldunek Simonowa był krzykiem, z którego nikt nic nie rozumiał. Jednak dym zwrócił uwagę niewielkiego oddziału mudzahedinów z sąsiedniej doliny. Spotkali się na wysokości około trzystu metrów nad dnem doliny.

Ismat Chan opowiedział o zdarzeniu. Ludzie gór uśmiechnęli się szeroko i zaczęli klepać Anglika po plecach. On zaś tłumaczył im, że jego przewodnik potrzebuje pomocy, a nie kubka herbaty w obozie. Potrzebny był transport i chirurg. Jeden z mudzahedinów znał człowieka mieszkającego dwie doliny dalej, który miał muła. Poszedł po niego. Wrócił o zmierzchu. Martin zrobił Afgańczykowi drugi zastrzyk z morfiny.

Ismat Chan wsiadł wreszcie na muła i z nowym przewodnikiem ruszyli w drogę. Było ich trzech, szli nocą. O świcie dotarli do południowych zboczy Spin Ghar; przewodnik zatrzymał się i wskazał przed siebie.

- Dżadzi - rzekł. - Tam są Arabowie.

Oznajmił, że chce zabrać swojego muła. Martin przeniósł chłopaka ostatnie trzy kilometry. Dżadzi było skupiskiem pięciuset jaskiń; tak zwani afgańscy „Arabowie” od trzech lat pogłębiali je i poszerzali, tworząc z nich wielką bazę partyzancką. Martin o tym nie wiedział, lecz mieściły się w nich koszary, meczet, biblioteka z księgami religijnymi, kuchnie, sklepy oraz w pełni wyposażony szpital polowy.

Martina zatrzymali wartownicy z zewnętrznych posterunków. Nie ulegało wątpliwości, że niesie na plecach rannego. Wartownicy zaczęli się zastanawiać, co zrobić z przybyszami. Martin rozpoznał arabski z Afryki Północnej. Przerwał im jakiś wyższy rangą mężczyzna mówiący jak Saudyjczyk. Martin wszystko rozumiał, lecz uznał, że roztropniej będzie milczeć. Na migi pokazał, że jego towarzysz potrzebuje pomocy chirurga. Saudyjczyk skinął głową i kazał mu iść za sobą.

W ciągu godziny Ismat został zoperowany; lekarz wyciągnął z jego nogi kawałek pocisku z działka.

Martin poczekał, aż chłopak się obudzi. Przykucnął na miejscową modłę w kącie szpitala polowego; wszyscy brali go za Pasztuna z gór, który przyniósł rannego przyjaciela.

Godzinę później do szpitala weszło dwóch mężczyzn. Jeden był bardzo wysoki, młody, z brodą. Na burnusie nosił wojskowe moro, a na głowie biały turban. Drugi był niski, tęgawy, miał nie więcej niż trzydzieści pięć lat; na jego małym, pękatym nosie tkwiły okrągłe okulary. Był ubrany w chirurgiczny fartuch. Po obejrzeniu dwóch pacjentów ze swoich szeregów, przybysze podeszli do Afgańczyka. Wysoki mężczyzna mówił po saudyjsku.

- Jak się miewa nasz młody afgański wojownik?

- *In sza'a Allah*, czuję się o wiele lepiej, szejku - odpowiedział po arabsku Ismat, zwracając się z szacunkiem do rozmówcy. Tamten dobrze to przyjął.

- Taki młody, a już zna arabski - zauważył z uśmiechem.

- Spędziłem siedem lat w madrasie w Peszawarze. Wróciłem w zeszłym roku, żeby walczyć.

- Za co walczysz, synu?

- Za Afganistan - odparł chłopak. Czoło Saudyjczyka się zachmurzyło. Ismat zorientował się, że oczekiwano od niego innej odpowiedzi.

- I za Allaha, szejku - dodał.

Oblicze rosnącego mężczyzny rozpromieniło się, a na jego ustach zagościł uśmiech. Saudyjczyk

pochylił się i poklepał młodzieńca po ramieniu.

- Nadejdzie dzień, w którym Afganistanowi nie będziesz już potrzebny, lecz miłosierny Allah zawsze potrzebuje wojowników takich jak ty. Jak się goi rana naszego młodego przyjaciela?

Mężczyzna skierował to pytanie do lekarza przypominającego powieściowego Pickwicka.

- Zobaczmy - odparł doktor, odwijając opatrunek. Rana była czysta, otoczona siniakiem, lecz zaszyta i wolna od infekcji. Lekarz cmoknął z zadowolenia i poprawił opatrunek.

- Za tydzień będziesz chodził - oznajmił doktor Ajman az - Zawahiri. On i Osama bin Laden wyszli ze szpitala. Nikt nie zwrócił uwagi na spoconego, umorusanego mudżahedina, który kucnął w kącie, oparłszy głowę na kolanach, jakby spał.

Teraz wstał i podszedł do chłopaka leżącego na łóżku.

- Muszę ruszać - powiedział. - Arabowie się tobą zajmą. Spróbuję znaleźć twojego ojca i poproszę o nowego przewodnika. Niech Allah będzie z tobą, przyjacielu.

- Uważaj na siebie, Ma - ik - odparł chłopak. - Ci Arabowie nie są tacy jak my. Ty jesteś kafir, niewierny. Oni myślą tak jak imam z mojej madrasy. Nienawidzą wszystkich niewiernych.

- Wobec tego będę wdzięczny, jeśli nie powiesz im, kim jestem - rzekł Anglik. Ismat Chan zamknął oczy. Raczej zginie na torturach, niż zdradzi swojego nowego przyjaciela. Tak nakazywał kodeks. Kiedy otworzył oczy, Anglika nie było. Później dowiedział się, że Angleez dotarł do Szaha Masuda w Pandższirze, lecz nigdy więcej go nie zobaczył.



Spędziwszy pół roku za radzieckimi liniami w Afganistanie, Mike Martin nierozpoznany przedostał się przez Pakistan do kraju. Do arsenału swoich umiejętności dodał płynną znajomość paszto. Dostał urlop, a potem wrócił do wojska; jako czynny żołnierz SAS znów został wysłany do Irlandii Północnej. Tym razem jednak wszystko przebiegało inaczej.

Bojownicy IRA naprawdę bali się żołnierzy SAS, dlatego największym ich marzeniem było zabicie albo jeszcze lepiej schwytanie żywcem i zamordowanie po torturach tak zwanego SAS - mana. Mike Martin trafił do 14. kompanii zwiadu zwanej „Detachment”, w skrócie Det.

Członkowie kompanii obserwowali, śledzili i podsłuchiwali. Mieli być niewidzialni, a ich zadaniem było dowiadywanie się, gdzie IRA skieruje następne uderzenie. Aby zdobyć informacje, dokonywali niezwykłych wyczynów.

Wślizgiwali się do domów przywódców IRA przez dach i instalowali podsłuch. Umieszczali pluskwy w trumnach zabitych bojowników, gdyż dowódcy IRA mieli zwyczaj przeprowadzać narady, udając, że składają hołd zmarłemu. Kamerami dalekiego zasięgu filmowali mówiących, a specjaliści od czytania z ruchu warg rozszyfrowywali słowa. Za pomocą specjalnych mikrofonów nagrywali rozmowy przez zamknięte okna. A gdy trafiali na wyjątkowo cenną informację, przekazywali ją siłom

uderzeniowym.

Zasady walki były ściśle określone. Bojownicy IRA najpierw musieli otworzyć ogień do żołnierza SAS, a jeśli rzucali broń, należało ich brać do niewoli. Żołnierze SAS i spadochroniarze musieli posługiwać się bronią bardzo ostrożnie. Brytyjscy politycy oraz prawnicy wprowadzili ostatnio zasadę, zgodnie z którą wrogowie Wielkiej Brytanii mają prawa obywatelskie, lecz jej żołnierze - nie.

Martin spędził półtora roku w Ulsterze i brał udział w organizowaniu zasadzek. W każdej z nich osaczano grupę uzbrojonych bojowników IRA, ci zaś okazywali się na tyle głupi, by wyciągnąć broń. I za każdym razem miejscowa policja znajdowała rano zwłoki.

W czasie drugiej potyczki Martin otrzymał postrzał. Kula trafiła w lewy biceps; Martin został odesłany do kraju na leczenie i rekonwalescencję w Headley Court w Leatherhead. Właśnie tam poznał pielęgniarkę Lucindę i wkrótce się z nią ożenił.

Wróciwszy do spadochroniarzy na wiosnę tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku, Mike Martin dostał przydział do Ministerstwa Obrony w Whitehall w Londynie. Wynajął domek koło Chobham, żeby Lucinda mogła kontynuować pracę, i po raz pierwszy dojeżdżał porannym pociągiem do Londynu razem z tysiącami innych pracowników ubranych w ciemne garnitury. Otrzymał stopień oficera sztabowego trzeciej kategorii i pracował w MOSP*(*Military Operations, Special Project Units) - Sekcji Wojskowych Projektów Specjalnych. I znów, tak jak kiedyś, zbrojna napaść jednego kraju na drugi sprawiła, że oderwano go od biurka.

Drugiego sierpnia tego właśnie roku dyktator Iraku Saddam Husajn rozkazał swoim wojskom napaść na sąsiedni Kuwejt. I znów Margaret Thatcher powiedziała „stop”, a prezydent Stanów Zjednoczonych George H. W. Bush jej przyklasnął. W ciągu tygodnia zaczęto pospiesznie przygotowywać plany działania wielonarodowej koalicji, która miała przeprowadzić kontruderzenie i wyzwolić bogaty w ropę miniaturowy kraj.

Mimo że MOSP działała na pełnych obrotach, wpływy SIS były tak silne, że odszukano Martina i „zasugerowano”, by zjadł posiłek z kilkoma przyjaciółmi.

Lunch odbył się w St. James, a gospodarzami byli dwaj starsi agenci Firmy. Przyszli w towarzystwie urodzonego w Jordanii naturalizowanego brytyjskiego analityka wywiadu ściągniętego z Zarządu Głównego Łączności Rządowej w Cheltenham. Jego zadaniem było podsłuchiwanie i rozpracowywanie rozmów radiowych prowadzonych w świecie arabskim. Jednak w czasie posiłku miał pełnić inną funkcję.

Zadawał Mike'owi Martinowi pytania, mówiąc szybko po arabsku, a ten odpowiadał. Wreszcie analityk skinął głową dwóm cichociemnym z Century House.

- Nigdy czegoś takiego nie słyszałem - oznajmił. - Z tą twarzą i głosem może mu się udać.

Wypowiedziawszy tę kwestię, wstał i odszedł od stołu. Najwyraźniej spełnił już swoje zadanie.

- Bylibyśmy diabelnie wdzięczni, gdyby pojechał pan do Kuwejt i sprawdził, co się tam dzieje - zaczął starszy stopniem agent.

- A co na to armia? - spytał Martin.

- Mam wrażenie, że wojskowi rozumieją nasz punkt widzenia - mruknął drugi mężczyzna.

Armia znów trochę pogderała, ale zgodziła się puścić Mike'a. Kilka tygodni później, podając się za beduińskiego poganiacza wielbłądów, Martin przeszedł granicę Arabii Saudyjskiej i wkroczył do okupowanej przez Irakijczyków części Kuwejt. Posuwając się wolno na północ w stronę miasta Kuwejt, minął kilkanaście irackich patroli, które jednak nie zwróciły uwagi na brodatego nomadę prowadzącego dwa wielbłądy na targ. Beduini są tak nieugięte apolityczni, że od tysiącleci patrzyli na najeźdźców sunących przez Arabię to w jedną, to w drugą stronę, i nigdy się nie wtrącali. Dlatego najeźdźcy przeważnie dają im spokój.

Martin spędził w Kuwejcie kilka tygodni i w tym czasie nawiązał kontakt z raczkującym kuwejckim ruchem oporu, nauczył bojowników podstaw walki, zanotował pozycje Irakijczyków, ich słabe i mocne punkty, a potem opuścił ten kraj.

W czasie wojny w Zatoce ponownie dostał się na terytorium wroga, lecz tym razem do samego Iraku. Przekroczył saudyjską granicę od zachodu i po prostu wsiadł do irackiego autobusu jadącego do Bagdadu. Udawał prostego chłopca wiozącego koszyk z kurami.

Znalazłszy się w dobrze sobie znanym mieście, zatrudnił się jako ogrodnik u bogatych ludzi mieszkających w willi; sam zamieszkał w budzie na skraju ogrodu. Jego zadanie polegało na gromadzeniu informacji i przekazywaniu ich dalej; miał do tego małą, składaną antenę paraboliczną. Iracka tajna policja nie była w stanie przechwycić wysyłanych przez Martina sygnałów, które docierały jednak do Rijadu.

Jedną z najpilniej strzeżonych tajemnic tej wojny było to, że Firma miała wtyczkę, „swojego człowieka” wysoko postawionego w rządzie Saddama. Martin nigdy się z nim nie spotkał; tylko przejmował listy zostawiane w skrzynkach kontaktowych, a następnie wysyłał je do Arabii Saudyjskiej, gdzie sztab sił koalicyjnych dowodzonych przez Amerykanów przyjmował je ze zdumieniem i podziwem. Saddam skapitulował dwudziestego ósmego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku; Mike Martin opuścił Bagdad i omal nie został zastrzelony przez patrol francuskiej Legii Cudzoziemskiej, gdy w ciemności przekraczał granicę.



Rankiem piętnastego lutego tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku generał Borys Gromów, dowódca radzieckiej 40. Armii okupującej Afganistan, przeszedł samotnie przez most Przyjaźni nad Amu - daria do Uzbekistanu. Wcześniej przeszła po nim cała jego armia. Wojna dobiegła końca.

Euforia nie potrwiała długo. Radziecki Wietnam zakończył się katastrofą. Państwa satelickie Związku Radzieckiego zaczynały się otwarcie buntować, a gospodarka popadała w ruinę. W

listopadzie berlińczycy zburzyli mur i imperium zła się rozpadło.

W Afganistanie Rosjanie zostawili rząd, który zdaniem analityków miał rychło upaść, gdy zwycięscy komendanci utworzą stabilną ekipę i przejmą władzę. Jednak mędrzy się mylili. Rząd prezydenta Nadżibullaha, lubiącego whisky afgańskiego przywódcy, którego Rosjanie zostawili w Kabulu, utrzymał się z dwóch powodów. Po pierwsze armia afgańska była silniejsza od wszystkich innych ugrupowań zbrojnych w kraju i dzięki wsparciu tajnej policji KHAD zdołała utrzymać pod kontrolą miasta, a zatem większość ludności.

Jednak ważniejszym powodem było to, że komendanci nie dość, że nie utworzyli rządu, to jeszcze zaczęli się między sobą kłócić. W ten sposób doprowadzili do wybuchu wojny domowej.

Wszystko to nie miało wpływu na Ismata Chana. Jego ojciec, mimo iż przedwcześnie się postarzał, a jego kończyny zeszytywniały, wciąż był głową rodziny i pomógł odbudować Maloko - zai. Kamień po kamieniu, gład po gładzie, Afgańczycy oczyścili rumowisko, które pozostało po wybuchach bomb oraz rakiet, i wzniesli siedzibę klanu obok sadu, w którym rosły morwy i granaty.

Kiedy noga się zagoiła, Ismat wrócił na wojnę i przejął faktycznie dowództwo *laszkaru* ojcu; ludzie poszli za nim, bo miał za sobą chrest bojowy. Po nastaniu pokoju jego oddział przechwycił ogromny skład broni, której Rosjanie nie zdołali wywieźć.

Przenieśli arsenał przez góry Spin Ghar do miasta Paraczinar w Pakistanie, które jest w istocie wielkim targowiskiem broni. Tam zamienili ruską stal na krowy, kozy i owce potrzebne do odnowienia stad.

Przedtem życie było ciężkie, lecz zaczynanie wszystkiego od nowa było jeszcze trudniejsze; jednak Ismat lubił pracować i cieszył się poczuciem triumfu, że wioska Maloko - zai znów odżyje. Mężczyzna musi mieć korzenie, a jego korzenie wyrastały właśnie tam. W wieku dwudziestu lat wzywał w piętek wiernych na modlitwę, a potem ją prowadził.

Wędrowni Kuszi przechodzący przez wioskę nieśli ponure wieści z równin. Armia Afganistanu, lojalna wobec prezydenta Nadżibullaha, wciąż utrzymywała miasta w swoich rękach, lecz komendanci panoszyli się wszędzie indziej, a poczynali sobie niczym rozbójnicy. Ustawiali posterunki kontrolne na głównych drogach, ogołacali podróżnych z pieniędzy i dobytku albo dotkliwie bili.

Pakistan, czyli ISI, popierał Hekmatjara; na terenach, gdzie ten watażka przejął władzę, zapanował absolutny terror. Wszyscy komendanci stanowiący kiedyś siódemkę z Peszawaru walczącą przeciwko Rosjanom teraz skakali sobie do gardeł, a naród cierpiał. Mudżahedini, dawni bohaterowie, przeistoczyli się w tyranów. Ismat Chan dziękował litościwemu Allahowi, że nie musi mieszkać na równinach.

Po zakończeniu wojny prawie wszyscy Arabowie wyszli z gór i swoich jaskiń. Ten, który jeszcze przed końcem działań wojennych stał się ich niekwestionowanym przywódcą, rosły Saudyjczyk ze szpitala polowego, też odszedł. Zostało ich około pięciuset, lecz nie cieszyli się sympatią; byli rozproszeni i żyli jak żebracy.

Dwudziestoletni Ismat Chan w czasie pobytu w sąsiedniej dolinie zobaczył dziewczynę, która prała ubrania w strumieniu. Nie usłyszała stukania końskich kopyt, bo zagłuszał je szmer wody; Ismat Chan zdążył się jej przyjrzeć, zanim zasłoniła twarz żabem. dziewczyna była piękna.

Ismat uczynił to, co uczyniłby każdy młody mężczyzna. Poradził się matki, która bardzo się ucieszyła. Wraz z dwiema ciotkami Ismata ukuły radosny spisek, by namówić Nuriego Chana do skontaktowania się z ojcem dziewczyny i uzgodnienia warunków ożenku. Miała na imię Mariam, ślub zawarto pod koniec wiosny tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku.

Odbył się pod gołym niebem, wiatr zrywał kwiaty z drzew orzechowych. Była uczta, a panna młoda przyjechała ze swojej wioski na specjalnie przystrojonym koniu. Grano na fletach i tańczono pod drzewami taniec *attan*; jasna, brali w nim udział wyłącznie mężczyźni. Jako absolwent madrasy, Ismat sprzeciwiał się śpiewom i tańcom, lecz jego ojciec był tak szczęśliwy, że nie chciał mu psuć nastroju. Tak więc na jeden dzień Ismat odsunął na bok swoje surowe wahabickie przekonania i też zatańczył na łące. Oczy panny młodej podążały za nim wszędzie.

Odstęp między pierwszym spojrzeniem nad brzegiem strumienia a ślubem był konieczny zarówno do tego, by strony mogły ustalić wielkość wiana, jak i do zbudowania nowego domu w obrębie siedziby rodziny Chanów. Właśnie tam zabrał ją Ismat, gdy wyczerpani wieśniacy powrócili do domów; jego matka stała trzydzieści metrów dalej i z satysfakcją skinęła głową, słysząc pojedynczy krzyk świadczący o tym, że jej synowa stała się kobietą. Trzy miesiące później było jasne, że w lutym wyda na świat dziecko.

Kiedy Mariam nosiła w łonie potomka Ismata, powrócili Arabowie. Nie było wśród nich wysokiego Saudyjczyka, który przebywał w odległym kraju o nazwie Sudan. Przysyłał jednak pieniądze, a dzięki temu, że opłacił komendantów, mógł założyć obozy szkoleniowe. Do Chalid Ibn al - Walid, Al - Faruk, Chaldanu, Sadik, Dżihad Waj i Darunty przybyły tysiące młodych ochotników z całego arabskiego świata, by przygotować się do wojny.

Ale do jakiej wojny? Ismat Chan zauważył, że Arabowie nie stają po żadnej ze stron w wojnie domowej pomiędzy klanowymi watażkami. Z kim więc zamierzali walczyć? Wkrótce się dowiedział, że rosły mężczyzna, którego jego zwolennicy nazywali emirem, ogłosił dżihad przeciw rządowi swojego kraju, Arabii Saudyjskiej, oraz przeciwko Zachodowi.

Jednakże Ismat Chan nie miał zatargów z Zachodem. Zachód bronią i pieniędzmi pomógł Afgańczykom pokonać Rosjan, a jedyny *kafir*, którego Ismat poznał, ocalił mu życie. Stwierdził, że to nie jego dżihad, nie jego święta wojna. On troszczył się o swój kraj, który za sprawą komendantów pogrążył się w coraz większym, obłąkańczym chaosie.

ROZDZIAŁ 6

Regiment spadochronowy przyjął Martina z powrotem na swoje łono; nikt nie zadawał pytań, bo takie było polecenie. Jednak na Mike'a już patrzono trochę jak na dziwaka. W każdej jednostce wojskowej dwie niewyjaśnione półroczne absencje muszą ściągać zdziwione spojrzenia przy śniadaniu. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim wysłano go do college'u sztabowego w Camberley, a stamtąd wrócił do ministerstwa, lecz już jako major.

Znów trafił do zarządu operacji wojskowych, ale tym razem jako oficer sztabowy drugiego stopnia; skierowano go do departamentu trzeciego zajmującego się Bałkanami. Wciąż szalała tam wojna, dominowali w niej Serbowie kierowani przez Miloševicia; świat z odrazą patrzył na czystki etniczne. Zzymając się na beczynność, ubrany w ciemny garnitur, Martin przez dwa lata dojeżdżał do pracy z przedmieść Londynu.

Oficerowie, którzy służyli kiedyś w SAS, mogą wrócić na drugą turę, lecz tylko na zaproszenie. Mike Martin odebrał telefon z Hereford pod koniec tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. To był prezent gwiazdkowy, na który liczył. Jednak prezent nie uszczęśliwił Lucindy.

Nie mieli dzieci, ich kariery zawodowe zmierzały w różne strony. Lucindzie zaproponowano awans; stwierdziła, że jest to jej życiowa szansa, ale by z niej skorzystać, musiała przeprowadzić się do Midlands. Ich związek przeżywał kryzys, a Mike Martin otrzymał rozkaz objęcia dowództwa nad szwadronem B 22. Pułku SAS, mającym dotrzeć potajemnie do Bośni. Oficjalnie oddział miał być częścią misji pokojowej Organizacji Narodów Zjednoczonych UNPROFOR. W rzeczywistości chodziło o tropienie i chwytywanie zbrodniarzy wojennych. Mike nie mógł przedstawić Lucindzie szczegółów; oznajmił tylko, że znów wyjeżdża.

To była ostatnia kropla. Żona uznała, że Mike wraca do Arabii, i w istocie postawiła mu ultimatum: albo spadochroniarze, SAS i zakichana pustynia, albo Birmingham i małżeństwo. Mike wybrał pustynię.



Dawny przywódca partii Hizb - e Islami, Junis, zginął i partia dostała się pod całkowitą kontrolę Hekmatjara, którego Ismat nienawidził za okrucieństwo.

Zanim w lutym tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku przyszło na świat dziecko Ismata, prezydent Nadzibullah stracił władzę, pozostał jednak przy życiu; przebywał w należącym do ONZ domu w Kabulu. Podobno zastąpił go na stanowisku profesor Rabbani, lecz ten jako Tadżyk był nie do przyjęcia dla Pasztunów.

Poza stolicą rządzili komendanci, lecz wszędzie szerzył się chaos i anarchia.

Działo się jednak coś jeszcze. Po zakończeniu wojny tysiące młodych Afgańczyków wróciło do pakistańskich madras, by dokończyć edukację. Inni, którzy byli za młodzi, żeby walczyć, udali się tam, by uzyskać jakiegokolwiek wykształcenie. Tymczasem wahabici zapewnili im kilkuletnie pranie mózgow. Teraz Afgańczycy wracali, lecz bardzo się różnili od Ismata Chana.

Stary Junis Chales, choć głęboko religijny, miał w sobie odrobinę umiarkowania, toteż w jego madrasie w obozie dla uchodźców nauczano islamu z minimalną domieszką łagodności. W innych skupiano się na ustępach Koranu dotyczących dżihadu. Sędziwy Nuri Chan, choć także bogobożny, był wyrozumiały dla ludzi, nie widział więc nic zdrożnego w śpiewach, tańcach, sporcie i szczypcie tolerancji.

Ci, którzy wracali, byli źle wykształceni, bo uczyli ich imamowie, którzy sami ledwo umieli czytać. Nie wiedzieli nic o życiu, o kobietach (większość żyła i zmarła jako prawiczki), a nawet kulturze swojego plemienia, którą Ismat poznał dzięki ojcu. Oprócz Koranu znali tylko jedno: wojnę. Większość pochodziła z dalekiego południa, gdzie zawsze panowała najsurowsza odmiana islamu w całym Afganistanie.

Latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku Ismat Chan wraz z kuzynem wyjechali z doliny i ruszyli w stronę Dżalalabadu. Wyprawa była krótka, lecz młodzi mężczyźni zdążyli zobaczyć krwawą masakrę, jaką ludzie Hekmatjara zgotowali wiosce, która odmówiła im dalszego płacenia daniny. Mężczyzn torturowano, a potem zamordowano, kobiety zostały pobite, a wioska spalona. Ismat Chan oglądał to wszystko z odrazą. W Dżalalabadzie dowiedział się, że to, co widział, nie jest niczym nadzwyczajnym.

Potem doszło do pewnego wydarzenia na dalekim południu. Po upadku szczątkowego rządu dawna armia afgańska po prostu przeszła pod dowództwo watażki, który zapłacił najwięcej. Pod Kandaharem żołnierze zabrali do obozu dwie nastoletnie dziewczynki i dopuścili się na nich zbiorowego gwałtu.

Duchowny z wioski, gdzie mieszkały dziewczęta, udał się do obozu z trzydziestoma swoimi uczniami uzbrojonymi w szesnaście strzelb. Pokonali przeważające siły regularnego wojska i powiesili komendanta na lufie czołgu. Duchowny nazywał się Muhammad Umar, lecz później stał się znany jako mułła Umar. Miał tylko jedno oko, bo drugie stracił w bitwie.

Wieść rozeszła się po okolicy; ludzie zwracali się do niego o pomoc. Oddział rósł, a mułła reagował na prośby. Ochotnicy nie brali pieniędzy, nie gwałcili kobiet, nie kradli żywności, nie prosili o nagrodę. Stali się lokalnymi bohaterami. W grudniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku było ich dwanaście tysięcy; wszyscy nosili czarne turbany tak jak mułła Umar. Nazywali się uczniami. W paszto uczeń to *talib*. gromady wiejskich ochotników przekształcili się w ruch społeczny, a gdy opanowali Kandahar, utworzyli tam alternatywny rząd.

Pakistańczycy przy wsparciu wiecznie knującej służby wywiadowczej ISI usiłowali obalić Tadżyka Rabbaniego, by wzmocnić Hekmatjara, lecz ten ciągle przegrywał. ISI, do cna opanowane przez ultraortodoksyjnych muzułmanów, zaczęło popierać talibów. Po zdobyciu Kandaharu nowy ruch odziedziczył ogromny arsenał z czołgami, samochodami opancerzonymi, ciężarówkami, karabinami maszynowymi, sześcioma myśliwcami MiG 21 oraz sześcioma opancerzonymi śmigłowcami. Ruszyli na północ. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku Ismat Chan uściskał żonę, pocałował dziecko i zszedł z gór, żeby się do nich przyłączyć.

Później, siedząc na posadzce celi na Kubie, wspominał najszcześniejsze dni swojego życia, spędzone w wiosce z żoną i dzieckiem. Miał dwadzieścia trzy lata.

Poniewczasie dowiedział się, że ruch talibów ma drugą, ciemną stronę. Pasztuni w Kandaharze, mimo że byli religijni, zostali poddani najsurowszemu reżimowi, jaki kiedykolwiek widział świat islamu.

Niezwłocznie zamknięto wszystkie szkoły dla dziewcząt. Kobiety mogły wychodzić z domu tylko w towarzystwie męskiego krewnego. Nakazano noszenie zakrywającej wszystko burki, stukanie kobiecych sandałów o terakotę zostało uznane za zbyt wyzywające i zabronione.

Zakazano także śpiewów, tańców, słuchania muzyki, sportu oraz puszczenia latawców, które było narodową rozrywką. Wszyscy musieli się modlić pięć razy dziennie zgodnie z wymogami religii. Mężczyźni mieli przymusowo zapuścić brody. Egzekutorami nakazów bywali często nastoletni fanatycy w czarnych turbanach, nauczeni tylko wersetów miecza, okrucieństwa i wojny. Z wyzwolicieli przemienili się w tyranów, lecz byli nie do powstrzymania. Ich misja polegała na pozbawieniu władzy komendantów, a ponieważ tych wszyscy nienawidzili, ludzie podporządkowywali się surowym regułom. Przynajmniej zapanowało prawo i porządek; skończyła się korupcja, gwałty i przestępstwa, została tylko fanatyczna ortodoksja.

Muła Umar był wojującym kaznodzieją, ale nikim więcej. Rozpoczął rewolucję, wieszając gwałciciela na lufie czołgu, a potem osiadł w Kandaharze, swojej fortecy na południu kraju. Jego zwolennicy przypominali ludzi średniowiecza, a jedną z wielu rzeczy, których nie znali, był strach. Cztili jednookiego mułę niewychodzącego poza cztery ściany domu. Zanim ruch talibów upadł, zginęło za mułę osiemdziesiąt tysięcy wyznawców. Przebywający w dalekim Sudanie wysoki Saudyjczyk, któremu dawało posłuch dwadzieścia tysięcy Arabów w obozach w Afganistanie, obserwował i czekał.

Ismat Chan przyłączył się do *laszkaru* ęczyzn pochodzących z jego prowincji - Nangarharu. Szybko zyskał sobie szacunek, bo był dojrzały ponad wiek, walczył z Rosjanami i odniósł rany.

Armia talibów nie była prawdziwą armią: nie miała generała, sztabu, korpusu oficerskiego, stopni i infrastruktury. Każdy *laszkar* ł częściowo niezależny, dowodził nim plemienny przywódca; który zdobywał to stanowisko dzięki silnej osobowości, odwadze w boju i zapałowi religijnemu. Podobnie jak muzułmanie w czasach pierwszych kalifatów, zawdzięczali zwycięstwa fanatycznej odwadze; ich sława niezwycięzonych była tak wielka, że przeciwnicy częstokroć składali broń bez jednego wystrzału. Jednak kiedy wreszcie trafili na prawdziwych żołnierzy charyzmatycznego tadżyckiego komendanta Szaha Masuda, ponieśli ogromne straty. Talibowie nie mieli służby medycznej, więc ich ranni umierali przy drodze. Mimo to fanatyczni wojownicy parli dalej.

U bram Kabulu rozpoczęły negocjacje z Masudem, on jednak nie przyjął ich warunków i wycofał się w góry na północy, w których opierał się Rosjanom. Tak zaczęła się następna wojna domowa między talibami i Sojuszem Północnym Tadżyka Masuda i Uzbeka Dostuma. Był rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty szósty. Tylko Pakistan, który go zorganizował, oraz Arabia Saudyjska, która go finansowała, uznały nowy dziwaczny rząd Afganistanu. Dla Ismata Chana klamka zapadła. Jego stary sojusznik Szah Masud stał się teraz wrogiem. Daleko na południu wylądował samolot. Przyleciał nim wysoki Saudyjczyk, który rozmawiał z nim przed ośmioma laty w jaskini w Dżadzi, i tęgi doktor, ten sam, który wyciągnął z nogi Ismata kawałek pocisku. Obaj natychmiast złożyli hołd mulle Umarowi, płacąc mu ogromny datek i w ten sposób zapewniając sobie jego dożgoną

lojalność.

Po zajęciu Kabulu przez talibów w wojnie nastąpiła przerwa. Jednym z pierwszych działań nowych władz było wywleczenie z domu obalonego prezydenta Nadżibullaha, którego poddano torturom, okaleczono i stracono, a zwłoki powieszono na latarni. Ten akt zapowiadał charakter rządów talibów. Ismat Chan nie pochwalał niepotrzebnego okrucieństwa. Walczył jako ochotnik o wyzwolenie kraju i został dowódcą *laszkaru*, óry ciągle rósł, aż wreszcie jego oddział stał się jedną z czterech dywizji armii talibów. Wtedy Ismat Chan poprosił o pozwolenie na powrót do Nangarharu i został jej gubernatorem. Stacjonując w Dżalalabadzie, mógł odwiedzać rodzinę - żonę i dziecko.

Nigdy w życiu nie słyszał o Nairobi czy Dar es - Salaam ani o Williamie Jeffersonie Clintonie. Słyszał o stacjonującej w kraju grupie zwanej Al - Kaidą i wiedział, że jej przywódcy ogłosili światowy dżihad przeciwko wszystkim niewiernym, a zwłaszcza Zachodowi i państwu o nazwie Ameryka. Nie był to jednak jego dżihad.

Walczył z Sojuszem Północnym, żeby raz na zawsze zjednoczyć ojczyznę; Sojusz został zepchnięty do dwóch małych enklaw. Hazarowie bronili się w górach Daraisuf, a sam Masud schronił się w niedostępnej dolinie Pandższir w północnowschodnim zakątku kraju zwanym Badachschanem.

Siódmego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku w ambasadach amerykańskich w dwóch afrykańskich stolicach eksplodowały bomby. Ismat Chan nic o tym nie wiedział. Słuchanie radia było teraz zabronione, a on się podporządkował. Dwudziestego pierwszego sierpnia Ameryka wystrzeliła na Afganistan siedemdziesiąt pocisków Tomahawk. Rakiety pochodziły z krążowników raketowych „Cowpen” i „Shiloh” pływających po Morzu Czerwonym oraz z niszczycieli „Briscoe”, „Hayler”, „Milius” i z okrętu podwodnego „Columbia”, które pływały po Morzu Arabskim na południe od Pakistanu.

Skierowane były w obozy szkoleniowe Al - Kaidy i jaskinie Tora Bora. Jedna z tych, które zmyliły drogę, wpadła do pustej jaskini w górach nad wioską Maloko - zai. Wybuch w głębi groty rozpołowił górę, odpadła cała jedna ściana. Na leżącą w dole wioskę runęło dziesięć milionów ton skał.

Kiedy Ismat tam dotarł, z trudem rozpoznał okolicę. Cała dolina została przywalona. Nie było już strumienia, poletek, sadów, zagród dla bydła, meczetu, stajni ani domów. Jego rodzina i wszyscy sąsiedzi zginęli. Rodzice, wujowie, ciotki, siostry, żona i dziecko leżeli pogrzebani pod milionami ton granitu. Nie było nawet sensu kopać. Ismat został mężczyzną bez korzeni, bez krewnych i klanu.

W blasku umierającego sierpniowego słońca uklęknął na rumowisku wysoko nad miejscem śmierci swojej rodziny, zwrócił się na zachód w kierunku Mekki, przygiął głowę do ziemi i pomodlił się. Jednak tym razem była to inna modlitwa: Ismat Chan ze wszystkich sił poprzysiągł zemstę ludziom, którzy to uczynili, ogłosił osobisty dżihad. Wypowiedział wojnę Ameryce.

Tydzień później zrezygnował z funkcji gubernatora i wrócił na front. Przez dwa lata walczył z Sojuszem Północnym. Pod jego nieobecność błyskotliwy taktyk Masud przeprowadził kontratak i znów zadał ogromne straty gorzej wyszkolonym talibom. Doszło do masakry w Mazar asz - Szarif,

gdzie Hazarowie wzniesli powstanie i zabili sześćuset talibów. Ci zaś w odwecie wymordowali ponad dwa tysiące cywilów.



Podpisano porozumienie w Dayton, które oficjalnie zakończyło wojnę w Bośni. Jednak to, co po niej zostało, przypominało koszmar. Głównym teatrem wojny były tereny zajmowane przez bośniackich muzułmanów, lecz wzięli w niej udział Bośniacy, Serbowie i Chorwaci. Był to najkrwawszy konflikt w Europie od czasów drugiej wojny światowej.

Najlepiej ze wszystkich uzbrojeni Chorwaci i Serbowie dopuścili się największej liczby okrucieństw. Do głębi - i słusznie - zawstydzona Europa ustanowiła trybunał w Hadze w Holandii i czekała na pierwsze akty oskarżenia. Problem polegał na tym, że winni nie zamierzali zgłosić się przed trybunał z rękoma w górze. Miloševićowi nawet się śniło ułatwić trybunałowi zadania, a co gorsza, szykował nowe czystki w kolejnej muzułmańskiej prowincji, Kosowie.

Zamieszкана wyłącznie przez ludność pochodzenia serbskiego prowincja Jugosławii ogłosiła się Republiką Serbską i tam właśnie znalazła schronienie większość zbrodniarzy wojennych. Zadanie polegało na tym, by ich odszukać, zidentyfikować, pojmać i postawić przed sądem. Wysłany na te tereny oddział SAS spędził rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty siódmy głównie w lasach i na polach, tropiąc ludzi oskarżonych o popełnienie zbrodni wojennych.

W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym Martin wrócił do Wielkiej Brytanii. Znow służył w jednostce spadochroniarzy, miał stopień podpułkownika i był instruktorem w Camberley. W następnym roku został dowódcą 1. Batalionu Spadochronowego. Sojusznicy z NATO ponownie przeprowadzili interwencję na Bałkanach, tym razem bardziej w porę, dzięki czemu udało się zapobiec masakrze, którą media mogłyby określić jakże często nadużywanym mianem ludobójstwa.

Wywiad przekonał rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, że Milošević planuje dogłębnie „oczyścić” zbuntowaną prowincję Kosowo. Zamierzał dokonać tego, wypędzając większość z miliona ośmiuset tysięcy mieszkańców na zachód do sąsiedniej Albanii. Pod sztandarem NATO sojusznicy postawili Miloševićowi ultimatum. On jednak je zignorował i tysiące zrozpaczonych, pozbawionych wszelkiego dobytku Kosowian zostało wypędzonych przez górskie przełęcze do Albanii.

W odpowiedzi NATO nie przeprowadziło inwazji lądowej, tylko trwające siedemdziesiąt osiem dni naloty, które spowodowały ogromne straty zarówno w Kosowie, jak i w serbskiej Jugosławii. Widząc, że kraj jest zrujnowany, Milošević wreszcie ustąpił i wojska NATO wkroczyły do Kosowa, by zająć się administrowaniem ruinami. Dowódcą został człowiek, który całe wojskowe życie spędził w jednostce spadochronowej, Mike Jackson. Wysłano tam 1. Batalion Spadochronowy.

Prawdopodobnie byłaby to ostatnia akcja bojowa Mike Martina, gdyby nie West Side Boys.



Dziewiątego września dwa tysiące pierwszego roku w całej armii talibów rozeszła się elektryzująca wieść, która sprawiła, że żołnierze wznieśli gromki okrzyk: *Allah akbar*, jest wielki. Powietrzem nad obozem pod Bamijan, w którym przebywał Ismat Chan, wstrząsnęły salwy radości. Ktoś zabił w zamachu Ahmada Szaha Masuda. Wróg talibów nie żył. Zginął człowiek, którego charyzma podtrzymywała władzę nędznego prezydenta Rabbaniego, człowiek, którego spryt w partyzanckiej walce budził podziw Rosjan i który potrafił roznosić na strzępy dywizje talibów.

Został zamordowany przez dwóch zamachowców samobójców, ultrafanatyków z Maroka, którzy posługiwali się belgijskimi paszportami i udawali dziennikarzy; nasłał ich Osama bin Laden, chcąc wyświadczyć przysługę mulle Umarowi. To nie Saudyjczyk obmyślił ten fortel, lecz znacznie od niego inteligentniejszy Ajman az - Zawahiri, który wiedział, że jeśli Al - Kaida pomoże Umarowi w ten sposób, jednooki mułła nigdy nie wypędzi ich z kraju mimo tego, co miało wkrótce nastąpić.

Jedenastego września nad wschodnim wybrzeżem Stanów Zjednoczonych wprowadzono cztery samoloty pasażerskie. Półtorej godziny później dwa z nich zburzyły wieże World Trade Center na Manhattanie, jeden spadł na Pentagon, a czwarty, którego pasażerowie wdarli się do kabiny pilota, żeby oderwać porywaczy od sterów, rozbił się na pustym polu.

W ciągu paru dni ustalono tożsamość dziewiętnastu porywaczy, a kilka dni później prezydent Stanów Zjednoczonych postawił mulle Umarowi proste ultimatum: wydaj prowadzących albo poniesiesz konsekwencje. Ale Umar pamiętał, kto mu pomógł usunąć Masuda, i nie mógł się ugiąć przed żądaniem Amerykanów. Tak stanowił kodeks.

W zachodniej Afryce leży państewko Sierra Leone, niegdyś bogata brytyjska kolonia, przez wojnę domową oraz ludzkie okrucieństwo zamieniona w piekło na ziemi, siedlisko bandytyzmu, brudu, chorób i ubóstwa, w którym tysiące ludzi chodzi z odrąbanymi rękoma. Wiele lat wcześniej Brytyjczycy postanowili interweniować; pod naciskiem opinii międzynarodowej ONZ zgodziła się tam wysłać piętnaście tysięcy żołnierzy, którzy na ogół siedzieli w koszarach w stolicy kraju, Freetown. Dżungla zaczynająca się za rogatkami miasta była po prostu uważana za zbyt niebezpieczną. Jednak w siłach ONZ znalazła się jedna brytyjska jednostka, która zaczęła patrolować prowincję.

Pod koniec sierpnia jedenastoosobowy patrol Królewskich Rangerów Irlandzkich zboczył z głównej drogi i został zwabiony do wioski stanowiącej kwaterę bandy rebeliantów nazywającej się West Side Boys. Byli to rozszalali psychopaci, wiecznie upojeni rodzimym czystym alkoholem; nacierali sobie dżiąsła kokainą albo robili nacięcia na rękach i wcierali w nie narkotyki, żeby szybciej poczuć „strzał”. Bestialstwa, których dopuszczali się na sporym obszarze wobec prostych chłopów, nie nadają się do opisanego; banda liczyła jednak czterystu ludzi uzbrojonych po zęby. Rangerzy zostali szybko pojmani i stali się zakładnikami.

Mike'a Martina, który odsłużył turę w Kosowie, skierowano razem z batalionem do Freetown; zostali zakwaterowani w obozie Waterloo. Po skomplikowanych negocjacjach sześciu rangerów udało się wykupić, lecz pozostałych sześciu rebelianci zamierzali pokroić na kawałki. Szef Sztabu Obrony w Londynie, sir Charles Guthrie, wydał rozkaz: wkroczyć do obozu wroga i odbić zakładników.

Grupa uderzeniowa składała się z czterdziestu ośmiu komandosów z SAS, dwudziestu czterech z SBS i dziewięćdziesięciu żołnierzy z 1. Batalionu Spadochronowego. Dziesięciu komandosów SAS w kamuflażu zrzucono tydzień przed akcją; zamieszkali tuż obok wioski bandytów. Niezauważeni przez nikogo obserwowali, nasłuchiwali i przesyłali informacje. Wszystko, co mówili i robili West Side Boys, było podsłuchiwane i śledzone przez zwiadowców z SAS, którzy siedzieli w dżungli kilka metrów od nich. Dzięki nim Brytyjczycy dowiedzieli się, że nie ma już nadziei na wydostanie zakładników metodami pokojowymi.

Mike Martin wkroczył w drugiej kolejności, gdy pocisk z moździerza rebeliantów ranił sześciu żołnierzy z pierwszej fali, między innymi dowódcę, którego musiano natychmiast ewakuować.

Dwie bliźniacze wioski Gberi Bana i Magbeni leżały nad cuchnącą mulistą rzeczką Rokel Creek. Siedemdziesięciu dwóch komandosów z SAS i SBS zdobyło wioskę Gberi Bana, w której przetrzymywano zakładników, uratowało ich wszystkich, a następnie odparło szereg szaleńczych kontrataków. Dziewięćdziesięciu spadochroniarzy opanowało Magbeni. O świcie w każdej z wiosek było około dwustu członków grupy West Side Boys.

Wzięto sześciu jeńców, których skrupowano i zawieziono do Freetown. Kilku bandytów umknęło do dżungli. Nie próbowano liczyć zwłok w zgłiszczach wiosek i w dżungli, lecz nikt nie wątpił, że zginęło co najmniej trzystu West Side Boys.

Komandosi z SAS i spadochroniarze mieli dwunastu rannych; jeden komandos, Brad Tinnion, zmarł. Mike Martin wylądował w drugim śmigłowcu Chinook i poprowadził końcowe natarcie na Magbeni. To była walka w starym stylu, w półdystansie, twarzą w twarz. Nacierający na południowym brzegu spadochroniarze stracili nadajnik radiowy w tym samym wybuchu, który zabił ich dowódcę. Dlatego nie mogli słuchać meldunków z helikopterów krążących w górze i przez to nie wiedzieli, czy salwy moździerzy są celne, a dżungla była za gęsta, żeby widzieli efekty ostrzału.

Spadochroniarze musieli więc rzucić się do ataku, wrzeszcząc i klnąc. West Side Boys, którym najlepiej wychodziło torturowanie chłopów i więźniów, umykali i ginęli. Nie ocalał ani jeden.

Uplłynęło prawie pół roku od powrotu Martina do Londynu, kiedy zobaczył w telewizji niewiarygodne zdjęcia samolotów pasażerskich z pełnymi zbiornikami, które jeden po drugim wbiły się w bliźniacze wieże World Trade Center. Tydzień później stało się jasne, że Stany Zjednoczone będą musiały wkroczyć do Afganistanu, za zgodą rządu w Kabulu lub bez niej, by ścigać ludzi odpowiedzialnych za zamach.

Londyn natychmiast zgodził się udzielić Amerykanom wszelkiej pomocy; w pierwszej kolejności potrzebne były latające cysterny i siły specjalne. Szef placówki SIS w Islamabadzie oznajmił, że będzie potrzebował posiłków.

To była sprawa dla Vauxhall Cross, lecz attache Ministerstwa Obrony w Islamabadzie także poprosił o pomoc. Mike'a Martina znów oderwano od biurka w kwaterze głównej sił powietrznodesantowych w Aldershot. Następnym samolotem odleciał do Islamabadu jako oficer łącznikowy sił specjalnych.

Przybył tam dwa tygodnie po zniszczeniu World Trade Center, w dniu, w którym siły alianckie przypościły pierwsze ataki.

ROZDZIAŁ 7

Ismat Chan wciąż był dowódcą na północy na froncie w Badachsanie, gdy bomby spadły na Kabul. Świat patrzył na stolicę Afganistanu i śledził taktyczne uderzenia dywersyjne na południu kraju, a amerykańskie siły specjalne wkroczyły do Badachszanu, by wspomóc generała Fahima, który przejął dowodzenie nad armią Masuda. Tam miano stoczyć prawdziwą walkę, reszta była tylko zasłoną dymną dla mediów. Kluczową rolę miały odgrywać siły lądowe Sojuszu Północnego oraz amerykańskie samoloty.

Rachityczne lotnictwo Afganistanu zostało unicestwione, zanim maszyny oderwały się od ziemi. Czołgi i artyleria były likwidowane, gdy tylko je zauważono. Uzbecki komendant Raszid Dostum, od kilku lat przebywający bezpiecznie po drugiej stronie granicy, został namówiony do powrotu i utworzenia drugiego frontu na północnym zachodzie. W ten sposób odciążył Fahima walczącego na północnym wschodzie. Kluczem do zwycięstwa było oznaczanie celów, technika, która po cichu zrewolucjonizowała działania wojenne od czasu pierwszej wojny w Zatoce w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku.

Ukryci wśród sprzymierzeńców obserwatorzy z sił specjalnych za pomocą lornetek dalekiego zasięgu rozpoznawali okopy wroga, artylerię, czołgi, składy amunicji i żywności oraz bunkry dowództwa. Każdy oznaczali kropką promieni podczerwonych z ręcznego projektora, a następnie wysyłali sygnał przez radio. Po chwili następował atak z powietrza.

Talibowie walczący z Sojuszem Północnym byli w ten sposób atakowani z dalekiego południa, gdzie wzdłuż wybrzeża krążyły amerykańskie lotniskowce, lub z niszczycieli czołgów A - 10 nadlatujących z Uzbekistanu, który został za to sownie wynagrodzony. Obiekty były niszczone jeden po drugim bombami i raketami niezawodnie prowadzonymi promieniem podczerwonym; później Tadżykowie rzucali się do triumfalnego ataku.

Ismat Chan nieustannie się wycofywał, oddając jedną pozycję po drugiej. Armia talibów na północy liczyła na początku trzydzieści tysięcy ludzi, lecz każdego dnia traciła około tysiąca. Nie było lekarstw, możliwości ewakuacji ani lekarzy. Z okrzykiem *Allah akbar* rzucali się pod grad kul. Ranni odmawiali modlitwę i umierali.

Pierwsi ochotnicy dawno wyginęli. Została garstka. Talibskie oddziały rekrutacyjne siłą wcielały do armii dziesiątki tysięcy nowych mężczyzn, lecz wielu z nich nie chciało walczyć. Liczba prawdziwych fanatyków topniała. A Ismat Chan wciąż musiał ich wycofywać; był przekonany, że walcząc na czele w każdej bitwie, nie przetrwa kolejnego dnia. Osiemnastego listopada talibowie znaleźli się w mieście Kunduz.

Dziwnym zrzędzeniem losu Kunduz jest małą enklawą południowców z plemienia Gilzaj, odłamu Pasztunów, ze wszystkich stron otoczoną przez Tadżyków i Hazarów. Dzięki temu talibowie mogli tam znaleźć schronienie. Tam też skapitulowali.

Dla Afgańczyków wynegocjowana kapitulacja nie jest hańbiącą, a ustalone warunki są zawsze dotrzymane. Cała armia talibów poddała się generałowi Fahimowi.

Wśród talibów były dwie grupy nie pochodzące z Afganistanu. Pierwszą stanowiło sześciuset Arabów bezgranicznie oddanych Osamie bin Ladenowi, który ich tam przysłał. Trzy tysiące ich rodaków już zginęło, a Amerykanie twierdzili, że nie będą łać łaż, jeśli pozostali również trafią na łono Allaha.

Było także około dwóch tysięcy Pakistańczyków, co w razie ujawnienia wprawiłoby Islamabad w straszliwe zakłopotanie. Po jedenastym września pakistańskiemu dyktatorowi generałowi Muszarrafowi nie pozostawiono cienia wątpliwości, że może albo zostać wiernym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych i otrzymywać miliardy dolarów pomocy, albo za pośrednictwem ISI wspierać talibów i Bin Ladena, co wiązało się z jasno określonymi konsekwencjami. Muszarraf wybrał Stany Zjednoczone.

Jednak ISI wciąż miało niewielką armię agentów walczących w Afganistanie po stronie talibów; ci ochotnicy nie wzbraniałoby się przed ujawnieniem, że zachęcano ich, by szli na północ. Pakistańczycy utworzyli po cichu most powietrzny i w ciągu trzech nocy większość z nich przerzucono z powrotem na terytorium Pakistanu.

Zawarto również tajną umowę i sprzedano około czterech tysięcy jeńców Stanom Zjednoczonym oraz Rosji; sumy wahały się w zależności od tego, jaką wartość przedstawiał konkretny jeńiec. Rosjanie chcieli dostać Czeczenów i Uzbeków nastawionych wrogo wobec rządu w Taszkencie (chodziło o wyświadczenie Taszkientowi przysługi).

Armia, która złożyła broń, liczyła na początku czternaście tysięcy żołnierzy, lecz jej szeregi nieustannie topniały. Ciągającym na północ dziennikarzom z całego świata, pragnącym opisać prawdziwą wojnę, dowódcy Sojuszu Północnego ogłosili, że wzięli tylko osiem tysięcy jeńców.

Następnie postanowili przekazać pięć tysięcy ludzi uzbeckiemu dowódcy generałowi Dostumowi, który chciał zabrać ich na zachód do leżącego na jego terytorium Szeberghanu. Zapakowano ich do stalowych kontenerów bez jedzenia i wody; byli tak ściśnięci, że mogli tylko stać i wyciągać głowy, by złapać haust powietrza. Po drodze żołnierze z konwoju postanowili zrobić w kontenerach otwory, przez które wpadałoby powietrze. W tym celu posłużyli się ciężkimi karabinami maszynowymi i strzelali dopóty, dopóki nie ustały krzyki.

Z pozostałych trzech tysięcy piętnastu jeńców wybrano Arabów. Pochodzili z całego muzułmańskiego świata, byli wśród nich Saudyjczycy, Jemeńczycy, Marokańczycy, Algierczycy, Egipcjanie, Jordańczycy i Syryjczycy. Ultraradykalni Uzbeki zostali wydani na łaskę Taszkientu, podobnie jak większość Czeczenów, lecz kilku udało się pozostać. W czasie kampanii w Afganistanie Czeczeni wyrobili sobie opinię najzacieklej szych, najokrutniej szych i najbardziej fanatycznych bojowników, gotowych poświęcić życie w walce.

Reszta jeńców, czyli dwa tysiące czterystu, została w rękach Tadżyków i nigdy więcej o nich nie usłyszano. Jeden z tych, którzy segregowali więźniów, odezwał się do Ismata Chana po arabsku. Ten odpowiedział w tym samym języku i dlatego zaliczono go do Arabów. Nie nosił na ubraniu żadnych dystynkcji, był umorusany, głodny i wycieńczony. Kiedy go popchnięto, bez oporu poszedł. W ten sposób znalazł się w grupie sześciu Afgańczyków, którzy mieli trafić do Mazar asz - Szarif w ręce generała Dostuma i jego Uzbeków. Na miejscu przebywali już zachodni dziennikarze, a

przedstawiciele ONZ zagwarantowali więźniom bezpieczeństwo.

Sprowadzono ciężarówki i załadowano do nich sześciuset więźniów, którzy ubitym szlakiem mieli pojechać na zachód do Mazar asz - Szarif. Jednak właściwym celem ich podróży nie było samo miasto, lecz olbrzymie więzienie forteca leżące szesnaście kilometrów dalej na zachód.

I tak przybyli do wrót piekła, które nosiło nazwę Kalat i Dżangi.



Podbicie Afganistanu, licząc od zrzucenia pierwszych bomb na Kabul do zajęcia stolicy przez wojska Sojuszu Północnego, zajęło około pięćdziesięciu dni, lecz siły specjalne Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii zaczęły działać w tym kraju znacznie wcześniej. Mike Martin rwał się do akcji, lecz brytyjska wysoka komisja w Islamabadzie poinformowała go, że jest potrzebny na miejscu do utrzymywania kontaktów z pakistańskim korpusem oficerskim.

Potem był Bagram. Ta dawna wielka radziecka baza lotnicza na północ od Kabulu miała się stać główną siedzibą aliantów w czasie ewentualnej okupacji Afganistanu. Stojące tam samoloty talibów były wypatroszonymi wrakami, a z wieży kontrolnej zostały ruiny. Jednak pasy startowe były ogromne, a potężne hangary i koszary, zajmowane niegdyś przez radziecki garnizon, można było odbudować przy odpowiednim nakładzie czasu i pieniędzy.

Bazę przejęto w trzecim tygodniu listopada; oddział SBS stawił się tam, by zabezpieczyć interesy Brytyjczyków. Mike Martin wykorzystał tę informację jako pierwszorzędny pretekst, by zabrać się z Amerykanami z lotniska w Rawalpindi i - jak to ujął - rzucić okiem na ten przybytek.

Obiekt wyglądał ponuro i był pozbawiony wszelkich wygód, lecz oddział SBS „wyzwolił” samodzielnie hangar, zanim Amerykanie położyli łapę na wszystkim; komandosi schronili się w głębi budynku, jak najdalej od lodowatego wiatru.

Żołnierze mają wyjątkowy talent do urządzania się w najosobliwszych miejscach, a członkowie sił specjalnych są w tym mistrzami, bo trafiają w dziwniejsze miejsca niż większość żołnierzy. Dwudziestoosobowy oddział SBS wyruszył po łupy land - roverami i zdobył kilkanaście stalowych kontenerów towarowych, które natychmiast wciągnięto do środka.

Korzystając z beczek, desek i odrobiny pomysłowości, przerobiono je na kwatery z łózkami, kanapami, stolikami, światłem elektrycznym i - co niesłychanie ważne - gniazdkami elektrycznymi, do których można było podłączyć czajnik elektryczny i zaparzyć herbatę.

Rankiem dwudziestego szóstego listopada dowódca oddziału rzekł do swoich ludzi:

- Chyba coś się dzieje w Kalat - i Dżangi na zachód od Mazar. Część więźniów zorganizowała bunt, odebrała broń strażnikom i stawia opór. Myślę, że powinniśmy się tam rozejrzeć.

Wybrano sześciu komandosów i zatankowano dwa land - rovery. Kiedy oddział szykował się do odjazdu, Martin zapytał:

- Mógłbym się z wami zabrać? Może przyda się wam tłumacz.

Dowódca oddziału SBS miał stopień kapitana, a Martin był podpułkownikiem spadochroniarzy. Nikt nie zaprotestował, więc Mike wsiadł do drugiego land - rovera obok kierowcy. Za nim usadowiło się dwóch komandosów z karabinem maszynowym kalibru 30 milimetrów. Ruszyli na północ; jazda miała trwać sześć godzin. Zmierzali do przełęczy Salang na północnej równinie, a stamtąd do miasta Mazar i fortu Kalat - i Dżangi.

Wtedy nie było jasne, co doprowadziło do masakry więźniów, i wciąż pozostaje to kwestią sporną.

Zachodnie media, nigdy niewahające się przedstawić czegoś zupełnie opacznie, uporczywie nazywały jeńców talibami. Z wyjątkiem sześciu Afgańczyków, którzy znaleźli się tam przez przypadek, jeńcy nie byli talibami, tylko pobitą armią Al - Kaidy. Ci ludzie przybyli do Afganistanu po to, by prowadzić dżihad, walczyć i ginąć. Z Kunduzu wysłano zatem transport sześciuset najniebezpieczniejszych bojowników na całym Bliskim Wschodzie.

W Kalat czekało na nich stu słabo wyszkolonych Uzbeków, którymi dowodził rozpaczliwie niekompetentny oficer. Raszid Dostum wyjechał, zostawiwszy więzienie pod pieczęią swojego zastępcy Sajjida Kamila.

Wśród sześciuset jeńców było około sześćdziesięciu nie Arabów, których można podzielić na trzy kategorie. Czeczeni już w Kunduzie zorientowali się, że wysyłka do Rosjan to najpewniejsza recepta na śmierć, więc jakoś się od tego wymigali. Uzbekcy opozycjoniści także odgadli, że w ojczyźnie czeka ich marny koniec, więc ukryli się w tłumie. Pakistańczycy zaś chcieli uciec przed repatriacją do Pakistanu i popełnili błąd, gdyż tam zostaliby wypuszczeni na wolność.

Resztę stanowili Arabowie. W przeciwieństwie do większości talibów byli ochotnikami, skrajnymi fanatykami, a nie wieśniakami siłą wcielonymi do wojska. Wszyscy przeszli obozy szkoleniowe Al - Kaidy, umieli walczyć i nie zależało im na życiu. Prosilili tylko Allaha, by dał im szansę zabrania ze sobą na tamten świat kilku ludzi z Zachodu lub ich przyjaciół. Uważali, że każdy, kto ginie w ten sposób, jest *szahidem*, męczennikiem.

Fort w Kalat nie został zbudowany tak jak forty na Zachodzie. Jest to rozległy dziesięcioakrowy kompleks z otwartymi przestrzeniami, drzewami i parterowymi budynkami. Całość otacza piętnastometrowy mur, lecz jego boki są pochyłe, tak że można się na niego wdrapać jak na rampę i ponad zwieńczeniem spojrzeć na drugą stronę.

Ten gruby mur kryje labirynt koszar, sklepików i przejść, a pod nimi znajduje się drugi labirynt tuneli i cel. Uzbeki, którzy zdobyli fort zaledwie przed dziesięcioma dniami, nie wiedzieli, że w południowym końcu mieści się arsenał i magazyn talibów. I właśnie tam zapędzili jeńców.

W Kunduzie odebrano im karabiny i granatniki, ale nikt nie przeprowadził rewizji osobistej. Gdyby to zrobiono, okazałoby się, że każdy jeńiec ma jeden lub dwa granaty ukryte w ubraniu. Właśnie tak wyposażeni więźniowie zostali przywiezieni w konwoju do Kalat.

Pierwsza zapowiedź późniejszego dramatu nastąpiła w sobotni wieczór po dotarciu ciężarówek na miejsce. Siedzący w piątym aucie Ismat Chan usłyszał huk z odległości stu metrów. Wokół jednego z Arabów zebrało się kilku uzbeckich strażników, a więzień zdetonował granat, rozrywając siebie i pięciu wrogów na strzępy. Nadchodziła noc. Nie było światła. Ludzie Dostuma postanowili przeprowadzić rewizję nazajutrz rano. Zapędzili jeńców do fortu, nie dając im jedzenia ani wody; kazali im usiąść na ziemi i obstawili uzbrojonymi strażnikami, którzy już stali się nerwowi.

O świcie zaczęła się rewizja. Więźniowie, wciąż potulni, bo wyczerpani po bitwach i długiej jeździe, pozwolili skrępować sobie ręce za plecami. Uzbegy nie mieli sznurów, więc użyli turbanów więźniów. Jednak turbany to nie sznury.

Każdego jeńca po kolei stawiano na baczność i obszukiwano. Znajdowano pistolety, granaty oraz... pieniądze. Cały ich stos zabrali do budynku Sajjid Kamil i jego zastępcy. Uzbecki żołnierz, który jakiś czas potem zajrzał do środka, zobaczył, że napychają sobie nimi kieszenie. Wszedł, żeby zaprotestować, lecz nie przebierając w słowach, kazano mu się wynosić. On jednak wrócił z karabinem.

Zobaczyli to dwaj więźniowie i uwolnili skrępowane ręce. Wkroczyli do pomieszczenia za żołnierzem, wyrwali mu karabin i kolbą zatłukli na śmierć wszystkich trzech Uzbeków. Nie padł ani jeden strzał, więc incydent przeszedł niezauważony, lecz fort zamienił się w wielką beczkę prochu.

Dwaj agenci CIA, Johnny „Mike” Spann i Dave Tyson, nieco wcześniej wkroczyli na teren kompleksu; Spann zaczął przesłuchiwać więźniów zgromadzonych na otwartym terenie. Otaczało go sześciuset fanatyków, których jedynym marzeniem przed udaniem się do Allaha było zabicie Amerykanina. Nagle jeden z Uzbeków spostrzegł uzbrojonego Araba i krzyknął. Arab wystrzelił i go zabił. Beczka prochu eksplodowała.

Ismat Chan siedział na ziemi i czekał na swoją kolej. Podobnie jak inni uwolnił ręce z więzów. Kiedy trafiony uzbecki żołnierz padł, jego koledzy siedzący na murach otworzyli ogień z karabinów maszynowych. Rozpoczęła się rzeź.

Ponad stu jeńców zginęło, siedząc ze skrępowanymi rękami; w takiej pozycji znaleźli ich obserwatorzy ONZ, którzy wkroczyli na teren, gdy zrobiło się wystarczająco bezpiecznie. Inni więźniowie rozwiązywali ręce towarzyszom, by ci mogli walczyć. Ismat Chan poprowadził swoich pięciu rodaków. Pobiegli, klucząc, do południowej ściany, gdzie mieścił się arsenał. Ismat wiedział o tym, bo był w forcie, kiedy ten znajdował się jeszcze w rękach talibów.

Na Mike'a Spanna rzuciło się dwudziestu najbliższych siedzących Arabów; zabili go ciosami pięści i kopniakami. Dave Tyson opróżnił magazynek pistoletu, strzelając w tłum; usłyszawszy szcęk iglicy w pustej komorze, rzucił się do ucieczki i w ostatniej chwili zdołał dopaść głównej bramy.

Dziesięć minut później na środku kompleksu pozostali tylko zabici i ranni, którzy wołali o pomoc. Po pewnym czasie umierali. Uzbegy znajdowali się teraz za murem; główną bramę zatrzasknięto, więźniowie zostali w środku. Rozpoczęło się oblężenie, które potrwało siedem dni; nikt nawet nie myślał o tym, by brać jeńców. Każda ze stron uważała, że przeciwnik złamał warunki kapitulacji, lecz wówczas nie miało to już żadnego znaczenia.

Jeńcy błyskawicznie sforsowali drzwi arsenału i rozdysponowali znaleziony skarb. Broni i zapasowej amunicji wystarczyłoby dla małej armii. Pięciuset buntowników miało karabiny, granatniki, granaty oraz moździerze. Każdy chwycił, co mógł, i bojownicy rozpiechli się po tunelach i przejściach, opanowując w ten sposób fortecę. Ilekroć jakiś Uzbek zaglądał ponad szczytem muru, Arab strzelał do niego przez szczelinę z drugiej strony kompleksu.

Żołnierze Dostuma nie mieli wyjścia, musieli wezwać pomoc. W sukurs przybyło kilkuset Uzbeków pchniętych przez generała, który również udał się do fortu. W drogę ruszyło także czterech amerykańskich żołnierzy w zielonych beretach z Fort Campbell w Kentucky, jeden Amerykanin z lotnictwa, który miał koordynować akcję powietrzną, oraz sześciu żołnierzy z 10. Dywizji Górskiej. Ich zadanie w istocie polegało na obserwowaniu, składaniu meldunków i koordynowaniu uderzeń z powietrza, które miały złamać opór zbuntowanych więźniów.

Późnym rankiem z bazy Bagram na północ od niedawno zdobytej stolicy Kabulu wyjechało dwoma land - roverami sześciu komandosów z SBS, którym towarzyszył tłumacz, podpułkownik SAS Mike Martin.

W piątek Uzbeki przypuścili kontratak. Pod osłoną starego czołgu wkroczyli na teren kompleksu i zaczęli ostrzeliwać pozycje rebeliantów. Ismat Chan, w którym rozpoznano jednego z wysokich oficerów, objął dowództwo południowej ściany. Gdy czołg otworzył ogień, Ismat rozkazał swoim ludziom zejść do piwnicy. Kiedy ostrzał ustał, wrócili na powierzchnię.

Ismat wiedział, że klęska jest tylko kwestią czasu. Nie było drogi ucieczki ani litości. Lecz nie pragnął łaski. Wreszcie w wieku dwudziestu dziewięciu lat znalazł miejsce, w którym zginie. Było równie dobre jak każde inne.

W piątek nadleciały także amerykańskie samoloty. Żołnierze z Zielonych Beretów i lotnik leżeli na wierzchołku muru po zewnętrznej stronie i wyznaczali cele dla myśliwców bombardujących. Tego dnia zrzucono trzydzieści bomb; dwadzieścia osiem trafiło w mury, gdzie kryli się rebelianci. Zginęło około stu, w większości przygniecionych przez kamienie. Dwie bomby nie okazały się tak skuteczne.

Mike Martin znajdował się jakieś sto metrów od ludzi z Zielonych Beretów, gdy spadła pierwsza. Wylądowała w samym środku kręgu utworzonego przez pięciu Amerykanów. Gdyby to była bomba przeciwpiechotna z zapalnikiem kontaktowym, wszyscy zostaliby rozerwani na strzępy. To, że wszyscy przeżyli z popękkanymi bębenkami w uszach i połamanymi kośćmi, należało uznać za cud.

Była to bomba do niszczenia bunkrów, która miała wbić się głęboko w beton i dopiero wtedy eksplodować. Wryła się w ziemię na głębokość dwunastu metrów i wybuchła. Amerykanie poczuli się tak, jakby nastąpiło trzęsienie ziemi; odrzuciło ich daleko, ale przeżyli.

Druga bomba wyrządziła jeszcze więcej szkód. Trafiła w uzbecki czołg i umieszczone za nim stanowisko dowodzenia.

W środę przybyli zachodni dziennikarze i otoczyli fort. Być może sobie tego nie uświadamiali,

lecz tylko ich obecność powstrzymała Uzbeków przed zlikwidowaniem wszystkich rebeliantów.

W ciągu sześciu dni dwudziestu byłych jeńców próbowało szczęścia, uciekając pod osłoną nocy i szukając schronienia na wsi. Wszystkich pochwycili wieśniacy i zlinczowali. Zamieszkujący okolice Hazarowie pamiętali, jak przed trzema laty talibowie urządzili rzeź ich ziomków.

Mike Martin leżał na szczycie muru, zerkając na teren kompleksu. Zwłoki poległych pierwszego dnia wydzielały straszliwy odór. Amerykanie w czarnych wełnianych czapkach odsłoniли twarze i zostali sfotografowani przez kamerzystów ekip telewizyjnych. Siedmiu Brytyjczyków wolało zachować anonimowość. Wszyscy nosili na twarzach *szibaghi*, lniane nakrycia głowy zasłaniające całą twarz i chroniące od piasku, pyłu i wścibskich spojrzeń. W środe służyły do jeszcze jednego celu, mianowicie jako filtr przeciw zapachowy.

Tuż przed zachodem słońca agent CIA, który przeżył, Dave Tyson, powróciwszy po dniu spędzonym w Mazar asz - Szarif, odważył się wejść na teren kompleksu z ekipą telewizyjną marzącą o zdobyciu nagrody za nakrecony materiał. Martin obserwował, jak czołgają się wzdłuż przeciwległej ściany. Obok niego leżał komandos z SBS, J. Nagle z niewidocznych drzwi w murze wypadła grupka rebeliantów, pojmała członków ekipy oraz agenta i wciągnęła do środka.

- Ktoś powinien ich odbić - mruknął mimochodem J. Rozejrzał się. Sześć par oczu wpatrywało się w niego, nikt nie odezwał się słowem. - Jasna cholera - rzucił J., po czym przesadził murek, zsunął się po rampie i pomknął przez otwartą przestrzeń. Trzej koledzy z SBS pobiegli za nim. Dwaj pozostali i Martin zapewnili im osłonę. Zbuntowani więźniowie kryli się teraz tylko w południowej ścianie. Głupota postępków czterech komandosów ich zaskoczyła. Nie padł ani jeden strzał, dopóki nie dobiegli do drzwi.

Pierwszy dopadł do nich J. Odbijanie zakładników jest ćwiczone przez komandosów SAS i SBS tak długo, aż wejdzie im w krew. W Hereford znajduje się „dom śmierci”, którego nazwa jest bardzo adekwatna; w swojej kwaterze głównej w Poole SBS ma taki sam obiekt.

Czterej komandosi bezceremonialnie sforsowali drzwi, rozpoznali trzech rebeliantów po ubraniach oraz brodach i otworzyli ogień. Procedura postępowania w czasie tego rodzaju akcji nosi nazwę „podwójnego stuknięcia” i polega na oddaniu dwóch strzałów prosto w twarz. Trzej Arabowie nawet nie wystrzelili; poza tym spoglądali w złą stronę. David Tyson oraz trzech członków brytyjskiej ekipy telewizyjnej zgodzili się nigdy nie mówić o incydencie i dotrzymali słowa.

W środe wieczorem Ismat Chan wiedział już, że on i jego ludzie nie mogą wystawiać głowy nad powierzchnię ziemi. Ściągnięto artylerię, która zaczęła zamieniać południową ścianę fortu w stertę gruzu. Piwnice stały się jedynym schronieniem. Przy życiu pozostało około trzystu zbuntowanych jeńców.

Niektórzy postanowili nie schodzić pod ziemię, tylko zginąć pod gołym niebem. Przeprowadzili samobójczy kontratak, przebiegając kilkaset metrów i zabijając kilku Uzbeków, którzy w porę nie zareagowali. Po chwili jednak otworzył ogień karabin maszynowy w ściągniętym przez Uzbeków nowym czołgu. Wszyscy rebelianci ponieśli śmierć. Byli to w większości

Jemeńczycy oraz kilku Czeczenów.

W czwartek za radą Amerykanów Uzbekcy wzięli beczki z paliwem czołgowym, które przez otwory wentylacyjne wlały do piwnicy. A następnie zapalili.

Ismat Chan znajdował się w innej części, a odór rozkładających się zwłok maskował woń paliwa. Usłyszał jednak odgłos zapalania ropy i poczuł podmuch gorąca. Zginęło wielu jeńców, a ci, którzy przeżyli, ślaniając się na nogach, przyszli do niego. Wszyscy dusili się i krztusili. Ismat Chan zamknął drzwi, żeby nie wpuszczać dymu do środka. Wokół niego zgromadziło się około stu pięćdziesięciu mężczyzn. Walenie w drzwi umierających słabło i wreszcie całkowicie ustało. Na powierzchni odłamki pocisków siekły puste pomieszczenia.

W ostatniej piwnicy znajdował się otwór, przez który wpadało świeże powietrze. Więźniowie myśleli, że to korytarz, lecz była to tylko rura łącząca piwnicę z odpływem deszczówki. Nowy komendant Uzbeków, Din Muhammad, wpadł na pomysł, żeby skierować do rury wodę z rowu irygacyjnego, który po listopadowych deszczach był pełny.

Przed północą buntownicy stali w niej po pas. Osłabieni z głodu i wyczerpania, zaczęli się osuwać i topić.

Na powierzchni obserwatorzy ONZ, otoczeni przez dziennikarzy, doradzali żołnierzom, żeby brali jeńców.

Rebelianci słyszeli wydawane przez tubę rozkazy, by wychodzili nieuzbrojeni, z rękami w górze. Po dwudziestu godzinach pierwsi ruszyli w stronę schodów. Inni poszli za ich przykładem. Pokonany Ismat Chan, ostatni żywy Afgańczyk wśród jeńców, też wyszedł.

Na powierzchni potykali się o kamienne bloki stanowiące kiedyś południowy mur fortu; było ich osiemdziesięciu sześciu. Zobaczyli las wymierzonych w siebie karabinów i ręcznych granatników przeciwpancernych. Była sobota rano, w świetle dnia rebelianci wyglądali jak zombi. Brudni, cuchnący, okopceni przez spalony kordyt, w obszarpanych ubraniach, ze zmierzwionymi włosami, zarośnięci i przemarznięci jeńcy trzęśli się, niektórzy padali na ziemię. Jednym z nich był Ismat Chan.

Schodząc po stosie kamieni, pośliznął się i chwycił kamień. Kawałek odpadł i został mu w dłoni. Młody uzbecki żołnierz, myśląc, że talib chce go zaatakować, wystrzelił z granatnika.

Ognisty pocisk przeleciał nad uchem Afgańczyka i trafił w głaz. Kamień pękł, odprysk wielkości piłki baseballowej z druzgocącą siłą trafił Ismata Chana w tył głowy.

Afgańczyk nie miał turbana, którego sześć dni wcześniej użyto do skrępowania mu rąk. Gdyby odprysk kamienia trafił pod kątem prostym, roztrzaskałby mu czaszkę. Jednak kamienny pocisk ześliznął się, przecinając skórę i ogłuszając Ismata. Nieprzytomny jeniec upadł, z rany trysnął strumień krwi. Resztę więźniów popędzono do czekających ciężarówek.

Godzinę później siedmiu brytyjskich żołnierzy przechadzało się po terenie kompleksu, robiąc notatki. Mike Martin, oficer najstarszy stopniem, choć teoretycznie pełnił funkcję tłumacza, miał

sporządzić długi raport. Liczył zabitych, wiedząc, że większość, może nawet dwustu, wciąż leży pod ziemią. Jeden zwrócił jego uwagę, bo wciąż krwawił. A trupy nie krwawią.

Odwrócił leżący strzęp człowieka. Coś się nie zgadzało. Ten człowiek był ubrany jak Pasztun, a wśród rebeliantów miało nie być Pasztunów. Zdjął *szibaghi* głowy i otarł umorusaną twarz leżącego. Wydała mu się znajoma.

Widząc, że Anglik wyciąga nóż, obserwujący zajście Uzbek się uśmiechnął. Jeśli cudzoziemiec chce się zabawić, to proszę bardzo. Martin przeciął spodnie na prawym udzie.

Blizna po odłamku radzieckiego pocisku sprzed ponad trzynastu lat wciąż tam była, otoczona szwami. Po raz drugi w życiu Mike zarzucił sobie na ramię Ismata Chana i na modłę strażacką poniósł go do głównej bramy. Stał tam biały land - rover oznaczony symbolem Organizacji Narodów Zjednoczonych.

- Ten człowiek żyje - oznajmił. - Ma ciężką ranę głowy.

Spełniwszy swój obowiązek, wsiadł do land - rovera SBS i wyruszył w drogę powrotną do Bagram.

Grupka Amerykanów przeczesująca teren znalazła Afgańczyka trzy dni później w szpitalu w Mazar i stwierdziła, że trzeba go zabrać na przesłuchanie. Przewieźli go ciężarówką do Bagram, lecz umieścili w swojej części rozległej bazy lotniczej. Po dwóch dniach Afgańczyk odzyskał przytomność, leżąc na podłodze zaimprovizowanej celi, zziębnięty i ze skutymi nogami, lecz żywy.

Czternastego stycznia dwa tysiące drugiego roku pierwsi więźniowie przybyli z Kandaharu do bazy Guantanamo Kubie. Mieli zawiązane oczy i nogi skute kajdankami, byli głodni, spragnieni i brudni. Jednym z nich był Ismat Chan.

Pułkownik Mike Martin wrócił do Londynu wiosną dwa tysiące drugiego roku, a potem odsłużył trzy lata jako zastępca szefa sztabu w zarządzie sił specjalnych w koszarach księcia Yorku w Chelsea. Odszedł na emeryturę w grudniu dwa tysiące piątego roku po imprezie, w czasie której kilku przyjaciół - między innymi Jonathan Shaw, Mark Carlton - Smith, Jim Davidson i Mike Jackson - usiłowało go upić do nieprzytomności. Próba zakończyła się niepowodzeniem. W styczniu dwa tysiące szóstego roku kupił stodołę w dolinie Meon w hrabstwie Hampshire i pod koniec lata zaczął ją remontować, chcąc zamienić budynek w wiejski domek.

Z zapisu w archiwum ONZ wynika, że w forcie Kalat - i Dżangi zginęło pięciuset czternastu fanatyków z Al - Kaidy, a osiemdziesięciu sześciu przeżyło. Wszyscy jeńcy trafili do Guantanamo. Poległo również sześćdziesięciu uzbeckich strażników. Generał Raszid Dostum został ministrem obrony w nowym afgańskim rządzie.

CZEŚĆ TRZECIA

ŁOM

ROZDZIAŁ 8

Pierwszym etapem operacji Łom było wymyślenie przykrywki, tak aby nawet ci, którzy brali udział w jej przygotowaniu, nic nie wiedzieli o Mike'u Martinie i o tym, że wywiad podejmie próbę umieszczenia informatora wewnątrz Al - Kaidy.

Bajeczka miała polegać na tym, że Anglicy i Amerykanie podjęli wspólną akcję przeciwko uprawom maku w Afganistanie i przemytowi opium do przetwórci na Bliskim Wschodzie. Stamtąd narkotyki trafiają na Zachód, gdzie sieją śmierć, jednocześnie zapewniając dopływ gotówki na finansowanie działalności terrorystycznej.

Dalsza część bajeczki mówiła o tym, że Zachodowi udało się odciąć terrorystom dopływ funduszy ze światowych banków, więc ci zajęli się produkcją narkotyków, gdyż sprzedaje się je wyłącznie za gotówkę.

I choć na Zachodzie już działają potężne agencje, takie jak amerykańska DE A i brytyjska służba celna, walczące z przemytem narkotyków, rządy dwóch krajów uzgodniły przeprowadzenie operacji specjalnej z pominięciem środków dyplomatycznych, wymierzonej w wytwórnice narkotyków w obcym kraju przymykającym oko na opiumowy biznes. Miałyby zostać do tego wykorzystane tajne jednostki, które niszczyłyby każdą wykrytą fabrykę narkotyków.

Ludzie pracujący przy operacji Łom mieli - teoretycznie - przy użyciu najnowocześniejszych zdobyczy techniki ustalać tożsamość bossów przestępczego świata, namierzać trasy przerzutu, magazyny, wytwórnice oraz statki i samoloty wykorzystywane do transportu. Nikt nie wątpił w prawdziwość założeń akcji.

Była to wyłącznie przykrywka i miała nią pozostać dopóty, dopóki będzie potrzebna. Jednak po konferencji w Fort Meade zachodnie służby wywiadowcze nie zamierzały polegać tylko na operacji Łom. Postanowiono, że będą prowadzone usilne, lecz niesłychanie tajne starania, by ustalić, czym jest Al - Isra.

Agencje wywiadowcze znalazły się w rozterce, dysponowały bowiem dziesiątkami informatorów w świecie fundamentalizmu muzułmańskiego; niektórzy współpracowali z własnej woli, inni pod naciskiem.

Pytanie brzmiało: jak daleko możemy się posunąć, zanim prawdziwi przywódcy terrorystów zorientują się, że wiemy o operacji Al - Isra? Przekonanie Al - Kaidy, że z laptopa bankiera, który zginął w Peszawarze, nie udało się wydobyć żadnych cennych informacji, dawałoby sporą przewagę.

W luźnych rozmowach z nauczycielami Koranu sprzyjającymi ekstremistom wspomniano o Al - Isrze i uzyskano uprzejme, lecz niewnoszące nic nowego odpowiedzi. To był dobry znak.

Ci dowódcy Al - Kaidy, którzy znali prawdziwe znaczenie wyrażenia, postarali się, by krąg wtajemniczonych był jak najwęższy i by nie znaleźli się w nim informatorzy Zachodu. Uzgodniono więc, że na tajność trzeba odpowiedzieć tajnością. Zachód zamierzał przeprowadzić operację Łom, innych działań postanowiono nie podejmować.

Uczestnicy operacji musieli znaleźć nową, odległą od wielkich miast kwaterę główną. Marek Gumienny i Steve Hill uzgodnili, że powinna się znajdować jak najdalej od Londynu i Waszyngtonu. Postanowili umieścić bazę gdzieś na Wyspach Brytyjskich.

Po przeprowadzeniu analizy potrzeb pod kątem wielkości, dostępności i pojemności stwierdzono, że powinna to być nieużywana baza lotnicza. Obiekty takie są zwykle oddalone od dużych ośrodków miejskich, mają jadalnie, kantyny, kuchnie i pod dostatkiem kwater dla personelu. A do tego hangary, gdzie można przechowywać rozmaite materiały, oraz pasy startowe, na których mogą dyskretnie lądować samoloty przewożące ważnych gości. Jeśli lotnisko nie zostało wyłączone ze służby bardzo dawno, przystosowanie go do wymogów operacyjnych nie powinno nastroić trudności.

Kiedy przyszło do wyboru konkretnego ośrodka, postanowiono wybrać dawną amerykańską bazę, których po zimnej wojnie zostało na brytyjskiej ziemi kilkanaście. Sporządzono listę piętnastu baz, wśród których znalazły się Chicksands, Alconbury, Lakenheath, Fairford, Molesworth, Bentwaters, Upper Heyford oraz Greenham Common. Wszystkie odrzucono.

Niektóre wciąż były używane, a obsługa lotniska za dużo mówi. Inne znalazły się w rękach developerów; tu ówdzie zaorano pasy startowe i przywrócono uprawy. Dwie są wciąż używane jako bazy szkoleniowe dla służb wywiadowczych. Do celów operacji Łom potrzebna była baza pozostawiona sama sobie. Phillips i McDonald zdecydowali się na bazę RAF - u w Edzell i postarali się o zgodę przełożonych.

RAF nigdy nie przestał być jej właścicielem, lecz przez długie lata dzierżawiono ją marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych, mimo że znajduje się wiele kilometrów od morza. Leży w szkockim hrabstwie Angus, na północ od Brechin i na północny zachód od Montrose, na południowym krańcu wyżyn.

Baza jest dość oddalona od autostrady A 90 prowadzącej z Forfar do Stonehaven. Wioska jest jedną z nielicznych osad rozrzuconych na rozległym terenie zarośniętym lasami i wrzosowiskami; płynie przez nią rzeka North Esk.

Po przybyciu do bazy dwaj szefowie operacji stwierdzili, że spełnia wszystkie wymogi. Była odpowiednio oddalona od oczu ciekawskich, miała dwa dobre pasy startowe, wieżę kontrolną oraz budynki, w których mógł zamieszkać stały personel. Należało dobudować białe kopuły chroniące przed oczyma ciekawskich anteny, które mogły wykryć brzęczenie chrząszcza po drugiej stronie kuli ziemskiej, a także przekształcić dawny blok operacyjny US Navy w centrum komunikacyjne.

Kompleks miał zostać połączony liniami z Cheltenham i kwaterą NSA w Marylandzie. Bezpośrednie bezpieczne łącza z Vauxhall Cross i Langley umożliwią kontakt z Markiem Gumiennym i Steve'em Hillem oraz stały dopływ materiału z ośmiu innych agencji wywiadu obu krajów, a także z amerykańskich satelitów działających nadzorem NRO* (Reconnaissance Office) - Narodowego Biura Rozpoznania - w Waszyngtonie.

Po uzyskaniu zezwoleń skierowano do pracy budowlańców z Royal Air Force, którzy błyskawicznie mieli doprowadzić Edzell do gotowości operacyjnej. Zaci ni mieszkańcy wioski Edzell

zauważyli, że coś się święci, mrugnęli do siebie porozumiewawczo i doszli do wniosku, że obiekt znów będzie tajny, tak jak za starych dobrych czasów. Właściciel pubu zamówił dodatkowe ilości piwa i whisky z nadzieją, że powróci taka sama klientela jak przed zamknięciem bazy. Poza tym nikt nic nie mówił.



Malarze zabrali się do roboty w kwaterach oficerskich w szkockiej bazie wojskowej, a tymczasem w skromnych gabinetach panów Siebarta i Abercrombiego przy londyńskiej ulicy Crutched Friars zjawił się gość.

Ahmad Lampong przybył po wymianie listów elektronicznych między Londynem i Dżakartą i został zaprowadzony do gabinetu pana Siebarta, syna założyciela. Londyński agent spedycyjny nie wiedział, że lampong to nazwa jednego z mniej ważnych języków na Sumatrze, skąd pochodził jego indonezyjski gość. Było to fałszywe nazwisko, mimo że figurowało w paszporcie, który nie budził żadnych zastrzeżeń.

Nieskazitelny był także angielski Lamponga; w odpowiedzi na komplementy Aleksa Siebarta Indonezyjczyk odparł, że opanował język w czasie studiów w London School of Economics. Gość płynnie się wysławiał, był ący i sprawiał wrażenie światowca, a co najważniejsze, chciał robić interesy. Nic nie wskazywało na to, że jest fanatycznym członkiem muzułmańskiej organizacji terrorystycznej Dżami'at - e Islami, odpowiadającej za zamachy bombowe na wyspie Bali.

Jego dokumenty uwierzytelniające wysokiej rangi członka firmy Sumatra Trading International były w porządku, podobnie jak referencje z banków. Gdy poprosił o zgodę na zreferowanie sprawy, Siebart zamienił się w słuch. Lampong na początek z powagą położył przed angielskim agentem arkusz papieru.

Znajdowała się na nim długa lista. Zaczynała się od Alderney, jednej z brytyjskich wysp na kanale La Manche, a dalej figurowały Anguilla, Antigua i Aruba. To były tylko nazwy zaczynające się na „A”. W sumie na liście znalazły się czterdzieści trzy nazwy, kończyły ją Urugwaj i Vanuatu.

- Wszystko to są raje podatkowe prowadzące politykę dyskretnej bankowości - mówił Indonezyjczyk. - Czy to się komuś podoba, czy nie, wiele firm wątpliwej proveniencji, także organizacji przestępczych, tam właśnie ukrywa swoje sekrety finansowe. A te nazwy - tu położył na biurku drugi arkusz - budzą takie same wątpliwości. Są to tak zwane tanie bandery.

Listę znów otwierała Antigua, a dalej były Barbuda, Bahamy, Barbados, Belize, Bermudy, Birma i Boliwia. Znalazło się na niej dwadzieścia siedem nazw; kończyły ją St. Vincent, Sri Lanka, Tonga i Vanuatu.

Były tam afrykańskie państewka przypominające piekło na ziemi, na przykład Gwinea Równikowa, plamki na mapie świata takie jak Sao Tome i Principe, oraz Komory. Ciekawość mogły wzbudzić Luksemburg, Mongolia i Kambodża, całkowicie pozbawione dostępu do morza. Siebart był zdezorientowany, choć fakty te były mu od dawna znane.

- Co otrzymamy, dodając dwa do dwóch? - spytał triumfalnie Lampong. - Oszustwo, drogi panie, oszustwo na ogromną i nieustannie rosnącą skalę. I niestety coraz powszechniejsze w części świata, w której ja i moi wspólnicy prowadzimy działalność. Właśnie dlatego postanowiliśmy w przyszłości prowadzić interesy z instytucją słynącą z uczciwości i wiarygodności. Mam na myśli londyńskie City.

- To bardzo miłe z panów strony - mruknął Siebart. - Kawy?

- Kradzieże ładunku, panie Siebart. Ciągłe i na coraz większą skalę. Nie, dziękuję, przed chwilą jadłem śniadanie. Wysyła się cenny ładunek, a on znika. Ani śladu po statku, firmie czarterowej, handlowcach, załodze, ładunku oraz właścicielach firmy, rzecz jasna. Wszyscy ukrywają się w tej gęstwinie rozmaitych flag i banków. Wiele z nich jest w dużym stopniu skorumpowanych.

- To okropne - zgodził się Siebart. - Jak mogę pomóc?

- Uzgodniliśmy ze wspólnikami, że mamy tego dość. Owszem, będzie nas to kosztowało nieco drożej. Jednak w przyszłości pragniemy robić interesy wyłącznie ze statkami handlowymi pływającymi pod brytyjską banderą, z brytyjskich portów, pod brytyjskim kapitanem, mającymi poręczenie londyńskiego agenta.

- Doskonale. - Siebart się rozpromienił. - To bardzo rozropne. I oczywiście nie możemy zapominać o pełnym ubezpieczeniu jednostki i ładunku przez Lloyd'a. Jakie ładunki chce pan przesyłać?

Kojarzenie frachtowców z ładunkami i ładunków z frachtowcami to jest właśnie to, czym zajmuje się agent spedycyjny, a Siebart i Abercrombie od dawna byli filarami starego stowarzyszenia działającego w londyńskim City noszącego nazwę Baltic Exchange.

- Jestem dobrze przygotowany - zapewnił Lampong, wyciągając kolejne listy referencyjne. - Rozmawialiśmy z firmą zajmującą się importem ekskluzywnych brytyjskich limuzyn oraz samochodów sportowych do Singapuru. My natomiast wysyłamy cenne gatunki drewna, palisander, tulipanowiec i sandałowiec z Indonezji do Stanów Zjednoczonych. Drewno pochodzi z północnego Borneo, a resztę miejsca na pokładach zajmą kontenery z haftowanym jedwabiem z Surabai na Jawie, również przeznaczone dla USA. - Lampong położył na stole ostatni list. - Oto dane naszych zaprzyjaźnionych firm z Surabai. Wszyscy jesteśmy zgodni, że chcemy handlować za pośrednictwem Brytyjczyków. Oczywiście, dla brytyjskiego frachtowca będzie to trójkrotny kurs. Czy pańska firma mogłaby znaleźć dla nas do tego celu frachtowiec zarejestrowany w Wielkiej Brytanii? Mam na myśli perspektywę stałej współpracy.

Alex Siebart nie wątpił, że może znaleźć tuzin odpowiednich frachtowców pływających pod brytyjską banderą. Musiałby tylko znać wielkość statku, jego cenę i datę rejsu.

Ustalono, że przedstawi Lampongowi listę jednostek o odpowiednim tonażu wraz z opłatami za ich wynajęcie. Lampong zaś po skontaktowaniu się ze wspólnikami miał określić daty odbioru towarów z portów na Dalekim Wschodzie i dostarczenia ich do Stanów Zjednoczonych. Gdy się

rozstawali, obaj byli przekonani, że ubili dobry interes.

- Jak to miło prowadzić negocjacje handlowe ze staroświeckim, kulturalnym dżentelmenem. - Ojciec Aleksa Siebarta westchnął, gdy syn zrelacjonował mu spotkanie podczas lunchu w restauracji „Rules”.



Jeśli istniało jakieś miejsce, w którym Mike'owi Martinowi nie wolno było się pokazać, to była nim baza Edzell. Steve Hill zdołał wciągnąć do gry siatkę kontaktów istniejącą w każdym biznesie, zwaną „kręgiem starych przyjaciół”.

- Przez większą część zimy nie będzie mnie w domu - oznajmił gość Hilla w czasie lunchu w klubie sił specjalnych. - Zamierzam złapać trochę karaibskiego słońca, więc myślę, że mogę ci wypożyczyć dom.

- Nie za darmo - zaznaczył Hill. - Zapłacimy ci tyle, na ile pozwala nasz skromny budżet.

- I nie rozwalicie mi chaty? - spytał gość. - W porządku. Kiedy dostanę ją z powrotem?

- Mamy nadzieję, że zajmiemy ją najwyżej do połowy lutego. Chcemy tam tylko prowadzić kursy instruktazowe. Wykładowcy będą przyjeżdżali i wyjeżdżali. Nie będzie żadnych gwałtownych działań...

Martin poleciał z Londynu do Aberdeen i spotkał się z dobrym znajomym, byłym sierżantem SAS. Był to twardy Szkot, który na emeryturze postanowił wrócić na swoje wrzosowiska.

- Jak się trzymasz, szefie? - zapytał Szkot, posługując się starym zwrotem, którego komandosi SAS używają, zwracając się do oficera. Wrzucił neseser Martina na tylne siedzenie samochodu i wyjechali z parkingu na lotnisku. Na przedmieściu Aberdeen skręcił na północ i wjechał na trasę A 96 prowadzącą do Inverness. Po pokonaniu kilku kilometrów znaleźli się na szkockich wyżynach. Jedenaście kilometrów od skrzyżowania kierowca zjechał z trasy w lewo.

Na tablicy widniała nazwa Kemnay. Przejechali przez wioskę Monymusk i dotarli do drogi łączącej Aberdeen z Alford. Pięć kilometrów dalej land - rover skręcił w prawo, przejechał przez Whitehouse i skierował się w stronę Keig. Wzdłuż szosy płynęła rzeka; Martin był ciekaw, czy żyją w niej łososie i pstrągi.

Tuż przed Keig droga odchodząca od trasy skręciła w stronę rzeki; po przejechaniu mostu samochód znalazł się na długiej, krętej prywatnej drodze dojazdowej. Dwa zakręty dalej oczom jadących ukazała się bryła starego zamku stojącego na niewielkim wzniesieniu. Dalej rozpościerał się wspaniały widok na dzikie wzgórza i doliny.

Z bramy wyszli dwaj mężczyźni i przedstawili się.

- Gordon Phillips. Michael McDonald. Witamy w zamku Forbes, rodzinnym gnieździe lorda Forbesa. Miał pan przyjemną podróż, pułkowniku?

- Proszę mi mówić Mike. Spodziewaliście się mnie. Jak to możliwe? Angus nie dzwonił po drodze.

- Hm, w samolocie mieliśmy swojego człowieka. Tak na wszelki wypadek - wyjaśnił Phillips.

Mike Martin mruknął. Nie zauważył, że miał ogon. Najwyraźniej wyszedł z wprawy.

- Nic się nie stało, Mike - uspokoił go McDonald z CIA. - Dotarłeś do nas. Teraz przez osiemnaście tygodni instruktorzy będą ci poświęcać całą swoją uwagę. Może się odświeżysz, a po lunchu zaczniemy pierwszą odprawę.



W czasach zimnej wojny CIA utrzymała sieć tak zwanych bezpiecznych domów na terenie całych Stanów Zjednoczonych. Niektóre były mieszkaniem w środku miasta; przeprowadzano w nich dyskretne konferencje, których uczestnicy nie powinni być widziani w siedzibie centrali. Inne były odnowionymi wiejskimi domkami, w których agenci mogli się odprężyć po stresującej misji; tam także wypytywano ich o najdrobniejsze szczegóły pobytu za granicą.

Niektóre wybierana dlatego, że w najmniejszym stopniu nie zwracały na siebie uwagi; w takich miejscach odosobnienia można było umieszczać radzieckich zbiegów, by sprawdzić, czy faktycznie przeszli na stronę Zachodu, a jednocześnie uniemożliwić zemstę mściwemu KGB działającemu z radzieckiej ambasady bądź konsulatu.

Weterani agencji wciąż krzywią się na wspomnienie pułkownika Jurczenki, który przeszedł na ich stronę w Rzymie. Nie wiedzieć czemu już w Stanach pozwolono mu pójść na kolację z przesłuchującym go oficerem. Rosjanin wyszedł do toalety i więcej nie wrócił. Skontaktował się z nim agent KGB i przypomniał o rodzinie, która została w Moskwie. Dręczony wyrzutami sumienia, okazał się dość naiwny, by uwierzyć w obietnicę amnestii i wrócić do kraju. Nigdy więcej o nim nie słyszano.

Marek Gumienny miał jedno proste pytanie do małej órki w Langley zajmującej się prowadzeniem i utrzymaniem bezpiecznych domów: jaki mają najbardziej leżący na uboczu niepozorny dom?

Kolega, specjalista od nieruchomości, nie musiał się długo zastanawiać.

- Nazywamy go Chatką. Zapomniany przez ludzi, leży w Głuszy Pasayten w łańcuchu Gór Kaskadowych.

Gumienny poprosił o szczegóły i wszystkie dostępne zdjęcia. Pół godziny po otrzymaniu teczek podjął decyzję i wydał rozkazy.

Na wschód od Seattle, na pustkowiach stanu Waszyngton, leży pasmo stromych, porośniętych lasem, a zimą przysypanych śniegiem Gór Kaskadowych. Dzielą się one na trzy strefy: park narodowy, las przeznaczony do wycięcia oraz Głuszę Pasayten. W pierwszych dwóch strefach biega

drogi, znajdują się tam też osiedla ludzkie.

Kiedy park jest otwarty, co rok odwiedzają go setki tysięcy gości; pocięty jest drogami i szlakami. Te pierwsze są dostępne dla pojazdów terenowych, a te drugie dla pieszych wędrowców i koni. Strażnicy znają ich każdy centymetr.

Wyębisko jest zamknięte ze względów bezpieczeństwa, lecz istnieją tam drogi, którymi hałaśliwe ciężarówki wożą pnie ściętych drzew. W zimie są zamykane, gdyż śnieg prawie całkowicie uniemożliwia wszelki ruch kołowy.

Na wschód od parku i wyrębiska, w stronę kanadyjskiej granicy, leży Głusza. Tam nie ma dróg oprócz jednego czy dwóch duktów; daleko na południu, w pobliżu przełęczy Hart, stoi kilka drewnianych chat.

Zimą i latem w okolicy roi się od dzikiej zwierzyny; właściciele nielicznych chat spędzają tam lato, a później wyłączają wszystkie urządzenia, zamykają domy i wyjeżdżają do swoich miejskich willi. Przypuszczalnie w całych Stanach Zjednoczonych nie ma tak zapadłego i pustego miejsca, może z wyjątkiem części północnego Vermontu zwanego Królestwem; człowiek może tam zniknąć i zostać znaleziony w czasie wiosennej odwilży, zamarznęty na kość.

Przed wielu laty jedną z chat wystawiono na sprzedaż; kupiła ją CIA. Zakupu dokonano pod wpływem impulsu, później go żałowano; jednak wyżsi rangą agenci czasem spędzali tam letnie urlopy. W październiku, gdy Marek Gumienny zwrócił się z zapytaniem do sekcji nieruchomości, chata była zamknięta na cztery spusty. Mimo że zbliżała się zima, a koszty przedsięwzięcia były wysokie, Gumienny zażyczył sobie, by chatę otwarto i rozpoczęto przebudowę.

- Jeśli chodzi ci o tego rodzaju lokal, to można wykorzystać północnozachodni ośrodek odosobnienia w Seattle - podsunął szef sekcji nieruchomości.

Gumienny, mimo że rozmawiał z kolegą, nie miał wyboru: musiał skłamać.

- Nie chodzi tylko o ukrycie bardzo cennego współpracownika przed wścibskimi oczyma ani o uniemożliwienie mu ucieczki. Muszę brać pod uwagę jego bezpieczeństwo. Nawet w najbezpieczniejszych więzieniach zdarzały się nieszczęśliwe wypadki.

Szef sekcji nieruchomości zrozumiał. Tak mu się przynajmniej zdawało. Chodziło o kwaterę, która jest całkowicie niewidoczna i z której nie można się wymknąć. I samowystarczalna co najmniej przez pół roku. To nie była jego specjalność. Sprowadził zespół, który kiedyś ł system zabezpieczeń w budzącym grozę więzieniu o najostrzejszym rygorze w Zatoce Pelikanów w Kalifornii.

Dostęp do Chatki był prawie niemożliwy. Kilka kilometrów na północ od maleńkiego miasteczka Mazama biegła gruntowa droga, lecz kończyła się piętnaście kilometrów od obiektu. Nie pozostawało nic innego, jak użyć śmigłowców. Dzięki swoim pełnomocnictwom Marek Gumienny wezwał ciężki helikopter Chinook z bazy sił powietrznych McChord na południe od Seattle, który miał posłużyć jako transportowiec.

Zespół budowlany pochodził z wojskowego korpusu inżynieryjnego, a materiały zakupiono na miejscu z pomocą policji stanowej. Wszyscy wiedzieli tylko tyle, ile musieli; mówiono im, że Chatka zostanie zamieniona w specjalnie chroniony ośrodek badawczy. W rzeczywistości zaś miała być jednoosobowym więzieniem.



W zamku Forbes rozpoczęła się intensywne działalność. Mike Martin musiał zrzucić zachodnie ubranie i włożyć burnus oraz turban Pasztuna. Brodę i włosy miał cały czas zapuszczać.

Gosposi pozwolono zostać; kobieta w najmniejszym stopniu nie interesowała się, kim są goście właściciela. Taką samą postawę reprezentował Hector, ogrodnik. Trzecim stałym mieszkańcem rezydencji był Angus, dawny sierżant SAS, który został zarządcą posiadłości i pełnomocnikiem Forbesa. Nawet gdyby ktoś zechciał wtargnąć na teren, uczyniłby bardzo nieroztropnie, bo naraziłby się na spotkanie z Angusem.

Goście natomiast przyjeżdżali i wyjeżdżali - z wyjątkiem dwóch, którzy zamieszkali w zamku na stałe. Jednym był Nadżib Kurajszi, rdzenny Afgańczyk, były nauczyciel w Kandaharze, uciekinier, który otrzymał azyl w Wielkiej Brytanii, naturalizowany Brytyjczyk, tłumacz w ośrodku w Cheltenham. Oderwano go od obowiązków i przeniesiono do zamku Forbes. Pełnił funkcję nauczyciela języka oraz zachowań typowych dla Pasztuna. Uczył języka ciała, gestów, kucania na piętach, jedzenia, sposobu chodzenia i póz modlitewnych.

Drugim była sześćdziesięciokilkuletnia doktor Tamian Godfrey, nosząca stalowo siwe włosy związane w koński ogon; przez wiele lat była żoną wysokiego stopniem oficera służby bezpieczeństwa MI5, który jednak zmarł przed dwoma laty. Jak to ujął Steve Hill, była Jedną z nich”, więc знаła procedury bezpieczeństwa oraz zasadę ograniczonego obiegu informacji; nie miała najmniejszego zamiaru informować kogokolwiek o tym, że przebywa w Szkocji.

Poza tym domyśliła się bez niczyjej pomocy, że człowiek, z którym pracuje, będzie narażony na wielkie niebezpieczeństwo, była więc zdecydowana nie pominąć najmniejszego drobiazgu. Specjalizowała się w Koranie, znała go na wylot i mówiła nieskazitelnie po arabsku.

- Słyszał pan o Muhammadzie Asadzie? - spytała Martina. Pokręcił głową.

- W takim razie zaczniemy od niego. Urodził się jako Leopold Weiss i był niemieckim Żydem; przeszedł na islam i został jednym z jego największych nauczycieli. Przypuszczalnie napisał najlepszy ze wszystkich komentarz o Al - Isrze, podróży Proroka z Arabii do Jerozolimy, a stamtąd do nieba. Z tego doświadczenia wzięło się pięć dziennych modlitw stanowiących jeden z filarów wiary. Gdyby jako dziecko uczył się pan w madrasie, pański imam jako wahabita wierzyłby niezłomie, że była to prawdziwa fizyczna podróż, a nie senna wizja. Więc pan też w to wierzy. A teraz przejdźmy do codziennych modlitw. Proszę powtarzać za mną...

Nadżib Kurajszi był pod wrażeniem. Ona wie o Koranie więcej ode mnie, pomyślał.

Dla zachowania kondycji ciepło ubrani spacerowali po wzgórzach; jak cień towarzyszył im

Angus, który zgodnie z prawem nosił ze sobą strzelbę myśliwską.

Mike Martin znał arabski, teraz jednak uświadomił sobie, jak wiele pracy jeszcze go czeka. Nadżib Kurajski nauczył go mówić po arabsku z pasztuńskim akcentem, gdyż głos Ismata Chana mówiącego po arabsku do innych więźniów w obozie Delta został potajemnie nagrany. Podejrzewano, że Afgańczyk może przekazywać współwięźniom jakieś tajne informacje. Nie ujawniał żadnych tajemnic, lecz dla pana Kurajskiego nagranie okazało się bezcennym materiałem, gdyż dzięki niemu mógł nauczyć Martina naśladować sposób mówienia Afgańczyka.

Martin spędził pół roku w górach z mudzahedinami w czasie radzieckiej okupacji, lecz było to przed siedemnastu laty, więc sporo zapomniał. Kurajski uczył go paszto, choć na samym początku twierdzono, że Mike nigdy nie zdoła uchodzić za swojaka wśród Pasztunów.

Najbardziej chodziło jednak o dwie rzeczy: modlitwy oraz jego przeżycia w Guantanamo. Większość przesłuchujących w obozie Delta pochodziła z CIA; Marek Gumienny odnalazł trzech z czterech, którzy mieli do czynienia z Ismatem Chanem od dnia jego przybycia.

Michael McDonald poleciał do Langley i spędził kilka dni z tymi ludźmi, wyciągając od nich każdy szczegół, a także notatki i taśmy, które nagrali. Przykrywką było rzekome sprawdzanie, czy Ismata Chana nie można uwolnić jako jednego z tych, którzy nie stanowią już zagrożenia.

Wszyscy przesłuchujący go twierdzili zdecydowanie, że pasztuński wojownik i dowódca talibów w jednej osobie był najtwardszym z osadzonych w bazie więźniów. Ujawnił bardzo niewiele, nie narzekał wcale, współpracował w minimalnym - stopniu, wszystkie obostrzenia i kary przyjmował ze stoickim spokojem. Lecz kiedy spojrzano się w jego czarne oczy - mówili zgodnie przesłuchujący - wiadomo było, że z radością rozerwałby człowieka na strzępy.

Zebrawszy te informacje, McDonald wsiadł do grummana i poleciał prosto do bazy Edzell. Stamtąd samochodem zawieziono go na północ do zamku Forbes, gdzie odbył spotkanie z Mikiem Martinem.

Tamian Godfrey i Nadżib Kurajski kupili się na modlitwach. Martin miał je wypowiedzieć w obecności wszystkich. I raczej nie powinien się pomylić. Zdaniem Nadżiba istniał promyk nadziei. Mike nie miał uchodzić za prawdziwego Araba, a Koran istnieje tylko jako tekst napisany klasycznym arabskim. Pojedynczy lapsus mógł zostać zrzucony na karb złej wymowy. Jednak chłopiec, który spędził siedem lat w madrasie, nie powinien pomylić tej frazy. Dlatego recytowali we troje raz po raz. Nadżib wstawał i kłaniał się, dotykając głową dywanika, a Tamian Godfrey z powodu sztywnych kolan siedział na krześle.



Postępy czynił także angloamerykański zespół techniczny w Edzell zajmujący się integrowaniem wszystkich brytyjskich i amerykańskich serwisów wywiadowczych w jedno źródło informacji. Kwatery oraz obiekty wojskowe zostały wyszykowane. W czasach gdy bazę wynajmowała marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych, oprócz kwater i obiektów wojskowych znajdowały się tam kręgielnia, salon kosmetyczny, delikatesy, poczta, boisko do koszykówki, sala

gimnastyczna oraz teatr. Gordon Phillips, znając swój budżet i wiedząc, że Steve Hill zagląda mu przez ramię, pozostawił miejsca służące rozrywce w takim samym stanie, w jakim je zastał, to znaczy nieczynne.

RAF przysłał służbę kwatermistrzowską, a ochronę obiektu wziął na siebie regiment naziemny, także należący do sił powietrznych. Nikt nie wątpił, że baza zamienia się w ośrodek walki z przemytnikami opium.

Ze Stanów Zjednoczonych przyleciały olbrzymie samoloty Galaxy i Starlifter, które miały prowadzić nasłuch rozmów w eterze obejmujący całą kulę ziemską. Nie sprowadzono tłumaczy z arabskiego, bo przekładami miały się zająć Cheltenham i Fort Meade, które będą utrzymywać stały kontakt z bazą Łom. Tak bowiem ochrzczono nowy ośrodek nasłuchu elektronicznego.

Przed Gwiazdką uruchomiono i podłączono do sieci dwanaście stacji roboczych. Miały one stanowić układ ośrodka; sześciu operatorów krążyło wśród nich dzień i noc.

Baza Łom nie była pomyślana jako siedziba nowej samodzielnej agencji wywiadowczej, lecz centrum dowodzenia krótkoterminową operacją służącą jednemu celowi; dzięki pełnomocnictwu wydanemu in blanco przez Johna Negroponte miały ją w tym nieustannie i na każde zawołanie wspierać wszystkie amerykańskie i brytyjskie agencje wywiadowcze.

W tym celu stacje robocze pracujące w bazie Łom zostały zaopatrzone w super bezpieczne łącza ISDN BRENT z dwoma klawiszami BRENT przypadającymi na każdy komputer. Każda miała własny twardy dysk, który można wyjąć, kiedy nie jest używany, i umieścić w sejfie.

Następnie komputery bazy Łom połączono bezpośrednio z systemami komunikacyjnymi w kwaterze SIS w Vauxhall Cross oraz z Grosvenor; tak nazywa się placówkę CIA w ambasadzie amerykańskiej przy Grosvenor Square w Londynie.

Aby zabezpieczyć operację przed niepożądaną ingerencją z zewnątrz, adres komunikacyjny bazy Łom został zaszyfrowany za pomocą kodu STRAP 3; znała go tylko garstka wyższych oficerów.

Następnie zaczęto słuchać wszystkiego, co mówiło się na Bliskim Wschodzie, w języku arabskim oraz w świecie islamu. Czyli powielano to, co robili już inni, lecz należało zachować pozory.

Po uruchomieniu wszystkich urządzeń w bazie Łom zaczęto wykorzystywać jeszcze jedno źródło informacji. W kręgu zainteresowań bazy był również obraz, więc do łęgo zakątka Szkocji dotarły zdjęcia z satelitów KH - 11 Keyhole latających nad terytoriami państw arabskich, a także z coraz popularniejszych samolotów bezzałogowych Predator, z których zdjęcia, wykonane w dużej rozdzielczości z pułapu sześciu tysięcy metrów, trafiały do sztabu armii amerykańskiej w Tampie na Florydzie.



Krótko przed Bożym Narodzeniem dwa tysiące szóstego roku Alex Siebart skontaktował się

ponownie z Lampongiem, by zaproponować jeden z dwóch uniwersalnych frachtowców zarejestrowanych w Liverpoolu, spełniających wymagania klienta. Tak się składało, że oba należały do tego samego małego armatora; firma Siebart i Abercrombie wynajmowała je już w imieniu klientów, którzy byli z nich bardzo zadowoleni. Firma McKendrick Shipping stanowiła interes rodzinny; zajmowała się żeglugą handlową od stu lat. Jej szefem był patriarcha rodu, Liam McKendrick, kapitan frachtowca „Hrabina Richmond”; jego syn Sean dowodził drugą jednostką.

„Hrabina Richmond” miała wyporność ośmiu tysięcy ton, pływała pod banderą brytyjską, można ją było wynająć za umiarkowaną cenę i mogła wyjść z portu po nowy ładunek przed pierwszym marca.

Alex Siebart nie dodał, że zarekomendował umowę Liamowi McKendrickowi, a stary kapitan się zgodził. Gdyby Siebart i Abercrombie znaleźli mu w Stanach ładunek, który mógłby zabrać w drodze powrotnej na Wyspy Brytyjskie, wyszedłby z tego bardzo korzystny potrójny rejs.

Żaden z nich nie wiedział, że Lampong skontaktował się z kimś mieszkającym w Birmingham, wykładowcą na Uniwersytecie Aston. Człowiek ten pojechał samochodem do Liverpoolu, przez silną lornetkę obejrzał dokładnie „Hrabinę Richmond”, a następnie za pomocą aparatu z długoogniskową soczewką zrobił jej ponad sto zdjęć w różnych ujęciach. Tydzień później Lampong przysłał zwrotny e - mail. Przepraszył za zwłokę i wyjaśnił, że musiał wyjechać w głąb kraju w celu obejrzenia swoich tartaków. Stwierdził, że „Hrabina Richmond” świetnie się nadaje. Jego znajomi z Singapuru podadzą szczegóły związane z ładunkiem limuzyn, które mają zostać przewiezione z Wielkiej Brytanii na Daleki Wschód.

Singapurscy znajomi Lamponga nie byli Chińczykami, lecz Malezyjczykami; skrajnie fanatycznymi fundamentalistami muzułmańskimi. Otrzymali środki z nowego konta utworzonego na Bermudach przez nieżyjącego już Taufika al - Kura, który zdeponował pieniądze, a następnie dokonał transferu za pośrednictwem małego prywatnego banku w Wiedniu, którego właściciele niczego nie podejrzewali. Malezyjczycy nie zamierzali stracić na limuzynach, chcieli je sprzedać, gdy spełnią już swoje zadanie.



Kiedy Marek Gumienny oznajmił agentom CIA, którzy przesłuchiwali Ismata Chana, że Afgańczyka być może czeka rozprawa, mówił prawdę. Właśnie to zamierzał uczynić: postarać się o uniewinnienie go i wypuszczenie na wolność.

W roku dwa tysiące piątym sąd apelacyjny Stanów Zjednoczonych orzekł, że prawa jeńców wojennych nie mają zastosowania wobec członków Al - Kaidy. Sąd federalny podparł zamiar prezydenta Busha, który chciał, aby procesy podejrzanych o terrorizm były prowadzone przez specjalne trybunały wojskowe. W ten sposób po raz pierwszy od czterech lat aresztowani otrzymali szansę, że będą ich bronili adwokaci. Gumienny chciał, by linia obrony Ismata Chana polegała na twierdzeniu, iż nigdy nie był on członkiem Al - Kaidy, lecz służył jako oficer w armii afgańskiej - mimo że ta kierowana była przez talibów - i że nie miał nic wspólnego z terrorystami, którzy przeprowadzili zamachy jedenastego września. Zakładał, że sąd przychyli się do tej opinii.

Aby to było możliwe, John Negroponte jako dyrektor wywiadu musiałby poprosić swojego kolegę Donalda Rumsfelda, sekretarza obrony, by ten „zamienił kilka słów” z sędziami wojskowymi prowadzącymi rozprawę.



Noga Mike'a Martina goiła się dobrze. Czytając skromne dossier Ismata Chana, zauważył, że Afgańczyk nie podał, skąd wzięła się blizna na jego prawym udzie. Martin też nie widział powodu, by się nad tym rozwodzić. Jednak Michael McDonald przywiózł z Langley obszerniejsze notatki agentów przesłuchujących Ismata Chana; ci naciskali go, żeby powiedział, jak został ranny, lecz nic nie wskórali. Gdyby ktoś w Al - Kaidzie wiedział o istnieniu blizny, a Mike Martin takiej by nie miał, zostałby zdemaskowany.

Martin nie protestował. Z Londynu przywieziono do Edzell chirurga, a stamtąd niedawno nabytym samolotem Bell Jetranger przetransportowano go do zamku Forbes. Był to zaufany lekarz z Harley Street; można było liczyć to, że od czasu do czasu wyjmie komuś pocisk i nawet się nie zająknie na ten temat.

Zabieg został wykonany w znieczuleniu miejscowym. Nacięcie było łatwe, gdyż chirurg nie musiał wyciągać z rany pocisku ani odłamka. Trudność polegała na tym, żeby rana zagoiła się w ciągu kilku tygodni, lecz wyglądała na znacznie starszą.

Chirurg, James Newton, wyjął trochę tkanki spod i wokół nacięcia, żeby zrobić wgłębienie sugerujące, że z mięśnia coś zostało usunięte. Szwy były duże i nierówne; dzięki temu krawędzie rany ściągały się i wypiętrzały wokół rany w miarę gojenia. Chodziło o to, żeby wyglądały jak ślady po zabiegu wykonanym w szpitalu polowym mieszczącym się w jaskini. Szwów było sześć.

- Musicie zrozumieć, że jeśli spojrzysz na to chirurg, prawdopodobnie stwierdzi, że rana nie mogła powstać piętnaście lat temu - uprzedził przed wyjazdem. - Laik nie będzie miał zastrzeżeń. Ale musi upłynąć dwanaście tygodni, żeby wszystko dobrze się zagoiło.

To było na początku listopada. Na Boże Narodzenie natura i organizm bardzo zdrowego czterdziestoczteroletniego mężczyzny sprawiły się doskonale. Opuchlizna i zaczerwienienie znikły.

ROZDZIAŁ 9

- Jeśli wybiera się pan tam, gdzie podejrzewam, młody człowieku - rzekła Tamian Godfrey pewnego dnia w czasie przechadzki po wzgórzach - musi pan doskonale poznać rozmaite poziomy agresji i fanatyzmu, z którymi będzie pan miał do czynienia. Sednem jest arbitralnie ogłaszany džihad, lecz rozmaite frakcje dochodzą do niego różnymi drogami i inaczej postępują.

- Wszystko chyba zaczyna się od wahabizmu - zauważył Martin.

- W pewnym sensie tak, ale nie zapominajmy, że wahabizm jest religią państwową Arabii Saudyjskiej, a Osama bin Laden wypowiedział wojnę saudyjskiemu establishmentowi z powodu herezji. Istnieje wiele grup ekstremistycznych, które nie mieszczą się w granicach nauk głoszonych przez Muhammada Ibn Abd al - Wahhaba. Był to osiemnastowieczny teolog i reformator religijny pochodzący z Najdu, najbardziej ponurego i surowego zakątka Półwyspu Arabskiego. Zostawił po sobie najsurowszą i najmniej tolerancyjną z ogromnej liczby interpretacji Koranu. To było kiedyś. Inni go prześcignęli. Saudyjski wahabizm nie głosił wojny z Zachodem ani z chrześcijaństwem, nie postulował masowego mordowania kogokolwiek, a już na pewno nie kobiet i dzieci. Zostawił po sobie natomiast glebę pod całkowity brak tolerancji, na tej glebie współcześni władcy terroru umieszczają latorośle, zamieniane później w zabójców.

- W takim razie dlaczego wahabici rozprzestrzenili się poza Półwysep Arabski? - spytał Martin.

- Dlatego że Arabia Saudyjska od trzydziestu lat wykorzystuje petrodolary do szerzenia swojej narodowej religii - wtrącił Nadżib Kurajsi. - Czyni to we wszystkich muzułmańskich państwach świata, między innymi w mojej ojczyźnie. Nie należy myśleć, że któryś z tych ludzi zdawał sobie sprawę, jakiego potwora uwalniają i w jaki sposób religia stanie się narzędziem masowej zbrodni. Istnieją powody, by przypuszczać, że Saudyjczycy ponieważ przestraszyli się tego, co sami stworzyli w ciągu trzydziestu lat.

- Więc dlaczego Al - Kaida wypowiedziała wojnę źródłu swojej wiary i finansowania?

- Bo na scenie pojawili się inni prorocy, jeszcze mniej tolerancyjni, jeszcze bardziej skrajni. Ci głoszą nie tylko nietolerancję wobec wszystkiego, co nie jest islamskie, lecz także obowiązek walki i niszczenia. Rząd Arabii Saudyjskiej został wyklęty za utrzymywanie kontaktów z Zachodem, za wpuszczenie amerykańskich oddziałów na swoją świętą ziemię. Odnosi się to także do wszystkich świeckich rządów krajów muzułmańskich. Zdaniem fanatyków ponoszą taką samą winę jak chrześcijanie i Żydzi.

- Tamian, na kogo pani zdaniem natknę się w czasie swojej podróży? - spytał Martin. Uczona usiadła na sporym głazie, by dać odpocząć nogom.

- Istnieje wiele różnych grup, lecz kluczowe są dwie z nich. Zna pan słowo *salafi*?

- Słyszałem je - przyznał Martin.

- To grono tych, którzy pragną powrotu do początków. Chcą, żeby znów zapanował złoty wiek islamu. Żeby było jak w czasie czterech pierwszych kalifatów, ponad tysiąc lat temu. Długie brody, sandały, burnusy, szarijat, odrzucenie nowoczesności oraz Zachodu, który ją sprowadził. Rzecz jasna nie ma takiego rajy na ziemi, lecz nierealność idei nigdy nie zrażała fanatyków. W pogoni za swoimi obłąkańczymi wizjami naziści, komuniści, maoiści i wyznawcy Pol Pota wymordowali setki milionów ludzi; połowę z nich stanowili ich rodacy uznani za nie dość radykalnych. Wystarczy wspomnieć o czystkach Stalina i Mao, którzy masowo mordowali współtowarzyszy, bo uznali ich za kontrrewolucjonistów.

- Opisując *salafich*, pani talibów - zauważył Mike.

- Między innymi. Są to zamachowcy - samobójcy, prości wyznawcy wiary; ufają swym panom, uznają ich za swoich duchowych przewodników. Nie są zbyt inteligentni, lecz bez reszty posłuszni, i wierzą, że ich chora nienawiść uraduje wielkiego Allaha.

- Istnieją gorsi od nich?

- O, tak - westchnęła Tamian Godfrey. Wstała, lecz od razu skierowała się z powrotem ku zamkowi, którego wieża wyrastała za dwiema krótkimi dolinami.

- Prawdziwych ekstremistów, tych najprawdziwszych, określiłabym słowem *takfir*. znaczenie zmieło się od czasów Wahhaba. Prawdziwy salafipali, nie uprawia hazardu, nie tańczy, nie akceptuje muzyki, nie pije alkoholu i nie zadaje się z kobietami z Zachodu. Od razu można go rozpoznać po ubiorze, wyglądzie i religijności. Z punktu widzenia bezpieczeństwa rozpoznanie przeciwnika to połowa sukcesu.

Jednak niektórzy przyjmują wszystkie zachodnie zwyczaje, mimo że nimi pogardzają, by uchodzić za zwolenników zachodniego stylu życia, a więc ludzi nieszkodliwych. To właśnie *takfirzy*. dziesiętnastu zamachowców z jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku przeszli przez kontrolę, bo wyglądali i zachowywali się jak ludzie z Zachodu. To samo dotyczy czterech zamachowców z Londynu - na pozór zwyczajnych młodych ludzi, którzy chodzą na siłownię, grają w krykieta, są grzeczni i chętni do pomocy; jeden z nich uczył dzieci specjalnej troski, bez przerwy się uśmiechał, a jednocześnie planował masowe morderstwo. To ich właśnie należy się strzec.

Wielu z nich ma dyplomy dobrych uczelni, są ogoleni, uczesani, noszą garnitury. Ci właśnie stanowią największe zagrożenie: bez wahania stają się kameleonami, udają, że wyparli się swojej wiary, po to, by popełniać masowe zbrodnie w imię tej wiary. Bogu dzięki, doszliśmy; moje stare nogi odmawiają posłuszeństwa. Czas na południową modlitwę. Mike, pan wezwie na modły, a potem je poprowadzi. Po pewnym czasie mogą pana o to poprosić. To wielki zaszczyt.



Tuż po Nowym Roku z biura firmy Siebart i Abercrombie wysłano list elektroniczny do Dżakarty. „Hrabina „ miała wyjść z Liverpoolu do Singapuru pierwszego marca z ładunkiem jaguarów obudowanych specjalną kratą zabezpieczającą. Po wyładowaniu ich w Singapurze miała popłynąć dalej do północnego Borneo, by wziąć na pokład ładunek drewna, a następnie wyruszyć do

Surabai po jedwab.

Ekipa budowlana pracująca w Głuszy Pasayten bardzo się ucieszyła, gdy pod koniec stycznia zadanie zostało wykonane. Dla przyspieszenia prac robotnicy postanowili spać na miejscu, a dopóki nie zainstalowali centralnego ogrzewania, było piekielnie zimno. Jednak wysoka premia kusila, więc zdecydowali się znieść niewygodę i ukończyć zlecenie planowo.

Na pierwszy rzut oka chata wyglądała tak samo, lecz wydawała się większa. W rzeczywistości zaś całkowicie się zmieniła. Sypialń było akurat dla dwóch oficerów, lecz ośmiu ludzi miało trzymać straż dwadzieścia cztery godziny na dobę, dlatego dobudowano jedną salę sypialną oraz jadalnię.

Przestronny salonik zachowano, lecz dobudowano do niego pokój wypoczynkowy ze stołem do bilardu, biblioteką, telewizorem plazmowym i bogatym zbiorem płyt DVD. Jako materiał wykorzystano izolowane termicznie sosnowe bale.

Trzecia dobudówka wyglądała tak, jakby zrobiono ją ze zwyczajnych wiejskich bali. W rzeczywistości zewnętrzne ściany zostały tylko pokryte połówkami pni; wewnątrz ściany były zbudowane z utwardzonego betonu.

Całe skrzydło penitencjarne zabezpieczono przed wdarciem się z zewnątrz i ucieczką.

Z kwater strażników wchodziło się do niego przez pojedyncze stalowe drzwi z otworem do podawania jedzenia i drugim - obserwacyjnym. Za nimi znajdował się pojedynczy, lecz przestronny pokój. Stało w nim łóżko ze stalową ramą głęboko zatopioną w betonie. Nie można go było podnieść, podobnie jak szafek na ścianach, połączonych z betonem.

Jednak na podłodze leżały wykładziny, a ciepło pochodziło spod niemożliwych do podniesienia krtek. W pokoju były jeszcze jedne drzwi naprzeciwko tych z otworem obserwacyjnym, które więzień mógł otwierać i zamykać wedle swej woli. Prowadziły na wybieg do ćwiczeń ruchowych.

Nie było na nim nic oprócz betonowej ławki pośrodku, oddalonej od murów trzymetrowej wysokości, gładkich jak stół bilardowy. Nikt nie zdołałby się wspiąć na ich szczyt, nie było też niczego, co dałoby się oderwać i przystawić do ściany.

Do celów sanitarnych służyła wnęka odchodząca od dużego pokoju i sypialni; był tam otwór w podłodze do załatwiania potrzeb oraz prysznic sterowany przez strażników będących w sąsiednim pomieszczeniu.

Wszystkie materiały dostarczano śmigłowcem, dlatego zbudowano dla niego lądowisko, obecnie przykryte śniegiem. Chatka stała na dwustuhektarowej działce, otoczona ze wszystkich stron przez stumetrowy pas sosen, świerków i modrzewi. Dalej część drzew wycięto.

Straż w tym najdroższym i najbardziej ekskluzywnym więzieniu w kraju trzymało ośmiu agentów CIA średniego i ośmiu młodszych, którzy zdali wszystkie testy psychologiczne i sprawnościowe na Farmie. Liczyli na ciekawy pierwszy przydział, a tymczasem trafili do

zaśnieżonego lasu. Wszyscy byli jednak sprawni i kompetentni i chcieli zrobić jak najlepsze wrażenie.

Proces w sądzie wojskowym w Guantanamo rozpoczął się tuż przed końcem stycznia; przeprowadzono go w jednej z większych sal w bloku przesłuchań, przysposobionej do tego celu. Jeśli ktoś spodziewał się zobaczyć tam na wpół obłąkanego pułkownika Jessupa i ekscesy przedstawione w filmie *Ludzie honoru*, by się zawiódł. Rozprawy przebiegały w sposób uporządkowany, wszystko toczyło się spokojnie.

Rozpatrywano sprawy ośmiu więźniów, których uznano za „niestanowiących dalszego zagrożenia”; siedmiu z nich głośno i rozwlekłe przekonywało sędziów, że są niegroźni. Tylko jeden zachowywał pogardliwe milczenie. Zostawiono go na sam koniec.

- Więźniu Chan, na jaki język mamy tłumaczyć postępowanie? - zapytał pułkownik przewodniczący składowi; obok niego na podeście pod wielką pieczęcią Stanów Zjednoczonych Ameryki siedział major oraz kobieta w stopniu kapitana. Cała trójka pochodziła z korpusu prawniczego piechoty morskiej.

Pilnujący więźnia marines postawili go na nogi. Biurka oskarżyciela i obrońcy ustawiono z boku, naprzeciw siebie; prokurator był wojskowym, a adwokat cywilem. Więzień wzruszył lekko ramionami i przez kilka sekund przypatrywał się kobiecie w mundurze; później jego wzrok spoczął na ścianie nad głowami sędziów.

- Sądowni wiadomo, że więzień rozumie po arabsku, dlatego sąd wybiera ten właśnie język. Czy obrona zgłasza sprzeciw?

Adwokat, do którego skierowane było to pytanie, pokręcił głową. Kiedy przyjmował tę sprawę, ostrzeżono go, że klient nie ma żadnych szans. Obrońca pojawił się w sądzie, by podtrzymać pozory przestrzegania praw obywatelskich, wiedział jednak, co marines sadzana temat białych rycerzy występujących w obronie tych praw. Miło byłoby mieć klienta, który zachowuje się grzecznie. Ale przynajmniej, tłumaczył sobie, nastawienie Afgańczyka uwalnia mnie od ciężaru odpowiedzialności. Pokręcił głową.

Arabski tłumacz usiadł obok pilnujących więźnia marines. Sąd wybrał mądrze: był tylko jeden tłumacz z paszto i Amerykanie dawali mu się mocno we znaki, bo nie zdołał niczego wyciągnąć ze swojego rodaka. Teraz nie miał nic do roboty i przeczuwał, że nadchodzi kres wygodnego życia, które do tej pory wiódł.

W Guantanamo było tylko siedmiu Pasztunów, których przed pięcioma laty w Kunduzie przez pomyłkę uznano za zagranicznych bojowników. Czterech już wypuszczono; byli to prości młodzi wieśniacy, którzy ochoczo wyrzekli się muzułmańskiego ekstremizmu. Pozostałych dwóch przeszło tak głębokie załamanie nerwowe, że wciąż przebywali pod opieką psychiatryczną. Talibski dowódca był ostatnim Pasztunem, który został w bazie.

Prokurator rozpoczął wystąpienie, a tłumacz wypowiedział strumień arabskich słów. Ich ogólny sens był taki: zamkną cię z w pierdłu i wyrzucą klucze, ty talibski śmierdzielu. Ismat powoli

oderwał od ściany i wbił go w tłumacza. Jego oczy powiedziały wszystko. Urodzony w Libanie Amerykanin zaczął tłumaczyć dosłownie. Facet jest ubrany w śmieszny pomarańczowy kombinezon, ma skute ręce i nogi, ale z takim draniem nigdy nic nie wiadomo.

Oskarżyciel nie mówił długo. Podkreślił fakt, że więzień przez pięć lat ł, że odmówił wymienienia współników w terrorystycznej wojnie przeciwko Stanom Zjednoczonym i że pojmano go podczas więziennego buntu, w czasie którego zginął jeden Amerykanin, brutalnie skopany na śmierć. Prokurator skończył i usiadł. Nie miał wątpliwości co wyniku postępowania. Ten człowiek ędzi w areszcie jeszcze wiele lat.

Adwokat z ruchu na rzecz praw obywatelskich przemawiał nieco dłużej. Zauważył, że jako Afgańczyk więzień nie miał nic wspólnego ze zbrodnią dokonaną jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku. Walczył wówczas w wojnie domowej i nie utrzymywał żadnych kontaktów z Arabami z Al - Kaidy. Jeśli zaś chodzi o mułłę Umara i afgański rząd udzielający schronienia Bin Ladenowi i jego współnikom, pan Chan jako oficer musiał się podporządkować rozkazom.

- Domagam się od sądu uznania rzeczywistości - ciągnął obrońca. - Jeśli ten człowiek stanowi dla kogoś problem, to dla Afgańczyków. Obecnie istnieje tam nowy, demokratycznie wybrany rząd. Powinniśmy wysłać podsądnego do kraju, niech tam się nim zajmą.

Trzej sędziowie udali się na naradę i nie było ich przez półgodziny. Kiedy wrócili, kapitan była czerwona z gniewu. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Nie wiedziała, że pułkownik i major odbyli wcześniej rozmowę z przewodniczącym Połączonego Kolegium Szeferów Sztabów i otrzymali rozkazy.

- Więzień Chan, proszę wstać. Rząd prezydenta Karzaja oświadczył, że jeśli wróci pan do ojczyzny, zostanie pan tam skazany na dożywocie. Dlatego sąd nie zamierza obciążać amerykańskich podatników pana utrzymaniem. Zostanie pan więc wysłany do Kabulu. Wróci pan tam tak samo, jak przybył: w kajdankach. To wszystko. Koniec posiedzenia.

Nie tylko kapitan była wstrząśnięta. Prokurator zastanawiał się, jak ta sprawa wpłynie na jego dalszą karierę. Obrońcy lekko zakreśliło się w głowie. Tłumacz przez chwilę myślał, że szalony pułkownik każe rozkuć więźnia, a wtedy on, zacy syn Bejrutu, wyleci prosto przez okno.



Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych mieści się przy King Charles Street, tuż obok Whitehall; wystarczy spojrzeć stamtąd przez Parliament Square, by zobaczyć miejsce, w którym został ścięty król Karol I. Rok odszedł już w przeszłość, a nieliczny zespół protokolarny stworzony latem zeszłego roku wznowił pracę.

Jego zadaniem było skoordynowanie z Amerykanami coraz bardziej skomplikowanych szczegółów konferencji G8 zaplanowanej na rok dwa tysiące siódmy. Szczyt ośmiu najbogatszych krajów świata, który odbył się w dwa tysiące piątym roku w hotelu Gleneagles w Szkocji zakończył się częściowym sukcesem. Częściowym, bo tłum rozwrzeszczanych demonstrantów z roku na rok stanowił coraz większy problem. Krajobraz w Pertshire trzeba było oszpecić wielokilometrowym

ogrodzeniem z łańcucha, żeby odgrodzić całą posiadłość wokół hotelu. Droga dojazdowa też musiała zostać ogrodzona i obstawiona przez policję.

Dwie gasnące gwiazdy muzyki pop poprowadziły ulicami Edynburga pochód, w którym milion ludzi protestowało przeciwko ubóstwu na świecie. Ta demonstracja dotyczyła wyłącznie biedy. Później hordy antyglobalistów rzucały bomby z mąki i wymachiwały transparentami.

- Czy te wygibusy nie rozumieją, że światowy handel generuje bogactwo, dzięki któremu można walczyć z ubóstwem? - spytał rozgniewany dyplomata. Odpowiedź brzmiała: najwyraźniej nie rozumieją.

Wspomnienie tego, co działo się w Genui, wywoływało dreszcze. Dlatego zaakceptowano pomysł Białego Domu, który miał być gospodarzem szczytu w dwa tysiące siódmym roku: prostota, elegancja, klasa. Luksusowe, lecz całkowicie odizolowane miejsce, niedostępne, łatwe do zabezpieczenia. Grupa protokolarska zajmowała się masą szczegółów; poza tym zbliżała się połowa kwietnia. W Stanach Zjednoczonych miały się wtedy odbyć wybory uzupełniające. Brytyjski zespół przyjął do wiadomości to, co zostało ogłoszone, i kontynuował swoje działania administracyjne.



Daleko na południu dwa ogromne samoloty Starlifter zaczęły zniżać lot na sułtanatem Omanu. Przyleciały ze wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych i raz zatankowały w powietrzu z latającej cysterny, która wystartowała z Azorów. Dwa latające olbrzymy zbliżyły się od strony słońca zachodzącego nad wzgórzami Dufari i poprosiły o instrukcje lądowania w angloamerykańskiej bazie lotniczej w Thumrait.

W swoich wielkich niczym jaskinie brzuchach samoloty przewoziły całą jednostkę wojskową. Na pokładzie pierwszego znajdowało się wszystko, co jest potrzebne do zakwaterowania: składane domki, generatory, chłodziarki, anteny telewizyjne, a nawet korkociągi dla piętnastoosobowego zespołu technicznego.

Drugi samolot przewoził tak zwaną szpicę, czyli dwa bezzałogowe samoloty zwiadowcze Predator, urządzenia sterujące i naprowadzające oraz kobiety i mężczyzn do ich obsługi.

Tydzień później jednostka osiągnęła gotowość operacyjną. Na krańcu bazy, na terenie zamkniętym dla osób niebędących członkami jednostki, stały domki z działającą klimatyzacją; wykopano latryny, napalono w kuchni. Predatory w specjalnych schronach czekały na wyznaczenie zadań. Jednostka nasłuchu radiowego była połączona z bazami w Tampie na Florydzie i Edzell w Szkocji. Pewnego dnia dowiedzą się, co mają obserwować w dzień i w nocy, w deszczu i burzy, co mają fotografować i wysyłać do baz. Tymczasem ludzie i maszyny czekali w skwarze.



Ostatnia odprawa Mike'a Martina zajęła trzy dni i była tak ważna, że Marek Gumienny wsiadł do grummana i poleciał do Wielkiej Brytanii. Steve Hill przyleciał z Londynu i dwaj szefowie operacji spotkali się ze swoimi zastępcami McDonaldem i Phillipsem.

W sali było tylko pięć osób, gdyż Gordon Phillips sam poprowadził tak zwany pokaz slajdów. Urządzenia, znacznie nowocześniejsze od dawnych rzutników, pozwalały wyświetlać na ekranie plazmowym o wysokiej rozdzielczości bardzo szczegółowe obrazy w doskonałych kolorach. Jednym guzikiem na pilocie można było powiększyć dowolny fragment i pokazać go na całym ekranie.

Celem odprawy było przekazanie Mike'owi Martinowi wszystkich informacji posiadanych przez zachodnie wywiady, dotyczących ludzi, z którymi mógł się zetknąć.

Nie pochodziły one wyłącznie z angielskich i amerykańskich agencji. Do centralnych baz danych służyły zdobyte służb wywiadowczych z ponad czterdziestu krajów. Oprócz państw bandyckich takich jak Iran i Syria oraz pogrążonej w chaosie Somalii rządy krajów z całego świata dzieliły się wiedzą o terrorystach wyznających agresywną odmianę islamu.

Rabat był nieoceniony w namierzaniu obywateli własnego kraju, Marokańczyków, Aden podawał nazwiska i zdjęcia terrorystów z Jemenu Południowego, Rijad przełknął własne zakłopotanie i słał całe kolumny nazwisk i zdjęć z listy saudyjskich terrorystów.

Martin przypatrywał się fotografiom. Niektóre zostały zrobione na posterunkach policyjnych, inne za pomocą długoogniskowych aparatów na ulicach lub w hotelach. Pokazywano, jak mogą wyglądać twarze z brodą lub bez, w arabskich lub zachodnich ubraniach, z długimi i z krótkimi włosami.

Były wśród nich twarze mułłów i imamów z meczetów, gdzie modlili się fundamentaliści, młodych mężczyzn żanych za kurierów; tych, którzy pomagali przy gromadzeniu funduszy, organizowaniu transportu i kryjówek.

Niektórzy już nie żyli, tak jak Muhammad Atef, pierwszy szef operacyjny Al - Kaidy, zabity przez bombę w Afganistanie; jego zastępca odsiadywał dożywocie i nie miał co liczyć na przedterminowe zwolnienie; drugi zastępca też już nie żył. Pokazano również fotografię obecnego szefa operacyjnego.

Znajdowała się wśród nich inteligentna twarz Taufika al - Kura, który przed pięcioma miesiącami rzucił się przez balkon w Peszawarze. Nieco później pojawiła się podobizna Saudyjczyka Hamuda al - Utajbiego, nowego szefa Al - Kaidy w Arabii Saudyjskiej, który wciąż żył.

Były też same zarysy głów na białym tle, tak uchwycono postać szefa Al - Kaidy w Azji Południowo - Wschodniej, następcy Hanbaliego; to właśnie on prawdopodobnie stał za niedawnymi zamachami bombowymi w kurortach Dalekiego Wschodu. O dziwo, był także szefem organizacji w Wielkiej Brytanii.

- Pół roku temu dowiedzieliśmy się, kim jest - rzekł Gordon Phillips. - Ale zniknął w odpowiednim momencie. Wrócił do Pakistanu, tropimy go dzień i noc. ISI w końcu go dopadnie...

- I przyśle go nam do Bagram - mruknął Marek Gumienny. Wszyscy obecni wiedzieli, że w amerykańskiej bazie na północ od Kabulu znajduje się bardzo szczególne pomieszczenie, w którym każdy w końcu zaczyna śpiewać.

- Z pewnością będziesz musiał się rozglądać za tym człowiekiem - rzekł Steve Hill, gdy na ekranie pojawiła się surowa twarz imama. Zdjęcie zrobiono na ulicy w Pakistanie. - I za tym.

Twarcz z kolejnej fotografii wyglądała łagodnie i emanowała uprzejmością; mężczyzna znajdował się na molo, za nim w tle mieniła się błękitna woda. Zdjęcie pochodziło z Dubaju, przesłały je siły specjalne Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Uczestnicy odprawy zrobili sobie przerwę, zjedli posiłek, zdrzemnęli się, a potem wrócili do pracy. Dopiero gdy gospodyni weszła do sali z tacami z jedzeniem, Phillips wyłączył telewizor. Tamian Godfrey i Nadżib Kurajszi zostali w swoich pokojach albo spacerowali razem po wzgórzach. Wreszcie mieli to za sobą.

- Jutro wylatujemy - oznajmił Marek Gumienny.



Pani Godfrey i afgański analityk odprowadzili Mike'a do śmigłowca. Mike miał tyle lat, że mógłby być synem koranistki.

- Uważaj na siebie, Mike - powiedziała, a potem zaklęła. - Cholera, gardło mi się ścisza ze wzruszenia. Bóg z tobą, chłopcze.

- A jeśli wszystko inne zawiedzie, niech Allah ma cię w swojej opiece - dodał Kurajszi.

Jetranger mógł zabrać tylko Martina i dwóch szefów operacji. Ich zastępcy mieli pojechać do Edzell i kontynuować pracę.

Śmigłowiec wylądował z dala od wścibskich spojrzeń; trzej mężczyźni wyskoczyli i pobiegli do czekającego już grummana, samolotu CIA. Zawieja śnieżna zmusiła ich do włożenia płaszczy przeciwdeszczowych, więc nikt nie zauważył, że jeden z mężczyzn ma na sobie burnus.

Załoga grummana miała już do czynienia z dziwniej wyglądającymi pasażerami; nikt nie uniósł nawet brwi na widok brodatego Afgańczyka, którego wicedyrektor do spraw operacyjnych przewoził przez Atlantyk w towarzystwie brytyjskiego gościa.

Nie polecili do Waszyngtonu, tylko na odległy półwysep na południowo - wschodnim wybrzeżu Kuby. O świcie czternastego lutego samolot wylądował w Guantanamo i pokołował prosto do hangaru, którego wrota natychmiast się za nimi zasunęły.

- Obawiam się Mike, że musisz zostać w samolocie - oznajmił Marek Gumienny. - Zabierzemy cię stąd pod osłoną ciemności.

W tropikach noc nadchodzi błyskawicznie; o dziewiętnastej było zupełnie ciemno. Właśnie wtedy czterej agenci CIA z oddziału do zadań specjalnych wkroczyli do celi Ismata Chana. Więzienni strażnicy opuścili korytarz godzinę wcześniej. Nigdy przedtem to się nie zdarzyło.

Agenci nie zachowywali się brutalnie, lecz nie uznawali oporu. Jeden złapał Afgańczyka wpół,

przyciskając mu ręce do tułowia, a drugi za uda. Chloroform zadziałał po dwudziestu sekundach. Więzień przestał się szarpać i zwiotczał.

Położono go na noszach, a później na wózku, przykryto bawełnianą płachtą i wywieziono na zewnątrz. Kontener już czekał. W całym bloku więziennym nie było strażników. Nikt niczego nie widział. Kilkanaście sekund po uprowadzeniu Afgańczyk znalazł się w kontenerze.

Z zewnątrz kontener niczym się nie różnił od dużych drewnianych skrzyń używanych do przewozu towarów. Nawet oznaczenia były autentyczne.

W środku wyłożony był izolacją dźwiękoszczelną. W dachu umieszczono mały ruchomy panel, który miał być zdjęty, kiedy kontener znajdzie się w powietrzu. Dwa wygodne fotele były przymocowane do podłogi, a oświetlenie zapewniała żółtawa żarówka niskiej mocy.

Ismata Chana ułożono na fotelu zaopatrzonym w pasy. Unieruchomiono go tak, aby nie zakłócać krążenia krwi; mógł rozprostować kończyny, ale nie mógł zejść z fotela. Wciąż spał.

Agent CIA, który miał podróżować z więźniem w kontenerze, skinął głową do kolegów, którzy założyli ścianę. Wózek widłowy uniósł kontener i pojechał na pas startowy, gdzie czekał samolot Hercules AC - 130 Talon należący do sił specjalnych; wyposażono go w dodatkowe zbiorniki paliwa, tak że z łatwością dotrze do celu.

Tajemnicze lądowania i starty samolotów w Gitmo odbywają się regularnie jak w zegarku; wieża błyskawicznie wydała pozwolenie na start i hercules wzbił się w powietrze, biorąc kurs na bazę McChord w stanie Waszyngton.

Godzinę później do bloku w obozie Echo podjechał samochód, z którego wysiadła grupka kilku osób. W pustej celi mężczyznę przebrano w pomarańczowy kombinezon i pantofle. Przed okryciem nieprzytomnego Afgańczyka płachtą i wyniesieniem zrobiono mu zdjęcia. Kilkoma cięciami nożyc poprawiono wygląd jego zastępcy, a włosy zebrano i usunięto. Potem goście cicho pożegnali się i wyszli, zamykając za sobą drzwi celi.

Dwadzieścia minut później wrócili strażnicy, zdumieni, ale nie zaciekawieni. Poeta Alfred Tennyson miał rację: nie jest ich rzeczą dociekanie.

Zerknęli na postać najcenniejszego więźnia i czekali na świt.

Poranne słońce rozjaśniało wierzchołki Gór Kaskadowych, gdy AC - 130 zbliżał się do rodzimej bazy McChord. Komendant bazy otrzymał wiadomość, że CIA będzie przewozić ostatni element do swojego nowego ośrodka badawczego w Głuszy. Nie musiał wiedzieć więcej, toteż nie zadawał pytań. Papiery były w porządku, chinook już czekał.

W czasie lotu Afgańczyk odzyskał przytomność. Zdjęto górny panel, do środka wpadło świeże powietrze z kabiny herculesa. Eskortujący więźnia agent uśmiechnął się zachęcająco i zaproponował mu coś do jedzenia i picia. Więzień zadowolili się wodą sodową pitą przez słomkę.

Ku zaskoczeniu agenta znał kilka zwrotów angielskich, które najwyraźniej przyswoił sobie w

czasie pięcioletniego pobytu w Guantanamo. Dwa razy w ciągu lotu zapytał o godzinę, raz pochylił głowę jak najdalej do przodu i pomodlił się. Poza tym nic nie mówił.

Tuż przed lądowaniem założono z powrotem panel w dachu; operator wózka widłowego nawet nie podejrzewał, że nie przewozi z herculesa do śmigłowca zwykłego ładunku.

Drzwi rampy się zamknęły. W kontenerze wciąż paliła się mała żarówka na baterie, lecz była niewidoczna z zewnątrz; ze środka nie dochodził żaden dźwięk. Więzień, jak później zeznał eskortujący go agent Markowi Gumienny'emu, siedział spokojnie niczym trusia.

Była połowa lutego, dlatego można powiedzieć, że pogoda dopisywała wyjątkowo. Mróz trzymał, lecz niebo pozostawało bezchmurne. Wielki dwu wirnikowy chinook usiadł na lądowisku przed chatą, tylne drzwi się odsunęły, ale kontener został w środku. Dwóch pasażerów wysiadło z helikoptera prosto na śnieg. Obaj zadrżeli, gdy zdjęto tylną ścianę kontenera. Eskortujący więźnia agenci musieli jeszcze dopełnić formalności.

Przed zdjęciem pasów skuto więźniowi ręce i nogi. Później kazano mu wstać i zejść po rampie na śnieg. Dziesięcioosobowy personel stał w półokręgu; wszyscy agenci mierzyli do więźnia z pistoletów.

Eskorta talibskiego dowódcy była tak liczna, że z trudem mogła przecisnąć się przez drzwi. Poprowadzono go do kwatery. Przestał się trząść, dopiero gdy drzwi się zamknęły, odcinając dopływ zimnego powietrza.

W obecności sześciu strażników zdjęto mu wreszcie kajdanki. Agenci wyszli tyłem z celi i zatrzasnęli stalowe drzwi. Więzień się rozejrzał. Cella była lepsza, ale nadal pozostawała celą. Przypomniał sobie posiedzenie sądu. Pułkownik ogłosił, że odeślą go z powrotem do Afganistanu. Kolejne kłamstwo.



Późnym rankiem, w palącym blasku słońca zalewającym kubański krajobraz, wylądował następny hercules. Ten także był przygotowany do długiego lotu, lecz nie należał do sił specjalnych i nie był uzbrojony po zęby jak talon. Pochodził z MATS, sekcji transportu sił powietrznych. Miał przewieźć na drugą półkulę jednego pasażera.

Drzwi celi się otwały.

- Więzień Chan, proszę wstać i odwrócić się twarzą do ściany.

Założono mu pas połączony łańcuchem z kajdankami na rękach i kostkach. Tak skuty więzień mógł iść jedynie drobnymi kroczkami.

Sześciu uzbrojonych strażników poprowadziło go przez krótki odcinek do końca bloku. Czekająca tam więzienna furgonetka ze schodami, siatką oddzielającą więźniów od kabiny kierowcy i zaciemnionymi oknami.

Kiedy kazano mu wyjść na płytę lotniska, zamrugał oczami, oślepiony jaskrawym blaskiem słońca.

Pokręcił kudłatą głową i rozejrzał się zdezorientowany. Gdy jego oczy przyzwyczyły się do światła, zobaczył czekającego herculesa oraz grupę amerykańskich oficerów. Jeden z nich podszedł i skinął na niego.

Więzień potulnie ruszył po rozpalonym słońcem asfalcie. Był skuty, a mimo to przez całą drogę towarzyszyło mu sześciu uzbrojonych strażników. Odwrócił głowę, by spojrzeć po raz ostatni na budynek, w którym spędził sześć strasznych lat. Następnie wdrapał się po schodach do samolotu, szurając nogami.

W sali poniżej pokładu operacyjnego wieży kontrolnej stało dwóch mężczyzn i obserwowało to, co dzieje się na płycie lotniska.

- A więc stało się. Twój człowiek odlatuje - rzekł Marek Gumienny.

- Niech Allah ma go w swojej opiece, jeśli tamci dowiedzą się, kim jest - odparł Steve Hill.

CZEŚĆ CZWARTA

PODRÓŻ

ROZDZIAŁ 10

Był to długi i wyczerpujący lot. Nie przeprowadzono tankowania w powietrzu, bo jest to kosztowne. Hercules pełnił funkcję latającego więzienia; Amerykanie wyświadczali przysługę afgańskiemu rządowi, który sam powinien zabrać więźnia z Kuby, lecz nie miał odpowiedniego samolotu.

C - 130 poleciał przez amerykańskie bazy na Azorach i w Ramstein w Niemczech; późnym popołudniem następnego dnia zaczął obniżać pułap, gdyż zbliżał się do wielkiej bazy lotniczej Bagram na południowym skraju pępek równiny Szomali.

Załoga zmieniła się dwa razy, lecz eskorta pozostała ta sama; żandarmi wojskowi czytali, grali w karty i drzemali, a cztery śmigła wirujące za lukami niczym ostrza mieczy niosły ich coraz dalej i dalej na wschód. Więzień był cały czas skuty kajdankami. On też usiłował spać w miarę możliwości.

Hercules pokołował na pas betonu przed olbrzymimi hangarami dominującymi nad amerykańską częścią bazy Bagram; czekała tam grupa powitalna. Dowódca oddziału żandarmerii eskortującego więźnia z ulgą zobaczył, że Afgańczycy nie ryzykują. Ciężarówką przyjechało dwudziestu żołnierzy sił specjalnych, którymi dowodził brygadier Jusuf. Dodatkowo przysłano też furgonetkę więzienną.

Major zbiegł z rampy, żeby wypełnić papiery przed przekazaniem nietypowego ładunku. Zajął to kilka sekund. Następnie skinął głową kolegom, którzy odpięli więźnia od zebrowania kabiny samolotu i wyprowadzili, wciąż skutego, w mroźne powietrze afgańskiej zimy.

Żołnierze otoczyli go, zaciągnęli do furgonetki i wepchnęli do środka, po czym zatrzasnęli drzwi. Amerykański major powiedział, że nie chciałby zamienić się z więźniem miejscami. Zasalutował brygadierowi.

- Proszę na niego uważać, sir. To wyjątkowy twardziel.

- Nie ma obawy, majorze - powiedział Afgańczyk. - Spędzi resztę swoich dni w więzieniu Pul - i Charki.

Kilka minut później furgonetka więzienna ruszyła, a za nią ciężarówka z żołnierzami afgańskich sił specjalnych. Mały konwój wjechał na drogę prowadzącą do Kabulu. Dopiero gdy zapadła całkowita ciemność, samochody się rozdzieliły. W oficjalnym raporcie zostało to później opisane jako kompletny przypadek. Furgonetka pojechała sama.

Pul - i Charki to budzący grozę rozległy kompleks na wschód od Kabulu, nieopodal wąwozu przy wschodnim krańcu równiny kabulskiej. Za radzieckiej okupacji stanowił siedzibę tajnej policji KHAD; bez przerwy rozbrzmiewały tam krzyki torturowanych.

W czasie wojny domowej kilkadziesiąt tysięcy więźniów nie wyszło stamtąd żywych. Po powstaniu nowej Republiki Afganistanu, gdy przeprowadzono demokratyczne wybory, warunki się poprawiły, lecz wydaje się, że w kamiennych korytarzach i lochach wciąż pobrzmiwają echa

rozpaczliwych jęków. Na szczęście furgonetka więzienna wcale tam nie dotarła.

Kiedy opuściła ją wojskowa eskorta, przejechała jeszcze piętnaście kilometrów, gdy z bocznej drogi wyjechał pick - up i podążył za więziennym samochodem. Kierowca pick - upa mignął światłami i furgonetka zjechała na sprawdzony wcześniej płaski kawałek terenu za kępą rachitycznych drzew. Tam nastąpiła „ucieczka”.

Więzień został rozkuty, gdy tylko samochód minął ostatni posterunek w bazie Bagram. W czasie jazdy przebrał się w szare, ciepłe wełniane spodnie od *szalwar kamiz* buty. Tuż przed tym, jak furgonetka zjechała z drogi, zawinął sobie na głowie budzący grozę czarny turban talibów.

Brygadier Jusuf, który wcześniej przesiadł się z kabiny ciężarówki do pick - upa, przejął dowodzenie. Z tyłu auta leżały cztery ciała.

Wszystkie pochodziły z miejskiej kostnicy. Były wśród nich zwłoki dwóch brodatych mężczyzn ubranych jak talibowie. W rzeczywistości pracowali na budowie, gdy załamało się chwiejne rusztowanie, obu zabijając.

Dwaj pozostali zginęli w wypadkach samochodowych. Afgańskie drogi są tak dziurawe, że najbezpieczniej jeździ się po wybrzuszeniu na środku. Zjechanie na bok uważa się za przejaw zniewieściałości, dlatego żniwo wypadków jest imponujące. Ciała dwóch gładko ogolonych mężczyzn były ubrane w mundury służby więziennej.

Strażników znaleziono później martwych, z wyciągniętymi pistoletami; podziurawiono ich kulami. Talibowie, którzy mieli się zacząć przy drodze, także otrzymali postrzały - z pistoletów strażników. Drzwi furgonetki brutalnie potraktowano kilofem i zostawiono otwarte. Właśnie w takim stanie nazajutrz znaleziono więzienny samochód.

Po wykonaniu inscenizacji brygadier Jusuf zajął miejsce na przednim fotelu obok kierowcy pick - upa. Były więzień wsiadł na tył razem z dwoma żołnierzami sił specjalnych. Wszyscy trzej owinęli twarze zwisającymi końcami turbanów, chroniąc je przed zimnem.

Pick - up przemknął obok Kabulu i pędził dalej, aż dotarł do autostrady prowadzącej na południe do Ghazni i Kandaharu. Tak jak każdej nocy, czekała tam długa kolumna samochodów zwanych w całej Azji choinkami.

Wyglądały tak, jakby zbudowano je jakieś sto lat temu. Pojazdy te ze zgrzytem i warkotem pełzną po wszystkich drogach Bliskiego i Dalekiego Wschodu, wlokąc za sobą kolumny duszącego czarnego dymu. Często widuje się je zepsute przy drodze; kierowcy gotowi są maszerować piechotą wiele kilometrów, żeby zdobyć potrzebną część.

Choinki jakimś cudem wspinają się na niedostępne górskie przełęcze i na popękane drogi na zboczach wzgórz. Czasem ich ogołocone wraki leżą w przydrożnym rowie. Tworzą one jednak handlowy krwiobieg kontynentu, gdyż przewożą niezwykłą różnorodność towarów do najmniejszych i najbardziej odizolowanych osad.

Przed laty Brytyjczycy nazwali te ciężarówki choinkami ze względu na ich wystrój zewnętrzny. Wszystkie dostępne powierzchnie są bowiem zamalowane scenami religijnymi i historycznymi. Można na nich zobaczyć wizerunki wzięte z chrześcijaństwa, islamu, hinduizmu, sikhizmu i buddyzmu, często fantastycznie przemieszane. Jakby tego było mało, kierowcy przyozdabiają je dodatkowo wstążkami, lametą, a nawet dzwoneczkami, tak jak się stroi choinki bożonarodzeniowe.

Przy drodze na południe od Kabulu stało takich ciężarówek kilkaset; kierowcy spali w kabinach, czekając na świt. Pick - up zwolnił i zatrzymał się obok szeregu. Mike Martin zeskoczył z paki i podszedł do jednego z samochodów. Twarz kierowcy ukryta była za *szibaghi* kraciastego materiału.

Brygadier Jusuf skinął głową, lecz nic nie powiedział. Koniec drogi, początek podróży. Odwracając się, Mike usłyszał słowa kierowcy.

- Powodzenia, szefie.

Znowu to określenie. Tylko komandosi z SAS zwracają się w ten sposób do oficerów. Amerykański major, dowódca oddziału żandarmerii wojskowej, przekazując więźnia w Bagram, nie wiedział, kim jest ów więzień, lecz nie wiedział również tego, że po objęciu władzy w Afganistanie prezydent Hamid Karzaj zarządził, by utworzeniem i wyszkoleniem afgańskich sił specjalnych zajął się SAS.

Martin odwrócił się i ruszył wzdłuż szeregu samochodów. Tylne światła pick - upa zmierzającego do Kabulu powoli zniknęły. Sierżant SAS zadzwonił z komórki do stolicy Afganistanu. Odebrał szef placówki. Sierżant wypowiedziała dwa słowa i rozłączył się.

Główny szef SIS także zatelefonował, korzystając z bezpiecznej linii. W Kabulu była czwarta rano, w Szkocji - jedenasta w nocy. Na jednym z ekranów ukazała się wierszowa informacja. Phillips i McDonald zobaczyli słowa, które mieli nadzieję zobaczyć: „Operacja Łom rozpoczęta”.

Maszerujący po szosie w mroźnym powietrzu Mike Martin pozwolił sobie raz zerknąć przez ramię. Czerwone światła pick - upa znikły. Nie zatrzymywał się. Sto metrów dalej był już Afgańczykiem.

Wiedział, czego szuka, musiał jednak minąć około stu samochodów, zanim to znalazł. Tablica rejestracyjna z Karaczi, stolicy Pakistanu. Kierowca takiej ciężarówki raczej nie będzie Pasztunem, więc nie zwróci uwagi na jego niedoskonałą znajomość paszto. Prawdopodobnie należy do Beludżów i jedzie do rodzinnej prowincji.

Kierowcy jeszcze nie wstawali, a było za wcześnie na budzenie tego z wybranej ciężarówki; zmęczeni ludzie, nagle wyrwani ze snu, nie są dobrze usposobieni, a Martin potrzebował życzliwości szofera. Skulił się na ziemi pod samochodem i przez dwie godziny trząsł się z zimna.

Około szóstej coś zaczęło się dziać, a niebo na wschodzie się zaróżowiło. Ktoś rozniecił ognisko przy drodze i powiesił nad nim kociołek. W środkowej Azji znaczna część życia toczy się wokół herbaciarni, *szajchany*, której stworzenia wystarczy czasem ognisko, szczypta herbaty i grupka

mężczyzn. Martin wstał, podszedł do ognia i ogrzał ręce.

Ten, który parzył herbatę, był Pasztunem, lecz małomównym, co bardzo odpowiadało Martinowi. Wcześniej Mike zdjął turban, rozwinął go i wsunął do torby, którą trzymał na ramieniu. Nie należało obnosić się z przynależnością do talibów, nie mając pewności, że można liczyć na sympatię. Za garść afgani kupił parujący kubek herbaty i sączył ją z wdzięcznością. Po kilku minutach Beludża wygramolił się sennie z kabiny i podszedł do ognia po herbatę.

Dniało. Niektóre ciężarówki zaczynały budzić się do życia, wypływając pióropusze czarnego dymu. Beludża ruszył do swojego samochodu. Martin podążył za nim.

- Bądź pozdrowiony, bracie.

Kierowca odpowiedział na pozdrowienie, lecz nie bez podejrzliwości.

- Jedziesz może na południe do granicy i Spin Boldak?

Jeżeli szofer udawał się do Pakistanu, prawdopodobnie zamierzał przekroczyć granicę w małym miasteczku na południe od Kandaharu. Martin wiedział, że wtedy za jego głowę zostanie już wyznaczona nagroda. Posterunki graniczne będzie musiał ominąć pieszo.

- Jeśli taka będzie wola Allaha - odparł kierowca.

- Wobec tego czy w imię miłosiernego pozwolisz biedakowi wracającemu do domu i rodziny zabrać się z tobą?

Beludża się zamyślił. W długich wyprawach do Kabulu zwykle towarzyszył mu kuzyn, który teraz leżał w Karaczi złożony chorobą. Tym razem Beludża musiał pojechać sam i był wyczerpany.

- Umiesz poprowadzić tę ciężarówkę?

- Prawdę powiedziawszy, od lat jestem kierowcą. Jechali na południe w przyjaznym milczeniu, słuchając wschodniej muzyki pop płynącej z plastikowego radia ustawionego nad tablicą rozdzielczą. Odbiornik trzeszczał i piszczał, lecz Martin nie miał pewności, czy to melodia, czy trzaski elektrostatyczne.

Dzień płynął, a oni wlekli się przez Ghazni w stronę Kandaharu. Zatrzymywali się na herbatę i posiłki złożone z ryżu i koziego mięsa oraz po to, by napełnić bak. Martin dołożył trochę pieniędzy do paliwa i Beludża zrobił się o wiele życzliwszy.

Martin nie znał ani urdu, ani beludżi, a kierowca z Karaczi prawie w ogóle nie mówił w paszto, lecz z pomocą gestykulacji i koranicznego arabskiego dobrze sobie radzili.

Na północ od Kandaharu urządzili następny postój, bo Beludża nie chciał jechać w ciemności. To była prowincja Zaból, dziki kraj zamieszkały przez dzikich ludzi. Bezpieczniej było jechać za dnia wśród setek ciężarówek. Bandydzi wolą noc.

Gdy dotarli na północne przedmieścia Kandaharu, Martin stwierdził, że musi się przespać, i ułożył się na ławeczce za siedzeniami, której Beludża używał jako łóżka. Kandahar był kwaterą główną i twierdzą talibów; Martin nie chciał, by jakiś zreformowany talib pomyślał, że zobaczył starego towarzysza w przejeżdżającej ciężarówce.

Za południowymi przedmieściami Kandaharu znów zastąpił Beludżę za kierownicą. Wczesnym popołudniem dojechali do miasteczka Spin Boldak; Martin oznajmił, że mieszka na północnym przedmieściu, podziękował kierowcy, pożegnał się z nim i wysiadł kilka kilometrów przed punktem kontrolnym na granicy.

Beludża nie znał paszto, więc przez cały czas miał radio nastawione na muzykę, a nie na wiadomości. Na granicy kolejki były dłuższe niż zwykle, a kiedy dowlókł się wreszcie swoim gruchotem do szlabanu, pokazano mu ęcie, z którego spoglądała na niego twarz taliba okolona czarną brodą.

Kierowca był uczciwym i pracowitym człowiekiem, chciał dojechać do domu, do żony i czworga dzieci. Życie i tak było dość ciężkie. Po co spędzać dni, a nawet tygodnie w afgańskim więzieniu i tłumaczyć, że nie wiedział, z kim ma do czynienia?

- Na Proroka, nigdy go nie widziałem - oświadczył i straż graniczna go przepuściła.

- Nigdy więcej - mruknął, wyjeżdżając na drogę do Kuitty. Może i pochodził z najbardziej skorumpowanego miasta w Azji, ale w domu przynajmniej wiedział, na czym stoi. Afgańczycy nie byli jego rodakami. Po co mieszać się w ich sprawy? Był ciekaw, co napotkany na drodze talib ma na sumieniu.

Martina ostrzeżono, że porwania więziennego samochodu, zamordowania dwóch strażników i ucieczki więźnia, który powrócił z Guantanamo, nie da się zatuszować. Po pierwsze dlatego, że ambasada amerykańska narobiłaby szumu.

„Miejsce zbrodni” znalazły patrole wysłane na drogę do Bagram, kiedy furgonetka więzienna nie dotarła do celu. Oddzielenie się wojskowej eskorty zrzucano na karb czyjejs niekompetencji. Jednak uwolnienie więźnia musiało być dziełem bandy niedobitków talibów. Zarządzono poszukiwanie.

Niestety ambasada Amerykańska zaproponowała rządowi Karzaja, że przekaze odpowiednim służbom zdjęcie zbiega; tej propozycji nie wolno było odrzucić. Szef placówki CIA oraz szef SIS próbowali opóźnić przesłanie fotografii, lecz niewiele mogli zrobić. Kiedy do wszystkich posterunków granicznych wysłano faksem kopie zdjęcia, Martin wciąż znajdował się na południe od Spin Boldak.

Choć Mike Martin nic o tym wszystkim nie wiedział, postanowił, że na przejściu granicznym nie może sobie pozwolić na ryzyko. Skrył się wśród wzgórz koło Spin Boldak, żeby zaczekać na wieczór. Z miejsca, do którego się wspiał, widział zarys terenu oraz trasę, którą pójdzie pod osłoną nocy.

Miasteczko leżało osiem kilometrów przed nim, pół kilometra niżej. Widział wijącą się drogę i wjeżdżające do niego ciężarówki. Dostrzegał także potężny stary fort, który był niegdyś twierdzą armii brytyjskiej.

Wiedział, że podczas jego zdobycia w roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastym armia brytyjska po raz ostatni skorzystała ze średniowiecznych drabin oblężniczych. Żołnierze podkradli się niepostrzeżenie w nocy, cicho jak koty, by nie obudzić obrońców. Słychać było tylko ryczenie mułów, postukiwanie warząchwii o kociołki i przekleństwa żołnierzy następujących sobie na odciski.

Drabiny okazały się o trzy metry za krótkie, toteż runęły do suchej fosy razem z setką ludzi, którzy na nich wisieli. Na szczęście pasztuńscy obrońcy czający się za murem doszli do wniosku, że atakujące ich siły muszą być ogromne, więc wymknęli się tylnym wyjściem i rozpiezchli wśród wzgórz. Fort padł bez jednego strzału.

Przed północą Martin przemknął się po cichu obok jego murów, przez miasto i do Pakistanu. Świt zastał go piętnaście kilometrów dalej, na drodze do Kuitty. Tam przyłączył się do grupy pijącej herbatę, poczekał na ciężarówkę, której kierowca zabierał pasażerów za opłatę; w ten sposób dotarł do Kuitty. Wreszcie czarny talibski turban, momentalnie rozpoznawany w tych okolicach, stał się atutem, a nie balastem.

Peszą war jest skrajnie fundamentalistycznym miastem, lecz Kuitta zasługuje na to miano jeszcze bardziej; tylko w Miramszarze fanatyczne poparcie dla Al - Kaidy jest silniejsze. Miasta te leżą w prowincjach północnozachodnich, w których obowiązuje prawo plemienne. Mimo że region znajduje się w granicach Pakistanu, przeważają tam Pasztuni i ich język oraz przywiązanie do skrajnej odmiany islamu. Talibski turban jest oznaką człowieka zasługującego na szacunek.

Główna droga wychodząca z Kuitty na południe prowadzi do Karaczi, lecz Martinowi poradzono, by wybrał mniejszą, biegnącą na południowy - zachód do owianego złą sławą portu Gwador.

Leży on prawie na granicy z Iranem, na najdalej na zachód wysuniętym skrawku Beludżystanu. Ta niegdyś senna rybacka wioska stała się ważną przystanią i ośrodkiem przemytu, zwłaszcza opium. Islam wprawdzie zakazuje używania narkotyków, ale tylko muzułmanom. Jeśli niewierni na Zachodzie chcą się truc i dobrze za to płacą, to cóż do tego prawdziwym sługom Proroka.

Dlatego mak uprawia się w Iranie, Pakistanie, a najwięcej w Afganistanie; na miejscu przerabia się go na morfinę, a stamtąd przerzuca na Zachód, gdzie jest zamieniany w heroinę i śmierć. Gwador odgrywa swoją rolę w tym handlu.

W Kuitcie, pragnąc uniknąć kontaktu z Pasztunami, którzy mogliby go zdemaskować, Martin poszukał następnego kierowcy Beludży, zmierzającego do Gwadoru.

Tam też się dowiedział, że za jego głowę wyznaczono nagrodę w wysokości pięciu milionów afgani, ale tylko w Afganistanie.

Rankiem trzeciego dnia po tym, jak usłyszał słowa „powodzenia, szefie”, wysiadł z ciężarówki

i z wdzięcznością napił się słodkiej zielonej herbaty w kawiarni na chodniku. Był oczekiwany, lecz nie przez tubylców.



Pierwszy z dwóch predatorów wystartował z Thumrait przed dwudziestoma czterema godzinami. Latające na zmianę bezzałogowe maszyny miały dzień i noc patrolować wyznaczony teren.

Wyprodukowany przez firmę General Atomics UAV - - RQ 1 L Predator nie imponuje wyglądem. Przypomina zabawkę zbudowaną na podstawie rysunku domorosłego modelarza.

Ma osiem metrów i dwadzieścia trzy centymetry długości i jest cienki jak ołówek. Jego spiczaste skrzydła, przypominające mewie, mają rozpiętość czternaście i osiem dziesiątych metra. Pojedynczy silnik Rotax o mocy stu trzynastu koni mechanicznych napędza śmigło, czerpiąc paliwo ze zbiornika o pojemności trzystu siedemdziesięciu dziewięciu litrów.

Jednak ten skromny napęd pozwala mu osiągnąć maksymalną prędkość dwustu dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę i latać z minimalną prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Może utrzymywać się w powietrzu do czterdziestu godzin, lecz przeważnie oddala się od bazy na odległość czterystu mil morskich, spędza w powietrzu dwadzieścia cztery godziny i wraca do bazy.

Silnik predatora mieści się z tyłu, zatem urządzenia sterujące umieszczono w przedniej części korpusu. Można nim sterować ręcznie albo zlecić zdalne sterowanie programowi komputerowemu aż do wydania nowych poleceń.

Prawdziwy „geniusz” predatora tkwi w jego pękatym nosie, odłączalnym module nawigacyjnym Skyball.

Wszystkie urządzenia komunikacyjne skierowane są ku górze, w stronę satelitów krążących na orbicie okołoziemskiej. To one odbierają obrazy i podsłuchane rozmowy, a następnie przekazują je do bazy.

W dół spoglądają radar Lynx oraz moduł fotograficzny L - 3 Wescam. Nowocześniejsze wersje, takie jak ta wykorzystywana nad Omanem, radzą sobie z ciemnością, zachmurzeniem, deszczem, gradem i śniegiem dzięki multispektralnemu systemowi namierzania.

Po inwazji na Afganistan, gdy okazało się, że namierzone są bardzo cenne cele, lecz nie można ich w odpowiednim czasie zaatakować, twórcy predatora opracowali nową wersję wyposażoną w pociski Hellfire. W ten sposób pojawiła się odmiana, która mogła nie tylko namierzać cele, lecz także je niszczyć.

Dwa lata później szef Al - Kaidy w Jemenie wyszedł z kryjówki w niedostępnym regionie w centrum kraju i z czterema towarzyszami wsiadł do toyoty land cruiser. Nie wiedział o tym, że w Tampie w Stanach Zjednoczonych śledzi go na ekranie kilka par oczu.

Wysłano sygnał z poleceniem i od brzucha predatora oderwała się rakietka Hellfire, która po kilku sekundach zamieniła land cruisera razem z pasażerami w obłok pary. Całe wydarzenie obserwowano w kolorze na ekranie plazmowym w Tampie.

Dwa predatory stacjonujące w Thumrait nie były uzbrojone. Ich zadanie polegało wyłącznie na patrolowaniu pewnego obszaru lądu i morza z wysokości sześciu tysięcy metrów, i pozostawaniu niewidzialnymi dla oczu oraz radaru.

W Gwadorze znajdowały się cztery meczety, lecz dyskretne zapytanie skierowane przez Brytyjczyków do pakistańskiego ISI pozwoliło ustalić, że czwarty z nich, najmniejszy, jest uważany za wylęgarnię muzułmańskiego fundamentalizmu. Podobnie jak większość małych meczetów, jest to świątynia jednego imama, który żyje z datków wiernych. Ten meczet został zbudowany i był prowadzony przez Abd Allaha Halabiego.

Imam znał dobrze swoich wiernych i wystarczyło mu jedno spojrzenie ze stojącego na podeście fotela, by zauważyć nowego przybysza. Czarny talibski turban w ostatnim rzędzie rzucał się w oczy.

Zanim nieznajomy z czarną brodą zdążył włożyć sandały i zniknąć w tłumie, imam pociągnął go za rękaw.

- Łaska miłosiernego Allaha niech będzie z tobą - mruknął po arabsku, a nie w urdu.

- I z tobą, imamie - odparł nieznajomy. Mówił po arabsku, lecz imam wychwycił pasztuński akcent. Jego podejrzenie się potwierdziło: mężczyzna pochodził z terytoriów plemiennych.

- Moi przyjaciele i ja udajemy się do *madafy* - oznajmił. - Napijesz się z nami herbaty?

Pasztun zastanowił się przez chwilę, a potem z powagą schylił głowę. Przy większości meczetów znajdują się /y, będące rodzajem klubu, w których wierni się modlą i wymieniają plotkami, a imamowie udzielają nauk religijnych. Na Zachodzie często prowadzi się w nich indoktrynację nastolatków, którzy stają się później ekstremistami.

- Jestem imam Halabi. Czy nasz nowy wierny ma nazwisko?

Martin bez wahania podał imię prezydenta Afganistanu i nazwisko brygadiera sił specjalnych.

- Jestem Hamid Jusuf.

- Witaj, Hamidzie Jusufie - odrzekł imam. - Zauważyłem, że ośmielasz się nosić turban talibów. Czy byłeś jednym z nich?

- Od dnia, w którym przyłączyłem się do mułły Umara w Kandaharze w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym.

W *madafie*, szopie za meczetem, zgromadziło się kilkunastu mężczyzn. Podano herbatę. Martin zauważył, że jeden z nich mu się przypatruje. Po chwili odciągnął imama na stronę i gorączkowo zaczął coś do niego szeptać. Wyjaśnił, że nigdy nie przyszłoby mu do głowy oglądać telewizji i

pokazywanych w niej nieczystych obrazów, lecz przechodził koło sklepu z telewizorami; jeden odbiornik na wystawie był włączony.

- Jestem pewien, że to ten sam człowiek - syknął. - Przed trzema dniami uciekł z Kabulu.

Martin nie rozumiał urdu, zwłaszcza z akcentem Beludżów, lecz wiedział, że się o nim mówi. Imam pogardzał wszystkim, co zachodnie i nowoczesne, lecz podobnie jak większość ludzi uważał telefon komórkowy za diabelnie wygodną rzecz, zwłaszcza jeśli został wyprodukowany Nokią w chrześcijańskiej Finlandii. Poprosił trzech przyjaciół, żeby wciągnęli nieznajomego do rozmowy i nie pozwolili mu wyjść. Następnie udał się do swojej skromnej kwatery i wykonał kilka telefonów. Wrócił poruszony.

Po pierwsze, przybysz był talibem; Amerykanie zabili mu całą rodzinę i cały klan; dowodził połową północnego frontu w czasie wojny z jankesami; zdobył arsenał w Kalat - i Dżangi; przeżył pięć lat w amerykańskim piekle, a następnie wyrwał się z łap prowaszynctońskiego reżimu w Kabulu - ten człowiek nie był zbiegiem, tylko bohaterem.

Imam Halabi pochodził z Pakistanu, lecz namiętnie pogardzał rządem w Islamabadzie za kolaborację z Ameryką. Bez reszty popierał Al - Kaidę. Trzeba mu jednak oddać to, że pięć milionów afgani, które uczyniłoby go bogatym do końca życia, nie stanowiło dlań pokusy.

Wrócił do salki i skinął na nieznajomego.

- Wiem, kim jesteś - szepnął. - To ciebie nazywają Afgańczykiem. U mnie jesteś bezpieczny, ale nie w Gwadorze. Agenci ISI są wszędzie, a za twoją głowę wyznaczono nagrodę. Gdzie się zatrzymałeś?

- Nigdzie. Dopiero przybyłem z północy - odparł Martin.

- Wiem, skąd przybyłeś, mówią o tym we wszystkich wiadomościach. Zostaniesz tu, ale nie za długo. Musisz jakoś wydostać się z Gwadoru. Będziesz potrzebował nowych papierów, nowej tożsamości i bezpiecznej drogi ucieczki. Może znam odpowiedniego człowieka.

Wysłał na przystań chłopca uczącego się w jego madrasie. Łodzi, której szukał, nie było w porcie. Przybiła dwadzieścia cztery godziny później. Chłopiec czekał cierpliwie w miejscu, w którym zawsze cumowała.



Fajsal Ibn Salim pochodził z Kataru. Przyszedł na świat w rodzinie ubogiego rybaka w nędznej ruderze obok błotnistego strumienia płynącego koło wioski, która znacznie później stała się tętniącą życiem stolicą kraju, Dauhą. To jednak nastąpiło po odkryciu ropy, po stworzeniu Zjednoczonych Emiratów Arabskich z państw traktatowych, po odejściu Brytyjczyków, przybyciu Amerykanów, na długo przed tym, jak pieniądze zaczęły napływać szeroką rzeką.

W dzieciństwie poznał biedę i odczuwał instynktowny szacunek dla cudzoziemców o białej

skórze. Lecz od samego początku Ibn Salim powziął silne postanowienie, że zdobędzie wysoką pozycję w świecie. Do osiągnięcia tego celu postanowił wykorzystać morze, które dobrze znał. Został pomocnikiem na pokładzie przybrzeżnego frachtowca pływającego od wyspy Masirah i Sallah w prowincji Omanu, Dufari, do portów Kuwejtu i Bahrajnu przy wejściu do Zatoki Perskiej. Miał bystry umysł, więc dużo się nauczył.

Nauczył się, że zawsze jest ktoś, kto chce coś sprzedać, i to tanio. I że gdzieś jest ktoś, kto chce to kupić i gotów jest zapłacić więcej. Między pierwszym i drugim stała instytucja zwana urzędem celnym. Fajsal Ibn Salim wzbogacił się na przemyśle.

W czasie swych podróży zobaczył wiele rzeczy, które wzbudziły jego podziw: piękne tkaniny i arrasy, muzułmańskie dzieła sztuki, prawdziwą kulturę, stare wydania Koranu, cenne manuskrypty oraz majestatyczne piękno wielkich meczetów. Zobaczył także inne rzeczy, które wzbudziły jego pogardę: bogatych cudzoziemców z Zachodu, twarze przypominające świńskie ryje, czerwieniejące w słońcu jak homary, odrażające kobiety w strojach bikini, pijaków, niezasłużony dobrobyt.

Jego uwadze nie umknął również fakt, że władcy państw nad Zatoką także skorzystali z bogactwa tryskającego czarnymi strumieniami z piasków pustyni. A ponieważ podchwycili zachodnie zwyczaje, pili importowany alkohol i spali ze złotowłosymi dziewczynkami, nimi także zaczął gardzić.

Kiedy miał czterdzieści kilka lat, czyli dwadzieścia lat przed tym, jak beludżyjski chłopiec czekał na niego przy doku w Gwadorze, Faj salowi Ibn Salimowi przydarzyły się dwie rzeczy.

Zarobił i zaoszczędził dość pieniędzy, by zamówić i kupić doskonałą dawkę do transportu drewna, zbudowaną przez najlepszych szkutników z Sur w Omanie; nazwał ją „Rasza”, czyli perła. I został wahabitą.

Nowi prorocy, którzy poszli za nauką Maududiego i Sajjida Kutba, ogłosili wojnę z siłami herezji i degeneracji. Fajsal ich popierał. Kiedy młodzi mężczyźni poszli walczyć z bezbożnymi Rosjanami w Afganistanie, modlił się za nich; gdy inni młodzi mężczyźni skierowali wielkie samoloty w wieże zachodniego bożka pieniądza, padł na kolana i modlił się, żeby weszli do ogrodów Allaha.

Dla świata pozostał uprzejmym, żyjącym oszczędnie, skrupulatnym, bogobożnym właścicielem „Raszy”. Uprawiał handel na całym wybrzeżu Zatoki, wypływał również Morze Arabskie. Nie szukał kłopotów, lecz jeśli prawdziwy wierny potrzebował jego pomocy, czy to w postaci jałmużny, czy transportu w bezpieczne miejsce, Fajsal nigdy mu jej nie odmawiał.

Zachodnie służby bezpieczeństwa zwróciły na niego uwagę, gdyż saudyjski aktywista Al - Kaidy, pojmany w Hadramaucie, zaczął zeznawać w więzieniu w Rijadzie i wyjawiał, że najtajniejsze wiadomości przeznaczone dla samego Bin Ladena przekazywano ustnie posłańcowi, który uczył się ich na pamięć i był gotów odebrać sobie życie, gdyby go schwytano. Emisariusz przepływał Zatokę Omańską i wysiadał na wybrzeżu Beludżystanu, skąd niósł wiadomość na północ do jaskiń Waziristanu, gdzie przebywał szejk. Łodzią tą była „Rasza”. Za zgodą ISI nie przejmowano jednostki, tylko ją obserwowano.

Fajsal Ibn Salim przybył do portu Gwador z ładunkiem białych towarów ze strefy wolnocłowej w Dubaju. Lodówki, pralki, mikrofalówki i telewizory można tam było kupić za ułamek ceny obowiązującej poza strefą.

Miał zabrać na pokład pakistańskie dywany uplecione drobnymi palcami małych niewolników, przeznaczone dla stóp zachodnich bogaczy kupujących luksusowe wille na morskiej wyspie budowanej u wybrzeży Dubaju i Kataru.

W skupieniu wysłuchał słów posłańca i skinął głową; dwie godziny później, gdy przywiezione towary trafiły bezpiecznie na ląd bez zawracania głowy pakistańskim celnikom, Fajsal Ibn Salim zostawił „Raszę” pod opieką omańskiego marynarza i spokojnie ruszył uliczkami Gwadoru w stronę meczetu.

Po latach prowadzenia handlu z Pakistanem uprzejmy Arab znał doskonale urdu; rozmawiał z imamem właśnie tym językiem. Pił herbatę, jadł słodkie ciastka i wycierał palce w małą batystową chusteczkę. Po chwili skinął głową i zerknął na Afgańczyka. Usłyszawszy o ucieczce z więziennego samochodu, uśmiechnął się z aprobatą.

- Pragniesz opuścić Pakistan, bracie? - spytał po arabsku.

- Nie ma tu dla mnie miejsca - odparł Martin. - Imam się nie myli. Tajna policja mnie złapie i odda w ręce tych psów z Kabulu. Tam zakończę życie.

- Byłaby to wielka szkoda - mruknął Katarczyk. - A jeśli zabiorę cię do państw nad Zatoką, co uczynisz?

- Spróbuję znaleźć innych prawdziwych wiernych i zaofiaruję im swoje umiejętności.

- Jakże mianowicie? Co umiesz robić?

- Umiem walczyć. I jestem gotów umrzeć w świętej wojnie za Allaha.

Kapitan milczał przez chwilę.

- Ładowanie dywanów odbędzie się rano - rzekł w końcu. - Zajmie kilka godzin. Muszą być umieszczone głęboko pod pokładem, żeby nie spryskała ich morską wodą. Potem wyjdę w morze z opuszczonymi żaglami. Przepłynę tuż obok końca falochronu. Gdyby ktoś wskoczył tam na pokład, nikt by nie zauważył.

Fajsal pożegnał się i wyszedł. Gdy zapadł mrok, chłopiec poprowadził Martina do portu. Mike przyjrzał się „Raszy”, żeby rano ją rozpoznać. Łódź przepłynęła obok falochronu tuż przed jedenastą. Wziął krótki rozbieg i przeskoczył dwa i pół metra z kilkunastocentymetrowym zapasem.

Przy sterze stał Omańczyk. Fajsal Ibn Salim powitał Martina z łagodnym uśmiechem. Podał gościowi słodką ę do obmycia rąk i poczęstował go smacznymi daktylami z palm Maskatu.

W południe rozłożył dwie maty na szerokim zrębniku wokół luku towarowego. Ukłękli ramię

przy ramieniu, żeby odmówić modlitwę. Martin po raz pierwszy miał okazję pomodlić się w obecności jednego człowieka, a nie w tłumie, w którym słowa ginęły wśród wielu głosów. Nie popełnił ani jednego błędu.



Gdy agent wykonuje w terenie tajne i niebezpieczne zadanie, jego kontrolerzy w bazie niecierpliwie wyczekują jakiegokolwiek znaku, że ich człowiek żyje, jest na wolności, nadal działa. Wskazówka taka może nadejść od samego agenta za pośrednictwem telefonu, wiadomości w kolumnie drobnych ogłoszeń, w postaci znaku nakreślonego kredą na murze czy innego ustalonego sygnału. Może ją też przekazać obserwator, który nie nawiązuje z agentem kontaktu. Nazywa się to znakiem życia. Po dniach ciszy kontrolerzy nie potrafią opanować nerwowości, kiedy czekają na taki właśnie sygnał.

W Thumrait było południe, w Szkocji czas wczesnego śniadania, a w Tampie jeszcze nawet nie świtało. W pierwszym i trzecim z tych miejsc widziano obraz przekazywany przez predatora, lecz nie rozumiano jego znaczenia. Obowiązywała zasada ograniczonego obiegu informacji. Jednak w bazie Edzell byli tacy, którzy wiedzieli.

Afgańczyk klęczący na pokładzie „Raszy” modlił się, pochylając głowę do pokładu, a następnie unosząc twarz ku niebu. Salą wstrząsnął gromki okrzyk. Po kilku sekundach jedzący śniadanie Steve Hill odebrał telefon i nagle ni stąd, ni zowąd namiętnie ucałował żonę.

Dwie minuty później Marek Gumienny też odebrał telefon, leżąc w łóżku w mieszkaniu w Old Alexandrii. Wysłuchał informacji, uśmiechnął się i mruknął: „Jeszcze daleka droga”, a potem znów zasnął. Afgańczyk zmierzał do celu.

ROZDZIAŁ 11

Sprzyjający wiatr od południa pozwolił podnieść żagiel na „Raszy”; wyłączono silnik i dudnienie pod pokładem ustąpiło łagodnym odgłosem morza: szumowi wody obmywającej dziób, westchnieniom wiatru w żaglu, skrzypieniu bloków i takielunku.

Dawa, nad którą na wysokości sześciu kilometrów krążył niewidoczny predator, sunęła wzdłuż wybrzeża południowego Iranu, a potem weszła do Zatoki Omańskiej. Tam wykonała zwrot na sterburtę, skorygowała ustawienia żagla, gdyż wiatr dał teraz od rufy, i wzięła kurs na wąski przesmyk między Iranem i Półwyspem Arabskim zwany cieśniną Ormuz.

Przez to wąskie przejście wodne, obok koniuszka półwyspu Musandam, znajdującego się zaledwie trzynaście kilometrów od wybrzeża Iranu, płynie niekończący się strumień ogromnych tankowców; niektóre, głęboko zanurzone, wiozą surową ropę na wiecznie głodny energii Zachód; inne suną lekko, dopiero wchodząc do Zatoki po saudyjski lub kuwejcki surowiec.

Mniejsze jednostki, takie jak dawa Fajsala, trzymają się blisko brzegu, pozwalając lewiatanom korzystać z głębiny. Supertankowce po prostu nie są w stanie się zatrzymać, nawet jeśli coś wejdzie im na kurs kolizyjny.

„Raszy” się nie spieszyło, toteż jedną noc krążyła między wysepkami na wschód od omańskiej bazy morskiej w Kumzarze. Siedząc w jasną noc na nadbudówce rufowej, Martin, wciąż widoczny na plazmowym ekranie w szkockiej bazie, zauważył w blasku księżyca dwie „łódzie papierosowe” i usłyszał ryk ich potężnych silników zaburtowych, gdy opuszczały wody Omanu, biorąc kurs na Iran.

O tych ludziach opowiadano mu przed misją; nie przyznawali się do żadnego kraju i trudnili się kontrabandą. Na jakiejś pustej plaży irańskiej spotkają się z odbiorcami towaru, wyładują tanie papierosy i zabiorą na pokład, o dziwo, angorskie kozy, tak cenione w Omanie.

Na spokojnym morzu załogi modlą się o życie, gdy ogromne silniki o mocy dwustu pięćdziesięciu koni mechanicznych rozpędzają wążutkie jak ołówek aluminiowe łódzie do prędkości przekraczającej pięćdziesiąt węzłów. Są praktycznie nieuchwytnie, gdyż sternicy znający każdą zatoczkę oraz każde ujście rzeczki przywykli do pływania w całkowitej ciemności w poprzek akwenu, po którym suną tankowce.

Fajsal Ibn Salim uśmiechnął się wyrozumiale. On też był przemytnikiem, lecz obdarzonym znacznie większą godnością niż ci włóczędzy z rejonu Zatoki Perskiej, których słyszał w oddali.

- Co zrobisz, kiedy zawiozę cię do Arabii, przyjacielu? - spytał Fajsal cicho. Omański marynarz siedział na forpiku z żyłką wyrzuconą za burtę, polując na smaczną rybę na śniadanie. Wieczorem modlił się razem z Faj - salem i Afgańczykiem. Teraz była pora na przyjemną pogawędkę. - Nie wiem - przyznał Afgańczyk. - Wiem tylko, że w mojej ojczyźnie jestem martwy. Pakistan jest dla mnie zamknięty, bo rządzą w nim psy chodzące na smyczy jankesów. Mam nadzieję, że znajdę innych prawdziwych wiernych i poproszę, by pozwolili mi walczyć razem z nimi.

- Walczyć? Ale w Zjednoczonych Emiratach Arabskich nikt nie walczy. Rząd jest całkowicie

sprzymierzony z Zachodem. W Arabii Saudyjskiej znajdą cię natychmiast i odeślą, więc...

Afgańczyk wzruszył ramionami.

- Proszę tylko o to, żebym mógł służyć Allahowi. Przeżyłem swoje życie. Oddaję swój los w Jego ręce.

- I mówisz, że jesteś gotów za Niego umrzeć? - spytał pełen ogłady Katarczyk.

Mike Martin przypomniał sobie dzieciństwo i prywatną szkołę w Bagdadzie. Większość uczniów stanowili mali Irakijczycy, jednak ich ojcowie byli śmietanką społeczeństwa i marzyli tylko o tym, by synowie mówili świetnie po angielsku i w przyszłości zajmowali najwyższe stanowiska w wielkich koncernach handlujących z Londynem i Nowym Jorkiem. Program szkoły napisany był po angielsku, znalazło się w nim również miejsce na naukę tradycyjnej angielskiej poezji.

Martin miał swój ulubiony wiersz; opowiadał o tym, jak Horacjusz bronił mostu przed armią króla Larsa Porsenny. W ostatniej chwili Rzymianie porębali za nim most. Jedną ze zwrotek chłopcy powtarzali wspólnie śpiewnymi głosami:

Do każdego człowieka na tej ziemi

Śmierć przyjdzie prędzej czy później

A czy można umrzeć lepiej

Niż stając naprzeciw miażdżącej przewagi

W boju za prochy ojców

I świątynie swoich bogów.

- Jeśli będę mógł zginąć jako *szahid*, świętej wojnie w Jego imieniu, oczywiście, że tak - odparł.

Kapitan dawy pomyślał chwilę, a potem zmienił temat rozmowy.

- Masz na sobie afgańskie ubranie - zwrócił mu uwagę. - Zauważą cię w ciągu kilku minut. Poczekaj.

Zszedł pod pokład i wrócił ze świeżo wypraną *disz - daszq*, łą bawełnianą szatą opadającą równo od ramion do kostek.

- Przebierz się - nakazał. - Wyrzuć za burtę *szalwar kamiz* talibski turban.

Ibn Salim wręczył mu nowe nakrycie głowy: czerwono nakrapianą *kafiję* a przez Arabów znad Zatoki i czarną opaskę ze sznura, która ją przytrzymała.

- Teraz lepiej - ocenił Selim, kiedy jego gość skończył się przebierać. - Możesz uchodzić za Araba znad Zatoki, lecz nie wtedy, gdy mówisz. Ale w okolicy Dżuddy jest afgańska kolonia. Ci ludzie mieszkają w Arabii Saudyjskiej od pokoleń, jednak mówią tak samo jak ty. Mów, że stamtąd pochodzisz, to nieznajomi ci uwierzą. A teraz chodźmy spać. Wstajemy o świcie, czeka nas ostatni dzień żeglugi.

Kamera predatora zarejestrowała, jak podnoszą kotwicę i odpływają od wysp. Łagodnym łukiem okrążyli skalisty przylądek Al - Ghanam i wzięli kurs na południowy zachód, wzdłuż wybrzeży Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Jest ich siedem, lecz automatycznie przychodzą na myśl tylko nazwy największych i najbogatszych: Dubaju, Abu Żabi i Szardży. Pozostałe cztery są o wiele mniejsze, biedniejsze i prawie bezimienne. Dwa z nich, Adżman i Umm al - Kajwajn, leżą wzdłuż Dubaju, który złoza ropy naftowej uczyniły najbardziej rozwiniętym emiratem ze wszystkich.

Na drugiej stronie półwyspu znajduje się Fudżajra, za którą od wschodu rozciąga się Zatoka Omańska. Siódmym jest Ra's al - Chajma.

Leży na tym samym odcinku wybrzeża co Dubaj, ale bliżej cieśniny Ormuz. Państwko jest niesłychanie ubogie i skrajnie tradycjonalistyczne. Z tego powodu chętnie przyjmowało podarunki od Arabii Saudyjskiej, między innymi dofinansowanie meczetów i szkół, w których nauczano wahabizmu. Ra's al - Ch, bo tak nazywają emirat ludzie z Zachodu, jest ostoją fundamentalizmu oraz zwolenników Al - Kaidy i dżihadu. Wolno płynąca dawa miała najpierw dotrzeć właśnie tam. Stało się to o zachodzie słońca.

- Nie masz dokumentów - rzekł kapitan do gościa - a ja nie mogę ci ich zapewnić. Nic nie szkodzi, to tylko impertynencja Zachodu. Ważniejsze są pieniądze. Weź to.

Salim wcisnął Martinowi w dłoń garść dirhemów, waluty Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Przepływali właśnie półtora kilometra od miasta widocznego w gasnącym blasku słońca. Wśród budynków zapalały się pierwsze światła.

- Wysadzę cię na brzeg nieco dalej - zapowiedział Ibn Salim. - Znajdziesz drogę prowadzącą wzdłuż brzegu i dojdiesz do miasta. Znam mały pensjonat w starym mieście. Jest tani, czysty i dyskretny. Zamieszkał tam. Nie wychodź. Będziesz bezpieczny. *In sza 'a Allah*, ó może mam przyjaciół, którzy ci pomogą.

Było już całkiem ciemno, gdy Martin dostrzegł światła hotelu; „Rasza” podeszła do brzegu. Ibn Salim dobrze znał hotel: mieścił się w przebudowanym forcie Hamra, który stał się klubem dla zagranicznych gości. Było tam molo, po zmroku zupełnie opustoszałe.

- Nasz człowiek schodzi z dawy - oznajmił głos w sali obserwacyjnej w bazie Edzell. Mimo ciemności termowizor predatora z wysokości sześciu tysięcy metrów zaobserwował, jak postać

ludzka zręcznie przeskakuje z dawy na molo; kupiec wrzucił wsteczny bieg, łódź wypłynęła na głębszą wodę i wyszła w morze.

- Zostaw łódkę, śledź poruszającą się postać - rzekł Gordon Phillips, pochylając się nad ramieniem operatora konsoli. Instrukcja dotarła do Thumrait i została przekazana do predatora; obiektywy skupiły się na termowizyjnym obrazie człowieka maszerującego wzdłuż brzegu w stronę Ra's al - Ch.

Martin miał do pokonania prawie dziewięć kilometrów, lecz dotarł do starówki około północy. Dwa razy spytał o drogę i skierowano go do pensjonatu. Czteryście metrów dalej stał dom rodzinny Marwana asz - Szahiego, który jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku skierował samolot pasażerski na południową wieżę World Trade Center. Wciąż czczono go tu jak bohatera.

Właściciel pensjonatu patrzył surowo i podejrzliwie aż do chwili, gdy Martin wymienił nazwisko Fajsala Ibn Salima. To oraz widok garści dirhemów oczyściło atmosferę. Mężczyzna zaprosił gościa do środka i zaprowadził do skromnego pokoiku. W pensjonacie było jeszcze tylko dwóch płacących gości, którzy już wcześniej położyli się spać.

Mężczyzna zajmujący się pokojami zaprosił przybysza na filiżankę herbaty przed snem. W czasie rozmowy Martin wyjaśnił, że pochodzi z pasztuńskiej kolonii w Dżuddzie.

Ciemna karnacja, obfita czarna broda i częste wzywanie imienia Allaha przekonały gospodarza, że Martin również jest prawdziwym wiernym. Rozstali się, życząc sobie dobrych snów.

Tymczasem dawa żeglowała spokojnie wśród nocy. Kapitan zmierzał do przystani w sercu Dubaju zwanej Strumieniem. Cuchnąca martwymi rybami osada, w której rybacy w ciągu dnia naprawiali sieci, stała się ostatnim „malowniczym” miejscem w ruchliwej stolicy, leżącym vis - a - vis *suku* - starówki, która rozciągała się pod oknami wysokich zachodnich hoteli. Tam cumują obok siebie dawy kupców morskich, a turyści przychodzą, żeby gapić się na ostatni zabytek „starej Arabii”.

Ibn Salim zawołał taksówkę i kazał wieźć się pięć kilometrów dalej wzdłuż wybrzeża do sułtanatu Ajmanu, najmniejszego i jednego z najbiedniejszych emiratów. Tam odprawił taksówkę i zanurzył się w labiryncie krętych uliczek, łnego zadaszonych straganów i krzyżących przekupniów. Gdyby ktoś śledził Salima, na pewno straciłby go z oczu.

Nikt go jednak nie śledził. Kamery predatora skupiały się na pensjonacie w sercu Ra's al - Chajmy. Kapitan da wy wymknął się z *suku* dotarł do małego meczetu, w którym poprosił o widzenie z imamem. Mały chłopiec popędził przez miasto i wrócił z młodym mężczyzną, który faktycznie był studentem miejscowego technikum. Był również absolwentem obozu szkoleniowego Darunta prowadzonego przez Al - Kaidę pod Dżalalabadem aż do dwa tysiące pierwszego roku.

Starszy mężczyzna szepnął coś młodszemu na ucho, a ten skinął głową i podziękował. Kapitan dawy przemaszerował znów przez zadaszony rynek, zawołał taksówkę i wrócił do swojego małego frachtowca przy Strumieniu. Zrobił, co w jego mocy. Teraz wszystko zależało od młodych. *In sza 'a Allah.*



Tego samego ranka, lecz później ze względu na różnicę czasu, „Hrabina Richmond” wyszła z ujścia rzeki Mersey i wpłynęła na Morze Irlandzkie. Kapitan McKendrick skierował frachtowiec na południe. W odpowiednim czasie minie od zachodu Walię, opuści Morze Irlandzkie, zostawi za sobą Lizard Point, po czym wypłynie na wody kanału La Manche i wschodni Atlantyk. Przejdzie obok Portugalii, przez Morze Śródziemne i Kanał Sueski, a stamtąd dotrze na Ocean Indyjski.

Pod pokładem obmywanego zimną o tej porze roku morską wodą statku podróżowały pieczołowicie zabezpieczone limuzyny Jaguar, przeznaczone do drogich salonów w Singapurze.



Dopiero po czterech dniach ukrywającego się Afgańczyka odwiedzili goście. Zgodnie z instrukcjami, które otrzymał, nie wychodził nawet na ulicę. Świeżym powietrzem oddychał na zamkniętym podwórzu na tyłach domu, osłoniętym od ulicy wysoką na dwa i pół metra bramą. Tam podjeżdżały rozmaite samochody dostawcze.

Tam też mógł go obserwować predator; kontrolerzy w Szkocji zauważyli, że zmienił ubranie.

Goście Afgańczyka nie przybyli, żeby dostarczyć żywność czy napoje, lecz aby coś odebrać. Kierowca ustawił furgonetkę tyłem do tylnych drzwi budynku i został za kierownicą; pozostali trzej mężczyźni weszli do środka.

Obaj lokatorzy byli w pracy, a pokojowy wyszedł na zakupy. Trzyosobowa grupka miała wyznaczone zadania. Przybysze szybko podeszli do właściwych drzwi i wkroczyli bez pukania. Mężczyzna siedzący i czytający Koran wstał, widząc wymierzony w siebie pistolet w dłoni bojownika wyszkolonego w Afganistanie. Wszyscy trzej przybysze mieli na głowach kaptury.

Robili swoje cicho i sprawnie. Martin dobrze znał zachowanie ludzi obytych z bronią i walką, wiedział więc, że tamci znają się na rzeczy. Zrzucili mu kaptur na głowę i ramiona, a ręce skrępowali z tyłu plastikowymi kajdankami. Następnie zaprowadzili korytarzem do czekającej furgonetki. Leżąc na boku, usłyszał, że drzwi się ą; poczuł, że samochód rusza i wyjeżdża na ulicę.

Predator zarejestrował przyjazd furgonetki, lecz kontrolerzy pomyśleli, że to wóz dostawczy. Po kilku minutach samochód zniknął z pola widzenia. Współczesne urządzenia szpiegowskie mogą zdziałać cuda, lecz kontrolerów i maszyny nadal można wyprowadzić w pole. Trzej zakapturzeni przybysze nie wiedzieli o tym, że krąży nad nimi predator, lecz sprytnie wybierając porę przyjazdu - późny ranek - mimowolnie oszukali obserwatorów w Edzell.

Ci zaś dopiero po upływie trzech dni zorientowali się, że ich człowiek nie pojawia się codziennie na podwórku, by dać znak życia. Po prostu zniknął. Obserwowali pusty dom. I nie mieli zielonego pojęcia, która z kilku furgonetek go wywiozła.

W istocie auto nie odjechało daleko. Za portem i Ra's al - Ch zaczyna się dzika, skalista pustynia, stopniowo wznosząca się ku góróm Ru'us al - Dzibal. Mogą tam żyć tylko dzikie kozy i

jaszczurki.

Na wypadek gdyby mężczyzna był pod obserwacją, porywacze postanowili nie ryzykować. Pojechali jednym ze szlaków prowadzących w góry. Martin poczuł, że furgonetka zjeżdża z asfaltowej drogi i zaczyna podskakiwać na wyboistym trakcie.

Gdyby ktoś za nimi jechał, samochód musiałby zostać zauważony. Nawet gdyby trzymał się poza zasięgiem wzroku, wzbijałby tumany pustynnego pyłu. Śmigłowiec rzucałby się w oczy jeszcze bardziej.

Furgonetka zatrzymała się wśród wzgórz po przejechaniu dziewięciu kilometrów. Dowódca, który wcześniej mierzył do uprowadzonego z pistoletu, wyjął silną polową lornetkę i zlustrował wzrokiem dolinę oraz wybrzeże; spojrzał także w stronę starego miasta, z którego przyjechali. Nic się nie zbliżało.

Uspokojony, kazał kierowcy zawrócić i zjechać w dół. Prawdziwym celem podróży porywaczy była willa stojąca na otoczonej murem posiadłości na przedmieściach Ra's al - Ch. Furgonetka podjechała tyłem do otwartych drzwi i Martina znów poprowadzono wyłożonym terakotą korytarzem.

Z jego rąk zdjęto plastikowe kajdanki, na lewej poczuł chłód zaciskanego metalu. Wiedział, że przykują go łańcuchem do klamry w ścianie. Porywacze zdjęli mu kaptur, lecz sami pozostali zamaskowani. Wycofali się, zatraskując za sobą drzwi. Usłyszał, jak bolce zamka wskakują w gniazda.

Cela nie była celą w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Był to umocniony pokój na parterze. Okno zamurowano; Martin nie mógł tego widzieć, lecz domyślał się, że namalowano je na murze na zewnątrz, tak że nawet ktoś spoglądający przez lornetkę ponad murem posiadłości nie zorientowałby się, iż jedno pomieszczenie willi nie ma okna.

Martin pamiętał kurs odporności na przesłuchania, który przeszedł wiele lat temu w toku szkolenia przygotowawczego SAS; w porównaniu z tamtą jego obecna cela zasługiwała na miano komfortowej. Pod sufitem paliła się żarówka chroniona przed zniszczeniem drucianą oprawą. Światło było przyćmione, lecz wystarczająco silne.

Pod ścianą stała prycza, a łańcuch pozwalał się na niej położyć i spać. W pokoiku było też krzesło, do którego więzień mógł sięgnąć, oraz chemiczna toaleta. Wszystko znajdowało się w zasięgu łańcucha.

Lewy nadgarstek Martina był zakuty w obręcz ze stali nierdzewnej, połączoną z łańcuchem, ten zaś przymocowano do klamry w ścianie. Więzień nie mógł sięgnąć do drzwi; wejść przez nie ludzie, którzy będą go przesłuchiwać. Może przyniosą ze sobą jedzenie i wodę, a może nie. Otwór w drzwiach pozwalał im obserwować Martina przez cały czas, a on nie mógł ich widzieć ani słyszeć.

W zamku Forbes toczono długie dyskusje dotyczące jednego problemu: czy powinien mieć przy sobie jakieś urządzenie pozwalające go namierzyć, czy nie?

Istnieją obecnie tak mikroskopijne nadajniki, że można je wstrzyknąć pod skórę. Mają rozmiary główki od szpilki. Ogrzewane przez krew, nie potrzebują źródła zasilania. Jednak ich zasięg jest ograniczony. Poza tym istnieją również superczułe detektory pozwalające je wykryć.

- Ci ludzie nie są głupi - ostrzegł z naciskiem Phillips. Kolega z sekcji antyterrorystycznej CIA potwierdził jego opinię.

- Są wśród nich tacy, którzy doskonale sobie radzą z nowoczesną techniką, a zwłaszcza z komputerami - dodał McDonald.

W zamku Forbes nikt nie miał wątpliwości, że gdyby Martina poddano oględzinom z wykorzystaniem najnowocześniejszych urządzeń i coś odkryto, po kilku minutach byłby martwy.

Ostatecznie podjęto zatem decyzję o nieumieszczaniu nadajnika. Porywacze przyszli po godzinie, wciąż mieli na głowach kaptury.

Rewizja osobista była długa i dokładna. Najpierw zdjęto mu ubranie, a kiedy był nagi, zabrano je na oględziny w drugim pomieszczeniu.

Porywacze nie musieli przeprowadzać badania gardła i odbytu; wszystko to zrobił skaner. Przesuwano go nad jego ciałem centymetr po centymetrze; pisk oznaczałby, że w ciele znajduje się coś, co nie jest zbudowane z ludzkiej tkanki. Skaner odezwał się tylko po zbliżeniu go do twarzy. Porywacze otwarli mu siłą usta i obejrzelili każdą plombę. Poza tym niczego nie znaleźli.

Przynieśli z powrotem ubranie i szykowali się do wyjścia.

- Mój Koran został w pensjonacie - odezwał się więzień. - Nie mam zegarka ani maty, a na pewno jest już godzina modlitwy.

Dowódca popatrzył na Afgańczyka przez otwory w kapturze. Nic nie powiedział, lecz po dwóch minutach wrócił z matą i Koranem. Martin podziękował mu z powagą.

Jedzenie i wodę przynoszono mu regularnie. Za każdym razem ruchem pistoletu dawano mu znak, że ma się cofnąć, i dopiero wtedy stawiano tacę tam, gdzie mógł jej dosięgnąć. W ten sam sposób zmieniano chemiczną ubikację.

Dopiero po trzech dniach rozpoczęły się przesłuchania; w tym celu założono mu maskę, żeby nie wyglądał przez okno, i poprowadzono go dwoma korytarzami. Zdumiał się, kiedy ją zdjęto. Naprzeciwko niego przy rzeźbionym stole jadalnianym siedział spokojnie młody, pełen oglady, elegancki mężczyzna, wyglądający jak pracodawca odbywający rozmowę kwalifikacyjną z kandydatem. Mówił doskonale po arabsku z akcentem narodów mieszkających nad Zatoką Perską.

- Nie ma sensu kryć się za maskami czy pustymi pseudonimami - zaczął. - Jestem doktor Al - Chattab. Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Jeśli upewnię się, że jesteś tym, za kogo się podajesz, przyjmiemy cię z radością. Wtedy nas nie zdradzisz. Jeśli jesteś kimś innym, obawiam się, że zostaniesz natychmiast zabity. Nie udawajmy więc, panie Ismat Chan. Naprawdę jesteś tym, którego zwą Afgańczykiem?

- Będą ich interesowały dwie sprawy - mówił Gordon Phillips podczas niekończących się odpraw w zamku Forbes. - Czy naprawdę jesteś Ismatem Chanem i czy jesteś tym samym Ismatem Chanem, który walczył w Kalat - i Dżangi. A może pięć lat spędzonych w Guantanamo zmieniły cię w kogoś innego?

Martin skierował wzrok na uśmiechniętego Araba. Przypomniał sobie ostrzeżenia Tamian Godfrey. Mniejsza o brodatych krzykaczy - uważaj na tych, którzy są gładko ogoleni, pałą papierosy, piją alkohol, spoufalają się z dziewczynami, podają się za jednego z nas. Wyglądają i zachowują się jak cudzoziemcy z Zachodu. Ludzkie kameleony chowające w sobie nienawiść. Śmiertelnie niebezpieczni. Istnieje nawet słowo na ich określenie... *takfir*.

- Wielu jest Afgańczyków - odparł. - Kto mnie tak nazywa?

- Nie było cię przez pięć lat. Po Kalat - i Dżangi rozeszła się wieść o tobie. Ty mnie nie znasz, ale ja wiem o tobie sporo. Niektórzy z naszych zostali wypuszczeni z obozu Delta. Wyrażali się o tobie bardzo pochlebnie. Twierdzą, że nie dałeś się złamać. Prawda to?

- Pytali o mnie. Odpowiadałem.

- Ale nie zdradziłeś innych? Nie podałeś żadnych nazwisk? Tak mówią o tobie inni.

- Zgładzili moją rodzinę. Wtedy zginęła większa część mnie. Jak można ukarać człowieka, który jest trupem?

- Trafna odpowiedź, przyjacielu. Porozmawiajmy o Guantanamo. Opowiedz mi o Gitmo.

Martin rozmawiał godzinami o tym, co działo się z nim na Kubie. Przywieziono go tam czternastego stycznia dwa tysiące drugiego roku, głodnego, spragnionego, cuchnącego moczem, z związanymi oczami i skutego tak mocno, że ręce pozostały drętwe przez kilka tygodni. Więźniom zgolono brody, obcięto włosy, przebrano ich w pomarańczowe kombinezony; chodzili w kapturach, potykając się...

Doktor Al - Chattab robił obszerne notatki, pisząc staroświeckim piórem na żółtym papierze, jakiego używają prawnicy. Gdy Afgańczyk opowiadał o rzeczach mu znanych, doktor przestawał pisać i przyglądał się więźniowi z łagodnym uśmiechem.

Późnym popołudniem pokazał mu zdjęcie.

- Znasz tego człowieka? - spytał. - Widziałeś go kiedyś?

Martin pokręcił głową. Z fotografii spoglądała na niego twarz generała Geoffreya D. Millera, który zastąpił na stanowisku komendanta obozu generała Ricka Baccusa. Ten drugi był obecny w czasie przesłuchań, lecz generał Miller zostawiał wszystko zespołom agentów CIA.

- Zgadza się - potwierdził Al - Chattab. - On cię widział, wiemy to od jednego z naszych zwolnionych przyjaciół, ale ty zawsze byłeś w kapturze; karano cię w ten sposób za upór i niechęć do

współpracy. Kiedy warunki pobytu zaczęły się poprawiać?

Rozmawiali tak aż do zmroku; Arab wstał.

- Muszę sprawdzić wiele rzeczy - oznajmił. - Jeśli mówisz prawdę, porozmawiamy znowu za kilka dni. Jeśli nie, to niestety będę musiał wydać Sulajmanowi odpowiednie polecenia.

Martin wrócił do celi. Doktor Chattab rzucił kilka szybkich rozkazów strażnikom i wyszedł. Wsiadł do skromnego wynajętego samochodu i wrócił do eleganckiego hotelu Hilton w Ra's al - Chajmie, dominującego nad głęboką zatoką As - Sakr. Spędził tam noc, a nazajutrz wyjechał. Miał na sobie dobrze skrojony kremowy tropikalny garnitur. Stojąc przy okienku linii British Airways na międzynarodowym lotnisku w Dubaju, mówił nieskazitelnie po angielsku.

Ali Aziz al - Chattab przyszedł na świat w Kuwejcie jako syn wysokiego urzędnika bankowego. W krajach nad Zatoką Perską oznacza to, że dorastał w komforcie, wolny od wszelkich trosk. W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym ojciec został skierowany do Londynu jako zastępca kierownika Banku Kuwejtu. Rodzina poleciała razem z nim, unikając inwazji Saddama Husajna w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku.

Ali Aziz, który już wówczas dobrze mówił po angielsku, w wieku piętnastu lat został zapisany do brytyjskiej szkoły i trzy lata później ukończył ją z doskonałymi ocenami; jego angielski był całkowicie pozbawiony obcych naleciałości. Rodzina wróciła do ojczyzny, ale on postanowił zostać i kształcić się dalej w Loughborough Technical College. Cztery lata później uzyskał dyplom z inżynierii chemicznej, a później zrobił jeszcze doktorat.

Właśnie tam, a nie nad Zatoką Perską, zaczął uczęszczać do meczetu prowadzonego przez imama zięjącego nienawiścią do Zachodu i jego poglądy uległy radykalizacji. Mając dwadzieścia jeden lat, był już po praniu mózgu i stał się fanatycznym zwolennikiem Al - Kaidy.

Jakiś „łowca młodych talentów” zasugerował mu podróż do Pakistanu; Aziz się zgodził. Pokonał przełęcz Chajber i spędził pół roku w obozie szkoleniowym dla terrorystów prowadzonym przez Al - Kaidę. Wyznaczono mu rolę „uśpionego bojownika”, który powinien zostać w Anglii i nie zwracać na siebie uwagi władz.

W Londynie postąpił tak samo jak wszyscy do niego podobni: zgłosił w ambasadzie, że zgubił paszport, więc wydano mu nowy, w którym nie było wiele mówiącego pakistańskiego stempla wjazdowego. Gdyby ktoś zapytał, dowiedziałby się, że Al - Chattab odwiedzał rodzinę i znajomych nad Zatoką Perską i nigdy nie zbliżył się do Pakistanu, nie mówiąc już o Afganistanie. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku został wykładowcą Uniwersytetu Aston w Birmingham. Dwa lata później siły angielskie i amerykańskie przeprowadziły inwazję na Afganistan.

Przez kilka tygodni bał się, że w obozie terrorystów został ślad jego pobytu, lecz szef personelu Al - Kaidy tym razem dobrze wykonał swoją robotę. Nie natrafiono na żaden trop wskazujący, że w obozie przebywał człowiek o nazwisku Al - Chattab. Nie wykryto go i został szefem agentów Al - Kaidy w Wielkiej Brytanii.



W czasie gdy zmierzający do Londynu samolot doktora Al - Chattaba odrywał się od ziemi, „Gwiazda Jawy” wyszła z macierzystego portu w sułtanacie Brunei na wybrzeżu północnego Borneo i skierowała się na pełne morze.

Statek jak zwykle zmierzał do zachodnioaustralijskiego portu Fremantle, a jego kapitan, Norweg Knut Herrmann, był przekonany, że rejs będzie taki sam jak zawsze, czyli rutynowy i monotony.

Wiedział, że morza w tym regionie należą do najniebezpieczniejszych na świecie, ale nie z powodu wielkich prądów odpływowych, skał, sztormów, raf czy fal tsunami. Zagrożenie stanowili piraci.

Każdego roku między cieśniną Malakka na zachodzie i morzem Celebes na wschodzie notuje się ponad pięćset pirackich napadów na statki handlowe i około stu porwań. Czasem załoga jest uwalniana, gdy armator zapłaci okup, a czasem zabijana i słuch po niej ginie; wówczas ładunek jest kradziony i sprzedawany na czarnym rynku.

Kapitan Herrmann wychodził w morze spokojnie dlatego, że był przekonany, iż ładunek na nic nie przyda się morskim rabusiom. Lecz tym razem się mylił.

Pierwszy etap rejsu prowadził na północ, daleko od portu docelowego. Po sześciu godzinach statek przeszedł obok nędznej miejsciny o nazwie Kudat, a następnie opłynął najdalej wysunięty na północ cypel Sabah oraz wyspę Borneo. Dopiero wtedy kapitan wziął kurs na południowy wschód na archipelag Sulu.

Zamierzał przejść między koralowymi i porośniętymi dżunglą wysepkami głęboką cieśniną oddzielającą Tawitawi i wyspę Jolo. Na południe od nich zaczynał się prosty szlak przez morze Celebes do Australii.

Ktoś śledził wyjście statku z Brunei i zadzwonił z telefonu komórkowego. Nawet gdyby podsłuchano rozmowę, by się tylko tyle, że wujek wyzdrowiał i wyjdzie ze szpitala za dwanaście dni. Oznaczało to, że statek ma być przechwycony za dwanaście godzin.

Przy ujściu rzeczulki na wyspie Jolo połączenie odebrał mężczyzna, którego z pewnością rozpoznałby Alex Siebart z firmy spedycyjnej mieszczącej się przy Crutched Friars w londyńskim City. Był to bowiem Lampong, który nie udawał już biznesmena z Sumatry.

Dwunastu ludzi, którymi dowodził w tę gorącą tropikalną noc, było zbirami, lecz dobrze opłacanymi i posłusznymi, a na dodatek muzułmańskimi ekstremistami. Ruch Abu Sajjaf działający na południowych Filipinach, których najdalej wysunięty półwysep na morzu Sulu znajduje się jedynie kilka mil od Indonezji, cieszy się złą sławą nie tylko z powodu religijnego fanatyzmu, lecz także dlatego, że jego członkowie są płatnymi zabójcami. Propozycja Lamponga pozwoliła im wystąpić w obu rolach.

Dwie motorówki wyszły w morze o świcie, zajęły pozycje między dwiema wyspami i czekały. Godzinę później „Gwiazda Jawy” zaczęła się do nich zbliżać, by przepłynąć z morza Sulu na morze Celebes. Przechwycenie statku było prostym zadaniem, a bandyci mieli dużą wprawę w takich akcjach.

Kapitan Herrmann przejął ster na noc, a gdy nad Pacyfikiem po jego lewej stronie zaczęło się przejaśniać, przekazał go indonezyjskiemu oficerowi i zszedł pod pokład. Dziesięciu marynarzy z ludu Laskarów także spało na pryczach w części dziobowej.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczył oficer, były dwie motorówki zbliżające się od strony rufy, każda do swojej burty statku. Sprawni ciemnoskórzy mężczyźni przeskoczyli bosaka z motorówek na pokład i pomknęli do mostka, na którym stał oficer. Ledwie zdążył nacisnąć guzik alarmu z dzwonkiem w kajucie kapitana, gdy wdarli się do środka. Przyłożono mu nóż do gardła, rozległ się okrzyk: „Kapitanie, kapitanie...”.

Okrzyk nie był potrzebny, bo zmęczony Knut Herrmann wychodził właśnie na pokład, żeby zobaczyć, co się dzieje. Dotarł na mostek jednocześnie z Lampongiem, który trzymał w dłoniach pistolet mini Uzi. Norweg wiedział, czym grozi stawianie oporu. Kwotę okupu piraci ustalą z armatorem z Fremantle.

- Kapitanie Herrmann...

Drań znał jego nazwisko. Napad musiał być przygotowany.

- Proszę zapytać pierwszego oficera, czy w ciągu ostatnich pięciu minut nawiązał połączenie radiowe.

Nie było potrzeby, bo Lampong mówił po angielsku. Norweg oraz indonezyjski oficer używali go w codziennych rozmowach. Oficer krzyknął, że nie dotykał przycisku nadajnika.

- Doskonale - rzekł Lampong, po czym wydał kilka rozkazów w miejscowym dialekcie. Pierwszy oficer zrozumiał i otworzył usta, żeby krzyknąć. Norweg nie pojął ani słowa, lecz wszystko stało się jasne, gdy bandyta trzymający oficera odciągnął jego głowę do tyłu i jednym ruchem przeciął mu gardło. Mężczyzna wierzgnął, szarpnął się, osunął na pokład i skonał. Kapitan Herrmann nie miał mdłości na morzu od czterdziestu lat, lecz teraz oparł się o koło sterowe i zwymiotował.

- Dwie kałuże do posprzątania - powiedział Lampong. - Kapitanie, za każdą minutę niesłuchania moich rozkazów taki los spotka jednego z pańskich ludzi. Czy wyrażam się jasno?

Zaprowadzono Norwega do malutkiej kabiny radiowej za mostkiem; wybrał szesnasty kanał, pasmo powszechnie używane do wzywania pomocy. Lampong wyjął arkusz papieru.

- Kapitanie, nie przeczyta pan tego spokojnym głosem. Kiedy nacisnę guzik nadawania, wykrzyczy pan tę wiadomość z przerażeniem. Albo pańscy ludzie zginą jeden po drugim. Jest pan gotów?

Kapitan Herrmann skinął głową. Nawet nie musiał udawać paniki.

- *Mayday mayday, mayday.* „Gwiazda Jawy”, „Gwiazda Jawy”... katastrofalny pożar w komorze silnikowej... Nie uratuję statku... moja pozycja...

Wiedział, że podana pozycja nie jest prawdziwa. Kazano mu przeczytać współrzędne miejsca leżącego sto mil morskich dalej na morzu Celebes. Ale nie mógł protestować. Lampong przerwał transmisję. Mierząc do Norwega z pistoletu, zaprowadził go z powrotem na mostek.

Dwóch marynarzy zmuszono do wyszorowania pokładu z wymiocin i krwi. Pozostałych ośmiu z przerażeniem na twarzach gramoliło się z luków na dziobie; pilnowało ich sześciu zbirów.

Dwaj piraci zostali na mostku, a pozostałych czterech wrzucało pontony ratunkowe i kamizelki do jednej z motorówek, która miała dołączone dodatkowe zbiorniki paliwa.

Kiedy skończyli, motorówka odbiła od burty „Gwiazdy Jawy” i ruszyła na południe. Przy spokojnym tropikalnym morzu z łatwością rozwiną prędkość piętnastu węzłów za siedem godzin będą sto mil na południe, a za następnych dziesięć wrócą do swojej pirackiej kryjówki.

- Nowy kurs, panie kapitanie - oznajmił Lampong łagodnym tonem. Jednak nieubłagana nienawiść w jego oczach zadawała kłam tej łagodności i świadczyła dobitnie, że Norweg nie może liczyć na litość.

Statek zawrócił i ruszył na północny wschód; idąc tym kursem, miał wyjść spośród wysepek archipelagu Sulu i dotrzeć do filipińskich wód terytorialnych.

Południowy rejon wyspy Mindanao nazywa się Zamboanga; filipińskie siły rządowe nie odważają się zapuszczać do niektórych jego części. Ten teren należy do Abu Sajjaf. Terrorysty mogą tam bezpiecznie prowadzić rekrutację i szkolenia oraz składać łupy. „Gwiazda Jawy” z pewnością była łupem, choć statku nie można było sprzedać. Lampong zwrócił się w miejscowym dialekcie do najstarszego z piratów. Mężczyzna wskazał ujście wąskiej rzeczki zarośnięte po obu stronach nieprzebytą dżunglą.

Zapytał: „Czy twoi ludzie poradzą sobie dalej sami?”. Pirat skinął głową. Lampong wydał rozkaz tym, którzy pilnowali Laskarów na dziobie. Ci bez słowa zapędzili marynarzy do relingu i otworzyli ogień. Rozległy się krzyki i mężczyźni osunęli się do ciepłej wody. Pływające w jej głębi rekiny wyczuły krew i natychmiast skierowały się w jej stronę.

Kapitan Herrmann był tak zaskoczony, że potrzebował kilku sekund, by zareagować. Nie zdążył. Kula wystrzelona przez Lamponga trafiła go prosto w pierś i Norweg z mostka spadł do morza. Pół godziny później dwa małe holowniki, porwane kilka tygodni wcześniej, wśród pokrzykiwania ludzi wprowadziły statek do ujścia rzeki. „Gwiazda Jawy” przycumowała w swoim nowym miejscu postoju obok krępej motorówki z drewna tekowego.

Dżungla zasłaniała ją ze wszystkich stron i z góry. Ukryte były też dwa długie, niskie warsztaty z blaszanymi dachami, w których trzymano stalowe blachy, krajarki, spawarki, generator prądu oraz farbę.

Ostatni rozpaczliwy krzyk z „Gwiazdy Jawy” na kanale szesnastym słyszało kilkanaście jednostek, lecz najbliższej podanych współrzędnych znalazł się statek chłodnia załadowany świeżymi i bardzo nietrwałymi owocami przeznaczonymi na rynek amerykański po drugiej stronie Pacyfiku. Dowodził nim fiński kapitan, który natychmiast zmienił kurs. W miejscu, gdzie miała zatonać „Gwiazda Jawy”, zastał kołyszące się na falach tratwy ratunkowe z małymi pływającymi namiotami; tratwy otworzyły się samoczynnie i nadmuchały, bo tak je zaprojektowano. Dostrzegł także kamizelki ratunkowe z nazwą statku: MV „Gwiazda Jawy”. Zgodnie z prawem morskim, którego przestrzegał, kapitan Raikonen zmniejszył moc silników i spuścił na wodę łódź, by zajrzeć do wnętrza tratw. Były puste, kazał je więc zatopić. Stracił kilka godzin i nie było sensu zostawać w tym miejscu dłużej.

Z ciężkim sercem zameldował przez radio, że statek „Gwiazda Jawy” zatonął wraz z całą załogą. W dalekim Londynie wiadomość została odnotowana przez ubezpieczyciela, firmę Lloyds International, i statek wykreślono z rejestru jednostek pływających. Dla świata „Gwiazda Jawy” po prostu przestała istnieć.

ROZDZIAŁ 12

Przesłuchujący zniknął na tydzień. Martin został w celi, za jedyne towarzystwo mając Koran. Czuł, że niedługo znajdzie się w elitarnym gronie tych, którzy nauczyli się na pamięć wszystkich jego sześciu tysięcy sześciuset sześćdziesięciu sześciu wersetów. Jednak lata spędzone w siłach specjalnych dały mu cenny dar, rzadki wśród ludzi: zdolność siedzenia nieruchomo przez bardzo długie okresy, pokonywania nudy i chęci wiercenia się.

Znów zaczął się przystosowywać do życia pełnego kontemplacji, gdyż tylko ona może uratować zamkniętego w samotności człowieka przed szaleństwem.

Umiejętność ta nie mogła przyczynić się do zmniejszenia napięcia w bazie Edzell. Agent zniknął z pola widzenia, dlatego Marek Gumieny w Langley, a Steve Hill w Londynie coraz usilniej domagali się informacji. Predatory otrzymały podwójne zadanie: patrolować Ra's al - Chajmę, na wypadek gdyby agent znów się pojawił, oraz monitorować dawe „Rasza”, kiedy ta pojawi się Zatoce Perskiej i zawinie do któregoś z portów Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Doktor Al - Chattab wrócił, potwierdziwszy wszystkie aspekty relacji z Guantanamo. Nie było to łatwe, bo nie zamierzał ujawnić się przed czterema byłymi więźniami Guantanamo mającymi obywatelstwo brytyjskie, którzy zostali odesłani do domu. Wypuszczono ich, bo wielokrotnie deklarowali, że nie są ekstremistami i że wpadli w amerykańską obławę przez przypadek. Bez względu na to, co uważali Amerykanie, Al - Kaida potwierdziłaby, że to prawda.

Sprawę utrudniał fakt, że Ismat Chan bardzo długo siedział w odosobnieniu za odmowę współpracy, dlatego żaden inny więzień nie miał okazji dobrze go poznać. Przyznał, że nauczył się trochę angielskiego, lecz tylko z niekończących się przesłuchań prowadzonych przez agentów CIA, w których uczestniczył pasztuński tłumacz.

Z informacji uzyskanych przez Al - Chattaba wynikało, że więzień ani razu się nie pomylił, a skąpe wieści z Afganistanu potwierdzały, że ucieczka z więziennej furgonetki między Bagram i Pul - i Charki była autentyczna. Nie mógł wiedzieć, że było to dzieło bardzo zdolnego szefa komórki SIS w ambasadzie brytyjskiej. Brygadier Jusuf zagrał wściekłość bardzo sugestywnie; przekonał tym agentów odradzającego się ruchu talibów, którzy przekazali informację Al - Kaidzie.

- Wróćmy do twoich początków w Tora Bora - zaproponował po wznowieniu przesłuchań. - Opowiedz mi o swoim dzieciństwie.

Al - Chattab był bystry, lecz nie mógł wiedzieć, że siedzący przed nim mężczyzna, mimo że agent obcego, zna góry Afganistanu lepiej od niego. Kuwejczyk spędził sześć miesięcy w obozie szkoleniowym terrorystów, lecz obracał się wyłącznie wśród innych Arabów, a nie pasztuńskich górali. Robił bardzo dużo notatek, zapisywał nawet nazwy owoców rosnących w sadach Maloko - zai. Jego ręka wędrowała po arkuszach papieru, wypełniając pismem jeden po drugim.

Trzeciego dnia drugiej serii przesłuchań opowieść doszła do dnia, w którym życie Ismata Chana zmieniło się raz na zawsze: dwudziestego pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku. Właśnie wtedy pociski Tomahawk posypały się na góry.

- Tak, to doprawdy tragiczne - mruknął Al - Chattab. - A co najdziwniejsze, jesteś jedynym Afgańczykiem, który stracił wszystkich członków rodziny, więc nikt nie może za ciebie poręczyć. To niezwykley zbieg okoliczności, a ja, jako naukowiec, nie cierpię zbiegów okoliczności. Jaki wpływ wywarło to na ciebie?

W Guantanamo Ismat Chan nie chciał mówić, dlaczego tak bardzo nienawidzi Amerykanów. Lukę udało się wypełnić dzięki informacjom uzyskanym od innych więźniów, którzy przeżyli Kalat - i Dżangi i trafili do obozu Delta. W armii talibów Ismat Chan stał się idolem; historię jego życia powtarzano przy ogniskach, mówiono, że strach jest mu obcy. Inni więźniowie powtórzyli przesłuchującym historię unicestwionej rodziny.

Al - Chattab zamilkł i przyglądał się więźniowi. Wciąż żywił poważne obawy, lecz co do jednej rzeczy się upewnił: ten człowiek naprawdę jest Ismatem Chanem. Wątpliwości dotyczyły czego innego: czy Amerykanie zdołali go przekabacić?

- Więc twierdzisz, że wypowiedziałeś im prywatną wojnę. Taki swój osobisty džihad? I nigdy nie zmieniłeś swojego nastawienia? Ale co faktycznie uczyniłeś w tym kierunku?

- Walczyłem z Sojuszem Północnym, sprzymierzeńcami Amerykanów.

- Ale dopiero od października dwa tysiące pierwszego roku - zauważył Al - Chattab.

- Wcześniej w Afganistanie nie było Amerykanów.

- To prawda. Walczyłeś więc za Afganistan... i przegrałeś. A teraz pragniesz walczyć za Allaha.

Martin skinął głową.

- Zgodnie z przepowiednią szejka - rzekł.

Po raz pierwszy opanowanie zawiodło Al - Chattaba. Przez pół minuty z otwartymi ustami wpatrywał się w brodatą twarz, a pióro zawisło nieruchomo nad papierem. Wreszcie spytał szeptem:

- Naprawdę poznałeś szejka...?

Przez cały czas pobytu w obozie Al - Chattab ani razu nie spotkał Osamy bin Ladena. Raz tylko zobaczył przejeżdżającego land cruisera z przyciemnianymi szybami, lecz samochód się nie zatrzymał. Jednak gotów był, całkiem dosłownie, odciąć sobie tasakiem lewą dłoń za możliwość poznania, a tym bardziej porozmawiania z człowiekiem, którego czczył bardziej niż kogokolwiek innego na świecie. Martin spojrzał mu w oczy i skinął głową. Al - Chattab odzyskał panowanie nad sobą.

- Zaczynj od samego początku tego wydarzenia i opisz dokładnie, co się stało. Niczego nie pomijaj, nawet najdrobniejszego szczegółu.

Martin opowiedział. Opowiadał o tym, że jako nastolatek tuż po wyjściu z madrasy pod

Peszawarem służył w ojca. I o tym, jak w czasie patrolu zostali zaskoczeni na zboczu góry, a mogli się skryć tylko za leżącymi tam głazami.

Nie wspomniał o brytyjskim oficerze, pocisku Blowpipe i strąceniu radzieckiego śmigłowca. Mówił tylko o ryczącym działku w dziobie maszyny, o pociskach i odłamkach skał fruujących we wszystkie strony, i o tym, że wrogowie, wieczna chwała niech będzie Allahowi, odlecieli, bo skończyła im się amunicja.

Opowiedział, że poczuł coś w rodzaju dźgnięcia albo uderzenia młotkiem w udo i został wyniesiony przez towarzyszy, którzy przeszli kilka dolin, aż wreszcie znaleźli mężczyznę z mułem i wzięli od niego juczne zwierzę.

Później przetransportowano go do jaskiń w Dżadzi i przekazano Saudyjczykom, którzy tam mieszkali i działali.

- Mów mi o szejku - nalegał Al - Chattab. I Martin opowiedział. Kuwejtczyk zapisał rozmowę słowo w słowo.

- Powtórz jeszcze raz, proszę.

- Szejk rzekł: „Nadejdzie dzień, w którym Afganistanowi nie będziesz już potrzebny, lecz miłosierny Allah zawsze potrzebuje wojowników takich jak ty”.

- I co się później stało?

- Zmienił mi opatrunek na nodze.

- Szejk to zrobił?

- Nie, lekarz, który z nim był. Egipcjanin.

Doktor Al - Chattab wyprostował się i westchnął głęboko. Oczywiście, doktor Ajman az - Zawahiri, zaufany towarzysz szejka, który nakłonił egipski Islamski Dżihad, przyłączył się do Bin Ladena, tworząc Al - Kaide. Kuwejtczyk zaczął porządkować papiery.

- Znów muszę cię opuścić. Potrwa to tydzień, może dłużej. Będziesz musiał tu pozostać, i to przykuty do ściany. Wiele widziałeś, za dużo wiesz. Ale jeśli naprawdę jesteś prawdziwym wiernym, tym Afgańczykiem, wówczas przyjmujemy cię z honorami. A jeśli nie...

Al - Chattab nie poleciał tym razem do Londynu. Wrócił do hotelu i przez cały dzień i noc starannie coś pisał. Skończywszy, wykonał kilka połączeń z „czystego jak łąza” telefonu komórkowego, który później wrzucił do głębokiej przystani. Nie podsłuchiowano go, lecz nawet gdyby tak było, jego słowa niewiele by znaczyły dla podsłuchujących. Jednak doktor Al - Chattab był bardzo ostrożny i tylko dzięki temu wciąż przebywał na wolności.

Umówił się na spotkanie z Fajsalem Ibn Salimem, właścicielem „Raszy”, cumującej w Dubaju. Po południu tanim wynajętym samochodem pojechał do Dubaju i spotkał się z doświadczonym

kapitanem, który przyjął od niego długi osobisty list i ukrył głęboko w burnusie. A predator przez cały czas krążył na wysokości sześciu kilometrów.

Muzułmańscy terroryści stracili zbyt wielu wysokich dowódców, by nie wiedzieć, że bez względu na to, jak ostrożnie obchodzą się z telefonami komórkowymi i satelitarnymi, stanowią one zagrożenie. Zachodnia technika podsłuchowa i dekodująca jest po prostu zbyt dobra. Drugą słabością jest przekazywanie pieniędzy za pośrednictwem zwykłego systemu bankowego.

W celu uniknięcia tego drugiego niebezpieczeństwa stosują zmodyfikowany system *hundi*, jeszcze czasach pierwszego kalifatu. Jest to system całkowitego zaufania, odradzany przez wszystkich prawników. Jednak działa dlatego, że każdy, kto zajmuje się praniem brudnych pieniędzy, szybko znalazłby się za burtą, gdyby oszukał kontrahenta.

Ktoś wpłaca jakąś sumę gotówką pośrednikowi w miejscu A i prosi, żeby ten przekazał ją komuś w punkcie B, pomniejszoną o działkę przeznaczoną dla pośrednika.

Pośrednik ma zaufanego wspólnika, zwykle krewnego, który przebywa w punkcie B. Zleca mu, żeby udostępnił daną sumę w gotówce przyjacielowi tego, który ją wpłacił. Ten przychodzi i identyfikuje się jako przyjaciel wpłacającego.

Dziesiątki milionów muzułmanów wysyłają pieniądze rodzinom w starym kraju, a nie ma ani komputerów, ani nawet bankomatów, które można byłoby skontrolować; na dodatek zarówno wpłacający, jak odbierający mogą posługiwać się pseudonimami, tak więc nie sposób przechwycić ani nawet śledzić tych przepływów finansów.

Jeśli chodzi o komunikację, to rozwiązaniem dla terrorystów są trzycyfrowe kody, które można przesyłać za pośrednictwem poczty elektronicznej bądź SMS - ów na cały świat. Tylko odbiorca z listą dekodującą, która zawiera do trzystu takich grup znaków, może odczytać wiadomość. System sprawdza się przy poleceniach i ostrzeżeniach. Co jakiś czas jednak dłuższy tekst, zapisany słowami, musi przewędrować pół kuli ziemskiej.

Tylko Zachód wiecznie się spieszy; Wschód jest cierpliwy. Jeśli coś ma trwać długo, to niech trwa. „Rasza” wyszła wieczorem z portu i pozegłowała do Gwadoru. Z Karaczi drogą wzdłuż wybrzeża przyjechał tam na motocyklu godny zaufania wysłannik zaalarmowany SMS - em. Przejął list i ruszył na północ, przez Pakistan, do małego, lecz pełnego fanatyków miasteczka Miramszar.

W umówionym miejscu czekał zaufany człowiek, który miał dotrzeć do wysokich gór południowego Waziristanu; zapieczętowana paczka znów przeszła z rąk do rąk. Odpowiedź przywędrowała w taki sam sposób. Wszystko to zajęło dziesięć dni.

Jednak doktor Al - Chattab nie został w rejonie Zatoki Perskiej, tylko poleciał do Kairu, a stamtąd na zachód do Maroka. Przeprowadził tam rozmowy i wybrał czterech mężczyzn z północnej Afryki, którzy mieli wejść w skład drugiego zespołu. Nie był jeszcze obserwowany, toteż jego podróż przez nikogo nie została odnotowana.



W czasie rozdawania kart urody pan Wei Wing Li dostał parę dwójek. Był niski i krępy, przypominał trochę ropuchę; na jego karku tkwiła głowa okrągła jak piłka, z twarzą głęboko poznaczoną bliznami po ospie. Ale był dobry w swoim fachu.

Przybył z brygadą do ujścia rzeczki ukrytej w dżungli na półwyspie Zamboanga dwa dni przed „Gwiazdą Jawy”. Ich podróż z Chin, a dokładnie z Guangdongu, gdzie grupa stanowiła część przestępczego podziemia, nie została zakłócona żadną kontrolą paszportów czy wiz. Po prostu wsiedli na pokład frachtowca, którego kapitan został wcześniej sownie wynagrodzony, i dotarli w okolice wyspy Jolo, skąd zabrały ich dwie motorówki z Filipin.

Pan Wei przywitał się z gospodarzem, panem Lampongiem, oraz szefem miejscowej grupy Abu Sajjaf, który go polecił; obejrzał kwatery dla swojej brygady, wziął połowę zapłaty z góry i zapytał, gdzie znajduje się warsztat. Zlustrował wszystko dokładnie, policzył butle z tlenem i acetylenem, i stwierdził, że jest usatysfakcjonowany. Następnie poprosił o zdjęcia wykonane w Liverpoolu. Kiedy „Gwiazda Jawy” znalazła się na rzece, wiedział, co trzeba zrobić i jak się do tego zabrać.

Przerabianie statków było jego specjalnością; ponad pięćdziesiąt jednostek pływających po morzach Azji Południowo - Wschodniej pod fałszywymi nazwami i na lewych papierach wyszło spod ręki Weia. Oznajmił, że potrzebuje dwóch tygodni; dano mu trzy, lecz ani godziny dłużej. Przez ten czas „Gwiazda Jawy” miała się zamienić w „Hrabinę Richmond”. Wei tego nie wiedział, bo nie potrzebował.

Na zdjęciach, które oglądał, nazwa statku została zamazana. Wei nie zaprzętał sobie głowy nazwami i papierami. Zajmowały go tylko kształty.

Niektóre części „Gwiazdy Jawy” należało wyciąć, a gdzieś tam coś przyspawać. Ale najważniejsze było zbudowanie sześciu długich morskich kontenerów, które miały stanąć w parach na pokładzie od mostka na rufie aż do dzioba.

Kontenery nie miały być prawdziwe, musiały tylko na takie wyglądać ze wszystkich stron; miały nawet mieć oznaczenia Hapag - Lloyd. Będą oglądane z odległości kilku metrów. Pozbawione wewnętrznych ścianek, utworzą długą galerię z dachem na zawiasach i drzwiami, óre zostaną wycięte w ścianie pod mostkiem i tak zamaskowane, by nie zobaczył ich nikt niewtajemniczony.

Malowanie nie należało do Weia i jego ludzi. Tym mieli się zająć filipińscy terroryści. Nazwa statku zostanie namalowana po odejściu Chińczyków.

W dniu, w którym Wei zapalił palniki acetylenowo - tlenowe, „Hrabina Richmond” przechodziła przez Kanał Sueski.

Ali Aziz al - Chattab wrócił do willi jako odmieniony człowiek. Rozkazał zdjąć więźniowi kajdanki i zaprosił go do stołu na posiłek. Jego oczy błyszczały z radości.

- Skontaktowałem się z samym szejkiem - oznajmił cicho. Zaszczyt był tak wielki, że Al - Chattaba rozpierała duma. Nie otrzymał pisemnej odpowiedzi; w górach przekazano ją posłańcowi ustnie, a ten nauczył się jej na pamięć. Jest to praktykowane w najwyższych kręgach Al - Kaidy.

Wysłannika przewieziono na wybrzeże Zatoki Perskiej, a gdy „Rasza” przycumowała, doktor Al - Chattab usłyszał odpowiedź słowo w słowo.

- Jeszcze tylko jedna formalność - rzekł. - Czy mógłbyś unieść brzeg *diszdaszy* połowy uda?

Martin spełnił prośbę. Nie wiedział, jaka jest specjalność naukowa Al - Chattaba; wiedział tylko, że Kuwejczyk jest doktorem. Miał nadzieję, że nie dermatologiem. Doktor bardzo uważnie obejrzał wybrzuszoną skórę blizny. Znajdowała się dokładnie tam, gdzie powinna. Widać było sześć szwów założonych w jaskini Dżadzi osiemnaście lat temu przez człowieka, którego darzył wielką czcią.

- Dziękuję ci, przyjacielu. Sam szejik przesyła ci swoje pozdrowienia. Cóż za niezwykły zaszczyt. On i doktor zapamiętali młodego wojownika oraz słowa, które wypowiedzieli. Zostałem upoważniony, aby włączyć cię do misji, która zada Wielkiemu Szatanowi cios tak straszny, że nawet zniszczenie wież wyda się drobiazgiem.

Ofiarowałeś swoje życie Allahowi. Twoja ofiara została przyjęta. Zginiesz w chwale, jako prawdziwy *shahid*. twoje i kolegów męczenników będą powtarzane za tysiąc lat.

Po trzech zmarnowanych tygodniach doktor Al - Chattab zaczął się spieszyć. Uruchomiono zasoby ludzkie Al - Kaidy na całym wybrzeżu. Przyszedł fryzjer, żeby zamienić zmierzwioną grzywę w zachodnie uczesanie. Gdy zaczął się szykować do zgolenia brody, Martin zaoponował. Jako muzułmanin i Afgańczyk chciał ją zachować. Doktor zgodził się zostawić odrobinę zarostu na podbródku, ale niedługiego.

Sulajman zrobił zdjęcia twarzy i nazajutrz zjawił się z doskonałym paszportem, z którego wynikało, że właściciel jest inżynierem okrętowym z Bahrajnu, silnie prozachodniego sułtanatu.

Następnie marynarz wziął wymiary, a później przyjechał z butami, skarpetami, koszulą, krawatem i ciemnoszarym garniturem oraz walizeczką do przenoszenia ubioru.

Grupa szykowała się do wyruszenia nazajutrz. Sulajman, który pochodził z Abu Zabi, miał towarzyszyć Afgańczykowi do końca podróży. Dwaj pozostali byli „silnorękami”, zwerbowanymi w okolicy, których w razie potrzeby można się było pozbyć. Willa spełniła swoje zadanie, miała zostać wysprzątana i opuszczona.

Doktor Al - Chattab opuścił budynek przed innymi; na odchodnym zwrócił się do Martina:

- Zazdroszczę ci, Afgańczyku. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Walczyłeś za Allaha, przelałeś za niego krew, cierpiełeś ból i znosiłeś upokorzenia z rąk niewiernych. A teraz za niego zginiesz. Gdybym mógł być razem z tobą!

Wyciągnął dłoń, lecz zaraz przypomniał sobie, że jest Arabem, i uściśnął go. W drzwiach odwrócił się po raz ostatni.

- Trafisz do raju przede mną, Afgańczyku. Zajmij dla mnie miejsce. *In sha'a Allah*.

Wyszedł. Zawsze parkował wynajęte auto kilkaset metrów dalej, za dwoma zakrętami. Po wyjściu z willi pochylił się, żeby poprawić but i rozejrzeć się w obie strony. Nie było nikogo oprócz jakiejś smarkuli dwieście metrów dalej, która bezskutecznie usiłowała zapalić skuter. Dziewczyna była miejscowa, *džilbab* łaniał jej włosy i połowę twarzy. Kuwejtczyka obrażało jednak to, że kobieta w ogóle ma jakiś pojazd silnikowy.

Odwrócił się i ruszył w stronę samochodu. Dziewczyna zmagająca się z niesfornym silnikiem pochyliła się i powiedziała coś do koszyka nad przednim błotnikiem. Jej rwany akcent świadczył o tym, że uczyła się w college'u żeńskim w Cheltenham.

- Mangusta jeden, w drodze.



Każdy, kto kiedykolwiek brał udział w tym, co Rudyard Kipling nazwał wielką grą, a James Jesus Angleton określił mianem jaskini luster, zgodzi się z pewnością, że największym wrogiem jest NTO.

Nieprzewidziana Totalna Obsuwa prawdopodobnie zniweczyła więcej tajnych misji niż zdrada czy błyskotliwe działania wrogiego kontrwywiadu. Omal nie położyła także kresu operacji Łom. Zaczęło się od tego, że wszyscy, ogarnięci panującym od niedawna duchem współdziałania, starali się jak najbardziej pomóc.

Obrazy z dwóch predatorów zmieniających się nad Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi i Morzem Arabskim szły z Thumrait do bazy Edzell, w której dokładnie wiedziano, co się dzieje, oraz do centrum komunikacji armii amerykańskiej w Tampie na Florydzie, gdzie uważano, że Brytyjczycy poprosili po prostu o rutynową obserwację z powietrza. Martin nalegał, żeby o jego misji wiedziało najwyżej dwanaście osób, i nadal udawało się ograniczać ich liczbę do dziesięciu. Nie należeli do niej ci, którzy pracowali w Tampie.

Ilekcio predatorzy unosiły się nad emiratami, na przesyłanych przez nich obrazach roiło się od Arabów, nie - - Arabów, prywatnych aut, taksówek, nabrzeży i domów. W takim galimatiasie nie dało się sprawdzić każdego obiektu. Jednak o dawie „Rasza” i jej właścicielu wiedziano od dawna. Zatem kiedy stała w porcie, wszyscy, którzy ją odwiedzali, także wzbudzali zainteresowanie.

Odwiedzających było jednak mnóstwo. Łódź należało załadować i rozładować, zatankować paliwo i dostarczyć prowiant. Omański marynarz szorujący pokład pozdrawiał przechodniów na molo. Turyści podchodzili, by pogapić się na prawdziwą handlową dawe z drewna tekowego. Kapitana odwiedzali na pokładzie miejscowi kupcy i przyjaciele. Kiedy więc gładko ogolony młody Arab w białej *diszdaszy* małej białej czapeczce wdał się w rozę z Fajsalem Ibn Salimem, uznano go za jednego z wielu.

W sali operacyjnej w Edzell dysponowano wizerunkami tysięcy twarzy członków Al - Kaidy, tych, których dopiero podejrzewano o działalność terrorystyczną, oraz sympatyków; każdy obraz przysłany przez predatora był sprawdzany elektronicznie. Twarz doktora Al - Chattaba nie uruchomiła dzwonka alarmowego, bo nie był on nikomu znany. Dlatego w Edzell go przeoczono.

Takie rzeczy się zdarzają.

Młody szczupły Arab, który przyszedł z wizytą na „Raszę”, nie zwrócił też niczyjej uwagi w Tampie, lecz armia z kurtuazji przesłała zdjęcia do Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Forcie Meade w Marylandzie i do Narodowego Biura Rozpoznania w Waszyngtonie, nadzorującego satelity szpiegowskie. NSA przekazała zdjęcia brytyjskim partnerom z GCHQ w Cheltenham, którzy dobrze im się przyjrzeni, przeoczyli Al - Chataba i wysłali je dalej do brytyjskiej służby bezpieczeństwa (kontrwywiadu) znanej jako MI5, urzędującej w Thames House w niewielkiej odległości od gmachu parlamentu.

Tam młody stażysta chcący zrobić wrażenie przepuścił wizerunki wszystkich gości na „Raszy” przez bazę rozpoznawania twarzy.

Jeszcze nie tak dawno rozpoznawanie ludzkich twarzy zależało od utalentowanych agentów pracujących w półmroku, którzy ze szklami powiększającymi przyglądali się ziarnistym podobiznom, usiłując odpowiedzieć na dwa pytania: kim jest kobieta/mężczyzna na zdjęciu, i czy już go/ją kiedykolwiek widzieliśmy? Było to samotnicze działanie i musiały minąć lata, zanim pełen poświęcenia wyrobił w sobie szósty zmysł pozwalający stwierdzić, że gość widoczny na zdjęciu przed pięcioma laty był na przyjęciu dyplomatycznym w ambasadzie wietnamskiej w Delhi, co oznaczało, że z całą pewnością należy do KGB.

Potem pojawił się komputer. Opracowano programy redukujące ludzką twarz do sześciuset maleńkich wymiarów, które następnie były przechowywane na twardych dyskach. Wydaje się, że twarz każdego człowieka na świecie da się w taki sposób zredukować. Może to być precyzyjna (z dokładnością do jednego mikrona) odległość między źrenicami oczu, szerokość nosa w siedmiu punktach między brwiami i czubkiem, dwadzieścia dwa rozmiary samych ust, uszu...

Ach, uszy. Analitycy twarzy ubóstwiają uszy. Każda zmarszczka i zagłębienie, łuk, fałda i płatek różnią się od siebie. Są jak odciski palców. Nawet lewe ucho różni się nieco od prawego. Chirurdzy plastyczni je ignorują, ale dajcie wytrawnemu analitykowi twarzy dobrej rozdzielczości zdjęcie dwojga uszu, a on na pewno je dopasuje.

W pamięci komputera znajdowało się znacznie więcej twarzy niż tysiąc, które zgromadzono w Edzell. Były wśród nich twarze kryminalistów bez żadnych przekonań politycznych, bo nawet oni mogą pracować dla terrorystów, jeśli ci zaproponują im dobrą zapłatę. Były twarze imigrantów, legalnych i nielegalnych, niekoniecznie muzułmanów. Były też wizerunki tysięcy demonstrantów defilujących przed ukrytymi kamerami, wymachujących tablicami i skandujących hasła. Baza nie ograniczała się do Wielkiej Brytanii. Krótko mówiąc, znajdowały się w niej ponad trzy miliony ludzkich twarzy z całego świata.

Komputer zanalizował twarz mężczyzny rozmawiającego z właścicielem „Raszy”, wziął poprawkę na ostry kąt, pod którym ją sfotografowano, i wybrał jedno ujęcie, w którym mężczyzna podnosi głowę, by spojrzeć na samolot startujący z lotniska w Abu Żabi; dobrał sześćset wymiarów i zaczął porównywać. Mógł nawet wziąć pod uwagę zmiany w postaci zapuszczonego lub zgolonego owłosienia twarzy.

Mimo że pracował bardzo szybko, zajęło mu to godzinę. Ale znalazł twarz.

Człowiek ten stał w tłumie przed meczetem tuż po jedenastym września dwa tysiące pierwszego roku i wiwatował, słuchając słów wypowiedzianych przez mówcę. Mówcą tym był Abu Katada, mieszkający w Wielkiej Brytanii fanatyczny zwolennik Al - Kaidy, a tego dnia pod koniec września zwracał się do członków Al - Muhadžirun, ekstremistycznej grupy popierającej dżihad.

Stażysta wyodrębnił twarz z pliku i zaniósł zdjęcie przełożonemu. Stamtąd trafiło do pewnej niezwyklej damy kierującej MI5, Elizy Manningham - Buller, która nakazała wytropić tego człowieka. Nikt wówczas nie miał pojęcia, że stażysta namierzył szefa Al - Kaidy w Wielkiej Brytanii.

Po jakimś czasie dokonano następnego skojarzenia: ten sam mężczyzna odbierał doktorat w czasie ceremonii na uniwersytecie. Nazywał się Ali Aziz al - Chattab i był silnie zanglicyzowanym wykładowcą pracującym na Uniwersytecie Aston w Birmingham.

Z dotychczas zdobytych informacji wynikało, że jest albo bardzo skutecznie zakamuflowanym uśpionym agentem, albo lekkomyślnym naukowcem, który w czasach studenckich bawił się w polityczny ekstremizm. Gdyby każdego obywatela należącego do tej drugiej kategorii, więźniów byłoby więcej niż policjantów.

Wszystko wskazywało, że od wiecu przed meczetem nie zbliżał się do ekstremistów. Jednak jeśli naprawdę poszedł po rozum do głowy, to dlaczego ucina sobie pogawędkę z kapitanem „Raszy” w porcie Abu Zabi? Należało go więc zaliczyć do pierwszej kategorii: uśpionych członków Al - Kaidy, chyba że pojawią się informacje, które to zweryfikują.

Dalsze dyskretne śledztwo wykazało, że Al - Chattab wrócił do Wielkiej Brytanii i podjął pracę badawczą w Aston. Pytanie brzmiało: aresztować go czy obserwować? Tyle że jedno zdjęcie z powietrza, którego i tak nie wolno ujawnić, nie doprowadzi do skazania. Postanowiono obserwować naukowca, choć było to bardzo kosztowne.

Zagadka rozwiązała się tydzień później, gdy doktor Al - Chattab zarezerwował lot nad Zatokę Perską. Właśnie wtedy wciągnięto do współpracy SRR*(Special Reconnaissance Regiment - Specjalny Regiment Zwiadu.).

Wielka Brytania od lat dysponowała jedną z najlepszych jednostek namierzających na świecie - 14. kompanią wywiadu, a prościej Det. Była bardzo utajniona. W odróżnieniu od SAS i SBS nie miała być super jednostką bojową. Jej atutami były dyskrecja, umiejętność zakładania pluskiew, robienie zdjęć z daleka, podsłuchiwanie i tropienie. Swojej wyjątkowej skuteczności Det dowiódł w walce z IRA w Irlandii Północnej.

Informacje dostarczone przez Det kilkanaście razy pozwoliły SAS urządzić zasadzki na terrorystyczne bojówki je zlikwidować. Inaczej niż w jednostkach bojowych, częstokroć służą tam kobiety. Uważa się za nieszkodliwe i nie zwraca na nie uwagi. Jednak informacje przez nie zdobywane bywają często bezcenne.

W dwa tysiące piątym roku rząd postanowił rozbudować i unowocześnić Det. Jednostka otrzymała nową nazwę Specjalnego Regimentu Zwiadu. W czasie inauguracyjnej defilady wszyscy, łącznie z dowódcą w stopniu generała, mogli być fotografowani tylko od pasa w dół. Kwatera główna jednostki pozostaje tajna; jeśli SAS i SBS są dyskretne, to SRR jest niewidzialny. Lady Eliza potrzebowała współpracy oddziału SRR i tę jej zapewniono.

Kiedy doktor Al - Cbattab wsiadał na lotnisku Heathrow do samolotu lecącego do Dubaju, wsiadło do niego także sześciu agentów SRR, którzy wtopili się między trzystu pasażerów. Jednym był młody księgowy siedzący w rzędzie za Kuwejtczykiem.

Ponieważ miała to być tylko obserwacja, poproszono o współpracę siły specjalne Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Gdy okazało się, że Marwan asz - Szahhi, jeden z zamachowców pilotujących samoloty, które wbiły się w wieże World Trade Center, pochodził z ZEA, i później nastąpił przeciek z Białego Domu, z którego wynikało, że Amerykanów korciło, by zbombardować stację telewizyjną Al - Dżazira w Katarze, władze Zjednoczonych Emiratów Arabskich stały się bardzo wyczulone na punkcie muzułmańskiego fundamentalizmu. A zwłaszcza w Dubaju, gdzie mieściła się kwatera główna sił specjalnych.

Na agentów czekały dwa wynajęte samochody i dwa także wynajęte skutery, na wypadek gdyby ktoś odebrał doktora z lotniska. Zauważono, że podróżuje tylko z neseserem. Agenci martwili się niepotrzebnie, bo Al - Chattab wynajął małe japońskie auto; dzięki temu zyskali czas na zajęcie swoich pozycji.

Najpierw śledzono go od lotniska do Strumienia w Dubaju, gdzie znów cumowała „Rasza” po powrocie z Gwadoru. Tym razem nie podszedł do stateczku, tylko czekał obok samochodu sto metrów dalej, aż Ibn Salim go zauważy.

Po kilku minutach spod pokładu „Raszy” wyłonił się młody mężczyzna, nikomu nieznanym, przeszedł między ludźmi zebranymi na molo i zaczął coś szeptać Kuwejtczykowi do ucha. Była to odpowiedź od człowieka ukrywającego się w górach Waziristanu. Na twarzy Al - Chattaby odmalowało się zdumienie.

Wsiadł do samochodu i w gęstym ruchu na drodze wzdłuż wybrzeża, przez Ajman i Umm al - Kajwajn pojechał do Ra's al - Chajmy. Następnie zameldował się w hotelu Hilton i przebrał. Było to bardzo miłe z jego strony, bo trzy młode kobiety z zespołu SRR mogły skorzystać z łazienki, włożyć zakrywające prawie całą twarz *dżilbaby* wrócić do swoich pojazdów.

Doktor Al - Chattab wyszedł w białej *diszdaszy* pojechał przez miasto. Wykonał kilka manewrów, by zgubić ewentualny ogon, lecz nie miał zmiennika. Nad Zatoką Perską skutery są powszechne. Jeżdżą nimi ludzie obojga płci, którzy noszą podobne ubrania, więc trudno ich odróżnić. Po przydzieleniu zadania członkowie zespołu studiowali mapy drogowe wszystkich siedmiu emiratów dopóty, dopóki nie nauczyli się ich na pamięć. Dzięki dobrej znajomości terenu dojechali za doktorem do willi.

Jeśli kiedykolwiek istniały jakieś wątpliwości, czy doktor knuje coś paskudnego, samochodowe manewry je rozwiały. Niewinni ludzie w ten sposób nie postępują. Al - Chattab nie

został w willi na noc; jedna z kobiet z SRR pojechała za nim do Hiltona. Trzej mężczyźni zajęli pozycję na wzgórzu pozwalającą obserwować podejrzaną willę i przez całą noc nie spuszczaali jej z oka. Nikt nie przyszedł ani nie wyszedł.

Następny dzień był zupełnie inny. pojawili się goście. Obserwatorzy tego nie wiedzieli, lecz goście dostarczyli nowy paszport i ubranie. Członkowie SRR zanotowali numery samochodu, jeden z odwiedzających willę został później namierzony i aresztowany. Fryzjera również wytropiono po jakimś czasie.

Pod koniec drugiego dnia Al - Chattab pojawił się w willi po raz ostatni. Właśnie wtedy Katy Sexton, majstrując przy skuterze na ulicy, dała kolegom sygnał, że obiekt ruszył w drogę.

W pokoju w Hiltonie, w którym pod nieobecność lokatora umieszczono pluskwy, ten ujawnił swoje plany: zarezerwował miejsce w porannym samolocie lecącym z Dubaju do Londynu. Przez całą drogę powrotną do Birmingham był śledzony i niczego nie zauważył.

MI5 wykonało doskonałą robotę i wszyscy uczestnicy zdawali sobie z tego sprawę. Rezultaty akcji zostały ujawnione tylko czterem członkom brytyjskiej społeczności wywiadowczej. Jednym z nich był Steve Hill, który skoczył do góry z radości.

Predator został skierowany do obserwacji willi na dalekim pustynnym przedmieściu Ra's al - Chajmy. Jednak w Londynie było rano, a nad Zatoką - popołudnie, więc bezzałogowy samolot zarejestrował tylko sprzątaczy. A potem niespodziewaną wizytę.

Było za późno, by powstrzymać siły specjalne ZEA przed wysłaniem oddziału dowodzonego przez byłego brytyjskiego oficera Dave'a Foresta. Szef placówki w Dubaju, osobisty przyjaciel Foresta, zadziałał błyskawicznie. Poczta pantoflową rozpuszczono pogłoskę, że akcja była wynikiem anonimowego donosu od zwaśnionego sąsiada.

Dwaj sprzątacze nic nie wiedzieli: przyszli z agencji, zapłacono im z góry i dostarczono klucze. Jednak nie skończyli sprząkania; na stosie śmieci leżała pewna ilość czarnych włosów z głowy oraz brody; można je odróżnić, bo mają inną strukturę. Poza tym nie znaleziono żadnych śladów ludzi, którzy mieszkali w willi.

Sąsiedzi zapamiętali zamkniętą furgonetkę, ale nikt nie mógł sobie przypomnieć numeru. Znaleziono ją potem porzuconą; okazało się, że została skradziona, lecz było za późno, by wykorzystać tę informację.

Krawiec i fryzjer byli lepszym łupem. Nie wzbraniali się przed mówieniem, lecz mogli opisać tylko pięciu mężczyzn przebywających w domu. Al - Chattab był już znany. Sulajmana zidentyfikowano na podstawie zdjęć lokalnej policji, bo znajdował się już na liście podejrzanych. Jego dwaj podwładni nie zostali rozpoznani.

Mówiący doskonale po arabsku Forest skupił się na piątym mężczyźnie. W przesłuchaniu uczestniczył szef placówki SIS. Dwaj Arabowie znad Zatoki, krawiec i fryzjer, pochodzili z Adżmanu i po prostu wykonywali swój zawód.

Ani przesłuchiwani, ani przesłuchujący nie wiedzieli o Afgańczyku; ci drudzy po prostu zanotowali opis i przekazali do Londynu. Nikt nie wiedział o paszporcie, gdyż Sulajman zrobił go sam. Nikt nie miał również pojęcia, dlaczego w Londynie zapanowało podniecenie mające związek z roslym mężczyzną ze zmierzwioną czupryną i długą brodą. Wiedzieli tylko tyle, że teraz jest już ładnie przystrzyżony i prawdopodobnie nosi ciemny dwuczęściowy garnitur.

Jednak Steve'a Hilla, Marka Gumienny'ego i zespół w Edzell najbardziej uradowała ostatnia informacja, którą uzyskali.

Arabowie traktowali tego człowieka jak gościa honorowego. Najwyraźniej przygotowywano go do wyjazdu. Nie był trupem leżącym na posadzce w willi.

Michael McDonald i Gordon Phillips też się cieszyli, lecz mieli również zagwozdkę. Wiedzieli, że ich agent przeszedł wszystkie próby i został uznany za prawdziwego dżihadystę. Po tygodniach niepokoju dostali od niego drugi znak życia.

Lecz czy agent dowiedział się czegoś o operacji Stingray, która była celem całej akcji? Dokąd się udał? Czy może nawiązać z nimi kontakt?

Nawet gdyby zdołali z nim porozmawiać, nic by to nie pomogło, bo on też nic nie wiedział.

Nikt również nie wiedział, że „Hrabina Richmond” właśnie rozładowuje w Singapurze jaguary.

ROZDZIAŁ 13

Podróżująca grupa nie mogła wiedzieć, że ma kilka godzin przewagi nad pościgiem; ucieczka dawała im szansę.

Gdyby skierowali się w stronę wybrzeża, na którym leżało sześć emiratów, prawdopodobnie zostaliby schwytani. Oni tymczasem przez górzysty przesmyk ruszyli na wschód, w stronę siódmego emiratu, Fudżajry nad Zatoką Omańską.

Niebawem zostawili za sobą ostatnią asfaltową szosę i wkroczyli na zryte koleinami trakty prowadzące wśród spieczonych wzgórz Dżabal Jibir. Dotarli do szczytów i zaczęli zmierzać w dół ku małemu portowi Dibba.

Daleko na południe na tym samym wybrzeżu policja z Fudżajry otrzymała z Dubaju pełny rysopis poszukiwanych oraz prośbę o natychmiastowe zorganizowanie blokady drogi prowadzącej z gór do miasta; zatrzymano wiele furgonetek, lecz w żadnej nie jechali czterej terroryści.

Dibba nie jest metropolią: grupa białych domów, meczet zieloną kopułą, mały port rybacki, a od czasu do czasu wynajęta łódź z zachodnimi turystami nurkującymi w zatoce. Nieco dalej w strumieniu czekała aluminiowa łódź wyciągnięta na kamienie; ogromne silniki wystawały nad powierzchnię wody. Przestrzeń ładunkową na środku zajmowały przyczepione łańcuchami dodatkowe zbiorniki z paliwem. Dwuosobowa załoga ukryła się w cieniu akacji rosnącej wśród skał.

Dla dwóch młodzików z tej okolicy to był koniec drogi. Pojadą skradzioną furgonetką wysoko na wzgórze i tam ją porzucą, a później po prostu rozpląną się w tej samej dzielnicy, skąd pochodził Marwan asz - Szahhi. Sulajman i Afgańczyk, wciąż trzymający zachodnie ubrania w walizkach, by chronić je przed kroplami słonej wody, pomogli zepchnąć „łódź papierosową”.

Gdy pasażerowie i członkowie załogi weszli na pokład, łódź przepłynęła spokojnie wzdłuż brzegu prawie do końca półwyspu Musandam. Przemysłowcy śmigają przez cieśninę na pełnej prędkości tylko pod osłoną nocy.

Dwadzieścia minut przed zachodem słońca sternik kazał pasażerom trzymać się i zwiększył moc. Łódź oderwała się od skalistego brzegu koniuszka Arabii i pomknęła w stronę Iranu. Pięćset koni mechanicznych uniosło ponad wodę dziób łodzi, która zaczęła się ślizgać. Martin ocenił, że płyną z prędkością prawie pięćdziesięciu węzłów. Najmniejsza zmarszczka na wodzie była jak kłoda, kropelki wody rozpryskiwały się w powietrzu. *Kafije*, óre miały chronić twarze przed słońcem, teraz osłaniały je przed wodną mgiełką.

W ciągu niespełna pół godziny nad lewą burtą zamajaczyły pierwsze rozproszone światła na wybrzeżu dawnej Persji; łódź pomknęła na wschód w kierunku Gwadoru i Pakistanu. Miesiąc temu Martin pokonał tę samą trasę w drugą stronę na „Raszy”. Teraz wracał, płynąc dziesięć razy szybciej.

Znalazłszy się na wysokości Gwadoru, łódź zwolniła i wreszcie się zatrzymała. Wszyscy przyjęli to z ulgą. Załoga dźwignęła beczki i przez lejki napełniła po brzegi baki obu silników. Później będą się martwić, gdzie zatankować przed powrotnym rejssem.

Fajsal Ibn Salim opowiedział Martinowi, że przemytnicy potrafią dopłynąć z wód Omanu do Gwadoru w ciągu jednej nocy i przed świtem wrócić ze świeżym ładunkiem. Tym razem najwyraźniej wybierali się dalej i zamierzali płynąć także za dnia.

Świt zastał ich na wodach Pakistanu; płynęli blisko brzegu, więc łódź można było wziąć za jednostkę rybacką, gdyby nie to, że żadna nie pływa tak szybko. Nie było jednak ani śladu policji; nagie brązowe wybrzeże błyskawicznie przesuwało się obok. W południe Martin zorientował się, że płyną do Karaczi. Nie miał pojęcia w jakim celu.

Zatankowali na morzu jeszcze raz, a gdy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, zostali wysadzeni na brzeg w cuchnącej wiosce rybackiej nieopodal największego pakistańskiego portu.

Sulajman być może nigdy tam nie był, lecz musiał odbyć odprawę z kimś, kto przeprowadził rekonesans. Martin wiedział, że Al - Kaida organizuje drobiazgowo przygotowania, nie szczczędając czasu i wysiłku. To była jedna z nielicznych rzeczy, za które podziwiał terrorystów.

Arab znalazł jedyny pojazd w wiosce i wynegocjował łatę. To, że dwaj nieznajomi wysiedli na brzeg z motorówki przemytnika, nie wzbudziło niczyjego zdziwienia. To był Beludżystan; przepisy obowiązujące w Karaczi są dla idiotów.

Wnętrze auta cuchnęło rybami i potem, a krztuszący się silnik potrafił rozpędzić je do prędkości najwyższej sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Na więcej zresztą nie pozwalały drogi. Znaleźli jednak szosę i dotarli na lotnisko przed czasem.

Afgańczyk udawał dezorientację i brak obycia w świecie. Tylko dwa razy leciał samolotem, amerykańskim Herculesem C - 130, jako skuty kajdankami więzień. Nic nie wiedział o rejestracji, biletach, kontroli paszportowej. Sulajman pokazywał mu wszystko z lekko drwiącym uśmiechem.

W ogromnej masie ludzi przepychających się w głównej hali międzynarodowego lotniska w Karaczi Arab znalazł kasę biletową Malajskich Linii Lotniczych i kupił dwa bilety klasy ekonomicznej w jedną stronę do Kuala Lumpur. Należało wypełnić długie formularze wizowe po angielsku; tym również zajął się Sulajman. Zapłacił amerykańskimi dolarami, najpospolitszą walutą świata.

Lecieli europejskim airbusem 330, co zajęło im sześć godzin, doszły jeszcze dwie ze względu na zmianę strefy czasowej. Airbus wylądował o wpół do dziewiątej; wcześniej podano lekkie śniadanie. Martin po raz drugi oddał do kontroli swój nowy paszport z Bahrajnu, zastanawiając się, czy przejdzie. Nikt się nie połapał, dokument był doskonale podrobiony.

Z hali lotów międzynarodowych Sulajman przeszedł z towarzyszem do sali krajowej i znów kupił dwa bilety jedną stronę. Dopiero przy podawaniu karty pokładowej Martin zobaczył, dokąd zmierzają: na wyspę Labuan.

Słyszał o Labuanie, ale bardzo mało. Wyspa położona u północnego wybrzeża Borneo należy do Malezji. W broszurkach turystycznych można przeczytać o tętniącej życiem kosmopolitycznej wyspie oraz fantastycznej rafie koralowej w pobliżu, jednak zachodnie służby wywiadowcze znają

jej inną, ciemniejszą stronę.

Kiedyś należała do sułtanatu Brunei, państewka leżącego trzydzieści kilometrów dalej na wybrzeżu Borneo. Brytyjczycy zajęli ją w tysiąc osiemset czterdziestym szóstym roku i trzymali przez sto piętnaście lat, nie licząc trzech lat japońskiej okupacji w czasie drugiej wojny światowej. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim, w ramach dekolonizacji, Brytyjczycy przekazali Labuan państewku Sabab; w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym wyspa weszła w skład terytorium federalnego Malezji.

Jest to jedno z tych osobliwych miejsc na świecie, w których nie widać śladu działalności gospodarczej. Jednak na wysepce o powierzchni dziewięćdziesięciu jeden kilometrów kwadratowych stworzono taką działalność. Labuan, który stał się centrum finansowym, bezcłowym portem, tanią banderą oraz mekką przemytników, zaczął przyciągać klientelę o bardzo podejrzanej reputacji.

Martin uświadomił sobie, że leci do światowego centrum porywania statków i ładunków oraz mordowania załóg. Powinien nawiązać łączność z bazą i dać znak życia. Musiał wymyślić, jak to zrobić, i to szybko.

Samolot wylądował na krótko w Kuchingu na Borneo, lecz żaden z pasażerów lecących dalej nie opuścił pokładu.

Po czterdziestu minutach samolot wystartował, zakołował nad morzem i skierował się na północny wschód w stronę Labuanu. Tymczasem „Hrabina Richmond” szła z balastem do Kota Kinabalu po ładunek drewna sandałowego i palisandru.

Stewardesa rozdała karty zejścia na ląd. Sulajman wziął obie i zaczął wypełniać. Martin musiał udawać, że nie rozumie po angielsku i że zna słabo zaledwie kilka wyrażeń w tym języku. Wszyscy wokół się nim posługiwali. Poza tym, mimo że obaj z Sulajmanem przebrali się w Kuala Lumpur w koszule i garnitury, Mike nie miał długopisu i żadnego pretekstu, by go od kogoś pożyczyć. Sulajman wpisywał do kart, że jeden z nich jest inżynierem z Bahrajnu, a drugi księgowym, Omań - czykiem; rzekomo lfecieli na Labuan w związku z umową na wydobycie gazu.

Martin mruknął, że musi iść do ubikacji. Wstał i wyszedł; jedna z dwóch toalet była zajęta, on jednak udał, że zajęte są obie, i ruszył dalej. Nie zrobił tego bez powodu. W boeingu 737 znajdują się dwa przedziały pasażerskie: ekonomiczny i biznes. Rozdzielała je kotara, a Martin chciał przedostać się na jej drugą stronę.

Stojąc przed drzwiami toalety w klasie biznes, uśmiechnął się promiennie do stewardesy, która rozdawała karty zejścia na ląd, mruknął przepraszająco i wyjął jej z kieszonki czystą kartę i długopis. Błyskawicznie otworzył drzwi łazienki i wszedł do środka. Miał czas tylko na nabazgranie krótkiej wiadomości na odwrocie karty, wsunięcie jej do kieszeni swojej marynarki, wyjście i zwrócenie długopisu. Potem udał się na swoje miejsce.

Sulajmanowi być może powiedziano, że Afgańczyk jest godny zaufania, lecz mimo to trzymał się go jak rzep. Może chciał, żeby jego podopieczny nie popełnił błędu wynikającego z naiwności

czy braku obycia, a może sprawiły to lata szkoleń w Al - Kaidzie; tak czy owak, nigdy nie tracił czujności, nawet w czasie modlitwy.

Port lotniczy na Labuanie stanowił ostry kontrast w stosunku do Karaczi: był mały i schludny. Martin wciąż nie miał pojęcia, dokąd zmierzają, lecz podejrzewał, że na lotnisku może mieć ostatnią szansę pozbycia się kartki z informacją. Liczył na łut szczęścia.

Ten zdarzył się na chodniku przed budynkiem lotniska i był krótki jak mgnienie oka. Wyuczone na pamięć instrukcje Sulajmana musiały być niesłuchanie precyzyjne. Przelecieli pół globu, a on najwyraźniej miał doświadczenie w podróżowaniu. Martin nie mógł wiedzieć, że Arab jest w Al - Kaidzie od dziesięciu lat i że służył w Iraku oraz na Dalekim Wschodzie, zwłaszcza w Indonezji. Nie mógł też wiedzieć, w czym się specjalizuje.

Sulajman lustrował wzrokiem drogę dojazdową do budynku, w którym na jednym poziomie znajdowały się hale przylotów i odlotów; nagle pojawiła się taksówka zmierzająca w stronę gmachu. Była zajęta, lecz najwyraźniej zamierzała zaparkować.

Pasażerów było dwóch, Martin momentalnie wychwycił angielski akcent. Obaj byli rośli i muskularni, mieli na sobie szorty w kolorze khaki i kwieciste plażowe koszule. Trzydziestostopniowy przedmonsunowy upał sprawił, że ich skóra lśniła od potu. Jeden zapłacił taksówkarzowi w malezyjskiej walucie, a drugi opróżniał bagażnik. Był nim sprzęt do nurkowania, gdyż obaj mężczyźni zostali przysłani przez brytyjski magazyn „Sport Diver”; nurkowali na pobliskich rafach i filmowali.

Ten przy bagażniku nie mógł sobie poradzić ze wszystkimi czterema walizkami; zanim Sulajman zdążył się odezwać, Martin dźwignął jedną z bagażnika i postawił na chodniku. W tej samej chwili wsunął złożoną kartkę do jednej z kieszonek, których było mnóstwo w torbach ze sprzętem do nurkowania.

- Dzięki, stary - rzucił nurek, po czym ruszyli z kolegą do budynku lotniska, żeby znaleźć połączenie z Londynem przez Kuala Lumpur.

Sulajman polecił kierowcy jechać do agencji spedycyjnej w porcie. Tam wreszcie ktoś czekał na dwóch podróżników. Podobnie jak przybysze, nie wzbudzał zainteresowania ostentacyjnym ubiorem czy zarostem. Tak jak oni był *takfirem*. Ł się jako Lampong i zaprowadził ich do piętnastometrowej motorówki ucharakteryzowanej na turystyczną łódź wędkarską. Po kilku minutach wypłynęli z przystani.

Łódź osiągnęła stałą prędkość dziesięciu węzłów i skierowała się na północny wschód, do Kudatu, wejścia na morze Sulu, a później do kryjówki terrorystów w prowincji Zamboanga.

To była niesłuchanie wyczerpująca podróż; jedynym wypoczynkiem były drzemki na pokładzie samolotów. Kołysanie morza sprawiało nieodpartą przyjemność, morska bryza odświeżała po parnej, gorącej wyspie Labuan. Obu pasażerów zmorzył sen. Sternik, terrorysta z Abu Sajjaf, dobrze znał szlak; wracał do domu. Słońca zaszło i wkrótce potem zapadł tropikalny . Łódź przeszła obok światła Kudatu, przez cieśninę Balabac, przekroczyła niewidzialną granicę i wpłynęła na filipińskie wody.



Wei ukończył pracę przed terminem i szykował się do powrotu do Chin. Nie mógł się już doczekać. Ale przynajmniej był na pokładzie chińskiego statku i jadł dobre chińskie jedzenie, a nie śmieci, które morscy rozbójnicy podawali w swoim obozie.

Nie zaprzętał sobie głowy tym, co za sobą zostawił. W odróżnieniu od zabójców z Abu Sajjaf i dwóch czy trzech indonezyjskich fanatyków modlących się z czołami na matach pięć razy dziennie, Wei Wing Li był członkiem triady Głowa Węża i nie modlił się do niczego.

W wyniku jego pracy powstała dokładna replika „Hrabiny Richmond”, wykonana ze statku o podobnej wielkości i tonażu. Wei nie znał nazwy ani oryginału, ani repliki. Obchodziła go tylko gruba rolka banknotów dolarowych o dużym nominale, które pobierze z linii kredytowej w labuańskim banku. Konto otworzył świętej pamięci Taufik al - Kur, mieszkaniec Kairu i Peszawaru, obecnie przebywający w raju Allaha.

Kapitan McKendrick, w odróżnieniu od pana Wei, modlił się. Nie tak często, jak powinien, wiedział o tym, lecz wychował się w zacnej rodzinie irlandzkich katolików w Liverpoolu; na mostku, tuż przed sterem spoczywała figurka Najświętszej Marii Panny, a na ścianie kabiny kapitana wisiał krzyżyk. Przed wyjściem w morze McKendrick zawsze modlił się o dobry rejs, a po zawinięciu do macierzystego portu dziękował Bogu za bezpieczny powrót.

Nie musiał się modlić, gdy pilot z plemienia Sabah prowadził „Hrabinę” obok mielizn do przydzielonego jej miejsca cumowania w Kota Kinabalu, czyli dawnego kolonialnego portu Jesselton, gdzie brytyjscy kupcy w czasach przed wynalezieniem lodówki, po zakupieniu puszkowanego masła po korzystnej cenie musieli je wylewać na chleb z małego dzbanuszka.

Kapitan McKendrick raz jeszcze otarł bandaną moką szyję i podziękował pilotowi. Nareszcie mógł pozamykać wszystkie drzwi i bulaje i odetchnąć dzięki klimatyzacji. To oraz zimne piwo doskonale mu zrobi. Rano statek opróżni zbiorniki balastowe i pod pokład trafią kłody drewna leżące już w doku. Jeśli ładowacze się uwiną, jeszcze nazajutrz przed wieczorem wyjdzie z powrotem w morze.



Dwaj młodzi nurkowie w Kuala Lumpur przesiadli się do samolotu British Airways, które nie są „suchymi” liniami, dlatego wypili taką ilość piwa, że głęboko zasnęli. Lot potrwa dwanaście godzin, ale zyskają siedem dzięki zmianie strefy czasowej i wylądują na Heathrow o świcie. Walizki podróżowały w luku bagażowym, lecz torby na sprzęt leżały nad głowami śpiących.

Znajdowały się w nich płetwy, maski, kombinezony, regulatory oraz kurtki ze sterownikami pływalności; do walizek trafiły tylko noże. W jednej z toreb ze sprzętem tkwiła także wciąż niezauważona malajska karta zejścia na ląd.



Wprawny malarz pracujący przy świetle reflektorów umieszczał ostatnią literę, D, w nazwie przycumowanego. Z masztu zwisała bezwładnie brytyjska bandera. Po obu stronach dzioba i na rufie widniała nazwa „Hrabina Richmond”, a na rufie pod nazwą znajdował się jeszcze napis: „Liverpool”. Kiedy malarz zszedł z rusztowania, a światła zgasły, transformacja była zakończona.

O świcie motorówka ucharakteryzowana na turystyczną łódź wędkarską wpłynęła powoli do ujścia rzeczulki. Przywiozła ostatnich dwóch członków załogi. Tych, których dawna „Gwiazda Jawy” zabierze na pokład w swój - i ich - ostatni rejs.



Ładunek „Hrabiny Richmond” rozpoczął się o świcie, gdy powietrze było jeszcze przyjemnie chłodne. Za trzy godziny znów zrobi się gorące i parne jak w saunie. Dźwigi portowe nie należały do supernowoczesnych, lecz operatorzy znali się na swoim fachu i podwieszane na łańcuchach kłody cennego drewna lądowały na pokładzie i były mocowane w ładowni przez pracującą w pocie czoła załogę.

W środku dnia nawet tubylcy z Borneo musieli przerwać robotę; na cztery godziny wszyscy schronili się cieniu. Wiosenny monsun miał się zacząć już za miesiąc; wilgotność, nigdy niespadająca poniżej dziewięćdziesięciu procent, zbliżała się do stu.

Kapitan McKendrick czułby się lepiej na morzu, lecz ładunek oraz zamocowanie pokryw ładowni zakończyły się dopiero o zachodzie słońca; pilot, który miał wyprowadzić frachtowiec na otwarte morze, wejdzie na pokład rano. Oznaczało to spędzenie jeszcze jednego dnia w cieplarni, więc McKendrick westchnął i skrył się w klimatyzowanych pomieszczeniach pod pokładem.

Miejscowy agent spedycyjny wbiegł na pokład z pilotem o szóstej rano, żeby dopełnić ostatnich formalności. „Hrabina” mogła wreszcie wyjść na morze południowo - chińskie.

Podobnie jak wcześniej „Gwiazda Jawy”, statek obrał kurs północno - wschodni, okrążył cypel Borneo, a następnie przez archipelag Sulu skierował się do Surabai na południu Jawy, gdzie - tak w każdym razie sądził kapitan - czekało na niego sześć kontenerów ze wschodnim jedwabiem. Nie było mu dane dowiedzieć się, że w Surabai nie ma i nigdy nie było żadnego ładunku jedwabiu.



O trzeciej pasażerowie zeszli z pokładu motorówki w pewnej odległości od ujścia rzeki. Lampong zaprowadził ich do długiej chaty na palach służącej jako sypialnia i kantyna mężczyznom mającym wziąć udział w misji, którą Martin znał pod nazwą Stingray, a Lampong - Al - Isra. Reszta uczestników misji miała zostać na przystani. To ci ludzie przygotowali porwaną „Gwiazdę Jawy” do wyjścia w morze.

Stanowili mieszaninę Indonezyjczyków z Dżami'at - e Islami - grupy, która podłożyła bomby na Bali i innych wyspach archipelagu - oraz Filipińczyków z Abu Sajjaf. Mówili rozmaitymi językami, od miejscowego tagalog do dialektu jawajskiego; czasem padło jakieś słowo po arabsku. Martin stopniowo poznawał załogę i zadania poszczególnych jej członków.

Inżynier, nawigator i radiowiec byli Indonezyjczykami. Sulajman zdradził, że jego specjalnością jest fotografia. Zanim umrze jako męczennik, będzie musiał sfilmować moment kulminacyjny akcji kamerą cyfrową i za pomocą laptopa podłączonego do telefonu satelitarnego wysłać relację do telewizji Al - Dżazira.

Był tam nastolatek wyglądający na Pakistańczyka, ale Lampong zwracał się do niego po angielsku. Odpowiedź chłopaka zdradziła, że musiał mieć pakistańskich rodziców, lecz urodził się i wychował w Wielkiej Brytanii. Mówił z silnym północnym akcentem; Martin stwierdził, że musi pochodzić z okolic Leeds i Bradford. Podejrzewał, że nastolatek może być tylko kucharzem.

Martin zawdzięczał swój udział w misji samemu Osامية bin Ladenowi; był jeszcze inżynier chemik, przypuszczalnie także spec od materiałów wybuchowych, oraz szef misji, który miał się zjawić później.

Przed południem zadzwonił telefon satelitarny Lamponga. Rozmowa była krótka i ostrożna, ale wystarczyła. „Hrabina Richmond” wyszła z Kota Kinabalu i była na pełnym morzu. Mniej więcej o zachodzie słońca miała przechodzić między wyspami Tawitawi i Jolo. Motorówkom mającym ją przechwycić zostały jeszcze cztery godziny do wypłynięcia. Sulajman i Martin zrzucili zachodnie ubrania i włożyli spodnie, miejscowe kwieciste koszule oraz sandały, które dla nich przygotowano. Mogli zejść po trapie do płytkiej wody w rzeczce, żeby umyć się przed modlitwą i obiadem składającym się z ryby i ryżu.

Martin bardzo niewiele rozumiał z tego, co mówiono, mógł więc tylko obserwować i czekać.



Dwaj nurkowie mogli się uważać za szczęściarzy. Większość pasażerów samolotu pochodziła z Malezji, została więc skierowana do kontroli paszportowej dla obcokrajowców; garstka Brytyjczyków mogła dzięki temu szybciej przejść. Dotarli do pasa bagażowego jedni z pierwszych, chwycili walizki i ruszyli w stronę bramki dla tych, którzy nie mają nic do oclenia.

Może sprawiły to ogolone głowy, może kilkudniowy zarost, a może umięśnione ramiona wystające z krótkich rękawów kwiecistych koszul; tak czy inaczej któryś z celników skinął na dwóch pasażerów.

- Czy mógłbym zobaczyć panów paszporty? Czysta formalność; paszporty były w porządku.
- Skąd panowie przybywają?
- Z Malezji.
- Cel podróży?

Jeden z młodych mężczyzn wskazał torby ze sprzętem do nurkowania. Wyraz jego twarzy świadczył, że uznał pytanie za głupie, bo na torbie widniało logo słynnej firmy produkującej tego rodzaju sprzęt. Nigdy nie należy jednak kpić z celnika. Jego twarz pozostała niewzruszona, ale w

trakcie długiej kariery służbowej mężczyzna przechwycił mnóstwo egzotycznych narkotyków przywożonych ze Wschodu, zarówno tych do palenia, jak i wstrzykiwania. Wskazał jedną z toreb.

W środku nie było nic oprócz kombinezonu i butli. Zasuważąc zamek, celnik wsunął palce do bocznych kieszonek. Z jednej z nich wyciągnął zwiniętą kartkę, spojrzął na nią i przeczytał.

- Skąd to się wzięło?

Nurek okazał niekłamane zdziwienie.

- Nie mam pojęcia. Nigdy tego nie widziałem.

Stojący kilka metrów dalej drugi celnik wyczuł napięcie pod grzecznymi formułkami i zbliżył się.

- Proszę tu zostać - polecił pierwszy urzędnik i zniknął za znajdującymi się za nim drzwiami. Liczne lustra w punktach kontroli celnej nie służą do tego, by celniczki mogły sobie poprawiać makijaż. Są to półprzezroczyste szyby, za którymi stoją członkowie jednostki specjalnej Met.

Kilka minut później obaj nurkowie z bagażami siedzieli w osobnych pomieszczeniach. Celnicy oglądali po kolei każdą maskę, każdą płetwę i koszulę. Nie znaleźli nic nielegalnego.

Mężczyzna w cywilnym ubraniu przyglądał się rozwiniętej kartce.

- Ktoś musiał ją tam włożyć, nie ja - zapewniał nurek.

Była dziewiąta trzydzieści. Steve Hill siedział przy swoim biurku w Vauxhall Cross, gdy zadzwonił jego prywatny zastrzeżony telefon.

- Z kim mówię? - spytał głos. Hill się najeżył.

- To ja powinienem zadać to pytanie. Chyba pomylił pan numery.

Oficer Met przeczytał wcześniej wiadomość zapisaną na kartce wsuniętej do kieszonki torby nurka. Uwierzył w jego wyjaśnienia, zatem...

- Dzwonię z Heathrow, z terminalu numer trzy. Sekcja bezpieczeństwa wewnętrznego. Zatrzymaliśmy pasażera wracającego z Dalekiego Wschodu. W kieszonce jego torby ze sprzętem do nurkowania znajdowała się zapisana ręcznie karteczka. Czy mówi panu coś słowo Łom?

Steve Hill poczuł się tak, jakby dostał pięścią w brzuch.

To nie była pomyłka. Przedstawił się służbowo, poprosił, żeby mężczyzn zatrzymano na lotnisku, i powiedział, że już tam jedzie. Pięć minut później jego samochód wystrzelił z podziemnego garażu, przemknął przez most Vauxhall i wjechał na Cromwell Road prowadzącą do Heathrow.

Nurkowie mieli pecha, bo stracili cały ranek, lecz po godzinnym przesłuchaniu Steve Hill

upewnił się, że są niewinnymi głupkami. Zamówił dla nich śniadanie z dodatkami z kantyny dla personelu i poprosił, żeby spróbowali sobie przypomnieć, skąd wzięła się kartka w bocznej kieszonce.

Mężczyźni wymienili wszystkich, których spotkali od chwili spakowania walizek. Wreszcie jeden rzekł:

- Mark, pamiętasz tego gościa wyglądającego jak Arab, który pomógł nam wyjmować bagaże na lotnisku?

- O kim pan mówi? - zapytał Hill.

Nurkowie możliwie najdokładniej opisali mężczyznę. Krótko obcięte czarne włosy i czarna broda. Ciemne oczy, oliwkowa skóra. Mniej więcej czterdzieści pięć lat, wysportowany. Ubrany w ciemny garnitur. Hill słyszał zeznania fryzjera i marynarza z Ra's al - Chajmy. Operacja Łom. Podziękował serdecznie nurkom i poprosił, żeby szofer odwiózł ich do domu w Essex.

Dzwoniąc do Gordona Phillipa w Edzell i Marka Gumienny'ego, który jadł właśnie śniadanie w Waszyngtonie, mógł im odczytać wiadomość. Była prosta: JEŚLI KOCHASZ OJCZYZNĘ, WRÓĆ DO DOMU I ZADZWOŃ POD XXXXXXXXXX. PRZEKAŻ TYLKO, ŻE ŁOM MÓWI, ŻE TO BĘDZIE JAKIŚ STATEK.

- Czas zakasać rękawy - oznajmił zespołowi w Edzell. - Przeczესujemy morza całego świata. Szukamy zaginionego statku.



Podobnie jak kapitan Herrmann z „Gwiazdy Jawy”, Liam McKendrick postanowił poprowadzić statek osobiście wokół rozmaitych cypli, i przekazać ster dopiero po przejściu przez cieśninę między wyspami Tawitawi i Jolo. Przed nim rozpościerały się wielkie przestrzenie morza Celebes; skierował statek prosto na południe ku cieśninie Makasar.

Załoga składała się z sześciu osób: pięciu Hindusów z Kerali, chrześcijan, lojalnych i sprawnych, oraz pierwszego oficera z Gibraltaru. Kapitan oddał ster w jego ręce i zszedł pod pokład, kiedy od strony rufy nadpłynęły motorówki. Załoga nie miała szans, tak jak przedtem załoga „Gwiazdy Jawy”. Dziesięciu bandytów wspięło się błyskawicznie po barierce i popędziło w stronę mostka. Lampong, dowodzący porwaniem, poruszał się nieśpiesznie.

Tym razem nie było potrzeby zastraszania i wydawania poleceń. „Hrabina Richmond” miała zniknąć na zawsze wraz z całą załogą. Cenny ładunek, który ją tam zwabił, pójdzie w całości na straty; szkoda, ale nic nie można było na to poradzić.

Załogę ustawiono przy relingu i rozstrzelano. Ciało marynarzy drgały konwulsyjnie, jakby protestując przeciw niesprawiedliwości, a potem runęły do wody. Nie było nawet potrzeby obciążać ich balastem. Lampong znał dobrze zwyczaje miejscowych rekinów.

Liam McKendrick wylał swoją wściekłość na morderców, nazwał Lamponga pogańską świnią. Muzułmańskiemu fanatykowi nie spodobało się to, że przezwano go świnią. Kazał podziurawić liverpoolczyka kulami, ale nie zabić. Kapitan wpadł do wody jeszcze żywy.

Piraci z Abu Sajjaf zatopili wiele statków, wiedzieli więc doskonale, gdzie szukać zaworów dennych. Kiedy przestrzeń nad kilsonem zaczęła napelniać się wodą, odpłynęli od „Hrabiny” na kilka kabli i poczekali, aż dziób wzniesie się nad wodę i statek pograży się w toni morza Celebes. Wtedy zawrócili i pomknęli do kryjówki.



Ktoś w domu nad filipińską rzeczulką odebrał telefon satelitarny od przebywającego na morzu Lamponga, który podał godzinę wypłynięcia. Załoga zeszła gęsiego do motorówki przycumowanej u podnóża schodów. Martin zauważył, że ci, którzy zostawali, nie okazywali ulgi, lecz głęboką zazdrość.

Jako komandos sił specjalnych nigdy nie spotkał się z zamachowcem - samobójcą przed atakiem. Teraz był wśród nich, stał się jednym z nich.

W zamku Forbes bardzo dużo czytał o stanie umysłu takich ludzi, o ich stuprocentowym przekonaniu, iż działają w świętej sprawie, że sam Allah im błogosławi, że mają zagwarantowany wstęp do raju; wszystko to miało dla nich znacznie większą wagę niż resztki umiłowania życia.

Uświadomił sobie wtedy także to, że aby stać się *shahidem*, ócz miłości do Allaha konieczna jest przeogromna dawka nienawiści. Nie wystarczy jedno albo drugie.

Taka nienawiść musi być niczym kwas zżerający duszę i właśnie ona go w tej chwili otaczała.

Dostrzegał ją w twarzach piratów z Abu Sajjaf, którzy z radością wykorzystywali każdą szansę zabicia cudzoziemca z Zachodu; wyczuwał ją w sercach Arabów modlących się o to, by zabrać ze sobą w zaświaty jak najwięcej chrześcijan, żydów i ateistów lub nie dość mocno wierzących muzułmanów; najwięcej tej nienawiści ujrzał w oczach Al - Chattaba i Lamponga, którzy świadomie się kalali, by przeniknąć niepostrzeżenie między wrogów.

Łódź przesuwiała się powoli, dżungla otaczała ich z obu stron i z góry, a Martin spoglądał na swoich towarzyszy. Połączyła ich nienawiść oraz fanatyzm. Uważali się za bardziej błogosławionych niż wszyscy inni prawdziwi wierni na świecie.

Był przekonany, że podobnie jak on nie mają pojęcia, w jaki sposób złożą swoje życie w ofierze, dokąd płyną i jaki cel zaatakują.

Wiedzieli tylko tyle, że ponieważ zaofiarowali swoje życie, zostali zaakceptowani i starannie wybrani, zadadzą Wielkiemu Szatanowi cios tak dotkliwy, iż będzie się o nich mówiło przez setki lat. Podobnie jak sam Prorok przed wiekami, wybierali się w wielką podróż do nieba, podróż zwaną Al - Isra.

Rzeczka się rozwidłała. Motorówka skręciła w szersze odgałęzienie i po chwili za zakrętem ukazała się przycumowana jednostka. Stała przodem do ujścia rzeki, gotowa do wypłynięcia. Ładunek statku najwyraźniej znajdował się w sześciu kontenerach na przedniej części pokładu. Statek nazywał się „Hrabina Richmond”.

Przez chwilę Martinowi zaświtała myśl, by skoczyć otaczającą dżunglę. Spędził całe tygodnie w takim lesie w Belize; przeszedł tam szkolenie SAS w warunkach tropikalnych. Jednak momentalnie zdał sobie sprawę, że to beznadziejne. Nie uszedłby kilometra bez kompasu ani maczety, grupa pościgowa dopadłaby go w ciągu godziny. Później nastąpiłaby wielodniowa niewyobrazalna męczarnia, gdy terroryści wydobywaliby z niego szczegóły misji. To nie miało sensu. Musi poczekać na lepszą okazję, jeśli taka w ogóle się nadarzy.

Jeden po drugim wspinali się na pokład frachtowca: inżynier, nawigator i radiowiec - Indonezyjczycy; chemik i fotograf, obaj Arabowie; Pakistańczyk z Wielkiej Brytanii, z północnym akcentem, potrzebny na wypadek, gdyby ktoś chciał rozmawiać z „Hrabiną” przez radio; oraz Afgańczyk, którego można było nauczyć trzymać ster. W Forbes Mike godzinami oglądał twarze terrorystów z całego świata, lecz nie widział żadnego z tych ludzi. Gdy stanął na pokładzie, ujrzał tam dowódcę, tego, który miał poprowadzić całą grupę na spotkanie wiecznej chwały. Rozpoznał go. W galerii łotrów, którą zaprezentowano mu na zamku Forbes, znalazło się zasłużone miejsce dla podobizny Jusufa Ibrahima, zastępcy i prawej ręki Az - - Zarkawiego.

Twarz należała do terrorystów z „pierwszego szeregu”. Mężczyzna był niski i przysadzisty, a jego lewa ręka zwisała bezwładnie u boku. Walczył z Rosjanami w Afganistanie; kilkanaście odłamków utkwilo mu w ręce. Jusuf Ibrahim nie kazał amputować jej w całości, wołał, żeby wisiała bezużyteczna.

Krążyły pogłoski, że Ibrahim wówczas zginął. Okazały się nieprawdziwe. W jaskini go połatano, a potem przesznurowano do Pakistanu, gdzie przeszedł bardziej skomplikowaną operację. Po ewakuacji Rosjan ulotnił się.

Człowiek z uschniętą ręką pojawił się znowu po inwazji sił koalicyjnych na Irak w dwa tysiące trzecim roku; do tego czasu był szefem bezpieczeństwa w jednym z obozów Al - Kaidy w Afganistanie w czasie rządów talibów.

Serce Mike'a Martina zamarło na chwilę, bo tamten mógł znać Ismata Chana z okresu walk w Afganistanie i teraz mógłby nabrać ochoty na wspominki. Jednak dowódca grupy tylko patrzył na niego czarnymi jak węgiel oczyma bez wyrazu.

Ten człowiek przez dwadzieścia lat z lubością trudnił się zabijaniem. W Iraku jako zaufany Musaby az - Zarkawiego odcinał ludziom głowy przed kamerą. Sprawiało mu przyjemność słuchanie, jak błagają o litość i krzyczą. Martin wpatrzył się w puste, obłąkane oczy i przywitał go zgodnie ze zwyczajem. Pokój z tobą, Jusufie Ibrahimie, rzeźniku z Karbali.

ROZDZIAŁ 14

Statek, który niegdyś nosił nazwę „Gwiazdy Jawy” wypłynął z ukrytej filipińskiej rzeczulki dwanaście godzin po zatonięciu „Hrabiny Richmond”. Pokonał zatokę Moro i szedł na morze Celebes kursem południowo południowo - - zachodnim, by znaleźć się na trasie, którą „Hrabina” przepłynęłaby cieśninę Makasar.

Ster trzymał indonezyjski sternik, lecz obok stali Brytyjczyk pakistańskiego pochodzenia oraz Afgańczyk, któremu ten pierwszy pokazywał, jak utrzymywać kurs na morzu.

Agencje antyterrorystyczne z całego świata wielokrotnie miały do czynienia z sytuacją, gdy porwany na tych wodach statek handlowy, którego załoga siedziała pod pokładem, skrzepowana łańcuchami, krążył przez kilka godzin w koło i wreszcie zostawał porzucony.

Powód był prosty. Tak jak porywacze, którzy uprowadzili samoloty jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku, nauczyli się latać w amerykańskich szkołach lotniczych, tak piraci na Dalekim Wschodzie uczyli się dużymi jednostkami na morzu. Indonezyjczyk przy sterze „Hrabiny” był właśnie jednym z nich.

Inżynier siedzący pod pokładem rzeczywiście był inżynierem pływającym na statku porwanym przez Abu Sajjaf. Nie chcąc zginąć, zgodził się przyłączyć do terrorystów i został jednym z nich.

Trzeci z Indonezyjczyków nauczył się procedur prowadzenia rozmów radiowych z brzegiem w czasie pracy w kapitanacie portu handlowego na północnym Borneo; później został fundamentalistą i przyjęto go do Dżami'at - e Islami. Brał udział w akcji podkładania bomb w dyskotekach na wyspie Bali.

Tylko tych trzech z ośmioosobowej załogi musiało znać się na statkach. Arabski chemik miał się zająć zdetonowaniem ładunku, Sulajman miał zarejestrować obrazy, które wstrząsną całym światem, młody Pakistańczyk miał w razie potrzeby naśladować głos kapitana McKendricka, który też pochodził z północnej części Anglii. Afgańczyk zaś miał zmieniać sternika za kołem w czasie wielodniowego rejsu.



Pod koniec marca wiosna nawet nie tknęła łańcucha Gór Kaskadowych. Wciąż panował przejmujący ziąb, a śnieg zalegał grubą warstwą w lesie wokół Chatki.

W środku zaś było ciepło i przytulnie. Największym wrogiem, mimo całodobowej telewizji, filmów na DVD, muzyki i gier planszowych, pozostawała nuda. Strażnicy, podobnie jak samotni latarnicy, nie mieli wiele do roboty w ciągu półrocznej służby; była to dla nich trudna próba.

Mogli jednak jeździć na nartach albo poczłapać w raketach po śniegu, żeby utrzymać kondycję i wyrwać się z bunkra, jadalni i sali gier. Więzień takich rozrywek nie miał, dlatego było mu nieporównanie trudniej.

Ismat Chan słyszał, jak przewodniczący składu sędziowskiego w Guantanamo ogłaszał, że jest wolny; był przekonany, że w więzieniu Pul - i Charki nie posiedzi dłużej niż rok. Kiedy przywieziono go na to pustkowie, w którym, jak mógł przypuszczać, pozostanie na zawsze, ciężko mu było powstrzymać ryk wściekłości.

Wkładał więc pikowaną kurtkę, którą mu wydali, wychodził na zewnątrz i maszerował w jedną i w drugą stronę wewnątrz muru. Dziesięć kroków długości, pięć kroków szerokości. Mógł to robić z zamkniętymi oczyma i nigdy nie wpaść na Keton. Jediną odmianę stanowiło to, co działo się na niebie.

Przeważnie wisiały na nim ciężkie, szaroolowiane chmury, z których sypał śnieg. Ale wcześniej, w okresie, gdy chrześcijanie stroją drzewka i śpiewają piosenki, niebo bywało piękne, błękitne.

Widywał orły i krążące w górze kruki. Mniejsze ptaki siadały na szczycie muru i spoglądały na niego z góry, być może zastanawiając się, czemu nie może razem z nimi cieszyć się wolnością. Jednak najbardziej lubił obserwować samoloty.

Wiedział, że niektóre z nich to maszyny bojowe, choć nigdy nie słyszał o Górach Kaskadowych ani o bazie lotniczej McChord leżącej osiemdziesiąt kilometrów dalej na zachód. Widywał jednak amerykańskie samoloty w czasie nalotów nad północnym Afganistanem i był pewien, że te są takie same.

Były też wielkie samoloty pasażerskie. Miały różne barwy i znaki na płatach sterowych, lecz Ismat Chan wiedział, że nie są to oznaczenia narodowe, tylko symbole linii lotniczych. Nie dotyczyło to liścia klonowego. Niektóre miały go na sterach, zawsze się wznosiły i zawsze nadlatywały z północy.

Łatwo było odgadnąć, gdzie jest północ; na zachodzie widział znikające za horyzontem słońce, a modlił się zwrócony ku Mekce daleko na wschodzie. Podejrzewał, że znajduje się w Stanach Zjednoczonych, bo strażnicy mówili wyraźnie po amerykańsku. Więc dlaczego samoloty z innym godłem nadlatywały z północy? Powód mógł być tylko taki, że gdzieś na północy znajdował się inny kraj, w którym ludzie składali ręce przed czerwonym liściem na białym tle. Ismat Chan chodził więc w jedną i w drugą stronę, myśląc o kraju czerwonego liścia. Samoloty, które oglądał, należały do linii Air Canada i startowały z lotniska w Vancouverze.



W podejrzanym speluncie w Port of Spain na Trynidadzie miejscowa szajka napadła dwóch marynarzy ze statków handlowych. Obaj zostali wprawnie zasztyletowani.

Kiedy na miejsce przybyła policja, świadkowie dostali amnezji i pamiętali tylko tyle, że napastników, którzy sprowokowali burdę, było pięciu, i że pochodzili z wyspy. Policja nie dowiedziała się niczego więcej i nikogo nie aresztowano.

Zabójcami były miejscowe szumowiny, niemające nic wspólnego z muzułmańskim

terroryzmem. Lecz tym, który im zapłacił, był jeden z szefów Dżamii al - Muslimin, zniejszej trynidadzkiej organizacji współpracującej z Al - Kaidą.

Mimo że w zachodnich mediach wciąż mówiono o niej mało, Dżamijja al - Muslimin od lat się powiększała, podobnie jak inne grupy terrorystyczne w basenie Morza Karaibskiego. W regionie uważanym za zdecydowanie chrześcijański islam powoli rósł w siłę wraz z napływem imigrantów z Bliskiego Wschodu, środkowej Azji i subkontynentu indyjskiego.

Pieniądze wypłacone przez Dżamijję al - Muslimin pochodziły z linii kredytowej otwartej przez nieżyjącego już Taufika al - Kura, a rozkaz wydał wysłannik doktora Al - Chattaba, wciąż przebywający na wyspie.

Nie próbowano nawet ukraść portfeli zabitych marynarzy, toteż policja t of Spain szybko ustaliła, że są obywatelami Wenezueli, którzy zeszli z pokładu wenezuelskiego statku stojącego wówczas w porcie.

Kapitan Pablo Montalban był zaszokowany i przygnębiony stratą członków załogi, lecz nie mógł zbyt długo stać na kotwicy.

Wysłaniem zwłok do Caracas zajęła się ambasada Wenezueli i konsul, a tymczasem kapitan Montalban zwrócił się do miejscowego agenta z prośbą o znalezienie zastępców zasztyletowanych marynarzy. Ten poszukał i przyprowadził dwóch grzecznych młodych Hindusów z Kerali, którzy pływali już po całym świecie i mimo że nie mieli dokumentów naturalizacyjnych, doskonale znali się na swoim fachu.

Zostali przyjęci i dołączyli do czterech innych marynarzy stanowiących załogę statku. „Dofia Maria” wypłynęła zaledwie z jednodniowym opóźnieniem.

Kapitan Montalban wiedział, że większość Hindusów wyznaje hinduizm, nie miał jednak pojęcia, że w Indiach mieszka również sto pięćdziesiąt milionów muzułmanów. Nie wiedział, że radykalizacja nastrojów wśród tamtejszych wyznawców Allaha postępuje równie szybko jak w Pakistanie, ani że Kerala, siedlisko komunizmu, okazała się szczególnie podatna na muzułmański terroryzm.

Dwaj nowi członkowie jego załogi faktycznie przyłynęli z Indii jako pomocnicy pokładowi, lecz uczynili to na czyjś rozkaz, by zdobyć doświadczenie. Wyznający katolicyzm Wenezuelczyk nie wiedział także tego, że choć żaden z nich nie zamierzał zginąć w samobójczym ataku, współpracują z Dżamijją al - Muslimin. Dwaj nieszczęśnicy zginęli w barze tylko po to, by ktoś mógł umieścić na statku dwóch hinduskich majtków.



Wysłuchawszy raportu z Dalekiego Wschodu, Marek Gumienny postanowił polecieć na drugą stronę Atlantyku. Zabrał ze sobą specjalistę z innej dziedziny.

- Arabiści spełnili już swoje zadanie, Steve - oznajmił Hillowi przed odlotem. - Teraz

potrzebujemy ludzi znających się na światowym handlu morskim.

Sprowadził pracownika sekcji handlu morskiego Amerykańskiego Urzędu Ceł i Ochrony Granic*(America's Bureau of Custom and Border Protection.). Steve Hill poleciał z Londynu na północ w towarzystwie kolegi z sekcji morskiej wydziału antyterrorystycznego SIS.

Chuck Hemingway z Nowego Jorku i Sam Seymour z Londynu spotkali się po raz pierwszy w Edzell, choć już śniej znali swoje nazwiska z raportów i odpraw w zachodnich strukturach antyterrorystycznych. Powiedziano im, że mają się gdzieś zaszyć i w ciągu dwunastu godzin przedstawić ocenę zagrożenia i plan przeciwdziałania. Kiedy Gumienny, Hill, Phillips i McDonald zebrali się na odprawie, Hemingway pierwszy zabrał głos:

- To nie jest polowanie, tylko szukanie igły w stogu siana. Wiemy jedynie, że poszukujemy czegoś, co pływa. Być może. Pozwolę sobie z grubsza nakreślić obraz. Na morzach i oceanach świata znajduje się obecnie czterdzieści sześć tysięcy jednostek handlowych. Połowa pływa pod tanimi banderami, które można zmienić prawie na skinienie kapitana. Sześć siódmych powierzchni globu zajmuje ocean, jest, to tak ogromna powierzchnia, że dosłownie tysiące statków przez cały czas przebywają poza polem widzenia z lądu albo z innej jednostki. Osiemdziesiąt procent światowego handlu wciąż jest prowadzone drogą morską, co oznacza niemal sześć miliardów ton towarów. Na świecie istnieją cztery tysiące działających portów handlowych.

Chcicie znaleźć statek, ale nie znacie jego typu, wielkości, tonażu, sylwetki, wieku, armatora, bandery, kapitana ani nazwy. Żeby wytropić taką jednostkę - nazywamy je statkami widmami - potrzeba czegoś więcej, albo piekielnego fartu. Możecie załatwić jedno lub drugie?

Zapadła przygnębiająca cisza.

- Cholernie podła sytuacja - przyznał Marek Gumienny. - Sam, możesz wskazać jakiś promyk nadziei?

- Doszliśmy z Chuckiem do wniosku, że może udałoby się zidentyfikować tę jednostkę, gdybyśmy ustalili, jaki cel obrali terroryści; później można byłoby sprawdzić każdy płynący do niego statek i pod groźbą pistoletu przystawionego do głowy zażądać inspekcji statku oraz ładunku - odparł Seymour.

- Słuchamy - rzekł Hill. - Jaki cel mogli wybrać?

- Nasze środowisko niepokoi się od lat i składa raporty. Oceany to plac zabaw terrorystów. To, że Al - Kaida przeprowadziła swój pierwszy wielki spektakularny atak z wykorzystaniem samolotów, było w istocie nielogiczne. Liczyli tylko na to, że uda im się zniszczyć cztery piętra wież World Trade Center, i mieli niewiarygodne szczęście. A tymczasem morze cały czas na nich czekało.

- Bezpieczeństwo portów i przystani zostało bardzo wzmocnione - warknął Marek Gumienny. - Wiem, bo widziałem budżety.

- Ale niewystarczająco. Porywanie statków na wodach wokół Indonezji nasila się stale od

początku nowego milenium. Niektórych uprowadzić dokonano po prostu po to, by napełnić kiesę terrorystów. Innych incydentów nie można logicznie wytłumaczyć.

- Na przykład?

- Piraci porwali dziesięć holowników, niektórych nie udało się odzyskać. Nie mają wartości rynkowej, bo dość łatwo je rozpoznać i trudno zamaskować. Po co je ukradziono? Uważamy, że terroryści mogą je wykorzystać do wprowadzenia przechwyconego supertankowca do ruchliwego międzynarodowego portu, takiego jak Singapur.

- I wysadzić w powietrze? - spytał Hill.

- Niekoniecznie. Wystarczyłoby zatopić statek z otwartymi lukami. Port musiałby zostać zamknięty na dziesięć lat.

- Dobrze - odezwał się Marek Gumienny. - Mamy więc możliwy cel numer jeden. Terroryści mogliby przejąć supertankowiec i wykorzystać go do sparaliżowania portu handlowego. Tak miałyby wyglądać spektakularny atak? Nie brzmi to imponująco, dotknięty zostałby tylko port... Nie byłoby ofiar.

- Tak się tylko wydaje - zauważył Chuck Hemingway. - Blokując port ogromnym statkiem, terroryści zadaliby gigantyczny cios gospodarce światowej. W październiku dwa tysiące czwartego roku Bin Laden wygłosił nagrane na wideo oświadczenie, że teraz weźmie na cel właśnie gospodarkę. W galeriach handlowych i stacjach benzynowych nikt nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo światowy handel jest uzależniony od dostaw terminowych. Nikt już nie chce przechowywać towarów. Wyprodukowana w Chinach koszulka, którą w poniedziałek sprzedaje się w Dallas, prawdopodobnie dotarła do portu w poprzedni piątek. To samo dotyczy benzyny. A Kanał Panamski? Albo Sueski? Wystarczyłoby je zablokować i całą światową gospodarkę ogarnąłby chaos. Mówimy o stratach rzędu setek miliardów dolarów. Istnieje dziesięć innych wąskich i bardzo ważnych cieśnin, które musiałyby zostać zamknięte, gdyby zatopiono w nich w poprzek wielki frachtowiec lub tankowiec.

- No dobrze - zaczął Marek Gumienny. - Ja odpowiadam przed prezydentem i pięcioma innymi bardzo ważnymi ludźmi. Ty, Steve, podlegasz premierowi. Nie możemy tak po prostu siedzieć beczynnie, gdy dostaliśmy informację od naszego człowieka. Nie możemy też się rozplakać. Musimy zaproponować coś konkretnego. Trzeba być aktywnym, pokazać, że coś się robi. Sporządźcie listę prawdopodobnych celów i wskażcie środki zaradcze. Do jasnej cholery, nie jesteśmy pozbawieni możliwości obrony.

Chuck Hemingway przedstawił raport, który opracowali wspólnie z Seymourem.

- Uważamy, że pierwsza możliwość jest taka, że terroryści przejmą bardzo duży statek - tankowiec, frachtowiec albo jednostkę do przewozu rudy - i zatopią ją w wąskim morskim gardle. Środki zaradcze? Sporządzić listę takich wąskich gardeł i postawić okręty wojenne po obu stronach. Każdą wchodzącą do cieśniny jednostkę kontrolowałyby marines.

- Jezu Chryste - westchnął Steve Hill - to by wywołało chaos. Powiedziano by, że postępujemy jak piraci. A kraje, na których wodach terytorialnych znajdują się te cieśniny? Czy one nie mają nic do powiedzenia?

- Gdyby terrorystom się powiodło, te państwa przeżyłyby straszny kryzys gospodarczy. Piechota morska może wkroczyć na pokład frachtowca płynącego z pełną prędkością, nie powodowałyby to opóźnień. A prawda jest taka, że terroryści nie mogą wpuścić żołnierzy na pokład. Musieliby odpowiedzieć ogniem, zdradzając się przedwcześnie. Myślę, że armatorzy statków podzieliliby nasz punkt widzenia.

- Drugi możliwy scenariusz? - spytał Steve Hill.

- Wprowadzenie statku widma, załadowanego materiałami wybuchowymi, na ważny obiekt na morzu, taki jak morska wyspa z rurociągami naftowymi albo platforma wiertnicza, i zdetonowanie go. Spowodowałyby to niesłychaną katastrofę ekologiczną i ekonomiczną na całe lata. Saddam Husajn postąpił tak w Kuwejcie, podpalając wszystkie szyby naftowe tuż przed wkroczeniem sił koalicyjnych i zostawiając za sobą spaloną ziemię. Przeciwdziałanie: takie samo. Rozpoznać i przechwycić każdą jednostkę zbliżającą się do obiektu. Przeprowadzić identyfikację poza dziesięciomilowym kordonem sanitarnym.

- Nie mamy wystarczającej liczby okrętów, żeby zabezpieczyć każdą sztuczną wyspę, każdą nadbrzeżną rafinerię, każdą platformę wiertniczą - zauważył Steve Hill.

- Dlatego państwowi właściciele muszą wziąć na siebie część kosztów. Zresztą nie trzeba wykorzystywać wyłącznie okrętów wojennych. Jeśli ktoś zacznie strzelać do jednostki przeprowadzającej kontrolę, ujawni się i zatopimy go z powietrza.

Marek Gumienny przesunął dłonią po czole.

- Coś jeszcze?

- Istnieje trzeci możliwy scenariusz: wykorzystanie środków wybuchowych do spowodowania ogromnych strat w ludziach - odparł Seymour. - Wówczas celem mógłby być zatłoczony nadmorski ośrodek turystyczny. To przerażająca perspektywa, przywodzi na myśl wybuch statku pełnego amunicji w Halifaksie w Nowej Szkocji w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku w samym środku wewnętrznej przystani. Eksplozja zmiotła miasto z mapy i wciąż pozostaje największą w historii, poza wybuchami bomb atomowych.

- Muszę złożyć raport, Steve, i nie będzie to przyjemne - oznajmił Gumienny, żegnając się z Hillem na lotnisku. - Jeśli podejmiemy kroki zapobiegawcze, a trzeba to zrobić, nie uda się ukryć tego przed mediami. Możemy wymyślić najlepszą przykrywkę, żeby odwrócić uwagę terrorystów od pułkownika Martina. Mam dla niego ogromny szacunek, ale trzeba liczyć się z rzeczywistością. Możliwe, że trzeba będzie się z nim pożegnać.



Major Larry Duval wyrzwał z dyspozytorni lotów na oświetlony promieniami porannego arizońskiego słońca samolot F - 15 Strike Eagle. Latał wersją E od dziesięciu lat i uważał, że ten myśliwiec jest miłością jego życia.

Wcześniej latał między innymi na F - III Aardvark i F - G Wild Weasel; były to nie byle jakie maszyny i Larry uważał za zaszczyt, że dane mu było je pilotować, lecz po dwudziestu latach służby w amerykańskich siłach powietrznych był przekonany, że Orzeł jest najlepszy ze wszystkich.

Samolot, za którego sterami miał zasiąść, wystartować z bazy lotniczej Lukę i polecieć do stanu Waszyngton, wciąż stał nieruchomo wśród roju kobiet i mężczyzn w kombinezonach, krzątających się po całym jego solidnym kadłubie. Był niepodatny na miłość i pożądanie, nienawiść i strach. Larry Duval zazdrościł Orłowi; maszyna była piekielnie skomplikowana, ale niczego nie czuła. Strach był jej obcy.

Ta, którą miał polecieć w próbnym lot, trafiła do bazy Lukę do generalnego remontu i przeglądu naziemnego. Zgodnie z przepisami po spędzeniu tak długiego okresu w warsztacie należało przeprowadzić nią lot próbnym.

Stała teraz w jasnym wiosennym słońcu Arizony, długa na dziewiętnaście metrów dwadzieścia centymetrów i wysoka na pięć metrów czterdzieści dziewięć centymetrów, o rozpiętości skrzydeł dwanaście metrów i dziewiętnaście ów; jej podstawowa masa startowa wynosiła osiemnaście ton i sto czterdzieści cztery kilogramy, a maksymalna - trzydzieści sześć ton i siedemset czterdzieści jeden kilogramów. Larry Duval odwrócił się, słysząc, że do pomieszczenia wchodzi kapitan Nicky Johns, oficer odpowiedzialny za uzbrojenie. Wizzo, bo tak nazywa się go w żargonie lotniczym, siedzi w F - 15 za pilotem, otoczony awioniką wartą miliony dolarów. W czasie długiego lotu do bazy McChord Johns sprawdzi wszystkie systemy.

Otwarty wózek podjechał do okien, by przewieźć dwuosobową załogę do czekającego myśliwca. Przez dziesięć minut będą sprawdzać wszystkie urządzenia, mimo że prawdopodobieństwo, by obsługa naziemna coś przeoczyła, było niesłychanie małe.

Znalazłszy się w kabinie, zapięli pasy i skinęli technikom, którzy zeszli na ziemię i oddalili się od maszyny.

Larry Duval uruchomił dwa potężne silniki F - 100, kabina zamknęła się z sykiem i Orzeł zaczął powoli kołować. Skierował się pod lekki wiatr wiejący na pasie startowym; dano znak pozwolenia na start i pilot przeprowadził ostatnią próbę hamulców. Potem z dysz wystrzeliły dwa bliźniacze osiemnastometrowe płomienie z dopalaczy, gdy major Duval włączył pełną moc silników.

Półtora kilometra dalej przy prędkości stu osiemdziesięciu pięciu węzłów koła oderwały się od asfaltu i Orzeł wzbił się w powietrze. Podwozie schowało się, lotki uniosły, a paliwożerne dopalacze zostały wyłączone. Duval ustawił prędkość wspinania na tysiąc pięćset metrów na minutę, a wizzo podał mu współrzędne punktu docelowego. Na wysokości czterech i pół tysiąca metrów Orzeł ównął lot i mknął na północny zachód w stronę Seattle. W dole bieleły się ośnieżone Góry Skaliste i ich widok miał towarzyszyć załodze do końca lotu.



W brytyjskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych prawie zakończyło się ustalanie ostatnich szczegółów przewozu członków rządu oraz doradców do miejsca, w którym miał się odbyć kwietniowy szczyt G8. Cała delegacja poleci wyczarterowanym samolotem z Heathrow na lotnisko Kennedy'ego w Nowym Jorku, gdzie przywita ją amerykański sekretarz stanu.

Delegacje pozostałych sześciu krajów miały przylecieć z sześciu stolic na to samo lotnisko.

Wszystkie delegacje pozostaną na lotnisku po stronie przylotów, półtora kilometra od demonstrantów zebranych poza ogrodzeniem lotniska. Prezydent nie życzył sobie, by ci, których nazywał „szalonymi pajacykami”, obrzucali jego gości obelgami albo w jakikolwiek sposób nękali. Nie zamierzano pozwolić na powtórkę wydarzeń z Seattle lub Genewy.

Z lotniska Kennedy'ego śmigłowce miały przewieźć delegatów do drugiego całkowicie odizolowanego punktu. Stamtąd spacerem mogli przejść do miejsca, w którym miała się odbyć pięciodniowa konferencja. Zewsząd będzie ich otaczał luksus i spokój. Plan był prosty i perfekcyjny.

- Jak dotąd nikt na to nie wpadł, a to przecież idealne rozwiązanie - zachwycił się jeden z brytyjskich dyplomatów. - Może sami powinniśmy je kiedyś zastosować.

- Jeszcze lepsze jest to, że po Gleneagles nie będziemy musieli tego robić przez lata - mruknął starszy i bardziej doświadczony kolega. - Niech inni się głowią, jak zapewnić wszystkim delegatom bezpieczeństwo.



Nie upłynęło wiele czasu i Marek Gumienny znów spotkał się ze Steve'em Hillem. Dyrektor jego agencji towarzyszył mu w drodze do Białego Domu, gdzie Gumienny wyjaśnił swoim sześciu zwierzchnikom, co udało się wywnioskować z osobliwej wiadomości przysłanej z zapomnianej przez Boga wysepki Labuan.

- Powiedzieli mniej więcej to samo co przedtem - podsumował Gumienny. - Znajdźcie to i zniszczcie, cokolwiek to jest i gdziekolwiek się znajduje.

- To samo usłyszałem od swojego rządu - odparł Steve Hill. - Żadnych ograniczeń, zniszczyć po nawiązaniu kontaktu wzrokowego. Chcą, żebyśmy współpracowali przy tej akcji.

- Świetnie. Steve, muszę ci powiedzieć, że moi ludzie są przekonani, iż prawdopodobnym celem są Stany Zjednoczone, więc ochrona naszych granic morskich staje się ważniejsza od wszystkiego: Bliskiego Wschodu, Azji, Europy. Mamy całkowity priorytet dostępu do wszystkich naszych środków: satelitów, okrętów i tak dalej. Jeśli zlokalizujemy statek widmo z dala od naszych brzegów, wykorzystamy odpowiednie środki, by go zatopić.

Dyrektor John Negroponte upoważnił podwładnych, by przekazywali swoim brytyjskim partnerom poufne informacje o tym, jakich środków zamierzają użyć Amerykanie.

Strategia obronna miała się składać z trzech etapów: obserwacji z powietrza, rozpoznania statku i skontrolowania go. Każda niesatysfakcjonująca odpowiedź lub niewyjaśnione zбочenie z kursu miało skutkować zajęciem jednostki. Próba oporu oznaczała natychmiastowe zniszczenie statku.

Wokół wyspy Labuan zakreślono okrąg o promieniu trzystu mil morskich. Od północnej części okręgu przeprowadzono linię biegnącą przez Pacyfik do Anchorage na południowym wybrzeżu Alaski. Druga linia prowadziła od południowego łuku na południowy wschód do wybrzeży Ekwadoru.

Większa część zakreślonego obszaru znajdowała się na Oceanie Spokojnym. Obejmował on zachodnie wybrzeże Kanady, Stanów Zjednoczonych i Meksyku aż po Ekwador; znalazł się w nim między innymi Kanał Panamski.

W Białym Domu stwierdzono, że na razie nie ma potrzeby informować społeczeństwa o akcji, lecz postanowiono monitorować każdy statek w tym trójkącie idący na wschód w stronę amerykańskich wybrzeży. Wszystkie jednostki opuszczające trójkąt lub kierujące się do Azji miały być zostawione w spokoju. Pozostałe miano zidentyfikować i skontrolować.

Dzięki długotrwałym naciskom ze strony garstki ludzi, którym często przyczepiano etykiety nadgorliwców, istniała pewna procedura sprzyjająca poszukiwaniom. Najważniejsi armatorzy handlowi uzgodnili, że rutynowo będą rejestrować cele rejsu jednostek, tak jak to czynią linie lotnicze. Siedemdziesiąt procent jednostek w strefie przeznaczony do sprawdzenia znajdzie się w rejestrze, a ich armatorzy będą mogli nawiązać kontakt z kapitanami. Zgodnie z nowymi zasadami kapitan, jeśli jest bezpieczny w czasie rozmowy, ma użyć pewnego słowa znanego wyłącznie armatorowi. Nieużycie go może oznaczać, że kapitan jest szantażowany.

Upłynęły siedemdziesiąt dwie godziny od narady w Białym Domu do chwili, gdy pierwszy satelita KH - 11 Key - hole wszedł na właściwą orbitę i zaczął robić zdjęcia morza wokół Indonezji. Jego komputery sterujące otrzymały polecenie fotografowania wszystkich statków handlowych w promieniu trzystu mil od wyspy Labuan. Komputery wykonują polecenia, więc natychmiast zaczęły robić zdjęcia. Idąca na południe przez cieśninę Makasar „Hrabina Richmond” znajdowała się trzysta dziesięć mil na południe od Labuanu, dlatego nie została sfotografowana.

Ostrzeżenia sformułowane w Edzell zostały poddane w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych dalszej szczegółowej analizie, lecz wnioski zyskały ogólne poparcie.

Prezydent i premier przeprowadzili przez gorącą linię długą osobistą rozmowę, w czasie której podjęto decyzję o ochronie dwóch bardzo ważnych przesmyków na wschód od Malty. Uzgodniono, że Royal Navy we współpracy z Egipcjanami będzie monitorować południowe ujście Kanału Sueskiego i przechwytywać wszystkie jednostki płynące z Azji, oprócz najmniejszych.

Okręty US Navy w Zatoce Perskiej, na Morzu Arabskim i Oceanie Indyjskim miały patrolować cieśninę Ormuz. Tam zagrożenie stanowiły wyłącznie olbrzymie jednostki mogące zatonać na głębinię pośrodku cieśniny. Pływały głównie supertankowce idące bez ładunku z południa, a następnie wracające przy głębokim zanurzeniu, wypełnione ropą zatankowaną przy jednej z kilkudziesięciu sztucznych wysp rozsianych wzdłuż wybrzeży Iranu, Kataru, Bahrajnu, Arabii

Saudyjskiej oraz Kuwejtu.

Pocieszające dla Amerykanów było to, że armatorów takich jednostek jest niewielu i są oni skłonni do współpracy, by uchronić się przed katastrofą, która mogłaby dotknąć ich wszystkich. Lądowanie śmigłowca Sea Stallion z oddziałem piechoty morskiej na pokładzie super tankowca zmierzającego w stronę cieśniny i błyskawiczna wizyta na mostku zajmowały niewiele czasu i ani trochę nie spowalniały ruchu jednostki.

W związku z zagrożeniami numer dwa i trzy rządy wszystkich państw europejskich zostały powiadomione o możliwości istnienia statku widma dowodzonego przez terrorystów. Ochrona Kopenhagi była sprawą Duńczyków, Szwecja miała zadbać o bezpieczeństwo Sztokholmu i Goteborga, Niemcy mieli pilnować dojścia do Hamburga i Kilonii, a Francję ostrzeżono, by chroniła Brest i Marsylię. Samoloty Royal Navy startowały z Gibraltaru, by patrolować Cieśninę Gibraltarską.



Major Duval wykonał Orłem wszystkie manewry, lecąc nad Górami Skalistymi. Samolot spisywał się doskonale. Tymczasem zmieniła się pogoda.

Niebo nad Arizoną było idealnie czyste, lecz dalej ukazały się pierzaste chmurki, które zgęstniały, gdy samolot opuścił Nevadę i znalazł się nad Oregonem. Gdy przeleciał nad rzeką Kolumbia i znalazł się w stanie , zalegała pod nim jednolita chmura zaczynająca się tuż nad wierzchołkami drzew i sięgająca do pułapu sześciu tysięcy metrów. Na wysokości dziewięciu tysięcy metrów wciąż było jasno, lecz zejście do lądowania wiązało się z długim lotem przez gęstą mgłę. Znalazłszy się trzysta dwadzieścia kilometrów od bazy McChord, pilot poprosił kontrolę naziemną o naprowadzenie do lądowania.

Kazano mu podejść od strony wschodniej, wykonać skręt nad Spokane i schodzić zgodnie z instrukcjami. Orzeł wchodził w lewy skręt, gdy klucz francuski - który miał się stać najbardziej kosztownym narzędziem w dziejach amerykańskich sił powietrznych - wysunął się spomiędzy dwóch przewodów hydraulicznych w prawym silniku, między którymi tkwił. Kiedy Orzeł wyrównał lot, klucz wpadł w turbowentylator.

Dał się słyszeć potężny łoskot z głębi silnika F - 100, gdy pióra kompresora, ostre jak nóż i wirujące z prędkością bliską prędkości dźwięku, zaczęły się odrywać. Każde oderwane pióro klinowało pozostałe. Odpowiedzią na krzyk Nicky'ego Johnsa: „Co to, kurwa, jest?” było zapalenie się jaskrawoczerwonej kontrolki.

Siedzący przed nim Larry Duval usłyszał, że jakiś głos w jego głowie ryczy: „Wyłącz silnik”.

Duval latał już tak długo, że jego palce robiły swoje niemal bezwiednie; teraz wyłączały wszystko po kolei: dopływ paliwa, obwody elektryczne, hydraulikę. Wewnętrzne gaśnice uruchomiły się automatycznie, ale za późno. Prawy silnik płonął i po chwili zaczął rozpadać się na kawałki; takie zdarzenia nazywa się katastrofalnymi awariami silnika.

Siedzący w drugim kokpicie wizzo wołał do bazy McChord:

- *Mayday, mayday, mayday*, prawy silnik płonie... Przerwał mu drugi ryk z tyłu. Silnik wciąż pracował, a jego fragmenty wdierały się przez ścianę do wewnętrznej komory. Zapaliły się kolejne czerwone światełka. Drugi silnik też stanął w ogniu. Przy ograniczonym dopływie paliwa, z jednym pracującym silnikiem Larry Duval sprowadziłby samolot na ziemię. Lecz jeśli oba silniki nie działają, współczesny myśliwiec nie leci lotem ślizgowym tak jak dawne samoloty, tylko spada niczym pocisk.

Kapitan Johns zeznał później przed komisją, że głos pilota pozostał spokojny. Wizzo przełączył radio na stałą transmisję, tak aby kontroler w bazie McChord cały czas słyszał, co się dzieje.

- Straciłem oba silniki - relacjonował major. - Przygotować się do katapultowania.

Wizzo spojrzął po raz ostatni na wskazania instrumentów. Wysokość siedem tysięcy dwieście metrów. Coraz bardziej strome nurkowanie. Na zewnątrz wciąż widać było świecące słońce, lecz chmury stawały się coraz gęstsze. Johns obejrzał się przez ramię. Orzeł płonął jak pochodnia na całej długości. Usłyszał spokojny głos pilota.

- Katapultowanie. Katapultowanie.

Obaj mężczyźni sięgnęli w dół do dźwigni obok foteli. Tylko tyle musieli zrobić. Nowoczesne katapulty są tak zautomatyzowane, że nawet jeśli lotnik jest nieprzytomny, zrobią za niego wszystko.

Ani Larry Duval, ani Nicky Johns nie widzieli śmierci swojego samolotu. Kilka sekund przed eksplozją ich ciała były wyrzucone przez strzaskaną owiewkę w mroźne powietrze. Fotele wciąż trzymały ich ręce i nogi, aby te nie oderwały się od ciał; chroniły także głowy pilotów przed zmiążdżeniem.

Oba spadające fotele ustabilizowały lot za pomocą małych spadochronów. Po chwili lotnicy zniknęli w chmurze. Mimo że mogli patrzeć przez szybki hełmów, widzieli tylko przemykającą wilgotną, szarą mgłę.

Czujniki foteli zarejestrowały zbliżanie się ziemi i uwolniły pasażerów. Pasy mocujące rozpięły się i dwaj mężczyźni, znajdujący się teraz w odległości półtora kilometra od siebie, wypadli z foteli, które runęły na ziemię.

Spadochrony lotników też były automatyczne. Najpierw uruchomiły się małe czasze stabilizujące pozycję, a później główne. Obaj mężczyźni poczuli szarpnięcie, gdy prędkość spadania zmniejszyła się z dwustu kilometrów na godzinę do około dwudziestu dwóch.

Intensywne zimno zaczęło przenikać przez podwójne kombinezony. Wydawało się, że lotnicy zawisli w niesamowitej, lepkiej szarej zawieszynie pomiędzy piekłem a niebem. Potem spadli między najwyższe gałęzie sosen i świerków.

W półmroku panującym pod chmurą major wylądował na niewielkiej polance; upadek złagodziły sprężyste gałązki drzew iglastych zalegające na ziemi. Przez kilka sekund był lekko

oszołomiony i brakowało mu tchu, lecz potem oprzytomniał, rozpiął uprząż spadochronu i wstał. Następnie zaczął nadawać przez radio, żeby ekipa ratunkowa mogła go namierzyć.

Nicky Johns nie spadł na polanę, tylko w korony drzew. Gdy uderzał nogami w gałęzie, otoczył go śnieg, który się z nich posypał. Czekał, aż dotknie nogami ziemi, to jednak nie nastąpiło, bo czasza spadochronu uwięzła w konarach. Było bardzo zimno. Johns widział ziemię w dole. Śnieg i igły, jakieś cztery i pół metra niżej, pomyślał. Wziął głęboki oddech, rozpiął kłamrę i runął.

Przy odrobinie szczęścia wylądowałby i wstał. Jednak jego lewa noga trafiła między dwa grube konary przysypane śniegiem i pękła mu kość poniżej kolana. Wiedział, że zimno i osłabienie po wstrząsie bezlitośnie wyczerpią jego zapas energii. Odpiął radio i zaczął nadawać.

Orzeł usiłował lecieć jeszcze przez kilka sekund po tym, jak załoga opuściła jego pokład. Poderwał nos do góry, przekoziołkował, przechylił się na bok i znów zaczął spadać. Wreszcie eksplodował, wchodząc w zwartą chmurę. Płomienie dotarły do zbiorników paliwa.

W tej samej chwili obydwie silniki wyrwały się z mocowań i odpadły. Potem obie pięciotonowe masy rozpalonego metalu runęły z prędkością pięciuset kilometrów na godzinę na znajdujące się sześć kilometrów niżej pustkowie w Górach Kaskadowych. Jedna zmiotła z powierzchni dwadzieścia drzew. Druga wyrządziła znacznie większe szkody.

Agent specjalny CIA dowodzący obsadą Chatki ocknął się dopiero po dwóch minutach i dźwignął z podłogi w pokoju, w którym jadł lunch. Był oszołomiony i odczuwał mdłości. W tumanie pyłu oparł się o ścianę z bali i zaczął wołać kolegów po imieniu. Odpowiedziały mu jęki. Przez dwadzieścia minut oceniał sytuację. Dwaj agenci grający w bilard w sali gier nie żyli; trzech pozostali odnieśli obrażenia. O szczęściu mogli mówić ci, którzy wybrali się na przechadzkę. Znajdowali się w odległości stu metrów, gdy meteor - tak wtedy uważali - uderzył w Chatkę. Stwierdziwszy, że z dwunastu agentów dwóch nie żyje, trzech potrzebuje hospitalizacji, dwóm nic się nie stało, a pozostałych pięciu jest w szoku, poszli sprawdzić, co się dzieje z więźniem.

Później zarzucono im brak refleksu, lecz w toku śledztwa stwierdzono, że słusznie postąpili, w pierwszej kolejności zajmując się sobą. Zajrzawszy przez judasza do pokoju Afgańczyka, zauważyli, że jest tam zbyt widno. Włamali się do środka i zobaczyli, że drzwi między pokojem a spacerniakiem są otwarte. Sam pokój, zbudowany ze wzmocnionego betonu, był nienaruszony.

Ściana zewnętrzna nie miała aż tyle szczęścia. Bez względu na to, z Czego była zrobiona, nie mogła się oprzeć sile pikującego silnika F - 100, który zrobił w niej półtorametrową wyrwę, a potem runął na kwaterę strażników. Afgańczyk zniknął.

ROZDZIAŁ 15

Amerykanie zaciskali wielką morską pętlę wokół Filipin, Borneo i wschodniej Indonezji, sięgającą przez Pacyfik do wybrzeży Stanów Zjednoczonych, a tymczasem „Hrabina Richmond” opuściła morze Flores, przeszła przez cieśninę Lombok pomiędzy Bali i Lombok, i wpłynęła na Ocean Indyjski. Następnie wzięła zachodni kurs na Afrykę.



Wołanie o pomoc z uszkodzonego Orła usłyszało co najmniej trzech ludzi. W bazie McChord nagrano je na taśmie, bo członkowie personelu rozmawiali z załogą samolotu. Stacja lotnicza floty na wyspie Whibbey, na północ od McChord, także prowadziła nasłuch na kanale 16., podobnie jak stacja Straży Wybrzeża w Bellingham. W ciągu kilku sekund po odebraniu sygnału personel obu jednostek zakomunikował, że rozpoczyna namierzanie pozycji lotników.

Czasy, gdy lotnicy po katastrofie samolotu kołysali się w wodzie w pontonie albo leżeli w lesie, czekając beczynn timer na to, że ktoś ich znajdzie, dawno minęły. Teraz załogi mają kamizelki ratunkowe z najnowocześniejszym sprzętem sygnalizacyjnym, małym, lecz dużej mocy, umożliwiającym komunikację głosową.

Sygnały zostały odebrane momentalnie i trzy stacje nasłuchowe namierzyły ich źródła z dokładnością do kilku metrów. Major Duval znajdował się w samym środku parku narodowego, a kapitan Johns wylądował na wyrębisku. Oba obszary były niedostępne z powodu zimy.

Warstwa chmur zaczynająca się bardzo nisko, tuż nad koronami drzew, nie pozwalała dotrzeć tam w najszybszy i najwygodniejszy sposób, czyli śmigłowcem. Zmuszała do skorzystania ze staroświeckiego sposobu. Pojazdami terenowymi lub śnieżnymi ratownicy podjadą jak najbliżej, a później będą musieli dotrzeć do lotników pieszo.

Teraz wrogiem pilotów było wyziębienie, a w przypadku Johnsa, który miał złamaną nogę, także osłabienie organizmu. Szeryf okręgu Whatcom zawiadomił przez radio, że jego zastępcy są gotowi do akcji i za pół godziny spotkają się w miasteczku Glacier na skraju lasu. Mieli najbliżej do poturbowanego Nicky'ego Johnsa. W okolicy Glacier mieszkało sporo drwali znających każdą dróżkę w lesie. Pozycję Johnsa podano z dokładnością do kilku metrów. Szeryf rozłączył się i wyruszył w drogę.

W bazie McChord połączono szeryfa z Johnsem, tak aby mógł podtrzymywać lotnika na duchu i informować o zbliżaniu się ratowników.

Służba parku narodowego stanu Waszyngton postanowiła przyjść na ratunek majorowi Duvalowi. Strażnicy mieli doświadczenia aż nadto, bo każdego roku musieli ę turystów, którzy ulegali wypadkom na stokach. Znali każdą drogę w parku i każdy leśny dukt. Pojechali saniami motorowymi i quadami. Ten, którego szukali, nie był ranny, więc nie potrzebowali noszy.

Jednak z każdą minutą temperatura ciała lotników spadała; szybciej działo się to w przypadku Johnsa, który nie mógł się poruszać. W wyścigu chodziło o to, by dostarczyć obu mężczyznom

rękawice, ciepłe buty, koce izolacyjne i gorącą zupę, zanim ratowników ubiegnie chłód. Ratowników nie poinformowano jednak - bo nikt o tym nie wiedział - że w lesie znajduje się jeszcze jeden człowiek, i to bardzo niebezpieczny.



Szczęście w nieszczęściu ludzi z CIA przebywających w zdruzgotanej Chatce polegało na tym, że ich urządzenia komunikacyjne przetrwały katastrofę. Dowódca musiał zadzwonić tylko pod jeden numer, ale za to bardzo ważny, bo należący do Marka Gumienny'ego, zastępcy dyrektora CIA. Siedzący przy biurku w Langley, trzy strefy czasowe dalej, Gumienny odebrał telefon na bezpiecznej linii.

Słuchał w głębokim milczeniu. Nie krzyczał ani nie rwał włosów z głowy, mimo że mówiono mu o poważnej katastrofie, która dotknęła agencję. Zanim młodszy kolega skończył opowiadać, Gumienny zaczął analizować sytuację. Ciała dwóch ofiar mogły poczekać, bo w Górach Kaskadowych panował mróz. Trzech rannych należało pilnie ewakuować, a zbiega szybko schwytać.

- Można do was dotrzeć śmigłowcem?

- Nie, sir, chmury wiszą bardzo nisko, będzie padał śnieg.

- Jakie jest najbliższe miasto, do którego prowadzi droga?

- Nazywa się Mazama. Leży poza Głuszą, ale istnieje szlak, którym przy dobrej pogodzie jeździ się z miasteczka do przełęczy Hart. To półtora kilometra stąd. Od Chatki do przełęczy nie ma żadnej drogi.

- Stanowicie personel tajnego ośrodka badawczego, rozumiesz? Zdarzył się poważny wypadek i pilnie potrzebujecie pomocy. Zaalarmujcie szeryfa z Mazamy i każcie mu dotrzeć tam ze wszystkim, co ma. Niech rusza saniami motorowymi, skuterami, samochodami terenowymi i dojedzie jak najbliżej was. Ostatni kilometr niech pokonają na nartach, raketach śnieżnych i saniach. Tych ludzi trzeba odstawić do szpitala. Możecie zapewnić sobie ciepło?

- Tak jest, sir. Dwa pomieszczenia są rozwalone, ale trzy odizolowaliśmy. Centralne ogrzewanie wysiadło, ale gromadzimy drewno opałowe do kominka.

- Słusznie. Kiedy dotrze do was ekipa ratunkowa, zamknijcie wszystko i zniszczcie wszystkie tajne urządzenia komunikacyjne. Zabierzcie sprzęt i kody i jedźcie razem z rannymi.

- Sir?

- Tak.

- Co z Afgańczykiem?

- Ja się tym zajmę.

Marek Gumienny pamiętał o liście, który na samym początku operacji przekazał mu John Negroponte. Władza nieograniczona. Dostępne wszystkie środki. Czas, by armia pokazała, że zasługuje na dolary podatników. Wybrał numer Pentagonu.

Dzięki temu, że pracował w CIA od lat, oraz dzięki panującemu od niedawna duchowi współpracy, utrzymywał bliskie kontakty z Agencją Wywiadu Obrony (DIA) *(Defense Intelligence Agency.), która z kolei była za pan brat z siłami specjalnymi. Dwadzieścia minut później Gumienny poczuł, że być może przełamał bardzo złą passę tego dnia.

Zaledwie sześć kilometrów od bazy lotniczej McChord znajduje się baza sił lądowych Fort Lewis. Jest to ogromne zgrupowanie wojsk, lecz mieści się tam również część zamknięta dla osób nieupoważnionych - jest to siedziba pierwszej grupy sił specjalnych, znanej nielicznym jako grupa operacyjna Alfa 143. Trójka w oznaczeniu świadczy o tym, że jest to kompania górską, inaczej oddział A. Dowodził nią kapitan Michael Linnett.

Adiutant, który odebrał telefon z Pentagonu, nie mógł wiele pomóc, mimo że rozmawiał z dwugwiazdkowym generałem.

- W tej chwili nie ma ich w bazie, sir. Są na ćwiczeniach taktycznych na zboczu Mount Rainer.

Waszyngtoński generał nigdy nie słyszał o tym posępnym szczycie na południe od Tacoma w okręgu Pearce.

- Możecie ich ściągnąć do bazy śmigłowcem, poruczniku?

- Tak jest, sir. Podstawa chmur chyba na to pozwoli.

- A dacie radę przerzucić ich do miasteczka Mazama nieopodal przełęczy Hart na skraju Głuszy Passayten?

- Muszę to sprawdzić, sir. - Porucznik podniósł słuchawkę po trzech minutach. Generał czekał.

- Nie, sir. Chmury wiszą tam tuż nad lasem, zanoszą się na dalsze opady śniegu. Żeby się tam dostać, trzeba pojechać ciężarówką.

- Więc przewieźcie tam ludzi jak najprędzej. Mówicie, że są na ćwiczeniach.

- Tak jest, sir.

- Czy mają ze sobą sprzęt potrzebny do przeprowadzenia akcji w Głuszy Passayten?

- Mają wszystko, co jest konieczne do działań w temperaturach poniżej zera, sir.

- Ostrą amunicję też?

- Tak jest. Ćwiczenia miały być symulacją poszukiwania terrorysty w Parku Narodowym Rainer.

- Teraz to już nie będzie symulacja, poruczniku. Przerzućcie cały oddział pod urząd szeryfa Mazamy. Skontaktujcie się z agentem CIA o nazwisku Olsen. Utrzymujcie przez cały czas kontakt z Alfą i informujcie mnie o postępach.

Kapitan Linnett, uprzedzony o konieczności pośpiechu, poprosił o zabranie spod Mount Rainer śmigłowcem. W Fort Lewis był jeden chinook do transportu żołnierzy, który pół godziny później zabrał kompanię Alfa z pustego parkingu dla turystów, położonego u stóp góry.

Przewiózł oddział tak daleko na północ, jak na to pozwalała pokrywa chmur, i wysadził na małym lotnisku na zachód od Burlington. Od godziny zmierzała tam już ciężarówka; dotarła prawie jednocześnie z helikopterem.

Z Burlington droga międzystanowa numer 20 ciągnęła się posępnie wzdłuż rzeki Skagit i dalej w głąb Gór Kaskadowych. Zimą trasa jest zamknięta dla ruchu, mogą nią jeździć tylko pojazdy rządowe oraz specjalne; ciężarówka wioząca żołnierzy była przystosowana do jazdy po żmym terenie. Ale posuwała się wolno. Dopiero po czterech godzinach wyczerpany kierowca dotarł do Mazamy.

Oddział CIA też był wyczerpany, lecz agenci wiedzieli przynajmniej, że ich koledzy, otępieni morfiną, jadą prawdziwymi karetkami zmierzającymi na południe na spotkanie ze śmigłowcem, który zabierze ich do szpitala Tacoma Memoriał.

Olsen powiedział kapitanowi Linnettowi tyle, ile uważał za stosowne. Ten zaś warknął nań, że ma upoważnienie dostępu do tajnych informacji.

- Czy ten zbieg ma ubranie przystosowane do warunków arktycznych i odpowiednie obuwie?
- Nie. Jest ubrany w buty turystyczne, ciepłe spodnie i lekką pikowaną kurtkę.
- Narty, rakiety śnieżne? Broń?
- Nie, nic takiego.
- Już się ściemniło. Ma noktowizor? Coś, co pomogłoby mu się poruszać?
- Nie, z całą pewnością nie. Był więźniem, przebywał w zamknięciu.
- Więc już po nim - orzekł Linnett. - W tej temperaturze, bez kompasu będzie przedzierał się przez metrowy śnieg i kręcił w kółko. Dorwiemy go.
- Jeszcze jedna rzecz. To góral. Urodził się i wychował w górach.
- Gdzieś w tej okolicy?
- Nie. W Tora Bora. To Afgańczyk.

Linnett gapił się na agenta w niemym zdumieniu. Walczył kiedyś w Tora Bora. Brał udział w pierwszej inwazji na Afganistan, kiedy siły specjalne amerykańskie i brytyjskie przeczesywały Spin

Ghar w poszukiwaniu grupy zbiegłych Saudyjczyków. A później Linnett wrócił, by uczestniczyć w operacji Anakonda, która też nie doprowadziła do schwytania Bin Ladena. Zginęło wielu dobrych żołnierzy. Linnett miał rachunki do wyrównania z Pasztunami z Tora Bora.

- Do wozu! - krzyknął i żołnierze wdrapali się z powrotem do ciężarówki, która miała ich zawieźć do przełęczy Hart. Później musieli poruszać się na nartach i raketach śnieżnych.

Kiedy wyjeżdżali, szeryf podał przez radio, że obaj lotnicy zostali znalezieni, bardzo przemarznięci, ale żywi. Odwieziono ich do szpitala w Seattle. To była dobra wiadomość, lecz przyszła za późno dla Lemuela Wilsona.



Angielskie i amerykańskie agencje wywiadowcze nadzorujące operację Łom wciąż skupiały się na zagrożeniu numer jeden, wychodząc z założenia, że Al - Kaida zamierza zablokować jeden z kluczowych morskich szlaków komunikacyjnych świata.

Jeśli taki był zamysł terrorystów, najistotniejszą rolę odgrywała wielkość statku. Ładunek nie miał żadnego znaczenia, chyba tylko takie, że ropa prawie całkowicie uniemożliwiłaby nurkom demontaż jednostki. Do armatorów z całego świata kierowano zapytania o wszystkie statki o wielkiej wyporności.

Im potężniejsze jednostki, tym mniej ich jest, i większość należy do szanowanych, dużych armatorów. Pięćset wielkich i największych tankowców, zwanych ULCC i VLCC, a potocznie - supertankowcami, zostało znalezionych i skontrolowanych. Następnie zabrano się do mniejszych. Kiedy zlokalizowano i sprawdzono wszystkie statki o wyporności od pięćdziesięciu tysięcy ton wzwyż, strach przed zablokowaniem strategicznego przesmyku morskiego zaczął ustępować.

Rejestr Statków Lloyd'a nadal jest prawdopodobnie najpełniejszym zestawieniem jednostek pływających na świecie; zespół pracujący w Edzell utworzył stałe połączenie telefoniczne z Lloydem, które było w ciągłym użyciu. Za radą specjalistów z Lloyd'a agenci w Edzell skoncentrowali się na jednostkach pływających pod tanimi banderami oraz tymi, które są zarejestrowane w „szemranych” portach lub należą do podejrzanych właścicieli. Pracownicy Lloyd'a oraz sekcji morskiej wydziału antyterrorystycznego SIS we współpracy z CIA i Strażą Wybrzeża oznaczyli etykietą „zakaz zbliżania się do brzegów” ponad dwieście jednostek, których kapitanowie i armatorzy nawet o tym nie wiedzieli. Wciąż jednak nie natrafiono na żadną informację pozwalającą ustalić, skąd nadciąga zagrożenie.



Kapitan Linnett dobrze znał góry i wiedział, że człowiek bez specjalistycznego obuwia, który usiłuje przedzierać się przez teren pełen przysypanych śniegiem pni, korzeni, rozpadlin, rowów, wąwozów i strumieni powinien się uważać za szczęściarza, jeśli w pocie czoła uda mu się pokonać pół kilometra.

Ktoś taki prawdopodobnie wpadłby przez skorupę śniegu do małego potoku, zamoczył stopy, a

później w zastraszającym tempie zaczęły się wychładzać. Nie uniknęłyby wyziębienia i odmrożenia palców.

Dzwoniący z Langley Olsen jasno sformułował polecenie: zbieg w żadnym wypadku nie może dotrzeć do Kanady ani do działającego telefonu. Tak na wszelki wypadek.

Linnett uważał, że uciekinier bez kompasu będzie krążył wkoło i potykał się przy co drugim kroku. Nie będzie nic widział w ciemności pod drzewami, gdzie promienie księżyca nie docierają, nawet gdy ten nie jest zasłonięty przez sześciokilometrową warstwę chmur.

To prawda, że zbieg miał cztery godziny przewagi, lecz nawet gdyby szedł w linii prostej, pokonałby nie więcej niż pięć kilometrów. Żołnierze z sił specjalnych na nartach posuwają się trzy razy szybciej, a gdyby kamienie i pnie drzew uniemożliwiły ich używanie, i tak poruszałiby się dwukrotnie szybciej na raketach śnieżnych.

Miał rację co do nart. Z miejsca, w którym wysiedli z ciężarówki, dotarł do ruin kryjówki CIA w niespełną godzinę. Błyskawicznie sprawdził ze swoimi ludźmi, czy zbieg wrócił tam, żeby poszukać lepszego sprzętu. Żadne ślady na to nie wskazywały. Dwa ciała, sztywne od mrozu, leżały z rękami skrzyżowanymi na piersiach w wyziębionej teraz jadalni, zabezpieczone przed zwierzętami. Będą musiały poczekać, aż chmury ustąpią i śmigłowiec bez przeszkód wyląduje w Głuszy.

Oddział A składał się z dwunastu ludzi; Linnett był jedynym oficerem, a jego zastępca miał stopień starszego chorążego sztabowego. Pozostałych dziesięciu służyło już od wielu lat.

Było tam dwóch inżynierów (specjalistów od burzenia), dwóch radiowców, dwóch sanitariuszy, sierżant dowódca plutonu (nie jednej, lecz dwóch specjalności), sierżant zwiadu oraz dwóch strzelców wyborowych. Kiedy Linnett wkroczył do wnętrza zburzonej chaty, sierżant, doświadczony tropiciel, zaczął badać otaczający teren.

Śnieg, na który się zanosilo, nie spadł; teren wokół lądowiska śmigłowców i głównego wejścia, do którego dotarła ekipa ratowników z Mazamy, wyglądał jak kłębowisko śladów. Jednak ze zdruzgotanej ściany budynku odchodził jeden trop prowadzący na północ.

Przypadek? - pomyślał Linnett. To był jedyny kierunek, którego zbieg nie powinien obierać. Prowadził do granicy Kanady znajdującej się trzydzieści dwa kilometry dalej. Jednak dla Afgańczyka oznaczało to czterdzieści cztery godziny marszu. Nigdy tam nie dotrze, nawet jeśli zdoła się poruszać w linii prostej. Tak czy inaczej oddział Alfa dopadnie go w połowie drogi.

Pokonanie na raketach śnieżnych półtora kilometra zajęło godzinę. Oddział znalazł tam następną chatę. Nikt nie wspominał o tym, że w Głuszy Pasayten znajdują się dwie lub trzy chaty, gdyż powstały one, zanim wprowadzono zakaz budowania na tym terenie. Strzaskane okno z potrójną szybą i leżący obok kamień świadczyły dobitnie, że ktoś włamał się do środka.

Kapitan Linnett wkroczył pierwszy, z odbezpieczonym karabinem. Ubezpieczało go dwóch żołnierzy przyczajonych obok wybitego okna. W ciągu minuty ustalono, że nikogo nie ma ani w chacie, ani w przyległym składzie drewna, ani w pustym garażu. Wszędzie jednak widniały ślady

stóp. Kapitan chciał zapalić światło, lecz prąd prawdopodobnie płynął z generatora za garażem, który był włączany tylko w czasie obecności właściciela. Żołnierze musieli korzystać z latarek.

Obok głębokiego kominka w głównym pokoju leżało pudełko zapalek oraz kilkanaście cienkich kawałków drewna, najwyraźniej przeznaczonych do podpalenia szczap, a także wiązka świec przygotowanych na wypadek awarii generatora. Intruz skorzystał ze świec, by rozejrzeć się po obejściu. Kapitan Linnett zwrócił się do sierżanta radiowca.

- Nawiąż łączność z szeryfem i dowiedz się, kto jest właścicielem tego domku - polecił i zaczął oglądać wnętrze. Wyglądało na to, że nic nie zostało zniszczone, ale intruz wszystko przetrząsnął.

- To jakiś chirurg z Seattle - odparł sierżant. - Latem spędza tu urlop, a jesienią zamyka chatę.

- Nazwisko i numer telefonu. Musiał zostawić dane w biurze szeryfa.

Kiedy sierżant uzyskał informacje, dowódca kazał mu skontaktować się z Fort Lewis, polecić personelowi zadzwonić do domu chirurga w Seattle i połączyć go z oddziałem Alfa. Na szczęście chirurdzy noszą pagery, a zaistniała sytuacja z pewnością zaliczała się do nagłych wypadków.



Statek widmo nawet nie zbliżył się do Surabai. Nie było zlecenia na zabranie ładunku drogich orientalnych jedwabi, a sześć kontenerów już znajdowało się na pokładzie „Hrabiny Richmond”.

Jednostka przeszła na południe od Jawy, obok Wyspy Bożego Narodzenia, i skierowała się na Ocean Indyjski. Czynności pokładowe stały się rutyną dla Mike'a Martina.

Psychopata Ibrahim przeważnie siedział w swojej kabinie i na szczęście przez większość czasu cierpiał na chorobę morską. Inżynier zajmował się silnikami ustawionymi na maksymalną prędkość, bez względu na zużycie paliwa. „Hrabina” nie potrzebowała go na podróż powrotną.

Martin wciąż nie znał odpowiedzi na podwójną zagadkę: dokąd płynie statek i jaka wybuchowa siła kryje się pod pokładem? Wydawało się, że nikt tego nie wie, oprócz być może inżyniera chemika. On jednak nic nie mówił i nikt nie poruszał tego tematu.

Radiowiec prowadził nasłuch i musiał usłyszeć o morskiej obławie na Pacyfiku oraz wejściach do cieśniny Ormuz i Kanału Sueskiego. Być może doniósł o tym Ibrahimowi, lecz nie wspomniał o niczym reszcie załogi.

Pozostałych pięciu zmieniało się w kambuzie, by opróżnić jedną po drugiej puszkę zimnego prowiantu, oraz przy sterze. Nawigator wyznaczał kurs: zawsze na zachód, a później na południowy zachód do Przylądka Dobrej Nadziei.

Poza tym wszyscy modlili się przepisowo pięć razy dziennie, czytali po raz kolejny Koran i gapili się na morze.

Martin zastanawiał się, czy nie przejąć statku. Jedyнным narzędziem walki, jakie mógł zdobyć, był nóż kuchenny; musiałyby zabić siedmiu mężczyzn, z których jeden, Ibrahim, przypuszczalnie miał broń palną. Na dodatek byli oni stale rozproszeni - od maszynowni do kabiny radiowca na dziobie. Jeśli - albo kiedy - dotrą do jakiegoś celu na brzegu, będzie musiał to zrobić, zdawał sobie z tego sprawę. Lecz póki płynęli po Oceanie Indyjskim, wolał czekać.

Nie wiedział, czy kartka wsunięta do torby ze sprzętem została w ogóle znaleziona, czy wylądowała na jakimś strychu nieprzeczytana. Nie miał także pojęcia, że uruchomił globalną morską obławę.



- Mówi doktor Berenson. Z kim mam przyjemność? Michael Linnett odpiął mikrofon od słuchawek spoczywających na głowie sierżanta.

- Jestem z biura szeryfa w Mazamie - skłamał. - W tej chwili przebywam w pańskim domu w Głuszy. Z przykrością muszę pana zawiadomić, że doszło tu do włamania.

- O cholera. Są jakieś szkody? - spytał słabo słyszalny głos z Seattle.

- Facet włamał się, tłukąc kamieniem szybę we frontowym oknie. Innych szkód w samym budynku chyba nie ma. Dzwonię, żeby sprawdzić, co zginęło. Miał pan tutaj jakąś broń palną?

- Ależ skąd. Mam dwie strzelby myśliwskie i śrutówkę, ale jesienią zabieram je do domu.

- Dobrze, teraz pomówmy o ubraniach. Ma pan szafę z ciepłymi rzeczami na zimę?

- Oczywiście. Garderoba jest tuż obok drzwi do sypialni.

Kapitan Linnett skinął na sierżanta, który ruszył w tamtą stronę z zapaloną latarką. Garderoba była obszerna, znajdowało się tam mnóstwo ciepłych ubrań i innych rzeczy.

- Powinna być para arktycznych butów, pikowane spodnie i ocieplana kurtka z kapturem.

Wszystko znikło.

- Jakież narty albo buty do chodzenia po śniegu, doktorze?

- Oczywiście, jedno i drugie. W tej samej garderobie. Tego też nie było.

- Inna broń? Kompas?

Duży nóż Bowie w futerale powinien wisieć na drzwiach garderoby, a kompas i latarka powinny leżeć w szufladzie biurka. Wszystko zostało zabrane. Poza tym zbieg przetrząsnął kuchnię, ale nie zostawiono tam żywności. Na blacie kuchennym stała opróżniona, niedawno otwarta puszka z fasolą w sosie pomidorowym, otwieracz i dwie puszki po wodzie sodowej. Stał tam też pusty słoik, który właściciel prawie wypełnił ćwierćdolarówkami, lecz nikt o tym nie wiedział.

- Dziękuję, doktorze. Przyjadę tu z ludźmi, kiedy się wypogodzi. Zamontujemy nowe okno i sporządzimy wykaz strat.

Dowódca przerwał połączenie i spojrzał po swoich żołnierzach.

- Idziemy - rzucił tylko. Wiedział, że rzeczy, które Afgańczyk zabrał z chaty, zwiększyły jego szanse, choć wciąż przewagę miała grupa pościgowa. Linnett oceniał, że zbieg, który spędził w chacie ponad godzinę, wyprzedza ich o dwie, może trzy godziny. Teraz jednak poruszał się szybciej.

Przełknąwszy dumę, postanowił wezwać na pomoc kawalerię. Ogłosił krótką przerwę i nawiązał łączność z Fort Lewis.

- Przekażcie do McChord, że potrzebuję Widma, i to migiem. Powołajcie się na wszystko, nawet na Pentagon, jeśli będzie trzeba. Chcę, żeby latało nad górami i kontaktowało się bezpośrednio ze mną.

Czekając na nowego sprzymierzeńca, dwunastka tworząca Alfę 143 parła przed siebie, zwiększając tempo. Na czele szedł tropiciel, oświetlając latarką ślady zbiega na zamrzniętym śniegu. Komandosi posuwali się szybko, lecz nieśli znacznie więcej sprzętu niż ten, którego ścigali. Linnett sądził, że zbieg się nie oddała, ale czy się do niego zbliżali? Potem zaczął padać śnieg. Było to błogosławieństwo i przekleństwo zarazem. Miękkie płatki opadające pomiędzy gałęziami drzew iglastych przykrywały kamienie i korzenie; komandosi zrobili krótką przerwę i zamienili rakiety na szybsze narty. Ale śnieg zacierał także tropy.

Linnett potrzebował wskazówek od pomocnika z nieba, a ten zjawił się tuż po północy w postaci śmigłowca Hercules AC - 130. Helikopter zaczął krążyć na wysokości sześciu tysięcy metrów, ponad pokrywą chmur, która jednak nie przeszkadzała mu widzieć rzeczy na ziemi.

Siły specjalne dysponują wieloma zabawkami, lecz z punktu widzenia wroga na ziemi mało która jest tak dokuczliwa.

Śmigłowiec transportowy Hercules został wypatroszony, a jego wnętrze zastąpiono całą masą najnowocześniejszych urządzeń przeznaczonych do lokalizowania, namierzania i likwidowania przeciwników na ziemi. Innymi słowy, jest to warte siedemdziesiąt dwa miliony dolarów przekleństwo każdego wroga.

Podczas lokalizowania celu śmigłowiec nie jest uzależniony od pory dnia czy nocy, nie przeszkadza mu wiatr, deszcz, śnieg czy grad. Wyposażono go w radar oraz termowizor, który potrafi wychwycić każdą postać na ziemi emitującą ciepło. I nie jest to rozmyta plama; urządzenie pozwala odróżnić czworonoga od istoty dwunożnej. Nikt jednak nie mógł przewidzieć istnienia takiej osobliwości jak pan Lemuel Wilson.

On też miał chatę tuż za granicą Głuszy Pasayten u stóp Góry Robinsona. W odróżnieniu od chirurga z Seattle pan Wilson szczycił się tym, że potrafi tam przezimować, nie miał bowiem domu w wielkim mieście.

Żył bez elektryczności, ogrzewając się szczapami trzaskającymi w kominku, a do oświetlenia domku używając lamp naftowych. Latem polował i suszył mięso na zimę. Sam ścinał drzewa i zbierał paszę dla swojego wytrzymałego górskiego konia. Ale miał jeszcze jedno hobby.

Zgromadził mnóstwo sprzętu CB, zasilanego maleńkim generatorem, i zimą spędzał wiele godzin, skanując częstotliwości szeryfa, służb ratowniczych oraz instytucji publicznych. W ten sposób dowiedział się o tym, że dwuosobowa załoga myśliwca spadła na teren parku narodowego i że zespoły zawodowych ratowników spieszą w tamtą stronę.

Lemuel Wilson z dumą mienił się świadomym obywatelem. Jak to często bywa, władze nazwałyby go raczej wścibskim natrętem. Tuż po tym, jak dwaj lotnicy zameldowali o swoim położeniu, a technicy określili ich pozycję, Lemuel Wilson osiodłał wierzchowca i wyruszył w teren. Chciał przemierzyć południową część Głuszy, dotrzeć do parku narodowego i uratować majora Duvala.

Sprzętu nasłuchowego Wilson nie mógł zabrać, więc nie dowiedział się, że lotnicy zostali uratowani. Napotkał jednak kogoś innego.

Nie zobaczył, że tamten się do niego zbliża. Popędzał konia, który grzązał w głębszym niż zazwyczaj śniegu, gdy nagle wyskoczyła mu naprzeciw zaspą białego puchu. Okazało się jednak, że był to człowiek ubrany w supernowoczesny kombinezon ochronny.

Nieznajomy trzymał w ręku nóż Bowie, wynaleziony w dziewiętnastym wieku, lecz wciąż bardzo skuteczny. Napastnik zacisnął rękę na szyi Wilsona i ściągnął go z konia, a gdy Wilson runął na ziemię, Ismat Chan wbił mu nóż między żebra i przeciął serce.

Termowizor doskonale wykrywa ciepło ludzkiego ciała, lecz trup Lemuela Wilsona, porzucony w rozpadlinie dziesięć metrów od miejsca napadu zdążył ostygnąć. Kiedy śmigłowiec AC - 130 Widmo zaczął pół godziny później krążyć wysoko nad Górami Kaskadowymi, postać Lemuela Wilsona w ogóle nie pojawiła się na ekranie termowizora.

- Tu Widmo Echo Fokstrot do oddziału Alfa, słyszycie mnie?

- Jest nas dwunastu, poruszamy się na nartach - odparł kapitan Linnett. - Widzisz nas?

- Uśmiechnijcie się ładnie, to zrobię wam zdjęcie - powiedział operator termowizora w śmigłowcu krążącym sześć kilometrów wyżej.

- Na żarty przyjdzie czas później. Jakies pięć kilometrów na północ od nas znajduje się zbieg. Jedzie na nartach, zmierza w kierunku północnym. Możesz to potwierdzić?

Nastąpiła długa pauza.

- Nie potwierdzam. Nie mam takiego obrazu - oznajmił głos z nieba.

- Musi tam być - upierał się Linnett. - Wyprzedza nas o kilka godzin.

Oddział zostawił za sobą klony i modrzewie amerykańskie. Komandosi wyszli na gołe rumowisko, śnieg padał prosto na nich, nie osiadając po drodze w koronach drzew. Gdzieś w ciemności znajdowały się Lakę Mountain i Monument Peak. Na tle białego krajobrazu żołnierze wyglądali jak białe zjawy. Ale jeśli im trudno było iść, to Afgańczykowi też nie mogło być łatwo. Istniało tylko jedno wyjaśnienie braku jego obrazu na termowizorze: musiał się skryć w jaskini albo w śnieżnej jamie. A więc zbliżali się do niego. Posuwali się po zboczu góry, a przed nimi rozpościerał się las.

Obserwator w śmigłowcu ustalił pozycję oddziału z dokładnością do metra. Do kanadyjskiej granicy zostało dziewiętnaście kilometrów. Pięć godzin do świtu albo raczej tego, co uchodziło za świt w krainie śniegu, górskich szczytów, skał i drzew.

Linnett czekał kolejną godzinę. Śmigłowiec krążył i obserwował, ale niczego nie dostrzegł.

- Spójrz jeszcze raz - poprosił kapitan. Powoli dochodził do wniosku, że coś się nie zgadza. Czyżby Afgańczyk zginął? Możliwe, bo to tłumaczyłoby brak emisji ciepła. Czai się w grocie? Też możliwe, ale czeka go śmierć, jeśli nie wyjdzie i nie pobiegnie dalej. A wtedy...

Ismat Chan, popędzając ognistego, lecz zmęczonego już wierzchowca, zwiększył przewagę nad pogonią. Kompas pokazywał, że wciąż posuwa się na północ, a postawa konia świadczyła, że idzie pod górę.

- Obserwuję wycinek okręgu o szerokości katowej prawie dziewięćdziesięciu stopni, którego wierzchołek stanowicie wy - mówił operator termowizora w śmigłowcu. - Sięga do samej granicy. W polu widzenia mam ośmioro zwierząt. Cztery jelenie, dwa baribale, które dają bardzo słabe widma, bo śpią w głębokich kryjówkach, coś, co wygląda na pumę, i łosia wędrującego na północ. Jakies sześć kilometrów przed wami.

Arktyczne ubranie skradzione z chaty chirurga było po prostu za dobre. Spocony, wyczerpany koń wysyłał bardzo dużo ciepła, lecz siedzący na nim mężczyzna, pochylony nad szyją zwierzęcia, był tak dobrze okryty, że zlewał się z widmem wierzchowca.

- Panie kapitanie, ja pochodzę z Minnesoty - odezwał się jeden z inżynierów.

- Zachowaj swoje problemy dla kapelana - warknął Linnett.

- Chcę powiedzieć - ciągnął oblepiony śniegiem komandos - że łosie nie wchodzą w góry przy takiej pogodzie. Schodzą do dolin i żerują na mchach. To nie może być łoś.

Linnett ogłosił postój, który żołnierze przyjęli z radością, i popatrzył przed siebie na padający śnieg. Nie miał pojęcia, jak ten człowiek tego dokonał. Może trafił na drugą odosobnioną chatę, w której jakiś idiota zimował ze zwierzętami. W każdym razie Afgańczyk zdobył konia i uciekał na nim.

Sześć i pół kilometra dalej, w głębokim lesie, Ismat Chan, który wcześniej zaczął się na Lemuela Wilsona, teraz sam został osaczony. Puma była stara i trochę za wolna, by upolować jelenia, lecz przebiegła i bardzo wygłodniała. Wskoczyła spomiędzy dwóch drzew; koń by ją wywęszył,

gdyby nie był tak zmęczony.

Afgańczyk zobaczył tylko, że jakiś brązowy kształt błyskawicznie rzucił się na konia i zwałił go z nóg. Jeździec zdążył wyciągnąć strzelbę z olstra przy siodle i przeskoczyć nad zadem. Spadł na ziemię, odwrócił się, wymierzył i strzelił.

Miał szczęście, że puma zaatakowała konia, a nie jego, ale stracił wierzchowca. Ten żył jeszcze, lecz ważący sześćdziesiąt kilogramów rozjuszony drapieżnik poszarpał pazurami jego głowę i szyję. Nie miał szans. Afgańczyk dobił go drugim strzałem. Koń wierzgnął i padając, przygniótł pumę. Dla Afgańczyka nie miało to znaczenia, lecz przednie łapy i tułów pumy tkwiły pod koniem.

Odczepił rakiety śnieżne przytroczone do siodła, założył je na buty, zarzucił strzelbę na ramię, spojrział na kompas i ruszył pieszo. Sto metrów dalej znajdował się występ skalny. Afgańczyk ukrył się tam na chwilę przed śniegiem. Nie wiedział o tym, lecz dzięki skale stał się niewidoczny dla termowizora.

- Odszukaj tego łosia - rzekł kapitan Linnett. - Myślę, że jest to koń, na którym jedzie zbieg.

Operator przyjrzał się jeszcze raz zwierzęciu.

- Masz rację. Widzę sześć nóg. Zrobił sobie odpoczynek. Przy następnym nawrocie zdejmujemy go.

Sekcja bojowa Widma składa się z trzech systemów. Najcięższym jest stuściomilimetrowa haubica M102, tak potężna, że strzelanie z niej do człowieka byłoby grubą przesadą.

Następne jest czterdziestomilimetrowe działko Boforsa, podobne do tego, w które były kiedyś wyposażone szwedzkie baterie przeciwlotnicze. Szybkostrzelny bofors miał taką siłę rażenia, że rozpruwał budynki lub czołgi. Załoga Widma, wiedząc, że celem jest człowiek na koniu, wybrała rotacyjny karabin maszynowy Gatling Gau - 12/U. Ten potwór wypluwa na minutę tysiąc osiemset pocisków kalibru dwadzieścia pięć milimetrów, z których każdy może rozerwać ludzkie ciało. Ogień z wirującego pięcio komorowego karabinu jest tak intensywny, że gdyby przez trzydzieści sekund kierować go na boisko piłkarskie, nie przeżyłoby nic, co jest większe od myszy. A mysz umarłaby ze strachu.

Karabin może strzelać z maksymalnej wysokości trzech tysięcy dwustu metrów, więc Widmo zeszło na trzy kilometry, namierzyło cel i przez dziesięć sekund zasypywało kulami zwłoki konia leżące w lesie. Przez ten czas lufy wypluły trzysta pocisków.

- Nic nie zostało - oznajmił operator termowizora. - Człowiek i zwierzę zniknęli.

- Dzięki, Echo Fokstrot - odparł Linnett. - Resztę zrobimy sami. - Widmo, osiągnąwszy cel misji, wróciło do bazy McChord.

Śnieg przestał padać, narty sunęły z szumem, tak jak powinny pod wprawnymi narciarzami. Oddział Alfa dotarł do szczątków konia. Kilka fragmentów ciała było większych od ludzkiego ramienia, lecz z pewnością pochodziły od konia, a nie od istoty ludzkiej. Oprócz pokrytych

brązowym futrem.

Linnett poświęcił dziesięć minut na szukanie kawałków ochronnego ubrania, butów, kości, czaszki, noża Bowie, brody i raket śnieżnych.

Narty leżały, ale jedna była złamana. Pękła pod ciężarem padającego konia. Było także olstro, ale brakowało strzelby. Ani raket, ani Afgańczyka.

Zostały dwie godziny do świtu, rozpoczął się wyścig jednego człowieka w raketach śnieżnych z dwunastoma na nartach. Wszyscy byli wyczerpani i zdesperowani. Oddział miał urządzenie GPS. Gdy niebo zaczęło się przejaśniać na wschodzie, sierżant mruknął:

- Pół kilometra do granicy.

Dwadzieścia minut później dotarli do wzniesienia nad doliną. Biegła tam droga dla ciężarówek wożących drewno, stanowiąca granicę Kanady. Po przeciwnej stronie znajdowało się wzniesienie z wyciętym lasem; stało tam kilka chat, w których kanadyjscy drwale pracowali po ustąpieniu śniegów.

Linnett przykucnął, przyłożył lornetkę do oczu i popatrzył. Nic się nie poruszało. Światło dnia stawało się coraz jaśniejsze.

Snajperzy bez polecenia wyciągnęli z futerałów karabiny, umocowali celowniki teleskopowe, umieścili po jednym naboju w komorze i położyli się, by popatrzeć na drugą stronę doliny.

Wśród żołnierzy stanowią oni dziwną rasę. Nigdy nie zbliżają się do tych, których zabijają, a widzą ich wyraźniej niż ktokolwiek inny. Dziś, gdy walka wręcz prawie odeszła w przeszłość, większość żołnierzy nie ginie z ręki wroga, lecz za sprawą jego komputera. Zmiata ich z powierzchni ziemi rakietą wystrzeloną z innego kontynentu lub spod powierzchni morza. Zabijają ich „inteligentne” bomby spuszczone z samolotów lecących tak wysoko, że ich nie widać ani nie słychać. Czasem żołnierze giną od wybuchu pocisku wystrzelonego kilkadziesiąt kilometrów dalej. A niekiedy zabójcy siedzą za karabinami maszynowymi w śmigłowcu i widzą niewyraźne kontury ofiary, która ucieka, kryje się lub próbuje odpowiadać ogniem. Nie postrzegają ich jednak jako ludzkich istot.

Strzelcy wyborowi żyją w swoim świecie. Obsesja precyzji jest u nich taka, że są zamknięci w sobie, obcuja tylko z pociskami; myślą o ich masie, prędkości ładunku, prędkości wiatru, opadaniu wraz z odległością i o tym, czy karabin da się jeszcze bardziej udoskonalić.

Tak jak wszyscy specjaliści, mają swój ulubiony sprzęt. Niektórzy lubią pociski M700 od remingtona .308, tak małe, że trzeba je umieszczać w koszulce, żeby przeleciały przez lufę.

Inni trzymają się M21, snajperskiej odmiany standardowego karabinu M14. Najcięższy jest karabin Barrett Light Fifty, potwór, który wyrzuca pocisk wielkości ludzkiego palca na odległość półtora kilometra z taką prędkością, że trafione nim ludzkie ciało może eksplodować.

U stóp kapitana Linnetta leżał jego czołowy snajper, starszy sierżant Peter Bearpaw - półkrwi Indianin z plemienia Siuksów Santee. Jego matka była Latynoską. Bearpaw urodził się w slumsach

Detroit, a wojsko było całym jego życiem. Miał wydatne kości policzkowe i lekko skośne oczy. Zasłużył na miano najlepszego strzelca wyborowego wśród Zielonych Beretów.

Spoglądał na drugą stronę doliny przez celownik przytwierdzony do karabinu Cheyenne .408, wyprodukowanego przez firmę Cheytac z Idaho. Ten typ broni pojawił się później niż inne, lecz po wystrzeleniu ponad trzech tysięcy pocisków Peter Bearpaw doszedł do wniosku, że wybiera właśnie ją. Był to karabin ryglowany, co odpowiadało sierżantowi, gdyż całkowicie zamknięta komora dodawała mu odrobinę stabilności w momencie strzału.

Bearpaw umieścił w komorze jeden nabój, bardzo długi i cienki; wcześniej opalił i wypolerował czubek, żeby wyeliminować choćby najmniejsze wibracje w czasie lotu. Do górnej części karabinu przymocowany był celownik teleskopowy Jim Leatherwood.

- Mam go, kapitanie - szepnął snajper.

Lornetka nie wychwyciła zbiega, lecz celownik teleskopowy go znalazł. Wśród chat rozsianych w dolinie, otoczona z trzech stron sagami drewna, stała budka telefoniczna ze szklanymi drzwiczkami.

- Wysoki, długowłosey, z krzaczastą czarną brodą?

- Tak jest.

- Co robi?

- Jest w budce telefonicznej, sir.

Ismat Chan utrzymywał skąpe kontakty ze współwięźniami w Guantanamo, lecz był wśród nich jeden, z którym spędził razem wiele miesięcy w tym samym „odosobnionym” bloku, w sąsiednich celach. Jordańczyk walczył w Bośni w połowie lat dziewięćdziesiątych, a później wrócił i został jednym z prowadzących szkolenie w obozach Al - Kaidy. Był twardym ekstremistą.

Przed Bożym Narodzeniem kontrola w więzieniu nieco się rozluźniła, Ismat i Jordańczyk zauważyli, że mogą ze sobą rozmawiać. Jeśli kiedykolwiek się stąd wydostaniesz, mam przyjaciela, rzekł Jordańczyk. Byliśmy razem w obozach. Jest godny zaufania, pomoże prawdziwemu wiernemu. Wymień tylko moje nazwisko.

Podał Ismatowi nazwisko i numer telefonu. Ismat nie wiedział, gdzie mieszka ów przyjaciel. Nie znał niuansów bezpośredniego wybierania numerów, choć miał wystarczająco dużo ćwierćdolarówek, żeby wykonać takie połączenie, a co gorsza, nie znał zagranicznego numeru kierunkowego z Kanady. Wrzucił więc ćwierćdolarówkę i poprosił o operatorkę.

- Z jakim numerem próbuje się pan połączyć? - spytała niewidzialna kanadyjska telefonistka. Powoli, jękając się, Ismat wymienił cyfry, których z takim trudem wyuczył się na pamięć.

- To numer w Wielkiej Brytanii - stwierdziła operatorka. - Dzwoni pan, korzystając z amerykańskich monet ćwierćdolarowych?

- Tak.

- To jest dozwolone. Proszę wrzucić osiem i pana połączę. Jeśli usłyszysz pan przerywany sygnał, proszę wrzucić kolejną, aby kontynuować rozmowę.

- Namierzyłeś cel? - spytał Linnett.

- Tak jest, sir.

- Strzelaj.

- On jest w Kanadzie, sir.

- Proszę strzelać, sierżancie.

Peter Bearpaw wziął głęboki oddech, zatrzymał powietrze w płucach i nacisnął spust. Powietrze było spokojne, odległość wynosiła tysiąc dziewięćset dwadzieścia metrów.

Ismat Chan właśnie wsuwał ćwierćdolarówki do szczeliny automatu. Nie patrzył w górę. Szyba w drzwiczkach budki rozprysła się na kawałki, pocisk oderwał kość potyliczną od głowy Afgańczyka.

Operatorka wykazała maksimum cierpliwości. Mężczyzna wrzucił tylko dwie monety, a potem najwyraźniej puścił słuchawkę i wyszedł z budki. Wreszcie nie miała innego wyjścia, jak tylko przerwać połączenie.

Ze względu na to, że strzelano przez granicę, żaden oficjalny raport nie został sporządzony.

Kapitan Linnett złożył meldunek swojemu dowódcy, a ten przekazał informację Markowi Gumienny'emu w Waszyngtonie. Nic więcej nie powiedziano.

Ciało znaleźli drwale, kiedy wrócili do lasu po odwilży. Odczepiono zwisającą słuchawkę, koroner mógł tylko stwierdzić zgon, nie wydając orzeczenia. Mężczyzna miał na sobie amerykańskie ubranie, lecz nie było to nic szczególnego w tym przygranicznym okręgu. Dokumentów przy nim nie znaleziono, nikt z miejscowych go nie rozpoznał.

Nieoficjalnie w kręgu koronera mówiło się, że mężczyzna przypadkowo padł ofiarą myśliwego polującego na jelenie. Kolejna tragiczna śmierć spowodowana przez nieostrożność lub rykoszet. Pochowano go w nieoznaczonym grobie.

Nikt po południowej stronie granicy nie chciał robić szumu wokół sprawy, nie pomyślano więc o tym, by zapytać, o jaki numer zbieg poprosił przed śmiercią. Samo pytanie zdradziłoby, kto strzelał. Dlatego nie padło.

Tymczasem był to numer małego mieszkania przy kampusie Uniwersytetu Aston w Birmingham. Mieszkał w nim doktor Ali Aziz al - Chattab, a telefon był podsłuchiwany przez brytyjską służbę MI5. Agenci czekali tylko na dowody, które usprawiedliwiłyby aresztowanie. Dowody znalazły się

miesiąc później. Jednak tego ranka Afgańczyk dzwonił do jedyne go człowieka na zachód od Suez, który znał nazwę statku widma.

ROZDZIAŁ 16

Po dwóch tygodniach entuzjazm dla obławy na statek widmo zaczął opadać. Najpierw w Waszyngtonie.

Ile czasu i pieniędzy można stracić na podstawie kilku zdań nabazgranych na kartce wetkniętej do kieszonki torby na sprzęt do nurkowania na wysepce, o której nikt nigdy nie słyszał? Marek Gumienny przyleciał do Londynu, żeby naradzić się ze Steve'em Hillem. Z siedziby Rejestru Statków Lloyd'a w Ipswich zadzwonił do nich ekspert SIS od morskiego terroryzmu, Sam Seymour. Hill rozkazał mu przylecieć do Londynu.

- Al - Kaida mogła planować zatopienie wielkiego statku tak, by zablokować strategicznie ważną cieśninę - zaczął Seymour. - To była najbardziej prawdopodobna możliwość, ale nie jedyna.

- Dlaczego uważacie, że obraliśmy złą drogę? - spytał Marek Gumienny.

- Dlatego, sir, że każda jednostka na świecie, którą mogli do tego wykorzystać, została sprawdzona. Wszystkie są bezpieczne. Pozostaje możliwość druga i trzecia, lecz dotyczą innych celów. Myślę, że teraz powinniśmy rozważyć trzecią: zamach na wielką skalę w nadmorskim mieście. Być może oświadczenie Bin Ladena, że skieruje uwagę na gospodarkę, było zmyłką albo zmienił zdanie.

- No dobrze, Sam, przekonaj mnie. Steve i ja mamy politycznych szefów, którzy domagają się rezultatów lub naszych głów. Jaki statek wchodzi w grę, jeśli nie jest to jednostka do zablokowania akwenu?

- Przy możliwości numer trzy bardziej od samego statku interesuje nas ładunek. Nie musi być wielki, jeśli jest wystarczająco zabójczy. W Lloydzie mają sekcję niebezpiecznych ładunków.

- Statek z amunicją? - spytał Hill. - Powtórka z Halifaxu?

- Spece twierdzą, że ładunki wojskowe już tak nie wybuchają. Współczesna amunicja potrzebuje silnego zapłonu, żeby eksplodowała wewnątrz kadłuba. Z wytwórnią sztucznych ogni byłoby gorzej, ale taki zamach nie zasługiwałby na określenie „spektakularny” tak jak ten z jedenastego września. Wyciek w fabryce chemicznej w Bhopalu pociągnął za sobą znacznie gorsze skutki; to była dioksyna, śmiertelnie niebezpieczny środek chwastobójczy.

- Możemy więc mieć do czynienia z cysterną, która wjedzie na Park Avenue z ładunkiem dioksyny, a ta zostanie rozpylona po wybuchu semteksu - zasugerował Hill.

- Ale te chemikalia są dokładnie strzeżone w fabrykach i specjalnych magazynach - zauważył Gumienny. - Jak terroryści zdobyliby taki ładunek, by nikt tego nie zauważył?

- Poza tym poinformowano by nas, że porwano statek, który przewozi taki ładunek - dodał Seymour. - Porwanie takiej jednostki spowodowałoby natychmiastowy odwet.

- Tylko że w niektórych regionach Trzeciego Świata praktycznie nie obowiązuje prawo - mruknął Gumienny.

- Ale takie szczególnie silne toksyny nie są już produkowane w tych krajach, sir, nawet mimo taniej siły roboczej.

- Wracamy zatem do statku? - spytał Hill. - Więc jednak wybuch tankowca z ropą?

- Surowa ropa nie wybucha - zauważył Seymour. - Kiedy „Torrey Canyon” uległ wypadkowi u wybrzeży Francji, trzeba było użyć bomb fosforowych, żeby spowodować zapłon ropy. Wysadzony w powietrze tankowiec wywołał tylko katastrofę ekologiczną, ogromnych ofiar w ludziach nie będzie. Mógłby je jednak spowodować niewielkich rozmiarów statek do przewozu skroplonego gazu.

- Skroplonego gazu ziemnego? - upewnił się Gumienny. Usiłował przypomnieć sobie, ile portów w Stanach przyjmuje skroplony gaz ziemny używany jako paliwo przemysłowe; ich liczba budziła niepokój. Ale doki znajdują się chyba wiele kilometrów od ludzkich osiedli?

- Skroplony gaz ziemny, znany jako LNG, nie jest łatwopalny - sprostował Seymour. - Przewozi się go specjalnymi jednostkami z podwójnym poszyciem w temperaturze minus stu dwudziestu czterech stopni Celsjusza. Nawet gdyby terroryści przejęli taki statek, surowiec musiałby uciekać do atmosfery przez kilka godzin, zanim stałby się palny. Jednak spece mówią, że jest coś, czego boją się jak diabli. LPG. Skroplona mieszanina propanu i butanu. Jest tak straszna, że nawet mały zbiornikowiec, gdyby został podpalony, spowodowałby wybuch odpowiadający mocą trzydziestu bombom zrzuconym na Hiroszimę. Byłaby to największa nieatomowa eksplozja na świecie.

W pomieszczeniu zapanowała absolutna cisza. Steve Hill wstał, podszedł do okna i spojrzał w dół na płynącą Tamizę skąpaną w blasku kwietniowego słońca.

- Innymi słowy, co chcesz nam powiedzieć, Sam?

- Wydaje mi się, że szukaliśmy niewłaściwego statku na niewłaściwym oceanie. Naszym jedynym atutem jest świadomość, że chodzi o mały i bardzo wyspecjalizowany rynek. Ale największym na świecie importerem gazu są Stany Zjednoczone. Wiem, że w Waszyngtonie panuje przekonanie, że wprowadzono nas w błąd. Myślę, że powinniśmy wykonać ostatni krok. Stany mogą sprawdzić wszystkie statki do przewozu propanu - butanu znajdujące się na ich wodach, nie tylko te płynące z Dalekiego Wschodu. Zatrzymać je, a następnie skontrolować. W Lloydzie mogę sprawdzić listę wszystkich innych zbiornikowców tego typu na świecie.

Marek Gumienny poleciał następnym samolotem do Waszyngtonu. Musiał wziąć udział w konferencji i miał robotę do wykonania. Kiedy startował z Heathrow, „Hrabina Richmond” ominęła Przylądek Igielny na wybrzeżu Afryki Południowej i wpłynęła na Ocean Atlantycki.



„Hrabina” szła w dobrym tempie; nawigator, jeden z trzech Indonezyjczyków, ocenił, że prąd wokół Przylądka Igielnego oraz płynący na północ Prąd Benguelski jeszcze przyspieszą rejs i

pozwolą dojść do celu ze sporym zapasem czasu.

Wiele jednostek, które płynęły z Oceanu Indyjskiego, okrążyło przylądek i zmierzało do Europy i Ameryki Północnej. Niektóre przewoziły rudę żelaza, a inne wiozły na oba zachodnie kontynenty wyprodukowane na Wschodzie towary; co roku wzrastała liczba płynących z Azji statków, gdyż firmy przenoszą produkcję tam, gdzie siła robocza jest najtańsza. Płynęły jeszcze supertankowce zbyt wielkie nawet na Kanał Sueski; komputery pokładowe prowadziły je ze wschodu na zachód poza linią stu sążni, a załogi grały w karty.

Wszystkie były odnotowywane. Wysoko w górze, poza zasięgiem wzroku, satelity krążące na orbicie okołoziemskiej przekazywały do Waszyngtonu zdjęcia ich sylwetek oraz nazwy wypisane na burtach. Ponadto, zgodnie z najnowszymi przepisami, każdy miał na pokładzie nadajnik emitujący własny sygnał, który można było potwierdzić. Zidentyfikowano wszystkie, między innymi „Hrabinę Richmond”, za którą poświadczyła firma Lloyds, Siebart and Abercrombie; przewoźnik poinformował, że jest to mały frachtowiec wiozący zarejestrowany ładunek ustaloną trasą z Surabai do Baltimore. W Stanach uznano, że nie ma potrzeby przeprowadzać bardziej dogłębnego badania, bo statek znajdował się tysiące mil od amerykańskich wybrzeży.

W ciągu kilku godzin od powrotu Marka Gumienny'ego do Waszyngtonu wprowadzono korekty w środkach prewencyjnych podjętych przez Stany Zjednoczone. Na Pacyfiku kordon został zmniejszony do tysiąca mil od wybrzeża. Taki sam ustawiono na Atlantyku od Labradoru do Portoryko oraz na całej szerokości Morza Karaibskiego do półwyspu Jukatan w Meksyku.

Przestano zwracać uwagę na gigantyczne tankowce i frachtowce (które zresztą zostały już skontrolowane) i skierowano ją na dziesiątki mniejszych, które krążą się po morzach od Wenezueli po Rzekę św. Wawrzyńca. Wszystkie samoloty EP - 3 Orion zostały wysłane na morze; latały nad setkami tysięcy mil kwadratowych mórz tropikalnych, poszukując małych zbiornikowców, zwłaszcza tych przewożących gaz.

Amerykańscy przemysłowcy podali szczegóły każdego ładunku, którego się spodziewali, oraz miejsce i datę jego przyjęcia. Dane od, nich uzyskane zostały porównane z tym, co zaobserwowano na morzu; wszystko się zgadzało. Zbiornikowcom przewożącym gaz pozwolono wejść do portów i przycumować, ale dopiero gdy dwieście mil od brzegu na ich pokłady weszła eskorta marynarzy, piechoty morskiej lub Straży Wybrzeża.



„Dofia Maria” wróciła do Port of Spain, gdy dwaj terroryści na jej pokładzie zobaczyli sygnał, na który czekali. I postąpili zgodnie z rozkazem.

Republika Trynidadu i Tobago jest poważnym eksporterem produktów petrochemicznych do Stanów Zjednoczonych. „Dofia Maria” przycumowała obok wysepki, do której podchodziły tankowce i zbiornikowce, zabierały ładunki i odpływały, nawet nie zbliżając się do miasta.

„Dona Maria” była zbiornikowcem, należała do flotyli jednostek obsługujących wyspy, które ani nie potrzebują, ani nie muszą przyjmować morskich olbrzymów. Wielkie tankowce są

wykorzystywane do przywozu wenezuelskiej ropy, przerabianej później w rafineriach lądowych, a następnie przepompowywanej na wyspę, skąd zabierają ją dalej mniejsze jednostki.

Zbiornikowiec „Dona Maria” wraz z dwoma mniejszymi znalazł się obok najbardziej oddalonej od centrum części wyspy. Jej ładunkiem był skroplony propan - butan i nikt nie chciał przebywać blisko w czasie przepompowywania. Było późne popołudnie, gdy załadunek się skończył; kapitan Montalban zarządził przygotowania do wyjścia w morze.

Do tropikalnego zmierzchu pozostały jeszcze dwie godziny, gdy statek odcumował i odpłynął od nabrzeża. Milę od brzegu „Dona Maria” przeszła tuż obok pontonu, na którym siedziało czterech mężczyzn z wędkami. To właśnie był znak.

Dwaj Hindusi zeszli z posterunków, zbiegli pod pokład i wyjęli z szafek pistolety. Jeden podszedł do śródokręcia, gdzie szpigaty znajdowały się najbliżej wody i najłatwiej było dostać się na pokład.

Drugi wszedł na mostek i przystawił pistolet do skroni kapitana Montalbana.

- Proszę nic nie robić, panie kapitanie - rzekł grzecznie. - Nie trzeba zwalniać. Moi koledzy za kilka minut wejdą na pokład. Proszę nie nadawać, bo inaczej będę musiał pana zastrzelić.

Kapitan był zbyt zaskoczony i zdziwiony, by nie posłuchać. Gdy się otrząsnął, zerknął na radio, lecz Hindus zauważył to spojrzenie i pokręcił głową. Kilka minut później na pokładzie znalazło się czterech terrorystów i opór stał się daremny.

Ostatni, który schodził z pontonu, przeciął go nożem i gumowa łódź zatonała w wodzie spienionej za rufą zbiornikowca. Pozostałych trzech już wspięło się na pokład i przeszło wzdłuż labiryntu rur, rurek i zaworów zapełniających przednią część pokładu każdego zbiornikowca.

Po chwili stanęli na mostku; byli to dwaj Algierczycy i dwaj Marokańczycy, przysłani przez doktora Al - Chattaba miesiąc wcześniej. Mówili wyłącznie po arabsku, lecz Hindusi, wciąż grzeczni, tłumaczyli. Czterem Latynosom kazano wejść na pokład dziobowy i czekać. Statek miał popłynąć nowym kursem.

Godzinę po zmroku czteroosobowa załoga została z zimną krwią zamordowana i wyrzucona za burtę; wcześniej do kostki każdego zabitego przywiązano kawałek łańcucha. Jeśli w kapitanie Montalbanie była jakaś resztką ducha oporu, to teraz się rozwiązała. Egzekucję wykonano mechanicznie; Algierczycy należeli do AIG, Zbrojnej Grupy Islamskiej, i wymordowali setki bezbronnych fellachów, prostych rolników, tylko po to, by udowodnić coś rządowi w Algierze. Wielokrotnie zabijali mężczyzn, kobiety, dzieci, ludzi chorych i starych, więc czterech marynarzy nie zrobiło im żadnej różnicy.

Przez całą noc „Doña Maria” szła na północ, lecz już nie w kierunku Portoryko. Jej celem był bezmiar Morza Karaibskiego, niczym niezakłócony aż do Meksyku. Po prawej stronie, całkiem niedaleko, pokazały się dwa archipelagi: Wyspy Podwietrzne i Wyspy Zawietrzne; oblewające je ciepłe wody uważane są wyłącznie za cel wypraw turystycznych, lecz uwija się po nich setki małych

łodzi i zbiornikowców, które dostarczają na wyspy prowiant i wszystko, co potrzebne ludziom do życia.

„Dona Maria” zniknęła w tym mrowiu stateczków i wysepek i ujawniła się dopiero wtedy, gdy z opóźnieniem zameldowała się w Portoryko.



Kiedy „Hrabina Richmond” weszła w równikowy pas ciszy, morze się uspokoiło i Jusuf Ibrahim wychynął z kabiny. Był blady i wyczerpany chorobą morską, lecz gdy wydawał rozkazy, w jego czarnych oczach płonęła wciąż ta sama nienawiść. Załoga wyciągnęła z maszynowni sześciometrową łódź pontonową. Po napełnieniu powietrzem zawieszono ją nad rufą na dwóch żurawikach.

Sześciu mężczyzn, pocąc się i stękając, wyciągnęło stukonny silnik i przymocowało go do rufy łodzi. Następnie spuszczone ją na spokojną wodę.

Opuszczono i przymocowano zbiorniki z paliwem. Po kilku nieudanych próbach silnik zakaszlał i zapalił. Indonezyjski nawigator siedzący przy sterze szybko okrążył „Hrabinę”.

Wreszcie sześciu mężczyzn zeszło po drabince do łodzi; przy sterze został tylko Ibrahim. Nie uległo wątpliwości, że jest to próba generalna.

W ćwiczeniach chodziło o to, by zabrać Sulajmana na pokład pontonu, odpłynąć trzysta metrów od frachtowca i zawrócić tak, aby umożliwić mu sfilmowanie statku kamerą cyfrową. Po podłączeniu kamery do laptopa za pośrednictwem telefonu satelitarne zdjęcia miały zostać przesłane na stronę internetową w innej części świata, zarejestrowane i wyemitowane.

Mike Martin wiedział, co rozgrywa się na jego oczach. Dla terrorystów Internet i cyberprzestrzeń stały się niezbędnym orężem propagandowym. Każde okrucieństwo, o którym można przeczytać w gazecie, jest dobre, a jeśli mogą je zobaczyć miliony młodych muzułmanów w siedemdziesięciu krajach, przyciąga rzesze ochotników. Właśnie w ten sposób werbuje się rekrutów: są to ci, którzy widzą zdarzenie i palą się, by je powtórzyć.

Martin widział w zamku Forbes zdjęcia z Iraku, widział zamachowców - samobójców, którzy szczerzą zęby przed obiektywem, a zaraz potem giną. W takich wypadkach kamerzysta przeżywał, tym razem filmowanie miało trwać do chwili, aż łódź oraz siedmiu płynących w niej mężczyzn zginie. Tylko Ibrahim miał zostać przy sterze.

Zagadką pozostawało jednak, gdzie i kiedy to się stanie, i jaka straszna broń kryje się we wnętrzu kontenerów. Mike pomyślał, że mógłby pierwszy wejść na pokład statku, zostawiając łódź na wodzie, zabić Ibrahima i przejąć frachtowiec. Zrezygnował jednak z tego pomysłu. Motorowy ponton był o wiele szybszy od statku, sześciu terrorystów w ciągu kilku sekund wdrapałoby się na pokład.

Po zakończeniu ćwiczeń pusta łódź została zawieszona na żurawikach, gdzie wyglądała jak

zwyczajna szalupa; inżynier zwiększył moc silników i „Hrabina” popłynęła na północny zachód wzdłuż wybrzeży Senegalu.

Jusuf Ibrahim, któremu przestała dokuczać choroba morska, spędzał więcej czasu na mostku i w mesie z resztą załogi. Atmosfera stała się wyjątkowo napięta.

Każdy z ośmiu mężczyzn na pokładzie podjął decyzję, że chce umrzeć jako *shahid*, męczennik. To jednak zmieniało fakt, że oczekiwanie i nuda nadwerężały ich nerwy. Tylko ciągłe modlitwy oraz obsesyjne czytanie Koranu pozwalały im zachować spokój i wytrwać w wierze w to, co robią.

Jedynie inżynier i Ibrahim wiedzieli, co znajduje się pod stalowymi kontenerami, którymi zastawiona była przednia część pokładu „Hrabiny Richmond”, od mostka prawie do forpiku. Wydawało się, że tylko Ibrahim zna cel podróży i ataku. Pozostałych siedmiu musiało wierzyć w zapewnienia, że czeka ich nieprzemijająca chwała.

Martin w ciągu kilku godzin od przybycia Ibrahima na pokład uświadomił sobie, że ten stale wpatruje się w niego pustym obłąkańczym spojrzeniem. Nie byłby człowiekiem, gdyby go to nie poruszyło.

Zaczęły go nurtować niepokojące pytania. Czyżby Ibrahim jednak widział Ismata Chana w Afganistanie? Czy zada mu jakieś pytanie, na które on, Martin, nie zdoła odpowiedzieć? Czy pomylił kilka słów w trakcie nieustannej recytacji modlitw? Czy Ibrahim podda go próbie, każąc powtórzyć ustępy, których niedostatecznie się nauczył?

Mike po części miał rację, a po części się mylił. Jordański psychopata nigdy nie widział Ismata Chana, choć słyszał o tym legendarnym talibskim bojowniku. Martin nie pomylił się w czasie modlitw. Ibrahim po prostu nienawidził Pasztuna, zazdrościł mu bitewnej sławy, której sam nigdy nie zaznał. Z tej zawiści zrodziło się pragnienie, by Afgańczyk mimo wszystko okazał się zdrajcą, żeby udało się go zdemaskować i zabić.

Trzymał jednak swój gniew na wodzy z powodu, który należy do najstarszych na świecie: bał się górala i chociaż nosił pistolet pod burnusem i przysiągł zginąć, nie potrafił stłumić w sobie podziwu dla człowieka z Tora Bora. Przypatrywał mu się więc, rozmyślał i czekał.



Poszukiwanie statku widma, jeśli taki w ogóle istniał, po raz drugi zakończyło się całkowitym fiaskiem. Steve Hill był zasypywany prośbami o informację, o cokolwiek, co mogłoby uspokoić wszystkich łącznie z Downing Street.

Szef sekcji bliskowschodniej nie potrafił podać odpowiedzi na pytania premiera Wielkiej Brytanii i prezydenta Stanów Zjednoczonych. Czy ten statek w ogóle istnieje? A jeśli istnieje, to co to za jednostka, gdzie jest i które miasto stanowi jej cel? Codzienne narady stały się piekłem.

Szef SIS, nigdy nie nazywany inaczej niż C, milczał nieugięte. Po Peszawarze wszystkie kręgi władzy zgodziły się, że terroryści szykują spektakularną akcję. Świat jaskini luster nie ma litości dla

tych, którzy zawodzą swoich politycznych pryncypałów.

Od czasu znalezienia przez celników wiadomości na kartce papieru agent nie dał znaku życia. Żyje czy zginął? Nikt nie znał odpowiedzi na to pytanie, a niektórych przestało to obchodzić. Upłynęły niemal cztery tygodnie i zaczął przeważać pogląd, że należy już o nim mówić w czasie przeszłym.

Szeptano, że zrobił swoje, został zdemaskowany i zabity, ale sprawił, że terroryści zrezygnowali z realizacji planu. Tylko Hill zalecał ostrożność i dalsze poszukiwanie źródła wciąż nieznanego zagrożenia. W posępnym nastroju pojechał do Ipswich, żeby pogadać z Seymourem i dwoma specami od sekcji niebezpiecznych ładunków w biurze Lloyda, którzy pomagali mu badać najbardziej dziwaczne możliwości.

- Sam, kiedy rozmawialiśmy w Londynie, użyłeś wyrażenia, od którego jeżą się włosy na głowie. Wybuch o sile trzydziestu bomb zrzuconych na Hiroszimę. Jak to u licha możliwe, żeby zbiornikowiec spowodował więcej szkody niż cały projekt Manhattan?

Sam Seymour był zmęczony. Miał trzydzieści dwa lata i widział, że oddala się perspektywa obiecującej kariery w brytyjskim wywiadzie, że mogą go odsunąć na boczny tor do pracy w centralnym archiwum, mimo iż przydzielono mu zadanie, które z każdym dniem wydawało się coraz bardziej niemożliwe do realizacji.

- Niszcząca siła bomby atomowej przychodzi w czterech falach, Steve. Błysk jest tak oślepiający, że może spalić rogówkę oka obserwatora, jeśli ten nie ma okularów z czarnymi soczewkami. Potem nadchodzi wysoka temperatura, która zamienia wszystko w popiół. Fala uderzeniowa burzy budynki w promieniu wielu kilometrów, a promieniowanie gamma przez wiele lat wywołuje raka i wady rozwojowe. Przy wybuchu skroplonego propanu - - butanu w grę wchodzi tylko wysoka temperatura. Ale jest to tak potworna temperatura, że topi stal jak masło, a beton zamienia w pył. Słyszałeś o bombie paliwowo - - powietrznej? Jest tak potężna, że napalm wydaje się przy niej dziecinną zabawką, a siła obu pochodzi z tego samego źródła, czyli ropy. Skroplona mieszanina propanu i butanu jest cięższa od powietrza. Nie przewozi się jej, tak jak gazu ziemnego, w bardzo niskiej temperaturze, tylko pod ciśnieniem. Dlatego zbiornikowce do przewozu gazu mają kadłuby z podwójnym poszyciem. Jeśli poszycie zostanie rozerwane, gaz zaczyna się ulatniać w sposób niewidoczny i mieszać z powietrzem. Jest cięższy od powietrza, dlatego snuje się wokół miejsca, z którego pochodzi, tworząc olbrzymią bombę paliwowo - - powietrzną. Wystarczy to zapalić, i cały ładunek wybuchnie płomieniem, straszliwym płomieniem, który błyskawicznie osiągnie temperaturę pięciu tysięcy stopni Celsjusza. A później zacznie się rozszerzać, wytwarzając własny podmuch. Zamieni się w falę ognia, która będzie pochłaniać wszystko na swojej drodze, dopóki sama się nie wyczerpie. A potem zgaśnie niczym wypalona świeca.

- Jak daleko dotrze kula ognia? - spytał Hill.

- Moi nowi jajogłowi przyjaciele mówią, że zapalony ładunek ośmiotysięcznika pochłonie wszystko i zabije wszystkich ludzi w promieniu około pięciu kilometrów. I jeszcze jedno. Jak powiedziałem, kula ognia tworzy własny podmuch, wchłaniając powietrze, żeby się podsycać, więc nawet jeśli ktoś schroni się w jakiejś kryjówce pięć kilometrów od epicentrum, i tak się udusi.

Steve Hill wyobraził sobie miasto wokół portu, w którym doszłoby do takiego wybuchu. Nie ostałyby się nawet przedmieścia.

- Czy te zbiornikowce są kontrolowane?

- Wszystkie. Duże i małe, nawet te najmniejsze. Sekcja niebezpiecznych ładunków składa się z dwóch ludzi, ale bardzo dobrych. Doszli już do ostatniej garstki zbiornikowców do przewozu propanu - butanu. Jeśli idzie o frachtowce ogólnego przeznaczenia, jest ich tyle, że musimy się ograniczyć do tych o nośności powyżej dziesięciu tysięcy ton. Mniejszymi zajmą się jankesi, kiedy któryś wejdzie w ich zamkniętą strefę morską. Poza tym wszystkie większe porty na świecie zostały ostrzeżone, że zachodni wywiad podejrzewa, że na morzu pływa porwany statek widmo. Muszą podjąć własne środki bezpieczeństwa. Ale szczerze powiedziawszy, Al - Kaida, jeśli chce urządzać masakrę, to weźmie na cel port w wysoko rozwiniętym zachodnim kraju - nie Lagos i nie Dakar, nie muzułmański, hinduski czy buddyjski.

Rozległo się pukanie do drzwi i po chwili ukazała się w nich głowa. Twarz z różowymi policzkami należała do młodego człowieka - Conrada Phippsa.

- Sam, właśnie sprawdziłem ostatni statek. „Wilhelmina Santos” wyszła z Caracas i wiezie skroplony propan - butan do Galveston; załoga potwierdza, że wszystko jest w porządku. Amerykanie szykują się do wejścia na pokład.

- To wszystko? - zapytał Hill. - Każdy zbiornikowiec do przewozu propanu - butanu na świecie został skontrolowany?

- Nie jest ich wiele, Steve - zauważył Seymour.

- Mimo to wydaje się, że znowu zabrnęliśmy w ślepą uliczkę - podsumował Hill. Wstał, przygotowując się do wyjścia.

- Jest jedna rzecz, która mnie martwi, panie Hill - odezwał się spec od niebezpiecznych ładunków.

- Mów mi Steve - rzucił Hill. W SIS zawsze kultywowano tradycję zwracania się do siebie po imieniu, od najniższych rangą do najwyższych; wyjątkiem był sam szef. Swobodne podejście wzmacnia etos pracy zespołowej.

- Przed trzema tygodniami pewien zbiornikowiec LPG zaginął wraz z całą załogą.

- I co z tego?

- Nikt nie widział, jak tonie. Kapitan odezwał się przez radio i bardzo zdenerwowanym głosem wykrzyczał, że w maszynowni wybuchł katastrofalny pożar i chyba nie uda się uratować jednostki. A potem... cisza. Statek nazywał się „Gwiazda Jawy”.

- Jakies ślady? - spytał Seymour.

- Owszem, były. Zanim kapitan przerwał połączenie, podał swoją dokładną pozycję. Pierwszy na miejsce katastrofy dotarł statek chłodnia idący z południa. Kapitan zameldował, że zaobserwował tratwy, kamizelki ratunkowe i rozmaite przedmioty na wodzie. Ani jednego marynarza. O kapitanie i załodze nigdy więcej nie usłyszano.

- Tragiczny wypadek, ale co z tego wynika? - indagował Hill.

- Chodzi o miejsce, w którym to się zdarzyło, sir. To znaczy Steve. Morze Celebes. Dwieście mil od wyspy Labuan.

- O cholera - zaklął Steve Hill i natychmiast ruszył w drogę do Londynu.



Tymczasem „Hrabina Richmond” przekroczyła równik. Płynęła na północno - północny zachód i tylko nawigator wiedział dokładnie, dokąd zmierza. A zmierzała do miejsca leżącego osiemset mil na zachód od Azorów i tysiąc dwieście mil od amerykańskiego wybrzeża. Gdyby przedłużyć linię kursu na zachód, dopłynęłaby do Baltimore nad gęsto zaludnioną zatoką Chesapeake.

Niektórzy spośród załogi „Hrabiny” już rozpoczęli przygotowania do wejścia do raju. Należało do nich ogolenie całego ciała i spisanie testamentu. To drugie robiono przed kamerą, każdy sam odczytywał swoją ostatnią wolę.

Afgańczyk też to uczynił, ale postanowił mówić w paszto. Jusuf Ibrahim w czasie pobytu w Afganistanie nauczył się paru słów w tym języku, więc usiłował zrozumieć, ale nawet gdyby mówił nim płynnie, nie doszukałby się żadnego błędu.

Człowiek z Tora Bora mówił o zagładzie swojej rodziny w wybuchu amerykańskiej rakiety i o radości, że niebawem znów się spotka z bliskimi, niosąc jednocześnie sprawiedliwość Wielkiemu Szatanowi. Wygłaszając tę mowę, uprzytomnił sobie, że nagranie nigdy nie dotrze do brzegu w materialnej postaci. Wszystko zostanie wysłane przez Sulajmana jako strumień danych, zanim ten zginie wraz z całym sprzętem. Nikt jednak nie wiedział, jak zginie i w jaki sposób owa sprawiedliwość zostanie zaniesiona do Stanów Zjednoczonych; wyjątkami byli inżynier i sam Ibrahim. Oni jednak niczego nie ujawniali.

Cała załoga żywiła się jedzeniem z puszek, więc nikt nie zauważył, że z kambuza zniknął stalowy nóż z dwudziestocentymetrowym ostrzem.

Kiedy nikt nie widział, Martin ostrzył go po cichu osełką. Przyszło mu na myśl, że pod osłoną nocy mógłby się wśliznąć przez rufę do pontonu i go przeciąć, ale odrzucił ten pomysł.

Razem z czterema innymi spał pod pokładem dziobowym. Ktoś zawsze stał przy sterze, który znajdował się tuż obok liny wiszącej nad rufą. Radiowiec praktycznie mieszkał w maleńkiej klitce ze sprzętem, która mieściła się tuż za mostkiem, a inżynier stale był w maszynie, pod mostkiem na rufie. Każdy z nich mógł wysunąć głowę i zobaczyć Martina.

Zauważono by, że ponton został zniszczony, i dowiedziano by się o istnieniu sabotażysty. Utrata łodzi stanowiłaby utrudnienie, lecz niewystarczające, by skłonić terrorystów do odwołania misji. Poza tym był jeszcze czas na załatwienie pontonu. Mike zrezygnował z tego pomysłu, ale nosił nóż przywiązany na poziomie krzyża. Podczas każdej wachty za sterem usiłował odgadnąć, do którego portu się kierują, co kryją kontenery. Musiał to wiedzieć, by móc zniszczyć ładunek. Jednak nie poznał odpowiedzi na żadne z tych pytań, a „Hrabina” wciąż szła na północno - północny zachód.



Globalne polowanie zmieniło i zawęziło cel. Wszystkie morskie olbrzymy, tankowce i zbiornikowce do przewozu propanu - butanu zostały namierzone i skontrolowane. Wszystkie nadajniki identyfikacyjne wysłały wymagane sygnały, kursy zgadzały się z wcześniej ustalonymi; trzy tysiące kapitanów odpowiedziało własnym głosem swoim armatorom i agentom, podając daty urodzenia i inne szczegóły; nawet gdyby odpowiadali z pistoletami przystawionymi do głowy, porywacze nie mogliby wiedzieć, czy mówią prawdę.

Amerykańska flota, piechota morska i Straż Wybrzeża wyteżyły wszystkie siły; marynarze, komandosi i strażnicy pracowali bez wytchnienia, wchodząc na pokład i eskortując każdy frachtowiec, który chciał wejść do dużego portu. Wiązało się to z pewnymi niedogodnościami, lecz nie takimi, jakie mogłyby naprawdę zaszkodzić największej gospodarce świata.

Wskazówka uzyskana w Ipswich spowodowała, że wywiad sprawdził najdrobniejsze szczegóły związane z pochodzeniem i właścicielem „Gwiazdy Jawy”. Mały armator ukrywał się za „firmą osłonką” związaną z bankiem, który okazał się tabliczką na drzwiach w jednym z dalekowschodnich rajów podatkowych. Rafineria na Borneo dostarczająca statkowi ładunku była legalną firmą, ale o jednostce wiadano w niej bardzo mało. Ustalono, kto zbudował statek, który miał po kolei sześciu właścicieli, i uzyskano od stoczni jego plan. Zlokalizowano siostrzaną jednostkę, Amerykanie weszli na pokład i zmierzili ją we wszystkie strony. Za pomocą komputera stworzono dokładny obraz „Gwiazdy Jawy”.

Złożono zbrojną wizytę krajowi z tanią banderą, pod którą jednostka pływała. Była to polinezyjska republika wyspiarska; kontrolerzy wnet przekonali się, że zbiornikowiec nigdy tam nie zawijał.

Zachód musiał poznać odpowiedzi na trzy pytania: czy statek naprawdę zatonął? Jeśli nie, to gdzie się obecnie znajduje? I jak brzmi jego nowa nazwa? Satelity KH - 11 otrzymały polecenie zawężenia kręgu poszukiwań do jednostek przypominających „Gwiazdę Jawy”.



W pierwszym tygodniu kwietnia wspólna operacja prowadzona w bazie lotniczej w Edzell w Szkocji została zamknięta. Zespół nie mógł już zrobić nic, czego nie robiły bardziej oficjalnie główne zachodnie agencje wywiadowcze.

Michael McDonald z ulgą powrócił do rodzinnego Waszyngtonu. Nadal brał udział w polowaniu na statek widmo, lecz przebywał poza Langley. CIA zabrała się do ponownego

przesłuchiwania każdego więźnia osadzonego w tajnych więzieniach, który przed pojmaniem mógł dowiedzieć się czegoś o projekcie Al - Isra. Zasięgano języka u wszystkich informatorów w spowitym mrokiem świecie muzułmańskiego terroryzmu. Nic nie uzyskano. Wydawało się, że wyrażenie nawiązujące do magicznej podróży przez noc, u której kresu czekało wielkie oświecenie, narodziło się i umarło wraz ze śmiercią egipskiego bankiera - terrorysty. Tego, który w październiku skoczył z balkonu w Peszawarze.

Z zalem uznano pułkownika Mike'a Martina za zaginionego w akcji. Najwyraźniej zrobił, co mógł, a jeśli uda się namierzyć „Gwiazdę Jawy” lub inną pływającą bombę idącą w stronę wybrzeży Stanów Zjednoczonych, będzie to jego sukces. Nikt jednak nie spodziewał się, że jeszcze go kiedyś zobaczy. Po prostu upłynęło za dużo czasu od chwili, gdy dał ostatni znak życia na Labuanie.

Trzy dni przed szczytem G8 cierpliwość w najwyższych kręgach się wyczerpała. Postanowiono zarzucić globalne poszukiwanie podjęte na podstawie wskazówki z Wielkiej Brytanii. Marek Gumienny zadzwonił z Langley do Steve'a Hilla, korzystając z bezpiecznej linii.

- Przykro mi, Steve. Współczuję ci, a jeszcze bardziej Mike'owi Martinowi, ale jesteśmy przekonani, że zginął.

Przeprowadzono największe w historii morskie łowy i wszystko wskazuje na to, że Martin się pomylił.

- A teoria Sama Seymoura? - spytał Hill.

- To samo. Wszystko na nic. Sprawdziliśmy chyba każdy cholerny zbiornikowiec na świecie, każdego rodzaju. Zostało jeszcze z pięćdziesiąt do zlokalizowania i zidentyfikowania, a potem koniec. Jeśli pod słowem Al - Isra coś się kryło, to chyba nigdy się nie dowiemy co. Akcja, jeśli to była jakaś akcja, została dawno odwołana. Poczekaj... Tylko wyłączę drugą linię.

Po chwili odezwał się znowu.

- Jakiś spóźniony statek. Wyszedł z Trynidadu cztery dni temu i płynie do Portoryko. Miał dotrzeć wczoraj. Nie pokazał się. Nie odpowiada.

- Co to za statek? - zapytał Hill.

- Zbiornikowiec. Trzy tysiące ton. Może mieli awarię. Właśnie sprawdzamy.

- Jaki wiózł ładunek?

- Skroplony propan - butan - odparł Gumienny.



Statek został wykryty przez satelitę KH - 11 sześć godzin po tym, jak z Portoryko wysłano do biura rafinerii w Houston skargę na opóźnienie. Wszczęto alarm.

Satelita przeszukujący kamerami i czujnikami pas morza szerokości pięciuset mil wychwycił sygnał nadajnika jednostki, a komputer potwierdził, że pochodzi on ze spóźnionej „Dony Marii”.

Informacja momentalnie dotarła do kilku agencji i właśnie dlatego przerwano Markowi Gumienny'emu rozmowę z Londynem. Przekazano ją także do kwatery głównej Dowództwa Operacji Specjalnych (SOCOM)*(Operations Command.)w Tampie na Florydzie, marynarki wojennej oraz Straży Wybrzeża. Wszyscy zainteresowani otrzymali także dokładne współrzędne jednostki.

Niewyłączenie nadajnika świadczyło albo o wielkiej głupocie porywaczy, albo o wierze w ich szczęśliwą gwiazdę. Oni jednak tylko wypełniali rozkazy. Nadajnik zdradzał nazwę statku i jego pozycję. Gdyby go wyłączyli, natychmiast zaczęto by podejrzewać, że jest statkiem widmem.

Zbiornikowcem LPG wciąż sterował kapitan Montal - ban, który od czterech dni nie spał, nie licząc krótkich drzemek; wrywano go z nich kopniakami. „Dona Maria” przemknęła w ciemności obok Portoryko, przeszła na zachód od wysp Turks i Caicos, a potem na jakiś czas zagubiła się wśród siedmiuset wysepek tworzących Bahamy.

Kiedy namierzył ją satelita, szła zachodnim kursem na południe od Bimini, najdalej na zachód wysuniętej wyspy archipelagu.

W Tampie wyznaczono jej kurs i przedłużono go. Linia mierzyła prosto w wejście do portu Miami, drogą wodną prowadzącą do samego serca miasta.

Dziesięć minut później zbiornikowiec miał już spore towarzystwo. Samolot do zwalczania okrętów podwodnych P - 3 wzbił się z bazy powietrznej sił morskich w Key West, zszedł na wysokość około tysiąca metrów i zaczął krążyć, filmując statek ze wszystkich stron. Obraz jednostki pojawił się na wielkim na całą ścianę plazmowym ekranie w sali operacyjnej w Tampie.

- Jezu Chryste, popatrzcie tylko - mruknął operator, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Ktoś już w czasie rejsu zszedł na rufę zbiornikowca z pędzlem i białą farbą, i próbował domalować poprzeczną kreskę na literze „i” w imieniu Maria. Usiłowano przechrzcić statek na „Dofia Marta”, lecz litera została namalowana tak niezdarnie, że mogła zmylić obserwatora tylko na chwilę.

W Charleston w Karolinie Południowej pływają dwa kutry klasy Hamilton należące do Straży Wybrzeża i oba były akurat na morzu. Są to 717 USCG „Mellon” oraz siostrzana jednostka „Morgenthau”. „Mellon” był bliżej, więc przyspieszył; nawigator wyznaczył nowy kurs, który miał przeciąć kurs zbiornikowca za półtorej godziny, tuż przed zachodem słońca.

Nazwa kuter nie oddaje sprawiedliwości jednostce takiej jak „Mellon”, mającej sto pięćdziesiąt metrów długości i trzy tysiące trzysta ton wyporności, która może spełniać zadania małego niszczyciela. „Mellon” mknął po spienionych na początku kwietnia wodach Atlantyku, a załoga szykowała uzbrojenie, tak na wszelki wypadek. Zbiornikowiec już został zakwalifikowany jako jednostka „prawdopodobnie wrogo nastawiona”.

Z uzbrojeniem „Mellona” nie ma żartów. Najlżejszą bronią jest dwudziestomilimetrowe działko Gatling, wyrzucające taką masę pocisków, że używa się go do obrony antyrakietowej. W teorii lecąca rakietka powinna zostać rozszarpana przez taki grad pocisków. Jednak działko nie musi być używane do tego celu, gdyż może rozerwać na strzępy prawie wszystko, pod warunkiem że cel nie jest zbyt odległy.

„Mellon” miał także na pokładzie dwa dwudziesto - pięciomilimetrowe działa Bushmaster, nie tak szybkie, ale cięższe, które mogły całkowicie zepsuć rejs zbiornikowcowi. Na pokładzie kutra znajdowało się również szybkostrzelne siedemdziesięciosześcimilimetrowe działko Oto Melara. Kiedy „Dona Maria” ukazała się na horyzoncie, wszystkie trzy rodzaje uzbrojenia były gotowe do strzału i obsadzone, a ci, którzy przy nich siedzieli, zasługiwaliby na miano świętych, gdyby nie palili się do użycia ich w prawdziwej akcji, a nie, jak dotychczas, tylko w czasie ćwiczeń.

Orion krążył w górze, przekazując zdjęcia do Tamy w czasie rzeczywistym, a „Mellon” podszedł łukiem od rufy zbiornikowca i zrównał się z nim, płynąc w odległości stu osiemdziesięciu metrów. Wywołano „Donę Marię” przez silny megafon.

- Niezidentyfikowany zbiornikowiec, tu mówi jednostka Straży Wybrzeża Stanów Zjednoczonych „Mellon”. Zwolnij. Powtarzam, zwolnij. Wchodzimy na wasz pokład.

Przez silną lornetkę polową widać było postać przy sterze i dwóch stojących obok ludzi. Statek nie zwolnił. Powtórzono wezwanie.

Po trzecim powtórzeniu kapitan rozkazał wystrzelić raz w morze przed dziobem zbiornikowca. Fontanna wody spryskała brezent, którym ktoś bezskutecznie usiłował zamaskować płataninę rur świadczących o tym, co statek przewozi. Ludzie znajdujący się na mostku „Dony Marii” musieli zrozumieć, ale nie zwolnili tempa.

Wtedy z drzwi kasztelu tuż za mostkiem wyszło dwóch ludzi; jeden miał karabin maszynowy M60 zawieszony na szyi. To przypieczętowało los zbiornikowca. Mężczyzna był dobrze widoczny w blasku zachodzącego słońca, jego wygląd wskazywał na północnoafrykańskie pochodzenie. Posłał kilka kul, które przeszły ponad „Mellonem”, a potem dostał w pierś pociskiem z jednego z czterech wymierzonych w niego karabinów M 16.

To był koniec negocjacji. Zwłoki Algierczyka runęły na pokład, a drzwiczki, z których wyszedł, zatrzasnęły się; kapitan „Mellona” zwrócił się o pozwolenie zatopienia wrogiego statku. Nie otrzymał go. Rozkaz z bazy nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

- Jak najprędzej odejdz od statku na dużą odległość. To pływająca bomba. Zajmij pozycję milę od zbiornikowca.

Kapitan z zalem wykonał zwrot, przyspieszył maksymalnie, oddalając się od niebezpiecznej jednostki. Dwa myśliwce F - 16 Falcon już się zbliżały, za trzy minuty miały dolecieć do celu.

W bazie lotniczej Pensacola na Florydzie jest eskadra, która utrzymuje całodobową gotowość bojową, piloci w ciągu pięciu minut mogą wzbić się w powietrze. Ich głównym celem są przemytnicy

narkotyków, którzy drogą lotniczą, a czasem morską próbują wwozić towar, przeważnie kokainę, na Florydę i do sąsiednich stanów.

Myśliwce pojawiły się na jasnym niebie od strony zachodzącego słońca, namierzyły zbiornikowiec na zachód od Bimini i uzbroiły pociski Maverick. Na wyświetlaczach w kabinach obu pilotów ukazały się napisy „inteligentny”, „pocisk” i „cel”. Koniec zbiornikowca nastąpił w sposób mechaniczny, bardzo precyzyjny i pozbawiony emocji.

Dowódca wydał krótki zwięzły rozkaz i oba mavericki oderwały się od mocowań pod myśliwcami. Po kilku sekundach dwie głowice bojowe zawierające sto trzydzieści pięć kilo materiałów wybuchowych każda uderzyły w zbiornikowiec.

Mimo że ładunek statku nie zmieszał się z powietrzem, które zwiększyłoby moc wybuchu, eksplozje mavericków w samym środku skroplonego gazu wystarczyły.

Załoga „Mellona” obserwowwała kulę ognia z odległości mili morskiej i była pod wrażeniem. Marynarze poczuli falę gorąca na twarzach i smród płonącej benzyny. Statek został unicestwiony w mgnieniu oka. Na powierzchni nie zostały żadne dymiące szczątki. Dziób i rufa zbiornikowca poszły pod wodę niczym dwa odrębne kawały stopionego złomu. Resztki paliwa tliły się przez pięć minut na wodzie, a potem pochłonęło ją morze.

Wszystko odbyło się zgodnie z planem Ali Aziza al - Chattaba.

Niecałą godzinę później prezydentowi Stanów Zjednoczonych w czasie oficjalnego bankietu przekazano szeptem wiadomość. Prezydent skinął głową, zażyczył sobie, by nazajutrz o ósmej rano na jego biurku w Gabinetcie Owalnym znalazł się pełny raport, a potem zajął się jedzeniem zupy.

Za pięć ósma dyrektora CIA wraz z towarzyszącym mu Markiem Gumiennym wprowadzono do Gabinetu Owalnego. Gumienny był tam już dwa razy i pokój wciąż robił na nim piekielne wrażenie. Czekał w nim prezydent oraz pięciu najważniejszych ludzi w państwie.

Formalności zajęły chwilę. Gumienny'emu kazano opisać przebieg i zakończenie długich ćwiczeń antyterrorystycznych oznaczonych kryptonimem Łom.

Gumienny się streszczał, mając świadomość, że mężczyzna siedzący pod wychodzącym na ogród różany oknem z dwudziestocentymetrową szybą kuloodporną nie lubi długich wyjaśnień. Obowiązująca zasada brzmiała „masz kwadrans, a potem się zamknij”. Marek Gumienny wyłożył wszystkie szczegóły operacji Łom w ciągu dwunastu minut.

Kiedy zamilkł, zapadła cisza.

- Więc wskazówka Brytyjczyków okazała się trafna? - spytał wiceprezydent.

- Tak, sir. Agent, którego umieścili w Al - Kaidzie, bardzo dzielnego człowieka, którego miałem zaszczyt poznać jesienią, należy uznać za zaginionego. Gdyby żył, dałby do tej pory znak. Ale wysłał wiadomość. Bronią terrorystów rzeczywiście okazał się statek.

- Nie miałem pojęcia, że tak niebezpieczne ładunki są codziennie przewożone po całym świecie - dziwił się sekretarz stanu.

- Ani ja - dodał prezydent. - A teraz co mi radzicie w związku z konferencją G8?

Sekretarz obrony zerknął na dyrektora NSA i skinął głową. Najwyraźniej wspólnie przygotowali strategię.

- Panie prezydencie, mamy powody wierzyć, że zagrożenie terrorystyczne dla naszego kraju, a zwłaszcza dla miasta Miami, zostało zlikwidowane wczoraj wieczorem. Niebezpieczeństwo minęło. Jeśli chodzi o G8, to w czasie trwania całej konferencji będzie pan pod ochroną marynarki wojennej, a flota dała słowo, że nic panu nie zagrozi. Radzimy więc, żeby bez najmniejszych obaw poprowadził pan konferencję!

- I tak właśnie zamierzam uczynić - rzekł prezydent Stanów Zjednoczonych.

ROZDZIAŁ 17

David Gundlach uważał, że ma najlepszą robotę pod słońcem. A w najgorszym razie drugą w kolejności. Co prawda czwarty złoty pasek na rękawie lub epoletach i stanowisko kapitana okrętu byłyby jeszcze lepsze, ale zadowalał się stopniem pierwszego oficera.

W kwietniowy wieczór stał po prawej stronie ogromnego mostka i spoglądał na ludzkie mrowie w doku nowego brooklyńskiego terminalu sześćdziesiąt metrów niżej. Stojąc na wysokości dwudziestotrzypiętrowego gmachu, Gundlach spoglądał na większość dzielnicy z góry.

Molo numer dwanaście w kanale Buttermilk, otwierane właśnie tego wieczoru, nie jest małe, lecz liniowiec zajmował większą jego część. Statek miał trzysta czterdzieści pięć metrów długości, czterdzieści jeden metrów szerokości i dwanaście metrów zanurzenia, tak że musiano dla niego pogłębić cały kanał. Był zdecydowanie największą jednostką pasażerską pływającą na świecie. Im dłużej pierwszy oficer Gundlach patrzył na statek, tym większy odczuwał podziw. To miał być pierwszy rejs Gundlacha po awansie.

Daleko w stronę ulic biegnących za terminalem portowym pierwszy oficer widział transparenty rozgniewanych demonstrantów. Nowojorska policja bardzo skutecznie odcięła cały terminal. Policja portowa uwijała się w łodziach po przystani, żeby nie dopuścić demonstrantów do statku.

Nawet gdyby ci zbliżyli się do liniowca na poziomie morza, nic by im to nie dało. Stalowy kadłub statku wznosił się nad wodą, w najniższym punkcie miał ponad piętnaście metrów wysokości. Dlatego ci, którzy wchodzili tego wieczoru na pokład, mieli zapewniony całkowity spokój.

Zresztą nie budzili oni większego zainteresowania demonstrantów, bo na razie były to płotki: stenografowie, sekretarki, młodszy rangą dyplomaci, doradcy oraz wszystkie te ludzkie mrówki, bez których wielcy i dobrzy tego świata najwyraźniej nie mogą omawiać kwestii głodu, ubóstwa, bezpieczeństwa, barier handlowych, obrony i sojuszy.

Na myśl o kwestiach bezpieczeństwa David Gundlach ściągnął brwi. On i jego koledzy godzinami oprowadzali tuziny agentów Secret Service po każdym centymetrze statku. Wszyscy ochroniarze wyglądali tak samo, marszczyli czoła i mamrotali do rękawów, w których mieli ukryte mikrofony; odpowiedzi dostawali przez głośniki wetknięte w uszy, bez których czuli się nadzy. Gundlach doszedł do wniosku, że mają zawodową paranoję; nie znaleźli nic, do czego mogliby się przyczepić.

Sprawdzono przeszłość i teraźniejszość każdego członka liczącej tysiąc dwieście osób załogi i nie natrafiono na nic, co świadczyłoby przeciw któremukolwiek z nich. Wielki podwójny apartament zarezerwowany dla prezydenta Stanów Zjednoczonych i pierwszej damy był już pilnowany przez agentów ochrony. Wcześniej przetrząsnęto każdy centymetr kwadratowy jego powierzchni. Dopiero po zobaczeniu tego wszystkiego David Gundlach uświadomił sobie, jakim kokonem otoczony jest przez cały czas prezydent.

Zerknął na zegarek. Za dwie godziny dobiegnie końca wchodzenie na pokład trzech tysięcy pasażerów, a dopiero potem przybędą głowy ośmiu państw. Podobnie jak dyplomaci w Londynie,

podziwiał prostotę pomysłu zorganizowania największej i najbardziej prestiżowej konferencji na świecie na pokładzie największego i najbardziej luksusowego liniowca pływającego po morzach świata. W czasie pięciu dni trwania konferencji liniowiec miał odbyć rejs z Nowego Jorku do Southampton.

Fortel zmylił wszystkie siły, które zwyczajowo każdego roku dążyły do zakłócenia szczytu G8. „Queen Mary II”, óra mogła przyjąć na swój pokład cztery tysiące dwustu ludzi, była lepsza od góry, lepsza nawet od wyspy. Była nietykalna.

Gundlach będzie stał obok kapitana, gdy syreny Typhoon swoim głębokim basem obwieszczą, że liniowiec żegna się z Nowym Jorkiem. Ustawi cztery silniki na odpowiednią moc, a kapitan za pomocą małego drążka na konsoli wyprowadzi go z East River i skieruje na Atlantyk. Stery były delikatne, a silniki rufowe wielofunkcyjne, więc statek obróci się o trzysta sześćdziesiąt stopni i wyjdzie z terminalu bez pomocy holowników.



Daleko na wschód od Nowego Jorku „Hrabina Richmond” przechodziła obok Wysp Kanaryjskich, które znajdowały się po jej prawej stronie. Wyspy, na które tak wielu Europejczyków ucieka w grudniu przed śniegiem i deszczem, by znaleźć trochę słońca w pobliżu wybrzeży Afryki, kryły się za horyzontem. Jednak przez dobrą lornetkę widać było wierzchołek góry Tiede.

„Hrabina” na miejsce historycznego spotkania mogła dotrzeć dwa dni przed wyznaczonym czasem. Indonezyjski nawigator kazał rodakowi zmniejszyć moc do „wolno naprzód”; w kwietniowy wieczór statek sunął w spacerowym tempie po łagodnych falach.

Szczyt góry Tiede zniknął z pola widzenia, sternik skierował statek kilka stopni na bakburtę w kierunku leżącego w odległości tysiąca sześciuset mil wybrzeża Ameryki. Znowu zauważono go z przestrzeni; komputery odczytały sygnał nadajnika, sprawdziły dane, stwierdziły, że jednostka znajduje się daleko na morzu, gdzie nikomu nie zagraża, i powtórzyły komunikat: „Statek handlowy, dane zgodne, nie stanowi zagrożenia”.



Pierwszą delegację rządową, która przybyła, stanowił premier Japonii wraz ze żoną. Zgodnie z ustaleniami przyleciała na lotnisko Kennedy'ego prosto z Tokio. Poza polem widzenia, z dala od okrzyków demonstrantów, delegacja przesiadła się do niewielkiej eskadry śmigłowców, które przewiozły ją prosto z Jamaica Bay do Brooklynu.

Strefa lądowania znajdowała się w pobliżu wielkich hal i budynków tworzących nowy terminal. Stojący za barierkami demonstranci, wykrzykujący z daleka swoje slogany, po chwili zniknęli z oczu Japończyków. Łopaty wirnika zwolniły łagodnie i delegacja zeszła z pokładów helikopterów; przywitali ich oficerowie statku i poprowadzili długim tunelem do wejścia w burcie liniowca, a stamtąd do jednego z królewskich apartamentów.

Śmigłowce odleciały z powrotem na lotnisko Kennedyego, żeby przyjąć delegację kanadyjską,

która właśnie przybyła.

David Gundlach został na piętnastometrowym mostku z ogromnymi panoramicznymi oknami pozwalającymi spoglądać na morze. I choć mostek znajdował się na wysokości siedemdziesięciu metrów, wycieraczki na przednich oknach świadczyły, że gdy dziób „Queen Mary II” w osiemnastometrowe fale Atlantyku w środku zimy, krople wody docierają aż tutaj.

Jednak ten rejs, według zapowiedzi synoptyków, miał się odbyć przy spokojnym morzu i łagodnym wietrze. Liniowiec, zataczając wielki łuk, popłynie południowym szlakiem, znacznie bardziej lubianym przez pasażerów ze względu na przyjemniejszą pogodę i morze. W ten sposób pokona Atlantyckie w najwęższym miejscu, a gdy dotrze do najbardziej na południe wysuniętego punktu trasy, przeplynie na północ od Azorów.

Na lotnisko przybywały po kolei delegacje rosyjska, francuska, niemiecka i włoska, a o zmierzchu śmigłowcami przylecieli Brytyjczycy, właściciele „Queen Mary II”.

Prezydent Stanów Zjednoczonych, mający być gospodarzem inauguracyjnej kolacji tuż po dwudziestej, przyleciał punktualnie o szóstej granatowym helikopterem, z którego regularnie korzysta Biały Dom. Marynarska orkiestra zagrała *Hail to the Chief* i zniknęła za stalowymi drzwiami, które zamknęły się, odcinając statek od zewnętrznego świata. O osiemnastej trzydzieści podniesiono ostatnie cumy i „Queen Mary II”, i oświetlona niczym pływające miasto, wyszła na East River.

Ludzie płynący na mniejszych jednostkach i ci stojąc} na brzegu obserwowali ją i machali rękami. Ukryci za wzmocnionymi szybami przywódcy ośmiu najbogatszych państw świata odpowiadali na pozdrowienia. Za burtą przesunęła się jasno oświetlona Statua Wolności oraz przybrzeżne wyspy i „Queen Mary II” ększyła nieco moc silników.

Dwa eskortujące ją krążowniki rakietowe zajęły pozycje po obu stronach, w odległości kilkunastu kabli; kapitanowie zameldowali się kapitanowi liniowca. Z prawej strony szedł USS „Leyte Gulf”, a z lewej - USS „Monterey”. Zgodnie z morskim kodeksem grzecznościowym kapitan odpowiedział na pozdrowienie i podziękował. Później zszedł z mostka, by przebrać się do kolacji. David Gundlach przejął ster i dowodzenie.

W konwoju nie było okrętu podwodnego, bo nie była to grupa z lotniskowcem. Zrezygnowano z niego z dwóch powodów: żadne państwo nie dysponowało okrętem podwodnym, który mógłby uniknąć wykrycia i zatopienia przez krążownik rakietowy, a „Queen Mary II” ływała taką prędkością, że żaden okręt podwodny nie byłby w stanie dotrzymać jej kroku.

Kiedy światła Long Island zniknęły z pola widzenia, pierwszy oficer Gundlach zwiększył moc silników do optymalnej. Cztery silniki dające moc stu pięćdziesięciu siedmiu tysięcy koni mechanicznych mogły w razie potrzeby rozpędzić liniowiec do trzydziestu węzłów. Prędkość wycieczkowa wynosi dwadzieścia pięć węzłów; krążowniki musiały przyspieszyć do maksimum, żeby nadążyć za liniowcem.

W górze pojawiła się powietrzna eskorta: należący do marynarki wojennej samolot EC2 Hawkeye, wyposażony w radar mogący objąć zasięgiem powierzchnię Atlantyku w promieniu

pięciuset mil wokół konwoju. Oraz EA - 6B Prowler, który potrafi sparaliżować każdy system naprowadzania broni używany przez wroga i może go zniszczyć pociskami HARM.

Eskorta powietrzna miała być zaopatrywana w paliwo i zastępowana po zakończeniu wachty przez maszyny startujące z terytorium USA, później miały ją zmienić identyczne samoloty z amerykańskiej bazy na Azorach. Te z kolei miały potem zastąpić samoloty startujące z Wysp Brytyjskich. Niczego nie zaniedbano, wszystko zostało wzięte pod uwagę.

Kolacja okazała się wielkim sukcesem. Mężowie stanu promienieli, ich żony błyszczały, potrawy uznano za znakomite, a w kryształowych kieliszkach perliło się wino z najlepszych roczników.

Idąc za przykładem amerykańskiego prezydenta, uczestnicy kolacji wcześniej położyli się spać, tym bardziej że mieli za sobą wyczerpujące loty.

Spotkali się wszyscy nazajutrz rano. Sala Teatru Królewskiego została przystosowana tak, by przyjąć wszystkie osiem delegacji oraz niewielką armię mniej ważnych osób siedzących za przewodniczącymi.

Drugi wieczór upłynął tak samo jak pierwszy, z tą różnicą, że funkcję gospodarza pełnił premier Wielkiej Brytanii, który podjął gości w mogącej pomieścić dwieście osób sali o nazwie Grill Królowej. Pomniejsi uczestnicy rozeszli się po restauracji Britannia oraz rozmaitych pubach i barach, w których także podawano jedzenie. Młodsza część delegacji, uwolniona od dyplomatycznych obowiązków, po kolacji wybrała Salę Balową Królowej albo nocny klub z dyskoteką G32.

Wysoko w górze, na przestronnym mostku, światła rzucały przytłumiony blask. Dziś w nocy mostkiem władał David Gundlach. Tuż pod szybami przedniego okna rozpościerały się plazmowe ekrany pokazujące stan wszystkich systemów okrętu.

Najważniejszym z nich był radar ogarniający wszystko w promieniu dwudziestu pięciu mil. Gundlach widział sygnały oznaczające dwa krążowniki po bokach liniowca, a dalej kropki, pod którymi kryły się inne jednostki.

Pierwszy oficer miał również do dyspozycji system automatycznej identyfikacji, który odczytywał sygnał z nadajnika każdej jednostki i sprawdzał go w bazie komputerowej Lloyda; w ten sposób można było poznać nie tylko nazwę statku, ale również jego kurs, przewożony ładunek i kanał radiowy, na którym nadawał.

Na mostkach obu krążowników, również oświetlonych przyciemnionym światłem, obsługa radarów także wpatrywała się w ekrany. Jej obowiązkiem było dopilnowanie, by nic, co mogłoby w jakikolwiek sposób zagrozić sunącemu między nimi z szumem silników olbrzymowi, nie zbliżyło się do niego. Nawet niegroźny zidentyfikowany frachtowiec mógł zbliżyć się na odległość najwyżej półtorej mili. Drugiej nocy w promieniu pięciu mil i czterech kabli nie pokazała się żadna jednostka.

Samolot EC2 Hawkeye obejmował zasięgiem większy obszar z racji pułapu, na którym krążył.

Obraz radaru przypominał ogromną, sunącą z zachodu na wschód latarkę regularnie omiatającą swoim światłem Atlantyk. Jednak większość tego, co widział radar samolotu, znajdowało się daleko od konwoju. Umożliwiało to stworzenie korytarza przed pływającymi jednostkami i uprzedzanie krążowników, co znajduje się przed nimi. Postanowiono, że wystarczy ograniczyć pole widzenia do dwudziestu pięciu mil, czyli mniej więcej tyle, ile w ciągu godziny pokonywał konwój.

Trzeciej nocy tuż przed jedenastą Hawkeye wysłał ostrzeżenie niskiego stopnia.

- Dwadzieścia pięć mil przed konwojem, jakieś półtorej mili w bok od kursu płynie niewielki frachtowiec. Wygląda, jakby dryfował.



„Hrabina Richmond” nie dryfowała, jej śruby powoli obracały się w wodzie. Jednak poruszający się z prędkością czterech węzłów prąd sprawiał, że przez cały czas sunęła zachodnim kursem.

Ponton z silnikiem zaburtowym kołysał się na wodzie obok kadłuba frachtowca, przywiązany do lewej burty drabinką sznurową zwisającą z relingu. Siedziało już w nim czterech mężczyzn.

Pozostałych czterech znajdowało się na mostku. Ibrahim trzymał ster, szukając wzrokiem na horyzoncie zbliżających się światła.

Indonezyjczyk regulował mikrofon radia, by uzyskać najmocniejszy i najwyraźniejszy dźwięk. Obok niego stał nastolatek pakistańskiego pochodzenia, urodzony i wychowany na przedmieściu Leeds w Yorkshire. Czwartym mężczyzną był Afgańczyk. Wreszcie radiowiec skinął głową na chłopaka, który odpowiedział tym samym gestem i usiadł przy konsoli statku, czekając, aż zostanie wywołany.



Wywołano go z krążownika idącego sześć kabli od prawej burty „Queen Mary II”. Gundlach słyszał wszystko wyraźnie, podobnie jak wszyscy marynarze pełniący nocną wachtę. Korzystano z kanału powszechnie używanego przez statki na północnym Atlantyku. Głos mówił z przeciągłym akcentem z dalekiego południa Stanów Zjednoczonych.

- „Hrabina Richmond”, „Hrabina Richmond”, tu krążownik US Navy „Monterey”. Słyszysz mnie?

Odpowiedział głos lekko zniekształcony przez nieco przestarzałe radio starego frachtowca. Spłaszczone samogłoski świadczyły, że mówi ktoś, kto pochodzi z Lancashire lub Yorkshire.

- Ta jest, „Monterey”, tu „Hrabina”.

- Wyglądacie tak, jakbyście stali w miejscu. Opiszcie sytuację.

- „Hrabina Richmond”. Trochę się przegrzaliśmy... coś stuknęło i wał prawie stanął...

naprawiamy, robimy, co w naszej mocy.

Na mostku krążownika na chwilę zapadła cisza. A potem...

- „Hrabina”, powiedz to jeszcze raz. Powtarzam, powiedz to jeszcze raz.

Odpowiedź została powtórzona z jeszcze silniejszym północnym akcentem. Pierwszy oficer na mostku „Queen Mary II” ł mignięcie na ekranie radaru nieco na południe od linii kursu; dotrze do obiektu za pięćdziesiąt minut. Na drugim ekranie ukazały się wszystkie szczegóły dotyczące „Hrabiny Richmond”, w tym potwierdzenie, że sygnał nadajnika jest autentyczny i prawidłowy. Gundlach wtrącił się do rozmowy.

- „Monterey”, tu „Queen Mary II”. ół mi porozmawiać.

David Gundlach urodził się i wychował w hrabstwie Cheshire, jakieś osiemdziesiąt kilometrów od Liverpoolu. Stwierdził, że mężczyzna mówiący z „Hrabiny” pochodzi albo z Yorkshire, albo z Lancashire, czyli tuż za miedzą jego rodzinnego Cheshire.

- „Hrabina Richmond”, tu „Queen Mary II”. łyszę, że przegrzało wam się główne łożysko wału napędowego i prowadzicie naprawę na morzu. Potwierdźcie.

- Ta jest, zgadza się. Mamy nadzieję, że uwiniemy się w godzinkę - odparł głos.

- „Hrabina”, podajcie swoje dane. Port macierzysty, port, z którego wyszliście, cel rejsu, ładunek.

- „Queen Mary”, jesteśmy z Liverpoolu, osiem tysięcy ton, frachtowiec ogólnego przeznaczenia, idziemy do Baltimore z Jawy z brokatami i tropikalnym drewnem.

Gundlach przebiegł wzrokiem po informacjach podanych przez firmę McKendrick Shipping w Liverpoolu, agencję Siebart i Abercrombie oraz ubezpieczyciela Lloyd'a. Wszystko się zgadzało.

- Z kim rozmawiam, jeśli wolno? - spytał.

- Mówi kapitan McKendrick. A ty kto?

- Pierwszy oficer David Gundlach.

Odezwał się „Monterey”, który z trudem rozumiał wymianę zdań.

- „Monterey” do „Queen Mary II”. zmienić kurs?

Gundlach spojrział na wyświetlacze. Komputer pokładowy prowadził liniowiec zaplanowanym kursem, przystosowując się do zmiany siły fal, wiatru i prądów. Zmiana kursu oznaczałaby przejście na ręczne sterowanie albo zresetowanie programu, a później powrót na pierwotny kurs. Stwierdził, że za czterdzieści jeden minut minie unieruchomiony frachtowiec, który będzie wtedy jakieś półtorej mili od jego prawej burty.

- Nie ma potrzeby, „Monterey”. Za czterdzieści minut minimy jednostkę w odległości półtorej mili.

„Monterey” znajdzie się nieco bliżej frachtowca, lecz wciąż była to duża odległość. Krążące wysoko samoloty Hawkeye i EA6 oglądały uważnie unieruchomiony frachtowiec, sprawdzając, czy wysyła jakieś sygnały namierzające cel albo czy w ogóle pracują na nim jakieś urządzenia elektroniczne. Niczego nie wykryły, ale będą obserwować dalej, dopóki „Hrabina” nie zostanie daleko za konwojem. W korytarzu konwoju znajdowały się jeszcze dwa inne statki, lecz daleko z przodu; zostaną poproszone o zejście z kursu.

- Przyjąłem - odpowiedziano z „Monterey”.



Wymianę zdań słyszeli wszyscy na mostku „Hrabiny”. Ibrahim skinieniem głowy dał sygnał, że mają go zostawić. Radiowiec i młody Pakistańczyk zeszli szybko do łodzi; cała szóstka czekała na Afgańczyka.

Wciąż przekonany, że obłąkany Jordańczyk uruchomi silnik i spróbuje staranować jeden z nadpływających statków, Martin wiedział, że nie wolno mu zejść z pokładu „Hrabiny Richmond”. Musiał zabić załogę i spróbować przejąć stery.

Zszedł tyłem po drabince. Sulajman przygotowywał sprzęt do filmowania. Z relingu „Hrabiny” zwisała lina; jeden z Indonezyjczyków stał przy dziobie pontonu, trzymając linę, żeby prąd opływający kadłub statku nie oderwał łodzi od burty.

Martin przytrzymał się mocno drabinki, odwrócił się i przeciął twardy jak skała materiał na długości prawie dwóch metrów. Tak tym wszystkim zaskoczył, że przed dwie lub trzy sekundy nikt nie zareagował. Powietrze uciekało z głośnym furkotem, a ponton z sześcioma mężczyznami na pokładzie zanurzył się i zaczął nabierać wody.

Mike wychylił się dalej i ciął zwisającą z relingu linę. Nie trafił, ale przeciął przedramię Indonezyjczyka. Wtedy tamci zareagowali, lecz Indonezyjczyk rozluźnił uchwyt i porwało ich morze.

W stronę Mike'a wyciągnęły się mściwe ręce, lecz tonąca łódź zanurzała się burcią w wodę. Ciężar ogromnego silnika ściągał ją w dół, a woda wdzierwała się do środka. Resztki pontonu odpłynęły od rufy frachtowca i zniknęły w ciemności oceanicznej nocy. A potem po prostu zatoneły, wciągnięte w głębinę przez silnik. W blasku rufowego światła Martin zobaczył ręce machające w wodzie, lecz one też szybko znikły. Nikt nie może walczyć z prądem poruszającym się z prędkością czterech węzłów. Mike zaczął wdrapywać się po drabince.

W tej samej chwili Ibrahim szarpnął jedną z trzech dźwigienek, które zostawił mu spec od materiałów wybuchowych. Rozległo się kilka ostrych trzasków, gdy eksplodowały maleńkie ładunki.

Budując galerię udającą sześć kontenerów na pokładzie „Gwiazdy Jawy”, Wei stworzył coś w rodzaju stalowego dachu albo pokrywy umocowanej w czterech miejscach.

Ekspert od materiałów wybuchowych umieścił przy nich ładunki kierunkowe podłączone do kabli zasilanych przez silniki okrętowe. Kiedy wybuchły, blaszana pokrywa się uniosła. Ładunki były rozmieszczone asymetrycznie, więc z jednej strony poszła w górę wyżej.

Martin stał na szczycie drabinki z nożem w zębach, gdy eksplodowały. Przykucnął, gdy ogromna blaszana płyta zsunęła się do morza. Odłożył nóż i wszedł na mostek.

Zabójca z Al - Kaidy stał przy sterze, spoglądając przez szybę. Na horyzoncie pojawiło się miasto sunące z prędkością dwudziestu pięciu węzłów: siedemnaście pokładów oraz sto pięćdziesiąt tysięcy ton stali, światła i ludzi. Zaczynająca się tuż za mostkiem galeria była otwarta.

Dopiero teraz Martin zrozumiał, że nie miała niczego przechowywać, tylko ukrywać.

Chmury odsłoniły księżyc w trzeciej kwadrze i przednia część pokładu dawnej „Gwiazdy Jawy” zajaśniała w blasku. Martin zobaczył, że statek nie jest frachtowcem, lecz zbiornikowcem. Płatanina rur, rurek, czopów, zaworów i pokręteł od hydrantów pokazywała, jakie jest prawdziwe przeznaczenie statku.

Na pokładzie widać było sześć równo rozmieszczonych okrągłych stalowych dysków - zaworów odpowietrzających - nad każdym ze zbiorników pod pokładem.

- Miałeś zostać w motorówce, Afgańczyku - przypomniał Ibrahim.

- Nie było miejsca, bracie. Sulajman omal nie wypadł za burtę. Zostałem na drabinie, a oni odpłynęli. Zginę razem z tobą, *In sha 'a Allah*.

Ibrahim wydawał się uspokojony. Zerknął na zegar i pociągnął za drugą dźwignię. Przewody prowadziły do akumulatorów statku i do galerii, w której w czasie miesięcy spędzonych na morzu pracował pirotechnik, wchodząc do środka ukrytym wejściem.

Eksplodowało sześć kolejnych ładunków i sześć włączów prowadzących do zbiorników pofrunęło do morza. To, co zaczęło się w tej chwili dziać, było niewidoczne gołym okiem. Gdyby ktoś mógł to zobaczyć, ujrzałby sześć pionowych kolumn wznoszących się z otworów zbiorników. Wzbiły się na trzydzieści metrów w górę, a potem straciły impet i uległy sile ciężenia. Niewidzialna chmura, mieszająca się raptownie z nocnym powietrzem, opadła nad wodę i zaczęła rozchodzić się we wszystkie strony.

Martin przegrał i wiedział o tym. Spóźnił się, miał tego świadomość. Wiedział, że od samych Filipin płynął na bombie i że niewidzialnej śmierci sączącej się z sześciu zniszczonych włączów nie można powstrzymać.

Przez cały czas zakładał, że „Hrabina Richmond”, która teraz znów stała się „Gwiazdą Jawy”, wpłynie do wnętrza jakiegoś portu i zdetonuje to, co kryje się pod jej pokładem.

Przypuszczał, że eksplodując, staranuje coś, co stanowi ogromną wartość. Przez trzydzieści dni czekał na próżno na szansę zabicia siedmiu terrorystów i przejęcia statku. Szansa się nie pojawiła.

Teraz ponieważ zrozumiął, że „Gwiazda Jawy” nie płynie, aby dostarczyć bombę na miejsce eksplozji, bo sama jest bombą. A teraz, gdy jej ładunek błyskawicznie się ulatniał, nie musiała przesuwać się ani o centymetr. Wystarczyło, że liniowiec znajdzie się w odległości półtorej mili od niej, by pochłonął go ogień.

Stojąc na mostku, słyszał wymianę zdań między młodym Pakistańczykiem i oficerem pokładowym z „Queen Mary II”. Ł już, że „Gwiazda Jawy” nie uruchomi silników. Eskortujące liniowiec krążowniki nie dopuściłyby do tego, ale nie zachodziła taka potrzeba.

Obok prawej ręki Ibrahima znajdowała się trzecia kontrolka. Prowadzący od niej kabel szedł do pistoletu Very zamontowanego tuż przed oknem mostka. Wystarczy jedna flara, jedna iskra...

Miasto świateł zbliżało się na, horyzoncie. Piętnaście mil przeplynie w pół godziny - optymalny czas na powstanie najmocniejszej mieszanki paliwowej.

Martin zerknął na mikrofon radia stojący na konsoli. Ostatnia szansa, by ostrzec liniowiec. Jego ręka wśliznęła się do rozcięcia w burnusie, pod którym tkwił przymocowany w okolicach iza, óz.

Jordańczyk zauważył spojrzenie Mike'a i ruch ręki. Nie przeżyłby Afganistanu, jordańskiego więzienia i amerykańskiego pościgu w Iraku, gdyby nie wykształcił w sobie instynktu dzikiego zwierzęcia.

Coś mówiło mu, że mimo braterskiego języka Afgańczyk nie jest przyjacielem. Atmosfera na małym mostku była przesycona czystą nienawiścią.

Ręka Martina sięgnęła po nóż. Ibrahim był szybszy; pistolet leżał pod mapą na stole nawigacyjnym. Jordańczyk mierzył teraz z niego w pierś Martina. Przeciwników dzieliło trzy i pół metra. O trzy za dużo.

Żołnierz uczy się błyskawicznie oceniać swoje szanse. Martin robił to przez znaczną część swojego życia. Na mostku „Hrabiny Richmond”, otoczonej śmiercionośną chmurą, były tylko dwie możliwości: rzucić się na przeciwnika albo skoczyć do przycisku, który ma wywołać zapłon. Ani jedno, ani drugie wyjście nie dawało szansy ocalenia życia.

Przyszły mu na myśl słowa z dalekiej przeszłości, ze szkolnego wiersza: „Do każdego człowieka na tej ziemi śmierć przychodzi prędzej czy później...”. Przypomniał też sobie to, co mówił, siedząc przy ognisku, Ahmad Szah Masud, Lew Pandższiru.

- Wszyscy jesteśmy skazani na śmierć, Angleez. Ale tylko wojownik pobłogosławiony przez Allaha może wybierać, jak chce umrzeć! - Pułkownik Mike Martin dokonał wyboru...

Ibrahim go wyczuł, dostrzegł w jego oczach błysk mężczyzny idącego na śmierć. Zabójca krzyknął i strzelił.

Szarżujący mężczyzna przyjął kulę w pierś i zaczął umierać. Ale poza bólem i oszołomieniem zawsze jest siła woli, wystarczająca na jeszcze jedną sekundę życia.

Gdy ta sekunda dobiegała końca, obu mężczyzn i statek pochłonął różowy płomień, za którym zaczynała się wieczność.

David Gundlach patrzył w niemym osłupieniu. W odległości piętnastu mil, tam gdzie za trzydzieści pięć minut znalazłby się największy liniowiec świata, z morza trysnął ogromny wulkan ognia.

- Co to, u diabła, było? - krzyczeli trzej pozostali marynarze pełniący nocną wachtę.

- „Monterey” do „Queen Mary II”. Ćć w lewo, powtarzam skręć w lewo. Musimy zbadać sytuację.

Gundlach zobaczył, że amerykański krążownik z prawej strony przyspiesza do prędkości bojowej i kieruje się na płomień. Niemal w tej samej chwili ogień zaczął zamierać. Było jasne, że „Hrabina Richmond” uległa jakiemś strasznemu wypadkowi. Pierwszy oficer miał w takiej sytuacji tylko jedno zadanie do wykonania: trzymać się z dala. Jeśli ktoś wypadł za burtę, „Monterey” go znajdzie. Mimo to należało wezwać kapitana. Gdy dowódca statku przybył na mostek, pierwszy oficer zrelacjonował to, co zobaczył. Liniowiec znajdował się teraz osiemnaście mil od miejsca katastrofy i wciąż się oddalał.

USS „Leyte Gulf” trzymał się lewej burty liniowca, a „Monterey” szedł prosto w stronę płomieni. Kapitan potwierdził, że gdyby jakimś cudem ocaleli jacyś rozbitkowie, „Monterey” ich odnajdzie.

Dalekie płomienie stawały się coraz słabsze. Dopalały się jeszcze resztki paliwa unicestwionego statku. Łatwopalny ładunek spłonął, zanim „Monterey” dotarł na miejsce katastrofy.

Kapitan statku pasażerskiego rozkazał, by zaprogramowano komputery na kurs do Southampton.

EPILOG

Przeprowadzono dochodzenie. To oczywiste. Trwało prawie dwa lata. Tych rzeczy nigdy nie robi się w ciągu kilku godzin, chyba że w telewizji.

Jeden zespół zajął się „Gwiazdą Jawy” od momentu położenia stępki do dnia, w którym wyszła z Brunei z ładunkiem propanu - butanu i wzięła kurs na Fremantle w Australii Zachodniej.

Niezależni świadkowie, którzy nie mieli powodu kłamać, zeznali, że statkiem dowodził kapitan Herrmann i wszystko było w najlepszym porządku. Wkrótce potem dwóch innych kapitanów widziało, jak zbiornikowiec mijał północno - wschodni cypel Borneo. Ze względu na przewożony ładunek trzymał się z dala od innych jednostek; kapitanowie zanotowali jego nazwę.

Nagranie ostatniej wiadomości nadanej przez kapitana odtworzono norweskiemu psychiatrze, który potwierdził, że głos należał do jego rodaka mówiącego dobrze po angielsku, lecz człowiek ten najwyraźniej spełniał pod przymusem czyjeś polecenia.

Znaleziono kapitana jednostki przewożącej owoce, który zanotował podaną pozycję zbiornikowca i udał się w to miejsce. Mężczyzna powtórzył to, co usłyszał i zobaczył. Jednak biegli od morskich pożarów stwierdzili, że gdyby ogień w maszynowni „Gwiazdy Jawy” był tak katastrofalny, że kapitan Herrmann nie zdołał uratować statku, musiałby się też zapalić jej ładunek. A wówczas nie byłoby wykonanych z tkaniny tratw ratunkowych kołyszących się na morzu w miejscu, w którym zatonął zbiornikowiec.

Filipińscy komandosi przy wsparciu amerykańskich śmigłowców bojowych przeprowadzili desant na półwysep Zamboanga, pozornie biorąc na cel bazy Abu Sajjaf. Znalezli i pojmali dwóch mieszkających w dżungli tropicieli z plemienia Huków, którzy czasem pracowali dla terrorystów, ale nie zamierzali z ich powodu stawać przed plutonem egzekucyjnym.

Mężczyźni zeznali, że na rzece w samym środku dżungli widzieli średniej wielkości zbiornikowiec, na którym pracowała liczna grupa robotników z palnikami acetylu - nowo - tlenowymi.

Zespół złożył raport w ciągu roku. Stwierdzono w nim, że „Gwiazda Jawy” nie zatonęła wskutek pożaru na pokładzie, lecz została uprowadzona w idealnym stanie; następnie zadano sobie wiele trudu, by marynarski świat uwierzył, iż jednostka już nie istnieje. Załoga przypuszczalnie zginęła, co należało potwierdzić.

Ze względu na zasadę ograniczonego obiegu informacji różne części zespołu dochodzeniowego zajmowały się innymi aspektami śledztwa, nie znając jego celu. Przekonano uczestników, że chodzi o kwestie ubezpieczeniowe.

Drugi zespół zajął się zbadaniem losów prawdziwej „Hrabiny Richmond”. Zaczęto od biura Aleksa Siebarta przy Crutched Friars w londyńskim City, następnie śledczy udali się do Liverpoolu, by spotkać się z rodzinami członków załogi. Wszystko podobno przebiegało zgodnie z planem, gdy „Hrabina” wylądowywała jaguary w Singapurze. Kapitan McKendrick spotkał w doku znajomego z

Liverpoolu i wypili razem kilka piw przed wyjściem w morze. Poza tym kapitan zadzwonił do domu.

Niezależni świadkowie potwierdzili, że statek był dowodzony przez prawowitego kapitana, gdy ładował cenne drewno w Kinabalu.

Jednak wizja lokalna w Surabai na Jawie pozwoliła stwierdzić, że jednostka w ogóle tam nie zawinęła, by zabrać drugą część ładunku, którą stanowiły azjatyckie jedwabie. Mimo to Siebart i Abercrombie otrzymali potwierdzenie od spedytorów, że statek wziął ładunek. Zostało sfalszowane.

Stworzono portret pamięciowy „Lamponga”; indonezyjska służba bezpieczeństwa rozpoznała człowieka podejrzanego o finansowe wspieranie organizacji Džami'at - e Islami. Podejrzeń nie udało się wcześniej potwierdzić. Zarządzono poszukiwania, lecz terrorysta rozpułnął się w ludzkiej masie Azji Południowo - Wschodniej.

Zespół orzekł, że „Hrabina Richmond” została porwana na morzu Celebes i że sprawcy ukradli wszystkie dokumenty, radiowe kody identyfikacyjne i nadajnik, a statek zatopili. Powiadomiono krewnych marynarzy.



Przełom nastąpił dzięki doktorowi Alemu Azizowi al - Chattabowi. Podsluch jego telefonu pozwolił ustalić, że mężczyzna rezerwuje bilet na samolot lecący na Bliski Wschód. W czasie narady w Thames House, siedzibie MI5, postanowiono przerwać zabawę. Policja z Birmingham i oddział specjalny sforsowały drzwi jego mieszkania, gdy podsłuchujący stwierdzili, że Kuwejczyk jest w wannie. Wyprowadzono go ubranego w szlafrok.

Ale Al - Chattab był sprytny. Przetrząsnęto całe mieszkanie, samochody i biuro, odczytano informacje z telefonu komórkowego i laptopa i nie znaleziono żadnego szczegółu, który by go obciążał.

Uśmiechał się bezbarwnie, a adwokaci protestowali przez całe cztery tygodnie, na które przepisy pozwalają policji zatrzymać podejrzanego bez sformułowania oficjalnego zarzutu. Uśmiech go opuścił, kiedy po wyjściu z więzienia Jej Królewskiej Mości w Belmarsh aresztowano go natychmiast na podstawie wniosku ekstradycyjnego złożonego przez Zjednoczone Emiraty Arabskie.

Dla takiego wniosku nie ma ograniczenia czasowego. Al - Chattab wrócił do celi, a jego adwokat złożył kategoryczny wniosek przeciwko ekstradycji. Jako Kuwejczyk Al - Chattab nie był nawet obywatelem ZE A, to jednak nie miało znaczenia.

Centrum Antyterrorystyczne w Dubaju w zaskakujący sposób weszło w posiadanie pliku zdjęć. Fotografie przedstawiały Al - Chattaba naradzającego się ze znanym kurierem Al - Kaidy, kapitanem dawy, która od pewnego czasu była pod obserwacją. Na innych widać było, jak na przedmieściu Ra's al - Chajmy wchodzi do willi, którą terroryści wykorzystywali jako kryjówkę. Na londyńskim sądzi zdjęcia zrobiły wrażenie, wydał więc zgodę na ekstradycję.

Al - Chattab złożył apelację i znowu przegrał. Mając do wyboru wątpliwe uroki placówki Jej

Królewskiej Mości w Belmarsh i przesłuchania prowadzone przez krzepkich agentów sił specjalnych w Zjednoczonych Emiratach Arabskich w pustynnej bazie nad Zatoką Perską, zwrócił się z prośbą, by mógł zostać w Wielkiej Brytanii jako gość królowej Elżbiety.

I tu pojawił się problem. Brytyjczycy poinformowali go, że nie mają podstaw do jego zatrzymania, nie wspominając o postawieniu przed sądem i skazaniu. Samochód był w połowie drogi na Heathrow, gdy Al - Chattab zgodził się na układ i zaczął mówić.

Asystujący przy przesłuchaniu goście z CIA powiedzieli później, że wyglądało to jak pęknięcie tamy Boulder Dam. Spalił ponad stu agentów Al - Kaidy, którzy do tej pory byli czystszy jak łąza, zupełnie nieznanymi angielskiemu i amerykańskiemu wywiadowi, oraz dwadzieścia cztery uśpione konta bankowe.

Kiedy przesłuchujący wspomnieli o projekcie Al - Kaidy o kryptonimie Al - Isra, Kuwejczyk zamilkł ze zdumienia. Nie miał pojęcia, że ktoś o tym wie. A potem znów zaczął mówić.

Potwierdził wszystko, co w Londynie i Waszyngtonie już wiadano lub podejrzewano, i dodał więcej od siebie. Potrafił podać tożsamość wszystkich ośmiu mężczyzn biorących udział w ostatnim rejsie „Hrabiny Richmond”, z wyjątkiem trzech Indonezyjczyków.

Znał pochodzenie pakistańskiego nastolatka, który rozmawiał zamiast kapitana McKendricka przez radio i zmylił pierwszego oficera Davida Gundlacha.

Przyznał, że „Dona Maria” i jej załoga zostali z rozmysłem poświęceni; chodziło o to, żeby nie zawahano się przed posłaniem prezydenta Stanów Zjednoczonych w rejs statkiem pasażerskim.

Agenci łagodnie skierowali rozmowę na Afgańczyka, którego Al - Chattab przesłuchiwał w willi na terenie Zjednoczonych Emiratów Arabskich. W istocie tego nie wiedzieli, tylko podejrzewali, lecz doktor prawie wcale się nie wypierał.

Potwierdził, że tajemniczy talibski dowódca przybył do Ra's al - Chajmy po śmiałej ucieczce z furgonetki więziennej pod Kabulem. Powiedział, że wszystkie szczegóły zostały w pełni sprawdzone przez sympatyków Al - Kaidy i zweryfikowane.

Dodał, że sam Ajman az - Zawahiri kazał mu przybyć nad Zatokę i wypytywać zbiega tak długo, jak to będzie konieczne. Wyznał, że nie kto inny, tylko sam szejik potwierdził tożsamość Afgańczyka na podstawie rozmowy przeprowadzonej wiele lat wcześniej w szpitalu polowym w jaskiniach Tora Bora.

To właśnie szejik wyraził zgodę, by Afgańczyk dostąpił zaszczytu wzięcia udziału w operacji Al - Isra, a on, Al - Chattab, wysłał go razem z innymi do Malezji.

Angielscy i amerykańscy agenci prowadzący przesłuchanie z najwyższą przyjemnością zepsuli mu resztkę życia, informując go, kim naprawdę był Afgańczyk.

Na ostatnim etapie śledztwa grafolog potwierdził, że tym, który napisał wiadomość na kartce wetkniętej w wyspie Labuan do torby ze sprzętem do nurkowania, był zaginiony w akcji pułkownik.

Rada operacji Łom zgodnie orzekła, że Mike Martin wszedł na pokład „Hrabiny Richmond” gdzieś za Labuanem, wciąż udając terrorystę, i że nie istnieje najmniejszy dowód świadczący o tym, iż zdołał uciec na czas z pokładu.

Nie zdołano wyjaśnić, dlaczego „Hrabina” eksplodowała czterdzieści minut przed wyznaczonym czasem.



W Wielkiej Brytanii panuje zwyczaj, zgodnie z którym zaginiona osoba może prawnie zostać uznana za zmarłą dopiero po upływie siedmiu lat; wtedy też wydaje się akt zgonu.

Jednak kiedy przesłuchania doktora Al - Chataba dobiegły końca, koronera londyńskiej dzielnicy Westminster zaproszono na bardzo prywatną kolację w prywatnym pokoju w klubie Brooks przy St. James Street. Uczestniczyły w niej jeszcze tylko trzy osoby, które wyjaśniły koronerowi wiele rzeczy po wyjściu kelnera.

W następnym tygodniu koroner wydał świadectwo zgonu doktorowi Terry'emu Martinowi, wykładowcy ze Szkoły Badań nad Orientem i Afryką. Widniało na nim nazwisko jego brata, pułkownika Mike'a Martina z regimentu spadochronowego, który zaginął bez śladu przed osiemnastoma miesiącami.



Na terenie kwatery głównej regimentu SAS pod miasteczkiem Hereford stoi dziwnie wyglądający obiekt zwany po prostu wieżą zegarową. Wieżę rozebrano po kawałku, gdy przed kilkunastu laty jednostka przeprowadzała się ze starej siedziby do nowej. Później ją odbudowano.

Zgodnie z nazwą na szczycie wieży znajduje się zegar, lecz ciekawsze są cztery ściany wieży, na których wryto nazwiska wszystkich żołnierzy SAS poległych w boju.

Wkrótce po wydaniu aktu zgonu u stóp wieży odprawiono mszę pamiątkową. Wzięło w niej udział kilkunastu mężczyzn w mundurach, dziesięciu mężczyzn w cywilu oraz dwie kobiety. Jedną z nich była szefowa MI5, a drugą żona poległego komandosa.

Dowództwo trzeba było przekonać do przyznania mu statusu zaginionego w akcji, lecz naciski szły z bardzo wysoka; po zapoznaniu się ze wszystkimi faktami dyrektor, siły specjalne oraz dowódca regimentu zgodzili się, że przyznanie takiego statusu jest uzasadnione. Pułkownik Mike Martin z pewnością nie był pierwszym i na pewno nie będzie ostatnim żołnierzem SAS, który zaginął daleko poza granicami kraju i nigdy się nie odnalazł.

Słońce już zachodziło za Black Mountains w Walii w ten posępny lutowy dzień, kiedy odbywała się krótka ceremonia. Na koniec kapelan wypowiedział zwyczajowe słowa z ewangelii św. Jana.

- Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich*

(Ewangelia wg św. Jana (15; 13), Biblia Tysiąclecia.).

Tylko ci, którzy zebrali się wokół wieży zegarowej, wiedzieli, że Mike Martin, emerytowany pułkownik regimentu spadochronowego i SAS, uczynił to dla czterech tysięcy nieznanym sobie ludzi, którzy nawet nie wiedzieli o jego istnieniu.

SPIS TREŚCI

Część pierwsza - STINGRAY 7

Część druga - WOJOWNICY 79

Część trzecia - ŁOM 157

Część czwarta - PODRÓŻ 203

Epilog 391